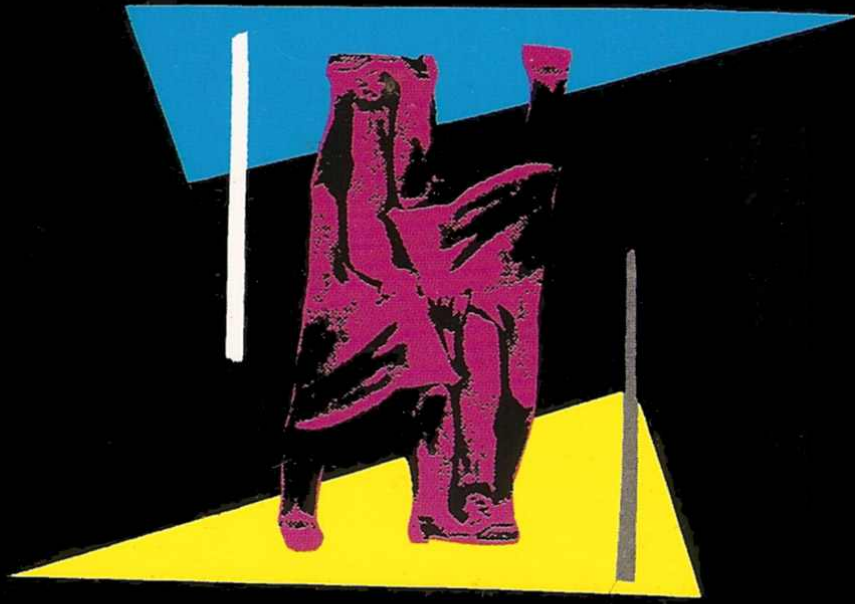


# MILAN KUNDERA

Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy

## Żart



# MILAN KUNDERA

## Żart

Przełożyła  
Emilia Witwicka



Państwowy Instytut Wydawniczy

Tak więc po wielu latach nagle znowu się tutaj znalazłem. Stałem na głównym placu (który niezliczoną ilość razy przemierzałem jako dziecko, jako chłopiec i jako młodzieniec) i nie odczuwałem najmniejszego nawet wzruszenia; wprost przeciwnie – pomyślałem sobie, że ten płaski plac, gdzie nad dachami domów sterczy wieża ratusza (przypominająca żołnierza w staroświeckim hełmie), wygląda jak wielki koszarowy plac ćwiczeń i że wojenna przeszłość tego południowomorawskiego miasta, stanowiącego niegdyś bastion ochronny przeciw napadom Węgrów i Turków, wycisnęła na jego obliczu piętno nieodwracalnej brzydoty.

Przez długie lata nic nie ciągnęło mnie do mego rodzinnego miasta; mówiłem sobie, że zobojętniało mi ono, i wydawało mi się to całkiem naturalne: przecież nie mieszkam tu już od lat piętnastu, pozostało mi tutaj zaledwie kilku znajomych czy kolegów (a i tych będę raczej unikał), matka moja jest tu pochowana w obcym grobowcu, o który zupełnie się nie troszczę. Ale myliłem się: to, co nazywałem obojętnością, było w istocie nienawiścią, której przyczyn nie mogłem uchwycić, ponieważ w moim mieście rodzinnym przydarzyły mi się rzeczy dobre i złe, tak jak we wszystkich innych miastach, ale nienawiść tkwiła tutaj; zdałem sobie z tego sprawę właśnie w związku z tą podróżą: to, co mnie tu sprowadziło, mogło dokonać się równie dobrze i w Pradze, ale naraz zaczęła mnie nieodparcie pociągać nadarzająca się szansa zrobienia tego właśnie w rodzinnym mieście, chodziło bowiem o rzecz cyniczną i przyziemną, która drwiła z mego przypuszczenia, że mógłbym tu wrócić po to, by sentymentalnie roztkliwiać się nad minionym czasem.

Raz jeszcze powiodłem złośliwym spojrzeniem po brzydkim placu, po czym odwróciłem się i ruszyłem ulicą do hotelu, gdzie miałem zamówiony nocleg. Portier wręczył mi klucz z drewnianą gruszką i powiedział: „Drugie piętro.” Pokój nie grzeszył komfortem. Pod ścianą łóżko, pośrodku mały stół z jednym krzesłem, obok łóżka pretensjonalna mahoniowa toaletka z lustrem, a koło drzwi niewielka obtłuczona umywalka. Położyłem teczkę na stole i otworzyłem okno: wychodziło na podwórze i na tyły domów odwróconych do hotelu nagimi,

brudnymi ścianami. Zamknąłem okno, zaciągnąłem firanki i podszedłem do umywalki, która miała dwa kurki – jeden oznaczony kolorem czerwonym, drugi niebieskim; odkręciłem je – z obydwu leciała zimna woda. Spojrzałem na stół; jako tako mógł ująć, butelka i dwa kieliszki zmieściłyby się na nim całkiem dobrze, gorzej jednak, że mogła przy nim siedzieć tylko jedna osoba, ponieważ w pokoju nie było drugiego krzesła. Przysunąłem stół do łóżka i spróbowałem usiąść na łóżku przy stole, ale łóżko było za niskie, a stół za wysoki; ponadto łóżko ugięło się pode mną tak, że natychmiast zrozumiałem, iż nie tylko nie może służyć do siedzenia, ale że i funkcję łoża pełnić będzie raczej z wątpliwym efektem. Oparłem się pięściami o materac, potem położyłem się, ostrożnie unosząc w górę nogi, żeby nie pobrudzić butami (całkiem czystej) kołdry i prześcieradła. Łóżko ugięło się pode mną i leżałem w nim jak w hamaku albo jak w bardzo ciasnym grobie; nie sposób było wyobrazić sobie, że jeszcze ktoś mógłby ze mną tu leżeć.

Usiadłem na krześle, utkwilem wzrok w prześwietlonych firankach i zamysliłem się. W tej chwili z korytarza dobiegły czyjeś kroki i głosy; były to dwie osoby, kobieta i mężczyzna, rozmawiali ze sobą i można było zrozumieć każde ich słowo. Mówili o jakimś Piotrze, który uciekł z domu, i o jakiejś ciotce Klarze, która jest głupia i chłopca rozpieszcza; potem dał się słyszeć zgrzyt klucza w zamku, skrzypnięcie otwieranych drzwi i głosy rozbrzmiewały dalej w sąsiednim pokoju; słyhać było westchnienia kobiety (tak, nawet westchnienia!) i energiczne oświadczenie mężczyzny, że nareszcie rozmówi się z Klarą jak należy.

Wstałem, byłem zdecydowany; umyłem ręce nad umywalką, wytarłem ręcznikiem i wyszedłem z hotelu, chociaż w pierwszej chwili nie wiedziałem, dokąd pójść. Wiedziałem tylko jedno, że jeżeli nie mam powodzenia całej swojej wyprawy (wyprawy długiej i męczącej) uzależniać od wątpliwej raczej wygody hotelowego pokoju, muszę – chociaż wcale mi się nie chciało – zwrócić się do któregoś ze swoich tutejszych znajomych z dyskretną prośbą. Szybko przebiegłem myślą galerię twarzy z czasów młodości, ale natychmiast odrzuciłem wszystkie, choćby dlatego że intymność żądanej przysługi zobowiązywała do pracochłonnego przerzucenia pomostu ponad długim szeregiem lat, które dzieliły nas od ostatniego spotkania – a na to nie miałem najmniejszej ochoty. Ale po chwili przypomniałem sobie, że mieszka tu prawdopodobnie człowiek, który przeniósł się do tego miasta, a któremu przed laty sam załatwiłem tutaj posadę, i że (o ile go znam) bardzo będzie rad, jeśli nadarzy mu się okazja zrewanżowania mi się przysługą za przysługę. Był to oryginał, przesadny moralista, a zarazem człowiek dziwnie niespokojny i niestały; o ile wiem, żona rozwiodła się z nim

przed laty, po prostu dlatego, że przebywał wszędzie indziej, tylko nie z nią i z ich synem. Teraz truchlałem już tylko na myśl, czy mi się znowu nie ożenił, ponieważ utrudniłoby to spełnienie mojej prośby, i szybkim krokiem skierowałem się do szpitala.

Tutejszy szpital to kompleks budynków i pawilonów rozrzuconych na rozległym terenie ogrodu; wszedłem do małej, niepozornej budki przy bramie i poprosiłem siedzącego za stołem portiera, żeby mnie połączył z oddziałem zakaźnym; podsunął mi telefon na brzeg stołu i powiedział: „Zero dwa.” Wykręciłem zatem zero dwa i dowiedziałem się, że doktor Kostka właśnie przed chwilą skończył dyżur i jest w drodze do wyjścia. Usiadłem na ławce w pobliżu bramy, żeby go nie przeoczyć, gapiłem się na mężczyzn, którzy snuli się tu w szpitalnych szlafrokach w białe i niebieskie pasy, i wreszcie go zobaczyłem: siedział zamyślony, wysoki, chudy, sympatycznie niepozorny; tak, to był on. Wstałem z ławki i ruszyłem energicznie naprzeciw, jakbym chciał się z nim zderzyć; spojrzał na mnie z urazą, ale natychmiast mnie poznał i szeroko otworzył ramiona. W swoim zaskoczeniu wydał mi się niemal uszczęśliwiony, a bezpośredniość, z jaką mnie przywitał, ucieszyła mnie.

Wyjaśniłem mu, że przyjechałem przed niecałą godziną w jakiejś błahej sprawie, która zatrzyma tu mnie pewnie ze dwa dni, a on zdziwił się z radością, że pierwsze kroki skierowałem do niego. Zrobiło mi się przykro, że nie przyszedłem bezinteresownie, wyłącznie dla niego samego, i że również pytanie, które mu właśnie zadaję (spytałem go jowialnie, czy się już powtórnie ożenił), to tylko udawanie zainteresowania, w gruncie rzeczy podyktowanego praktycznym wyrachowaniem. Odparł (ku memu zadowoleniu), że ciągle jest sam. Oświadczyłem, że musimy pogadać. Zgodził się ze mną, żałował tylko, że ma niestety jedynie godzinę czasu, ponieważ musi jeszcze wrócić do szpitala, a wieczorem, wyjeżdża.

– Pan nie mieszka tutaj? – przestraszyłem się.

Zapewnił mnie, że owszem, mieszka, że ma kawalerkę w nowym budownictwie, ale że „źle jest człowiekowi samemu”. Okazało się, że w innym mieście, dwadzieścia kilometrów stąd, Kostka ma narzeczoną, nauczycielkę, i to z dwupokojowym mieszkaniem.

– Przeniesie pan się z czasem do niej? – spytałem.

Odparł, że trudno by mu było w innym mieście o tak ciekawą pracę, jaką pomogłem mu tutaj znaleźć, a z kolei jego narzeczoną miałyby trudności ze znalezieniem posady właśnie tutaj. Zacząłem wymyślać (zupełnie szczerze) na

niedołęstwo naszej biurokracji, która nie jest w stanie iść na rękę mężczyźnie i kobiecie, aby mogli wspólnie zamieszkać.

– Niech się pan uspokoi, panie Ludwiku – rzekł z miłą wyrozumiałością – nie takie to znowu straszne. Tracę wprawdzie na przejazdy trochę pieniędzy i czasu, ale w ten sposób nic nie zagraża mojej samotności i czuję się wolny.

– Po co panu tyle wolności? – zapytałem.

– A panu? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Ja jestem babiarz – odrzekłem.

– Wolność nie jest mi potrzebna z powodu kobiet, ale dla mnie samego – rzekł i dodał: – Wie pan co, niech pan do mnie wpadnie na chwilę, zanim wyjadę.

O niczym innym nie marzyłem.

Wyszliśmy więc ze szpitala i wkrótce znaleźliśmy się na nowym osiedlu mieszkaniowym, gdzie domy sterczały jeden obok drugiego na nie wyrównanym piaszczystym terenie (bez trawników, bez chodników, bez jezdni), tworząc smutną scenerię na krańcach miasta graniczącego z pustą równiną rozległych pól.

Weszliśmy w jedną z bram, zaczęliśmy się wspinać po wąskich schodach (winda nie działała), wreszcie zatrzymaliśmy się na trzecim piętrze, gdzie zobaczyłem wizytówkę z nazwiskiem Kostki. Gdy przeszliśmy z przedsiönka do pokoju, poczułem się usatysfakcjonowany w najwyższym stopniu: w rogu stał szeroki wygodny tapczan, przykryty wzorzystą narzutą; oprócz tapczanu znajdował się w pokoju stół, fotel, duża biblioteka, adapter i radio.

Pochwaliłem pokój i spytałem, jak wygląda łazienka.

– Żaden komfort – rzekł uradowany moim zainteresowaniem i pociągnął mnie do przedpokoju, skąd prowadziły drzwi do łazienki, małej, ale całkiem przyjemnej, z wanną, prysznicem i umywalką.

– Wie pan, kiedy tak patrzę na to pańskie urocze mieszkanko, przyszedł mi do głowy pewien pomysł – powiedziałem. – Co pan robi jutro po południu i wieczorem?

– Niestety – tłumaczył się skruszony – mam jutro do późna dyżur. Wracam dopiero koło siódmej. Nie będzie pan wolny wieczorem?

– Wieczorem chyba tak, ale czy nie mógłby mi pan przedtem, na popołudnie, pożyczyć swego mieszkania?

Moje pytanie zdziwiło go, ale natychmiast (jakby się bał, że posądzę go o brak dobrej woli) odrzekł:

– Bardzo chętnie się nim z panem podzielę. – I mówił dalej, jakby specjalnie nie chciał dociekać powodu mojej prośby: – Jeśli ma pan trudności z mieszkaniem, to może pan tu przenocować już dzisiaj, wracam dopiero rano, a właściwie nawet i rano nie wrócę, bo pójdę prosto do szpitala.

– Nie, dziękuję. Ulokowałem się już w hotelu. Tylko że pokój hotelowy jest trochę nieprzyjemny, a jutro po południu potrzebne mi jest jakieś miłe lokum. Oczywiście nie po to, żebym był w nim sam.

– Tak – rzekł Kostka i łagodnie pochylił głowę – tak się właśnie domyślałem. – A po chwili dodał: – Cieszę się, że mogę dla pana zrobić coś dobrego. – Po czym jeszcze dorzucił: – O ile to rzeczywiście będzie dla pana dobre.

Siedliśmy następnie przy stole (Kostka zaparzył kawę) i przez chwilę rozmawialiśmy (siedziałem na tapczanie i konstatowałem z zadowoleniem, że jest mocny, nie kiwa się ani nie skrzypi). Potem Kostka oświadczył, że musi już wracać do szpitala, toteż naprędce zaczął mnie wtajemniczać w niektóre arkana domowe: kurek nad wanną należy mocno dokręcać, ciepła woda wbrew normalnym zwyczajom leci z kranu oznaczonego literą „Z”, wtyczka sznura do radioadaptera ukryta jest za tapczaniem, a w szafce znajduje się ledwo napoczęta butelka wódki. Potem wręczył mi kółko z dwoma kluczami i pokazał, który jest od głównego wejścia na dole, a który od drzwi mieszkania. Wyrobiłem w sobie z biegiem lat, w czasie których sypiałem na wielu różnych łóżkach i siadywałem przy wielu różnych stołach, szczególny kult dla kluczy, toteż klucze Kostki schowałem z cichą radością do kieszeni.

Na odchodnym Kostka życzył mi, aby jego garsoniera przyniosła mi „coś naprawdę pięknego”.

– Tak – powiedziałem – umożliwi mi przeprowadzenie pewnego pięknego dzieła zniszczenia.

– Sądzi pan, że niszczenie może być piękne? – spytał Kostka, a ja uśmiechnąłem się w duszy, po tym pytaniu (zadany spokojnie, ale pomyślanym agresywnie) poznałem go bowiem takiego, jakim był, kiedy przed piętnastu laty zawarłem z nim znajomość. Lubiłem go, a jednocześnie śmieszył mnie, toteż dlatego właśnie odparłem:

– Ja wiem, że z pana cichy boży pracownik na wiecznej bożej budowie i że niechętnie słucha pan o niszczeniu, ale co robić: ja pracownikiem bożym nie

jestem. Zresztą, jeżeli murarze boży wznoszą gmachy z prawdziwych murów – nasze niszczycielskie zapędy nie mogą im zaszkodzić. Ale mnie się zdaje, że zamiast murów widzę wszędzie tylko same makiety. A niszczenie makiet to rzecz całkiem usprawiedliwiona.

Znaleźliśmy się znowu w tym samym punkcie, w którym ostatnim razem (chyba jakieś dziewięć lat temu) się rozeszliśmy: nasz spór miał w tej chwili charakter o wiele bardziej abstrakcyjny, ponieważ obaj dobrześmy znali jego konkretne źródło i nie musieliśmy sobie tego powtarzać; powtarzać musieliśmy sobie jedynie to, że się nie zmieniliśmy, że w dalszym ciągu jesteśmy tak samo do siebie niepodobni (muszę przy tym zaznaczyć, że tę odmienność w Kostce bardzo lubiłem i właśnie dlatego tak chętnie wszczynałem z nim dyskusję, ponieważ w ten sposób zawsze miałem możliwość, przynajmniej pobieżnie, uzmysłowić sobie, kim właściwie jestem i co myślę). Żeby mi więc nie pozostawiać wątpliwości co do swojej osoby, odparł:

– To, co pan mówi, brzmi bardzo ładnie. Ale proszę mi powiedzieć: skoro z pana taki sceptyk, to skąd bierze pan tę pewność, iż potrafi pan rozróżnić makietę od prawdziwego muru? Czy nigdy nie miał pan wątpliwości, że złudzenie, które pan wykpiwa, to rzeczywiście tylko złudzenie? A jeżeli się pan myli? Jeśli to są prawdziwe wartości, a pan jest ich niszczycielem? – Po czym dodał: – Zlekceważona wartość i zdemaskowane złudzenie mają bowiem równie rachityczne ciała, są do siebie podobne i nic łatwiejszego, jak wziąć jedno za drugie.

Odprowadziłem Kostkę z powrotem do szpitala, bawiąc się kluczami w kieszeni, i dobrze mi było w towarzystwie starego znajomego, który potrafił przekonywać mnie o swojej prawdzie w każdym miejscu i w każdym czasie, choćby właśnie teraz w drodze przez wyboisty teren nowego osiedla.

Kostka wiedział jednak, że mamy przed sobą cały jutrzejszy wieczór, po chwili więc przeszedł od filozofowania do zwykłych kłopotów, znowu upewnił się, czy zaczekam na niego jutro do siódmej, aż wróci ze szpitala (sam nie ma drugich kluczy od mieszkania), i zapytał, czy rzeczywiście niczego mi już więcej nie potrzeba. Dotknąłem ręką twarzy i oświadczyłem, że powinienem jedynie wstąpić do fryzjera, bo jestem obrzydliwie zarośnięty.

– To świetnie – rzekł Kostka – załatwię panu protekcyjne golenie.

Nie broniłem się przed opiekuńczością Kostki i dałem się zaprowadzić do małego zakładu fryzjerskiego, gdzie przed trzema lustrami tkwiły trzy wielkie fotele obrotowe, a na dwóch z nich siedzieli mężczyźni z odchyłonymi do tyłu



głowami i z pianą mydlaną na twarzy. Dwie kobiety w białych fartuchach pochylały się nad nimi. Kostka podszedł do jednej z nich i coś jej szepnął; kobieta wytarła brzytwę w serwetkę i zawołała w stronę zaplecza; wyszła stamtąd dziewczyna w białym fartuchu i zajęła się opuszczonym klientem na fotelu, podczas gdy ta, z którą rozmawiał Kostka, skinęła mi głową i wskazała wolny fotel. Podaliśmy sobie z Kostką ręce na pożegnanie, usiadłem, oparłem głowę na nastawionym odpowiednio oparciu, a że po tylu latach życia niechętnie oglądam swoją twarz, ominąłem wzrokiem lustro umieszczone naprzeciw mnie, podniosłem oczy w górę i zacząłem błędzić spojrzeniem po białym, pokrytym plamami suficie.

Nie oderwałem wzroku od sufitu nawet i później, kiedy poczułem na szyi palce dziewczyny, wsuwające mi za kołnierz koszuli białą serwetkę. Potem panienska odsunęła się, słyszałem odgłos ostrzenia brzytwy o skórzany pasek i pograżyłem się w jakimś słodkim odrętwieniu, pełnym przyjemnej obojętności. Po chwili poczułem na twarzy palce wilgotne i śliskie, rozcierające mi na policzkach mydło w kremie, i uświadomiłem sobie ten dziwny i komiczny fakt, że jakaś obca kobieta, która nic mnie nie obchodzi i której ja nic nie obchodzę, czule mnie gładzi. Dziewczyna zaczęła teraz mydlić mi twarz pędzlem, a ja miałem wrażenie, że nie siedzę, ale jestem zawieszony w tej białej poplamionej przestrzeni, w której utkwilem wzrok. I wyobraziłem sobie (ponieważ w chwilach odpoczynku myśli nie ustają w swoich igraszkach), że jestem bezbronną ofiarą i że zostałem wydany całkowicie na pastwę dziewczynie, która ostrzy brzytwę. A ponieważ moje ciało rozpływało się w przestrzeni i czułem tylko swoją twarz i dotyk palców na niej, bez trudu wyobraziłem sobie, że delikatne palce trzymają (obracają, gładzą) moją głowę tak, jakby w ogóle nie liczyły się z ciałem, jakby ta głowa była czymś samoistnym, i że ostra brzytwa, która leży przygotowana na podręcznym stoliku, tę wspaniałą jej samoistność doprowadzi do punktu szczytowego.

Potem palce przestały mnie dotykać, słyszałem, jak dziewczyna odchodzi, jak teraz rzeczywiście bierze już brzytwę do ręki, i powiedziałem sobie (ponieważ igraszki myśli trwały dalej), że muszę zobaczyć, jak właściwie wygląda kobieta, która trzyma (unoszą) moją głowę – ten mój czuły morderca. Odkleilem wzrok od sufitu i spojrzałem w lustro. Wpadłem w osłupienie, i zabawa, którą sobie urządziłem, nabrała nagle rysów autentyczności; wydało mi się bowiem, że tę dziewczynę, która pochyla się nade mną w lustrze, znam.

Jedną ręką przytrzymywała płatek mego ucha, drugą uważnie zeszkrobywała mi mydło z twarzy; patrzyłem na nią i tożsamość, którą stwierdziłem

przed chwilą z taką pewnością, zaczęła się powoli rozpląwać i zanikać. Potem dziewczyna nachyliła się nad umywalką, dwoma palcami zgarnęła z brzytwy kłęb piany, wyprostowała się i łagodnie przekręciła fotel: w tej chwili na ułamek sekundy spotkały się nasze spojrzenia i znowu wydało mi się, że to ona. Rzeczywiście, jej twarz była trochę inna, jakby należała do jej starszej siostry, była ściągnięta, przywiedła, nieco zapadnięta, ale to przecież piętnaście lat, jak widziałem ją po raz ostatni! Przez te lata czas nałożył na jej prawdziwą twarz fałszywą maskę, na szczęście jednak ta maska ma dwa otwory, przez które mogą znowu spojrzeć na mnie jej prawdziwe, rzeczywiste oczy, takie, jakie znałem.

A potem ślady znowu zaczęły się gmatwać: do zakładu wszedł nowy klient, usiadł na krześle za moimi plecami i czekał na swoją kolejkę; po chwili odezwał się do mojej panienki; mówił coś o pięknym lecie i o basenie, który budują za miastem; panienka odpowiadała mu (chwytałem raczej głos niż słowa, zupełnie zresztą nieważne) i stwierdziłem, że tego głosu nie poznaję; był energiczny, nonszalancki, śmiały, niemal wulgarny, był to całkiem obcy głos.

Myła mi teraz twarz, przyciskała ręce do moich policzków, a ja (na przekór głosowi) znowu zaczynałem wierzyć, że to ona, że po piętnastu latach znów czuję jej dłonie na swojej twarzy, że znów mnie gładzi, gładzi długo i czule (zupełnie nie pamiętałem, że to nie jest pieszczota, tylko mycie); jej obcy głos przez cały czas odpowiadał coś na pytania faceta, który się rozgadał; ale ja nie chciałem wierzyć głosowi, wolałem wierzyć rękom, chciałem ją poznać po rękach; usiłowałem według stopnia tkliwości jej dotyku zorientować się, czy to jest ona i czy mnie poznała.

Wzięła ręcznik i osuszyła mi twarz. Gadatliwy facet śmiał się głośno z dowcipu, który sam opowiedział, zauważyłem jednak, że moja panienka się nie śmieje, to znaczy, że niezbyt uważnie słucha, co ten gość mówi. Wzburzyło mnie to, ponieważ widziałem w tym dowód, że mnie poznała i że sama jest wzburzona, choć to ukrywa. Postanowiłem zagadnąć ją, jak tylko wstanę z fotela. Zdjęła mi serwetkę spod szyi. Wstałem. Z kieszeni marynarki wyciągnąłem pięć koron. Czekałem, aż znowu spotkają się nasze oczy, żebym mógł wymówić jej imię (facet wciąż coś głądził), ale ona miała głowę obojętnie odwróconą, pięć koron wzięła szybko i rzeczowo, poczułem się więc jak dureń, który uwierzył złudnym przywidzeniom, i nie zdobyłem się na odwagę, by się do niej odezwać.

Dziwnie niezadowolony, wyszedłem z zakładu, wiedziałem tylko, że nic nie wiem i że to straszliwe chamstwo stracić pewność co do tożsamości twarzy tak bardzo niegdyś kochanej.

Nie było oczywiście trudno dowiedzieć się prawdy. Pośpieszyłem do hotelu (po drodze na przeciwnym chodniku dostrzegłem starego przyjaciela mojej młodości, dyrygenta kapeli ludowej, Jarosława, ale zupełnie jakbym uciekał przed natrętną i hałaśliwą muzyką, szybko odwróciłem wzrok), a z hotelu zadzwoniłem do Kostki; był jeszcze w szpitalu.

– Niech mi pan łaskawie powie, czy ta dziewczyna, której mnie pan przekazał u fryzjera, nazywa się Łucja Szebetkówna?

– Teraz nazywa się inaczej, ale to ona. Skąd pan ją zna? – spytał.

– Ze strasznie dawnych czasów – odparłem; nie poszedłem nawet na kolację, wyszedłem z hotelu (ściemniało się już), chciałem się jeszcze trochę powalęsać po mieście.

## 1

Dziś pójde wcześniej spać, nie wiem co prawda, czy zasnę, ale położę się wcześniej. Paweł wyjechał po południu do Bratysławy, ja jutro z rana lece samolotem do Brna, a dalej autobusem. Zdeniczka zostanie na dwa dni sama, nie martwi się zresztą z tego powodu, niespecjalnie zależy jej na naszym towarzystwie, a właściwie na moim, bo Pawła ubóstwia. Paweł jest jej pierwszym uwielbianym mężczyzną, bo też on umie z nią postępować, tak samo zresztą jak w ogóle z kobietami, ze mną też potrafił i potrafi nadal, przez ten tydzień zachowywał się jak za dawnych czasów, gładził mnie po twarzy i obiecał wstąpić po mnie na południowe Morawy w powrotnej drodze z Bratysławy, musimy z sobą porozmawiać, sam uznał, że dalej tak być nie może, chce widać wrócić do tego, co było między nami, ale dlaczego przyszło mu to do głowy akurat teraz, kiedy poznałam Ludwika? Jest mi smutno z tego powodu, ale nie wolno mi się smucić, nie wolno, „niechaj smutek nie łączy się z moim imieniem”, to zdanie Fučika jest moją dewizą i nic mi nie przeszkadza, że wyszła ona teraz z mody, może jestem głupia, ale ci, co mi to mówią, też są głupi, też mają swoje dewizy i powiedzonka: absurdalność, wyobcowanie, nie wiem, dlaczego miałabym zamieniać własną głupotę na ich głupotę, nie chcę rozłamywać swego życia na dwoje, chcę, żeby to było jedno, moje życie, jedno od początku do końca, i dlatego tak bardzo podoba mi się Ludwik, bo kiedy jestem z nim, nie muszę zmieniać swoich ideałów i upodobań, jest zwyczajny, prosty, wesoły, jasny, a ja to właśnie kocham, zawsze to kochałam.

Nie wstydzę się, że jestem taka, jaka jestem, nie mogę być inna, niż byłam i jestem, do osiemnastego roku życia znałam tylko klasztorną klauzurę, potem gruźlica, dwa lata sanatorium, wreszcie dwa lata spóźnionych studiów, nawet na wieczorki taneczne nie chodziłam, znałam tylko ustatkowane życie ustatkowanych obywateli Pilzna, a poza tym nauka, nauka, prawdziwe życie znajdowało się gdzieś za siedmioma górami, kiedy w czterdziestym dziewiątym roku przyjechałam do Pragi, było to objawienie, było to takie szczęście, że nigdy o nim nie zapomnę, dlatego też i Pawła nigdy nie będę mogła wymazać ze swego serca, chociaż go już nie kocham i chociaż wyrządził mi krzywdę. Nie mogę, Paweł to moja młodość, Praga, uniwersytet, dom akademicki, a przede wszystkie zespół pieśni i tańca im. Fučika, dzisiaj nikt już nie wie, co to dla nas było, tam

poznałam Pawła, śpiewał tenorem, a ja altem, występowaliśmy na setkach koncertów, na setkach estrad, śpiewaliśmy piosenki radzieckie, nasze pieśni o budowie i oczywiście piosenki ludowe, te ostatnie najchętniej, tak wtedy polubiłam piosenki morawskie, że ja, pilznianka, czułam się Morawianką, stały się one przewodnim motywem mego życia, są dla mnie nierozłącznie związane z tym okresem, z moją młodością, z Pawłem, słyszę je za każdym razem, kiedy ma dla mnie zaświecić słońce, w takich chwilach wyraźnie dźwięczą mi w uszach.

Tego, w jaki sposób zbliżyliśmy się z Pawłem, nie mogłabym dzisiaj nikomu opowiedzieć, brzmi to jak historia ze szkolnej czytanki; była rocznica Oswobodzenia i wielka manifestacja na Rynku Starego Miasta, nasz zespół był tam również, wszędzie chodziliśmy całą paczką, mała grupka pośród setek tysięcy, a na trybunie dostojnicy państwowi, nasi i zagraniczni, były liczne przemówienia, niesłychany entuzjazm, potem podszedł do mikrofonu Togliatti i wygłosił krótkie przemówienie po włosku, a cały tłum odpowiedział jak zwykle okrzykami, brawami i skandowaniem. Paweł przypadkiem znalazł się w tłoku obok mnie i słyszałam, że w tej powszechnej wrzawie on sam coś wykrzykuje, coś innego, coś własnego, spojrzałam na jego usta i zrozumiałam, że on śpiewa, krzyczał raczej, niż śpiewał, chciał, żebyśmy go usłyszeli i przyłączyli się do niego, śpiewał włoską pieśń rewolucyjną, mieliśmy ją w naszym repertuarze, była wtedy bardzo popularna: *Avanti popolo, a la riscossa, bandiera rossa, bandiera rossa...*

To był właśnie cały Paweł, nie wystarczało mu nigdy apelowanie tylko do rozsądku, chciał trafić do ludzkich uczuć, wydawało mi się to cudowne, żeby na praskim Rynku wodza włoskiego proletariatu pozdrowić włoską pieśnią rewolucyjną, pragnęłam, żeby Togliattiego to wzruszyło tak samo jak mnie, toteż ze wszystkich sił zawtórowałam Pawłowi, przyłączały się do nas coraz to nowe i nowe głosy, w końcu śpiewał już cały nasz zespół, ale krzyk na rynku był potężny, a nas była garstka, najwyżej pięćdziesięcioro, ich zaś co najmniej pięćdziesiąt tysięcy, to była ogromna przewaga i desperackie zmaganie, przez cały czas pierwszej zwrotki zdawało nam się, że przegramy, że nikt nie usłyszy nawet naszego śpiewu, ale potem stał się cud, stopniowo zaczęły się do nas przyłączać coraz to nowe głosy, ludzie zrozumieli, i pieśń powoli zaczęła się wykluwać ze straszliwego zgielku placu niczym motyl z ogromnej brzęczącej poczwarki. W końcu ten motyl, ta pieśń, a w każdym razie kilka ostatnich jej taktów, doleciało aż do trybuny, a my chciwie wpatrywaliśmy się w twarz szpakowatego Włocha i byliśmy szczęśliwi, bo wydawało nam się, że zareagował

ruchem ręki, a ja byłam nawet pewna, mimo że z takiej odległości nie mogłam tego widzieć, że dostrzegłam w jego oczach łzy.

W tym uniesieniu i wzruszeniu, nie wiem nawet kiedy, chwyciłam nagle Pawła za rękę, Paweł zaś odpowiedział mi uściskiem, a potem, kiedy plac ucichł i do mikrofonu podszedł już ktoś inny, bałam się, żeby nie puścił mojej ręki, ale nie zrobił tego i trzymaliśmy się tak za ręce aż do końca manifestacji i jeszcze później, kiedy już tłumy się rozeszły, a potem przez kilka godzin spacerowaliśmy po rozkwitłej zieleni Pradze.

W siedem lat później, kiedy Zdeniczka miała już pięć lat – nigdy tego nie zapomnę – powiedział: nie pobraliśmy się z miłości, ale z poczucia dyscypliny partyjnej, ja wiem, że to było powiedziane w kłótni, że to było kłamstwo, że Paweł ożenił się ze mną z miłości i dopiero później się zmienił, ale i tak to okropne, że mógł tak powiedzieć, przecież to właśnie on zawsze dowodził, że dzisiejsza miłość jest inna, że nie jest ucieczką od ludzi, ale pomocą w walce, i zgodnie z tym układało się nasze życie, w południe nie mieliśmy nawet czasu na wspólny obiad, zjadaliśmy w sekretariacie ČSM po dwie suche bułki, a potem czasem przez cały dzień już się nie widzieliśmy, czekałam zawsze na Pawła do północy, kiedy to wracał z sześć- czy ośmiogodzinnych zebrań, w wolnych chwilach przepisywałam jego referaty, które wygłaszał na różnych konferencjach i szkoleniach, okropnie się nimi przejmował, tylko ja wiem, jak bardzo zależało mu na powodzeniu jego politycznych wystąpień, po sto razy powtarzał, że nowy człowiek tym się różni od dawnego, że zniósł w swoim życiu granicę między sprawami prywatnymi i społecznymi, a tu naraz po latach wytyka mi, że wtenczas towarzysze wmieszali się do jego prywatnego życia.

Chodziliśmy ze sobą prawie dwa lata, już się trochę niecierpliwiłam, nic w tym dziwnego, żadnej kobiecie nie wystarcza zwykła studencka znajomość, Pawłowi wystarczała, przyzwyczał się, że nie ma żadnych zobowiązań, było mu w tym wygodnie, w każdym mężczyźnie tkwi kawał egoisty, i to kobieta musi bronić siebie samej i swego kobiecego powołania. Paweł, niestety, rozumiał to dużo gorzej niż nasi towarzysze z zespołu, a głównie kilka moich przyjaciółek, pogadały z innymi i w końcu wezwano Pawła do komitetu, nie wiem, co mu tam powiedzieli, nigdy z sobą o tym nie mówiliśmy, ale widać się z nim nie cackali, bo panowała wtedy moralność bardzo surowa, nawet przesadna, a jednak lepiej przesadzać z moralnością niż z niemoralnością, tak jak dzisiaj. Paweł dłuższy czas mnie unikał, myślałam już, że wszystko zepsułam, byłam w rozpacz, chciałam odebrać sobie życie, ale potem przyszedł do mnie, kolana mi się trzęsły, prosił o przebaczenie i podarował mi wisiorek z widokiem Kremla, swoją

najdroższą pamiątkę, nigdy tego wisiora nie zdejmuję, to jest nie tylko pamiątka Pawła, ale coś więcej, rozplakałam się ze szczęścia i za dwa tygodnie wzięliśmy ślub, był na nim cały nasz zespół, wesele trwało prawie dwadzieścia cztery godziny, śpiewaliśmy i tańczyliśmy, a ja powiedziałam do Pawła: „Gdybyśmy my dwoje mieli się kiedyś zdradzić, to zdradzilibyśmy tych wszystkich, co byli na naszym ślubie, zdradzilibyśmy też tę manifestację na Rynku Starego Miasta i Togliattiego”; chce mi się teraz śmiać, kiedy pomyślę, czego to myśmy potem nie zdradzili...

## 2

Zastanawiam się, w co się jutro ubrać, chyba wezmę różowy sweterek i płaszcz ortalionowy, w nim najzgrabniej wyglądam, nie jestem już taka szczupła, ale co tam, jako rekompensatę za zmarszczki mam inny urok, którego nie ma młoda dziewczyna, urok doświadczonej kobiety, dla Heńka z całą pewnością, biedaczek, wciąż widzę jego zawiedzioną minę, kiedy się dowiedział, że lecę już rano, a on pojedzie sam, jest szczęśliwy, kiedy może być przy mnie, lubi się przede mną chęłpic swoją dojrzałością dziewiętnastolatka, jechałby na pewno sto trzydzieści kilometrów na godzinę, żebym go podziwiała, paskudny chłoptaş, zresztą świetny technik i szofer, redaktorzy chętnie zabierają go w teren na mniejsze reportaże, ale właściwie co z tego? Przyjemnie jest wiedzieć, że komuś się podobam, w ostatnich latach nie jestem w radiu zbyt lubiana, mówią, że jestem zwariowana fanatyczka, dogmatyczka, pies w sprawach partyjnych i nie wiem co jeszcze, ale ja nigdy nie będę wstydzila się tego, że kocham partię i że poświęcam jej cały mój wolny czas. Bo co mi w końcu z życia pozostało? Paweł ma inne kobiety, nawet go już nie śledzę, córka ubóstwa ojca, moja praca jest od dziesięciu lat beznadziejnie taka sama, reportaże, rozmowy, wywiady o wykonywaniu planu, o krowach, dójkach, prowadzenie domu tak samo beznadziejnie nudne, tylko partia nigdy wobec mnie niczym nie zawiniła i ja w niczym nie zawiniłam wobec niej, nawet wtedy, kiedy wielu chciało z niej wystąpić, kiedy w pięćdziesiątym szóstym roku ujawniły się wszystkie zbrodnie Stalina, ludzie wtenczas powariowali, na wszystko pluli, mówili, że nasza prasa kłamie, że upaństwowiony handel okazał się do niczego, kultura podupada, że spółdzielni na wsi nie powinno się tworzyć, że Związek Radziecki to kraj niewoli, najgorsze zaś było to, że w ten sposób mówili nawet komuniści na swoich zebraniach, i Paweł tak mówił, i znowu wszyscy go oklaskiwali, Pawła zawsze oklaskiwano, już od dziecka, jest jedynakiem, jego matka sypia z jego fotografią, cudowne dziecko, a w gruncie rzeczy to przeciętny człowiek, nie pali, nie pije, ale bez oklasków nie

może żyć, to jest jego alkohol i nikotyna, więc cieszył się, że znowu może porywać ludzi, mówił z takim uczuciem, że ludzie niemal płakali, czułam, jaki jest szczęśliwy w swoim świętym oburzeniu, i nienawidziłam go.

Ale partia na szczęście dała po łapach historykom, ucichli, ucichł i Paweł, posada docenta marksizmu na uniwersytecie była zbyt wygodna, żeby nią ryzykować, coś jednak zostało w powietrzu, zarodek apatii, nieufności, zwątpienia, zarodek, który cicho rozwijał się w ukryciu, nie wiedziałam, jak temu przeciwdziałać, tylko do partii przyłgnęłam jeszcze bardziej niż przedtem, jak gdyby partia była żywą istotą, człowiekiem, i to ciekawe – raczej kobietą niż mężczyzną, mądrą kobietą, z którą mogę rozmawiać z zaufaniem, wtedy kiedy z nikim nie mam już sobie nic do powiedzenia, nie tylko z Pawłem, inni też mnie zbytnio nie kochają, ujawniło się to przecież, kiedy musieliśmy rozstrzygnąć tę smutną aferę: jeden z naszych redaktorów, człowiek żonaty, miał stosunek z pracownicą techniczną od nas z radia, młodą, niezamężną dziewczyną, nieodpowiedzialną, cyniczną, a żona tego redaktora w rozpacz zwróciła się wtedy do naszej organizacji o pomoc, dyskutowaliśmy tę sprawę wiele godzin, wezwaliśmy kolejno na rozmowę żonę, tę dziewczynę i świadków z ich działu, staraliśmy się rozpatrzyć przypadek ze wszystkich stron, chcieliśmy być sprawiedliwi, redaktor dostał nagane partyjną, dziewczyna upomnienie, i oboje musieli wobec całej egzekutywy przyrzec, że z sobą zerwą. Niestety, słowa to tylko słowa, przyrzekli jedynie po to, żeby nas uspokoić, i spotykali się dalej, ale kłamstwo ma krótkie nogi, szybko się o tym dowiedzieliśmy, i ja byłam już wtedy za najsurowszym wyrokiem, postawiłam wniosek, żeby redaktora wyrzucić z partii za świadome okłamywanie i oszukiwanie towarzyszy, co to bowiem za komunista, skoro okłamuje partię, nienawidzę kłamstwa, ale mój wniosek nie przeszedł, redaktor dostał tylko nagane, za to ta dziewczyna musiała odejść z radia.

Zemścili się wtedy na mnie, że hej, zrobili ze mnie potwora, bestię, istna nagonka, zaczęli śledzić moje życie prywatne, to była moja pięta Achillesowa, kobieta nie może żyć bez uczucia, nie byłaby kobietą, nie będę się wypierać, szukałam miłości gdzie indziej, skoro nie znajdowałam jej w domu, szukałam zresztą na próżno, kiedyś naskoczyli na mnie na ogólnym zebraniu, że jestem hipokrytka, bo potępiam innych, że rozbijają małżeństwo, chcę ich usuwać z partii, wyrzucać, niszczyć, a sama zdradzam męża, gdzie tylko mogę, tak mówili na zebraniu, ale za moimi plecami mówili jeszcze gorsze rzeczy, że na pokaz to jestem zakonnica, a w życiu dziwka, jakby nie mogli zrozumieć, że właśnie dlatego, że ja wiem, co to jest nieszczęśliwe małżeństwo, że właśnie dlatego



jestem taka surowa dla innych, nie z nienawiści, ale z miłości do nich, z miłości do uczucia, z miłości do ich domów, do ich dzieci, bo chcę im pomóc, przecież ja też mam dom i dziecko i boję się o nie.

Ale cóż, może i mają rację, może rzeczywiście jestem złym człowiekiem, a ludziom należy zostawić swobodę i nikt nie powinien się mieszać do ich prywatnego życia, może rzeczywiście źle wymyśliliśmy ten cały nasz świat, a ja jestem wstrętna komisarka, co to wtrąca się do spraw, które jej nic nie obchodzą, ale taka już jestem i nie mogę postępować inaczej, niż czuję, teraz jest już za późno, zawsze wierzyłam, że życie ludzkie jest niepodzielne, to tylko burżuj obłudnie dzieli swoje życie na publiczne i prywatne, to jest moje *credo*, zawsze zgodnie z nim postępowałam, także i tym razem.

A że byłam zła, to przyznaję bez bicia, nienawidzę tych młodych dziewcząt, tych smarkul, wulgarnych w swojej młodości, bez cienia solidarności wobec starszej kobiety, one też przecież kiedyś będą miały trzydzieści, trzydzieści pięć i czterdzieści lat, niech mi nikt nie wmawia, że ona go kochała, co tam ona wie o miłości, prześpi się z każdym od pierwszego razu, nie ma skrupułów, nie ma wstydu, czuję się urażona do żywego, kiedy ktoś porównuje mnie z takimi dziewczynami tylko dlatego, że jako mężatka miałam parę stosunków z innymi mężczyznami. Tylko że ja zawsze szukałam miłości, a jeżeli się omyliłam i nie znalazłam jej tam, gdzie szukałam, to z dreszczem wstrętu odwracałam się i odchodziłam, szłam gdzie indziej, chociaż wiem, jak by to było dobrze zapomnieć po prostu o młodzieńczych marzeniach o miłości, zapomnieć o nich, przekroczyć granicę i znaleźć się w krainie cudownej swobody, gdzie wszystko jest dozwolone, gdzie wystarczy tylko nasłuchiwać, jak wewnątrz człowieka pulsuje to zwierzę – seks.

Ale wiem także, że gdybym przekroczyła tę granicę, przestałabym być sobą, stałabym się kimś innym, nie wiem nawet kim, i panicznie boję się tego, tej strasznej zmiany, dlatego szukam miłości, rozpaczliwie szukam miłości, w którą mogłabym się pogrążyć taka, jaka ciągle jestem, ze swoimi dawnymi marzeniami i ideałami, bo ja nie chcę, żeby moje życie rozpadło się na dwie części, chcę, żeby zostało całe od początku do końca, i dlatego taka byłam olśniona, kiedy poznałam ciebie, Ludwiku, Ludwiku...

### 3

To było właściwie okropnie zabawne, kiedy pierwszy raz weszłam do jego gabinetu, nawet mnie specjalnie nie zainteresował, powiedziałam od razu, prosto

z mostu, bez skrępowania, jakich informacji od niego potrzebuję, jak sobie wyobrażam ten felieton dla radia, ale kiedy potem zaczął ze mną rozmawiać, poczułam nagle, że się płaczę, że mówię głupio, od rzeczy, a on widząc, jaka jestem zmieszana, sprowadził natychmiast rozmowę na zwykłe sprawy. Czy jestem mężatką, czy mam dzieci, gdzie spędzam urlopy, powiedział też, że jestem ładna i młodo wyglądam, chciał mnie uwolnić od tremy, to było strasznie miłe z jego strony, znałam w życiu mnóstwo różnych zarozumiałców, co to potrafią się tylko przechwalać, chociaż nie mają w głowie dziesiątej części tego co on. Paweł na przykład mówi tylko o sobie, ale zabawne było właśnie to, że siedziałam u niego całą godzinę, a o jego instytucie wiedziałam tyle samo co na początku, mordowałam się potem w domu nad tym felietonem, zupełnie mi nie szło, ale może i nawet byłam zadowolona, że mi nie idzie, bo miałam przynajmniej pretekst, żeby zatelefonować, czy nie chciałby przeczytać tego, co napisałam. Spotkaliśmy się w kawiarni, mój nieszczęsny felieton miał cztery strony, przeczytał go, uśmiechnął się uprzejmie i powiedział, że to doskonałe, od początku nie krył się z tym, że interesuję go jako kobieta, a nie jako redaktor, nie wiedziałam, czy mam się z tego cieszyć, czy obrazić, ale był przy tym miły, rozumieliliśmy się, to nie żaden z tych cieplarnianych intelektualistów, których nie cierpię, ma za to bogatą przeszłość, pracował nawet w kopalni, powiedziałam mu, że właśnie takich ludzi lubię, ludzi z gorkowskim życiorysem, ale najbardziej mnie zdumiało, że pochodzi z południowych Moraw, że grywał nawet w kapeli ludowej, nie wierzyłam własnym uszom, usłyszałam przewodni motyw swego życia, widziałam, jak z daleka powraca moja młodość, i czułam, jak ulegam urokowi Ludwika.

Pytał mnie, co robię całymi dniami, opowiadałam mu o tym, a on mi oświadczył, wciąż jeszcze słyszę ten jego głos, na wpół żartobliwy, na wpół współczujący, źle pani żyje, pani Heleno, i powiedział, że to się musi jakoś zmienić, że muszę zacząć żyć inaczej, że muszę trochę bardziej oddać się radościom życia. Powiedziałam mu, że nie mam nic przeciwko temu, że zawsze byłam wyznawczynią radości, że niczego nie nienawidzę bardziej niż tych wszystkich modnych frustracji i chandr, ale on stwierdził, że to, co wyznaję, nie ma żadnego znaczenia, że wyznawcami radości bywają przeważnie ludzie najsmutniejsi, o, ma pan rację, chciałam zawołać, a on powiedział wprost, bez osłonek, że będzie na mnie czekał nazajutrz o czwartej przed radiem, że pojedziemy razem gdzieś za miasto, pod Pragę. Broniłam się, jestem przecież kobietą zamężną, nie mogę ot tak, ni stąd, ni zowąd, jeździć sobie na wycieczki do lasu z obcym mężczyzną. Ludwik odpowiedział mi na to żartem, że on nie jest żadnym mężczyzną, tylko naukowcem, ale posmutniał przy tym, posmutniał!

Dostrzegłam to i zrobiło mi się gorąco z radości, że mnie pragnie, że pragnie mnie tym więcej, bo przypominam mu, iż jestem mężatką, tym samym bowiem oddalam się od niego, a człowiek zawsze najbardziej pragnie tego, co mu się wymyka, chłonełam chciwie ten nagły smutek w jego twarzy i w tej chwili zrozumiałam, że jest we mnie zakochany.

A następnego dnia z jednej strony szumiała Wełtawa, z drugiej stromo wznosił się las, to było romantyczne, uwielbiam wszystko, co romantyczne, zachowywałam się trochę głupio, może nawet nie wypadało tak się zachowywać matce dwunastoletniej córki, śmiałam się, podskakiwałam, wzięłam go za rękę i zmusiłam, żeby biegł kawałek ze mną, przystanęliśmy, serce mocno mi biło, staliśmy twarzą w twarz, blisko siebie, Ludwik trochę się nachylił i leciutko mnie pocałował, natychmiast mu się wyrwałam, znowu chwyciłam go za rękę i znów biegnęliśmy kawałek, mam lekką wadę serca i zaczyna mi bić przy najmniejszym wysiłku, wystarczy, żebym wbiegła na jedno piętro po schodach, toteż wkrótce zwolniłam kroku, oddech powoli mi się uspokajał, i naraz cichutko zanuciłam dwa pierwsze takty mojej ulubionej piosenki: „Hej, świeciło słoneczko nad naszym ogródkiem...”, a gdy wyczułam, że on mnie rozumie, zaczęłam śpiewać głośno, wcale się nie krępowałam, czułam, jak opadają ze mnie lata, kłopoty, zmartwienia, tysiące szarych łusek, a potem siedzieliśmy w małej restauracyjce pod Zbrasławiem, jedliśmy chleb z kiełbasą, wszystko było zupełnie proste i zwyczajne, nerwowy restaurator, zalany obrus, a jednak była to cudowna przygoda, powiedziałam do Ludwika, wie pan, za trzy dni jadę na Słowacko na reportaż z „Jazdy Królów”. Zapytał, do którego miasta, a kiedy je wymieniłam, powiedział, że tam się właśnie urodził, znowu zbieg okoliczności, który mnie oszołomił, a Ludwik rzekł, zwolnię się z pracy, pojedę tam razem z panią.

Przestraszyłam się, pomyślałam o Pawle, o tym światełku nadziei, jakie dla mnie rozniecił, nie traktuję cynicznie swego małżeństwa, jestem gotowa zrobić wszystko, żeby je ocalić, choćby tylko ze względu na Zdeniczkę, ale co tu udawać, głównie ze względu na siebie, ze względu na wszystko, co było, ze względu na pamięć naszej młodości, ale nie znalazłam w sobie dość siły, by powiedzieć Ludwikowi nie, nie znalazłam tej siły, kości zostały rzucone, a teraz Zdeniczka śpi, ja się boję, a Ludwik jest już na Morawach i jutro będzie mnie oczekiwać przy autobusie.

## 1

Tak, chciałem się jeszcze powalęsać po mieście. Przystanąłem na moście nad Morawą i zapatrzyłem się w nurt rzeki. Jakże brzydka jest Morawa (rzeka tak brunatna, jakby płynęła w niej rozrzedzona glina, a nie woda) i jakże ponury jest jej brzeg: ulica z pięcioma jednopiętrowymi domami czynszowymi, które nie są z sobą połączone, stoją każdy z osobna, dziwaczne i szare; być może miały stanowić zaczątek bulwaru, którego świetność nigdy już potem nie została wcielona w życie; dwie z tych kamienic ozdobione są na szczycie aniołkami, figurami z ceramiki i sztukaterią, dzisiaj już oczywiście poodpryskiwanymi: anioł nie ma jednego skrzydła, a figurki tu i ówdzie świecą gołą cegłą, tak że nie wiadomo, co wyobrażają. Potem ulica szarych domów się kończy, są tu już tylko żelazne słupy sieci elektrycznej, trawa, na niej parę zapóźnionych gęsi, dalej pola, bezkresne pola biegnące donikąd, pola, wśród których ginie płynna glina rzeki Morawy.

Miasta, jak wiadomo, mają zdolność podsuwania sobie nawzajem zwierciadła, a ja w tej scenerii (znałem ją jeszcze z dzieciństwa i absolutnie nic mi wtedy nie mówiła) zobaczyłem naraz Ostrawę, to górnicze miasto, przypominające olbrzymi, prowizoryczny dom noclegowy, pełen zaniedbanych domów i brudnych ulic wiodących w pustkę. Byłem zaskoczony; stałem tu na moście niczym człowiek wystawiony na ogień karabinów maszynowych. Nie chciałem dłużej patrzeć na szarą ulicę z pięcioma domami, ponieważ nie chciałem myśleć o Ostrawie. Zrobiłem więc w tył zwrot i ruszyłem brzegiem w górę rzeki.

Biegła tedy ścieżka obrzeżona z jednej strony gęstym rzędem topól: wąska aleja spacerowa. Na prawo od niej opadał ku wodzie brzeg porośnięty trawą i chwastami, dalej zaś, na przeciwległym brzegu, widać było magazyny, warsztaty i dziedzińce małych fabryczek; na lewo od alei ciągnęło się najpierw rozległe wysypisko śmieci, a potem puste pola, naszpikowane żelaznymi konstrukcjami słupów i przewodów elektrycznych. Szedłem ponad tym wszystkim wąską aleją, jak gdybym kroczył po drugiej kładce nad wielką wodą, a jeśli porównuję całą tę okolicę do szeroko rozlanych wód, to dlatego, że tchnęło z niej chłodem i że szedłem tą aleją, jakbym mógł z niej runąć gdzieś w dół. Uświadomiłem sobie przy tym, że ta przedziwna widmowość okolicy jest jedynie kopią tego, o czym po

spotkaniu z Łucją nie chciałem myśleć, jak gdyby owe tłumione siłą wspomnienia wcieliły się we wszystko, co widziałem teraz wokół siebie, w pustkę pól, dziedzińców fabrycznych i magazynów, w mętną wodę rzeki i w ten wszechobecny chłód, który całej owej scenerii nadawał jednolite zabarwienie. Zrozumiałem, że przed wspomnieniami nie ucieknę; że jestem nimi osaczony.

## 2

O tym, jak doszło do mego pierwszego życiowego krachu (a za jego smutnym pośrednictwem również do spotkania z Łucją), nietrudno byłoby opowiedzieć lekkim tonem, a nawet z pewną dozą komizmu; wszystkiemu winna była moja nieszczęsna skłonność do głupich żartów i nieszczęsny brak poczucia humoru Małgorzaty. Małgorzata należała do tych kobiet, które biorą wszystko na serio (ta jej cecha idealnie korespondowała z ówczesnym duchem epoki) i które Parki nad kołyską obdarowały siłą wiary jako cechą główną. Nie chcę przez to eufemistycznie dawać do zrozumienia, że była głupia; nic podobnego; była dosyć zdolna i inteligentna, a zresztą na tyle młoda (studiowała na pierwszym roku i miała dziewiętnaście lat), że naiwna ufność stanowiła raczej jej urok niż wadę, tym bardziej że szła w parze z niezaprzeczoną urokiem fizycznym. Wszyscy na wydziale lubiliśmy Małgorzatę i mniej lub bardziej zabiegaliśmy o jej względy, co nam (w każdym razie niektórym z nas) nie przeszkadzało zgodnie i niezłotliwie bawić się jej kosztem.

Ale dowcipkowanie nie pasowało do Małgorzaty, a jeszcze mniej do atmosfery tych czasów. Był to pierwszy rok po lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku: zaczęło się nowe życie, rzeczywiście zupełnie inne, a oblicze tego nowego życia, takie, jakie utkwilo mi w pamięci, było drętwo-poważne, przy czym dziwne w tej powadze było to, że nie miała w sobie nic ponurego, a raczej coś w rodzaju uśmiechu; tak, owe lata reklamowały się jako najradośniejsze ze wszystkich i na każdego, kto się nie cieszył, natychmiast padało podejrzenie, że zwycięstwo klasy robotniczej martwi go albo też (co było wcale nie mniejszym przewinieniem), że w sposób indywidualistyczny pogrążony jest w swoich wewnętrznych żalach.

Nie miałem wówczas zbyt wielu wewnętrznych żalów, wprost przeciwnie, uwielbiałem kawały, a jednak nie można powiedzieć, żebym za radosnym obliczem epoki nadażał bez zastrzeżeń, moje kawały bowiem były zbyt nieważkie, podczas gdy radość tego okresu nie przepadała za błaznowaniem i ironią, była to, jak powiedziałem, radość poważna, dumnie tytułująca się „historycznym

optymizmem zwycięskiej klasy”, radość ascetyczna i uroczysta, po prostu Radość.

Pamiętam, że na uniwersytecie byliśmy wtedy zorganizowani w tak zwane „kółka naukowe”, które często się zbierały, by przeprowadzać publiczną krytykę i samokrytykę wszystkich swoich członków i na tej podstawie wystawiać o każdym z nich właściwą opinię. Miałem wówczas, jak każdy komunista, mnóstwo różnych funkcji (pracowałem na eksponowanym stanowisku w Związku Studentów), a ponieważ byłem przy tym niezłym studentem, tego rodzaju opinia nie mogła wypaść dla mnie niekorzystnie. Mimo to jednak do słów uznania, jakimi oceniano moją aktywność, mój pozytywny stosunek do państwa, pracy, moją znajomość marksizmu, dołączone było najczęściej również zdanie stwierdzające, że mam jednak pewne „pozostałości indywidualizmu”. Tego rodzaju zastrzeżenie nie musiało być bynajmniej niebezpieczne, ponieważ do dobrych obyczajów należało umieszczanie w najlepszej nawet opinii jakiejś krytycznej uwagi, na przykład wytknięcie jednemu „zbyt małego zainteresowania teorią rewolucji”, drugiemu „obojętnego stosunku do ludzi”, albo też niedostatecznej „czujności” czy „niewłaściwego stosunku do kobiet”; oczywiście, jeżeli taka uwaga nie była czymś odosobnionym, jeśli dochodziły do niej jeszcze inne zarzuty albo też gdy człowiek popadł w jakiś konflikt lub stał się, dajmy na to, obiektem podejrzeń czy napaści, tego rodzaju „pozostałości indywidualizmu” lub „niewłaściwy stosunek do kobiet” mogły stanowić załączek katastrofy. A wyjątkowa fatalność tkwiła w fakcie, że taki załączek nosił z sobą w swojej ankiecie personalnej każdy z nas, tak, każdy.

Niekiedy (raczej dla sportu niż z rzeczywistej obawy) broniłem się przeciwko zarzutowi indywidualizmu i żądałem, żeby koledzy udowodnili mi, na czym ten indywidualizm polega. Nie mieli na to zbyt konkretnych dowodów.

- Bo tak się zachowujesz – mówili.
- Jak? – pytałem.
- Ciągłe się tak jakoś dziwnie uśmiechasz.
- No i co z tego? Wesoło mi.
- Nie, ty się uśmiechasz tak, jakbyś coś sobie myślał...

Kiedy towarzysze orzekli, że moje zachowanie i mój uśmiech są indywidualistyczne (jeszcze jedno słynne pejoratywne określenie w tych czasach), uwierzyłem im w końcu, ponieważ nie mogłem sobie wyobrazić (przekraczało to po prostu granice mojej śmiałości), że wszyscy inni się mylą, że myli się sama

Rewolucja, duch czasu, a ja – jednostka, mam rację. Zacząłem w pewnej mierze kontrolować moje uśmiechy, a potem odkryłem w sobie małą szczelinę pomiędzy sobą takim, jakim byłem, a takim, jakim (zgodnie z duchem czasu) powinienem był i jakim starałem się być. Ale jaki wtedy byłem naprawdę? Chciałbym odpowiedzieć na to pytanie z całą uczciwością – byłem człowiekiem o kilku twarzach. I tych twarzy było coraz więcej.

Na jakiś miesiąc przed feriami moje stosunki z Małgorzatą (była na pierwszym roku, a ja na drugim) stały się bliższe i usiłowałem jej imponować przy pomocy metod równie głupich jak te, którymi usiłują imponować kobietom dwudziestoletni młodzieńcy wszystkich czasów: przywdziewałem maskę; udawałem starszego (duchem i doświadczeniem), niż byłem; udawałem, że mam większy dystans wobec świata, że patrzę na wszystko z góry, że oprócz własnej skóry mam drugą, niewidzialną i nieprzeniknioną. Sądziłem (zresztą słusznie), że kpina jest wyraźną oznaką dystansu, a choć zawsze lubiłem żartować, z Małgorzatą robiłem to mozolnie, wyrefinowanie, z całym wysiłkiem.

Ale kim byłem wtedy naprawdę? I znowu muszę powtórzyć: byłem człowiekiem o kilku twarzach.

Na zebraniach byłem poważny, pełen zapału i wiary; wśród najbliższych przyjaciół złośliwy i agresywny; z Małgorzatą cyniczny i gorączkowo dowcipny; a kiedy byłem sam (i myślałem o Małgorzacie), bywałem bezradny i rezedrgany jak sztubak.

Czy ta ostatnia twarz była tą prawdziwą?

Nie. Prawdziwe były wszystkie; nie miałem jak hipokryci twarzy prawdziwej i twarzy fałszywej. Miałem ich kilka właśnie dlatego, że byłem młody i sam nie wiedziałem, kim jestem i kim chcę być. (A jednak dysproporcje między wszystkimi tymi twarzami napełniały mnie treścią; nie utożsamiałem się całkowicie z żadną z nich i poruszałem się między nimi nieporadnie i na ślepo).

Psychologiczny i fizjologiczny mechanizm miłości jest tak skomplikowany, że w pewnym okresie życia młody człowiek musi się skoncentrować niemal wyłącznie na samym opanowaniu go, przy czym wymyka mu się właściwa treść miłości – kobieta, którą kocha (podobnie jak na przykład młody skrzypek nie może się należycie skoncentrować na treści utworu, dopóki nie opanuje na tyle samej techniki, żeby w czasie gry o niej nie myśleć).

Skoro wspominałem o sztubackim rozedrganiu, jakiego doznawałem na myśl o Małgorzacie, to muszę dodać, że wpływało ono nie tyle z mego

zaangażowania uczuciowego, ile z niezręczności i niepewności, która ciążyła mi i która stała się panią moich uczuć i myśli o wiele bardziej niż Małgorzata.

Ów ciężar zakłopotania i niezręczności zwiększałem jeszcze przez to, że traktowałem Małgorzatę z góry: usiłowałem nie zgadzać się z nią albo wręcz wyśmiewać wszystkie jej poglądy, co zresztą nie było takie trudne, jako że przy całej swojej inteligencji (i urodzie, która – jak każda uroda – sugerowała otoczeniu rzekomą nieprzystępność) była to dziewczyna naiwnie prostoduszna, nie potrafiła nigdy spojrzeć na jakąś sprawę szerzej i widziała każdą rzecz całkowicie wyizolowaną; świetnie знаła się na botanice, ale zdarzało się, że nie mogła zrozumieć kawału, który opowiadali jej koledzy: dawała się porywać wszelkim entuzjastycznym hasłom tego okresu, ale w momencie gdy stykała się bezpośrednio z jakimiś politycznymi praktykami uprawianymi w myśl zasady cel uświęca środki, okazywała się równie niepojętna jak wobec kawałów swoich kolegów; pewnie też dlatego towarzysze uznali, że swój entuzjazm powinna podbudować wiadomościami z zakresu strategii i taktyki ruchu rewolucyjnego, i postanowili, że w czasie ferii Małgorzata pojedzie na dwutygodniowe szkolenie partyjne.

Było mi to bardzo nie na rękę, ponieważ owe dwa tygodnie zamierzałem spędzić w Pradze z Małgorzatą i doprowadzić nasze stosunki (które dotychczas ograniczały się jedynie do spacerów, rozmów i paru pocałunków) do bardziej konkretnego finału; pozostawały mi tylko te dwa tygodnie (następne cztery miałem spędzić w brygadzie rolnej, a ostatnie dwa u matki na Słowacku), toteż z bolesną zazdrością przeżywałem fakt, że Małgorzata nie podziela mojego smutku, że nie złości jej to szkolenie, ba, mówi mi nawet, że się z niego cieszy. Z jakiegoś zamku w środkowych Czechach, gdzie się to szkolenie odbywało, przysłała mi list, taki jak ona sama: pełen szczerzej aprobaty dla wszystkiego, co przeżywała; wszystko jej się podobało: kwadrans porannej gimnastyki, referaty, dyskusje i piosenki, które tam śpiewali, pisała, że panuje u nich „zdrowy duch”, a z gorliwości dołączyła jeszcze uwagę, że rewolucja na Zachodzie nie da na siebie długo czekać.

Ogólnie rzecz biorąc zgadzałem się właściwie z tym, co pisała Małgorzata, wierzyłem nawet w bliską już rewolucję w zachodniej Europie; z jednym tylko nie mogłem się pogodzić: że ona jest zadowolona i szczęśliwa wtedy, kiedy ja za nią tęsknię. Kupiłem więc widokówkę i (żeby Małgorzatę zranić, zaszokować i zbić z tropu) napisałem: „Optymizm to opium dla ludu! Zdrowy duch zalatuje głupota! Niech żyje Trocki! Ludwik.”



Na moją prowokacyjną pocztówkę Małgorzata odpowiedziała krótką banalną kartką, a na następne listy, które wysyłałem do niej w ciągu wakacji – w ogóle nie odpowiadała. Byłem gdzieś na Szumawie, grabiłem siano wraz ze studencką brygadą, a milczenie Małgorzaty kładło się na moim życiu cieniem wielkiego smutku. Pisywałem stąd do niej prawie codziennie listy pełne błagalnego i melancholijnego zakochania, prosiłem ją, żebyśmy mogli się widywać przynajmniej przez ostatnie dwa tygodnie ferii, byłem gotów nie pojechać do domu, nie zobaczyć swojej osamotnionej matki, a za to pojechać gdziekolwiek, gdzie będzie Małgorzata; a wszystko to nie tylko dlatego, że ją kochałem, ale głównie dlatego, że była to jedyna kobieta na moim horyzoncie i że sytuacja chłopaka bez własnej dziewczyny jest dla mnie nie do zniesienia. Ale Małgorzata na moje listy nie odpowiadała.

Nie rozumiałem, co się dzieje. W sierpniu wróciłem do Pragi i udało mi się zastać ją w domu. Poszliśmy razem na zwykły spacer wzdłuż Wełtawy i na wyspę – przez Cesarską Łąkę (przez tę smutną łąkę z topolami i pustymi terenami boisk). Małgorzata twierdziła, że nic się między nami nie zmieniło, i tak też się zachowywała, tylko że właśnie ta rozpaczliwie skostniała niezmiennność (niezmiennność pocałunków, niezmiennność rozmowy, niezmiennność uśmiechów) była deprymująca. Kiedy prosiłem, abyśmy się spotkali następnego dnia, powiedziała, żebym zadzwonił, to się umówimy.

Zadzwoniłem; obcy głos w telefonie oświadczył, że Małgorzata wyjechała z Pragi.

Byłem nieszczęśliwy, tak nieszczęśliwy, jak tylko może być dwudziestoletni chłopiec, kiedy nie ma żadnej dziewczyny; chłopiec trochę jeszcze nieśmiały, który miłość fizyczną poznał dotychczas zaledwie parę razy, przelotnie i źle, a którego myśli są wciąż jeszcze, bez przerwy nią zaprzątnięte. Dni były puste, niepotrzebne i wlokły się bez końca, nie mogłem czytać, nie mogłem pracować, trzy razy dziennie chodziłem do kina na wszystkie popołudniowe i wieczorne seanse, bez wyboru, jak leciało, byle tylko jakoś zabić czas, byle jakoś zagłuszyć ów sówi głos, który nieustannie pohukiwał wewnątrz mnie.

Ja, o którym Małgorzata (dzięki mojemu traktowaniu jej z góry) była zdania, że jestem raczej znudzony kobietami, nie miałem odwagi zaczepić na ulicy żadnej z dziewczyn, dziewczyn, których zgrabne nogi sprawiały mi niemal psychiczny ból.

Toteż z radością powitałem początek października, który wreszcie nadszedł; wraz z nim zaczynał się rok akademicki, a parę dni wcześniej moja praca w Związku Studentów, gdzie miałem własny pokój i moc najrozmaitszej roboty. Jednakże już następnego dnia wezwano mnie telefonicznie do sekretariatu uczelnianego partii. Od tego momentu pamiętam wszystko bardzo dokładnie: był słoneczny dzień, wyszedłem z gmachu, gdzie mieścił się Związek Studentów, i poczułem, jak smutek, który przepełniał mnie w ciągu całych ferii, powoli ze mnie opada. Mężczyzna posiada na szczęście, prócz swoich prywatnych namiętności, również i pasję pracy społecznej, a ja cieszyłem się, że ta pasja znowu bierze mnie w swoje władanie, szedłem więc do komitetu mile zaciekawiony. Zadzwoiłem, drzwi otworzył mi sekretarz komitetu, wysoki młodzieniec o pociągłej twarzy, jasnych włosach i lodowato zimnych, niebieskich oczach. Powiedziałem: „Cześć pracy.” Nie odpowiedział, rzucił tylko: „Wejdz dalej, czekają na ciebie.”

W głębi, w ostatnim pokoju, gdzie mieścił się sekretariat, czekało na mnie trzech członków uniwersyteckiej organizacji partyjnej. Powiedzieli, żebym usiadł. Usiadłem i zrozumiałem, że dzieje się coś niedobrego. Wszyscy trzej towarzysze, których dobrze znałem i z którymi ucinalem sobie zwykle wesołe pogaduszki, mieli oficjalny wyraz twarzy; zwracali się do mnie wprawdzie per „ty” (jak to jest w zwyczaju między towarzyszami), ale w tej chwili nie była to forma przyjacielska, lecz raczej urzędowa i złowróźbna. (Przyznam się, że od tego czasu mam awersję do mówienia sobie per ty; w założeniu ma to być wyraz bliskiej zażyłości, ale jeżeli ludzie będący na „ty” są sobie obcy, forma ta nabiera natychmiast opacznego znaczenia, staje się wyrazem gburowatości, tak że świat, w którym ludzie powszechnie są z sobą na „ty”, nie jest światem powszechnej przyjaźni, lecz światem powszechnego lekceważenia.)

Siedziałem zatem przed trzema mówiącymi do mnie „ty” studentami, którzy zadali mi pierwsze pytanie: czy znam Małgorzatę. Powiedziałem, że znam. Zapytali, czy z nią korespondowałem. Powiedziałem, że tak. Zapytali, czy przypominam sobie, co do niej pisałem. Powiedziałem, że sobie nie przypominam, w tej chwili jednak stanęła mi przed oczami kartka z prowokacyjnym tekstem i zacząłem się domyślać, o co chodzi. Nie możesz sobie przypomnieć? pytali. Nie, odpowiedziałem. A co do ciebie pisała Małgorzata? Wzruszyłem ramionami, żeby wywołać wrażenie, że pisała do mnie o sprawach osobistych, o których nie mogę tutaj mówić. Pisała coś o szkoleniu? pytali. Tak, pisała, powiedziałem. A co pisała? Że bardzo jej się tam podoba, odparłem. I co jeszcze? Że mają dobre referaty i dobry zespół. Czy pisała, że na szkoleniu panuje zdrowy

duch? Tak, rzekłem, coś takiego pisała. Czy pisała, że zaczyna rozumieć, co to jest siła optymizmu? pytali dalej. Tak, odparłem. A co ty sądzisz o optymizmie? O optymizmie? A co powinienem o nim sądzić? spytałem. Czy sam uważasz się za optymistę? pytali dalej. Tak, uważam, rzekłem nieśmiało. Lubię kawały, całkiem wesoły ze mnie chłopak – usiłowałem złagodzić ton przesłuchania. Wesoły może być i nihilista, rzekł jeden z nich, może na przykład śmiać się z ludzi, którzy cierpią. Wesoły może być i cynik, ciągnął dalej. Uważasz, że można zbudować socjalizm bez optymizmu? zapytał inny. Nie, powiedziałem. A więc ty nie jesteś za tym, żeby zbudować u nas socjalizm? rzekł trzeci. Jak to? broniłem się dalej. Nie wykręcaj się, napisałeś to. Marks powiedział, że religia to opium dla ludu, ale dla ciebie opium to nasz optymizm! Napisałeś to do Małgorzaty. Ciekaw jestem, co by powiedzieli nasi robotnicy i przodownicy pracy, którzy przekraczają plany, gdyby się dowiedzieli, że ich optymizm to opium, nawiązał natychmiast inny. A trzeci dorzucił: Dla trockistów twórczy optymizm to zawsze tylko opium. A ty jesteś trockista. Na Boga, skąd wam to przyszło do głowy? broniłem się. Napisałeś to czy nie? Może i dla kawału coś takiego napisałem, przecież to już dwa miesiące, nie przypominam sobie. Możemy ci to przypomnieć, rzekli i odczytali moją pocztówkę: „Optymizm to opium dla ludu! Zdrowy duch zalatuje głupotą! Niech żyje Trocki!” Te zdania zabrzmiały w małym pokoju komitetu partyjnego tak strasznie, że w tej chwili zląkłem się ich i poczułem, że posiadają niszczycielską moc, której już nie dam rady. Towarzysze, to miał być żart, rzekłem, lecz czułem, że nikt mi nie może uwierzyć. Was to śmieszy? zwrócił się jeden z towarzyszy do dwóch pozostałych. Obaj pokręcili przecząco głowami. Wy nie znacie Małgorzaty! powiedziałem. Znamy ją, rzekli. No więc widzicie, ciągnąłem. Małgorzata bierze wszystko na serio, myśmy zawsze z niej trochę pokpiwali i staraliśmy się ją zaszokować. To ciekawe, rzekł jeden z towarzyszy, z twoich listów wcale nie wynikało, żebyś Małgorzaty nie traktował na serio. Cóż to, czyżbyście czytali wszystkie moje listy do Małgorzaty? A więc, ponieważ Małgorzata bierze wszystko na serio, zabrał głos inny, stroisz sobie z niej żarty. Ale powiedz nam, co ona traktuje tak na serio? Może partię, optymizm, dyscyplinę, co? I to wszystko, co ona traktuje z taką powagą, ciebie śmieszy. Towarzysze, zrozumcie, mówiłem, przecież ja już nawet nie pamiętam, jak to pisałem, pisałem w pośpiechu, ot, parę słów, dla kawału, nie myślałem nawet o tym, co piszę, gdybym miał na myśli coś złego, to przecież nie wysyłałbym tego na partyjny obóz szkoleniowy! Obojętne chyba, jak to pisałeś. Czy pisałeś w pośpiechu, czy powoli, na kolanie, czy na stole, mogłeś napisać tylko to, co jest w tobie. Nic innego napisać nie mogłeś. Może gdybyś był się lepiej zastanowił, tobyś tego nie napisał. A tak napisałeś bez udawania. Przynajmniej wiemy, kim

jesteś. Przynajmniej wiemy, że jesteś dwulicowy, masz jedną twarz dla partii, a drugą dla innych. Czuję, że straciłem wszelkie argumenty do obrony. Powtarzałem jeszcze parę razy to samo: że to był żart, że to były jedynie słowa bez znaczenia, że to był wynik mego nastroju itp. Nie przyjęli tego do wiadomości. Oświadczyli, że napisałem te słowa na otwartej pocztówce, że każdy mógł je przeczytać, że te słowa miały wydźwięk obiektywny i że nie było do nich dołączone żadne wyjaśnienie odnośnie do mego nastroju. Potem spytali, co czytałem z Trockiego. Powiedziałem, że nic. Spytali, kto mi te książki pożyczał. Powiedziałem, że nikt. Spytali, z jakimi trockistami się spotykałem. Powiedziałem, że z żadnymi. Oświadczyli, że z tą chwilą zdejmują mnie z funkcji w Związku Studentów, i zażądali kluczy od pokoju. Miałem je w kieszeni i oddałem im. Potem powiedzieli, że po linii partyjnej przypadek mój rozpatrzy organizacja Wydziału Przyrodniczego. Wstali i patrzyli ponad moją głowę. Powiedziałem „cześć pracy” i wyszedłem.

Później przypomniałem sobie jednak, że w pokoju Związku Studentów mam pełno swoich rzeczy. Nie byłem nigdy zbyt porządny, toteż w szufladzie biurka oprócz różnych prywatnych szpargałów miałem także swoje skarpetki, a w szufladzie wśród teczek i wykazów pokrajana tartą babę, którą przysłała mi z domu matka. Oddałem wprawdzie przed chwilą klucz w sekretariacie, ale portier na parterze mnie znał i dał mi klucz będący własnością instytucji, który wisiał na drewnianej tablicy wśród wielu innych kluczy; pamiętam wszystko z najdrobniejszymi szczegółami: klucz od mego pokoju przywiązany był grubym konopnym sznurkiem do małej drewnianej deszczułki, na której widniał napisany białą farbą numer mego pokoju. Otworzyłem więc tym kluczem i siadłem przy biurku; wysunąłem szufladę i zacząłem wyciągać z niej wszystkie moje rzeczy; robiłem to powoli i w roztargnieniu, ponieważ w owej krótkiej chwili względnego spokoju usiłowałem się zastanowić, co się właściwie ze mną stało i co mam robić.

Nie trwało długo, i drzwi się otworzyły. Stali w nich znowu ci trzej towarzysze z komitetu. Tym razem nie mieli już chłodnego i nieprzystępnego wyrazu twarzy. Tym razem ich głosy brzmiały gniewnie i donośnie. Zwłaszcza najmniejszy z nich, kadrowiec, napadł na mnie, w jaki sposób się tu w ogóle dostałem. Jakim prawem. Zapytał, czy chcę, żeby mnie zaprowadzić na milicję. Co ja tu wykradam z biurka. Powiedziałem, że przyszedłem po tartą babę i skarpetki. Oświadczył, że nie mam najmniejszego prawa tutaj wchodzić, choćbym miał pełną szafę skarpetek. Po czym podszedł do szuflady i zaczął przeglądać kartkę po kartce, zeszyt po zeszycie. Były to wszystko oczywiście moje

prywatne rzeczy, więc w końcu pozwolił, żebym na jego oczach zapakował to do walizki. Wrzuciłem tam również skarpetki, wygniecione i brudne, wpakowałem też babę, która leżała w szafie w wytłuszczonym papierze pełnym okruszyn. Śledzili każdy mój ruch. Wyszedłem z walizką z pokoju, a referent personalny powiedział mi na pożegnanie, żebym się tu więcej nie pokazywał.

Jak tylko znalazłem się poza zasięgiem towarzyszy, poza kręgiem niezłomnej logiki ich przesłuchania, już mi się zdawało, że jestem niewinny, że w całej tej historii nie ma przecież nic złego i że muszę zwrócić się do kogoś, kto dobrze zna Małgorzatę, komu wszystko opowiem i kto zrozumie, że cała ta afera jest po prostu śmieszna. Odszukałem pewnego studenta z naszego wydziału, komunistę, a kiedy mu wszystko wyłożyłem, orzekł, że ci na dzielnicy to bigoci, że nie znają się na kawałach, i że on, który zna Małgorzatę, doskonale potrafi sobie wyobrazić, o co chodzi. Zresztą najlepiej, żebym poszedł do Zemanka, który będzie w tym roku sekretarzem organizacji partyjnej na naszym wydziale, a który zna dobrze Małgorzatę i mnie.

#### 4

O tym, że Zemanek będzie sekretarzem organizacji partyjnej, nie wiedziałem i zdawało mi się, że to doskonała wiadomość, ponieważ rzeczywiście Zemanka dobrze znałem, a nawet byłem przekonany, że darzy mnie szczerą sympatią ze względu na moje pochodzenie ze Słowacka. Zemanek bowiem strasznie lubił śpiewać słowackie piosenki; w tym czasie było w wielkiej modzie śpiewać pieśni ludowe, i to śpiewać je nie na sposób szkolny, ale z ręką nad głową i trochę prostackim głosem, i mieć przy tym minę autentycznego człowieka z ludu, którego matka powiła na jakiejś wiejskiej zabawie przy dźwięku cymbałów.

Na Wydziale Przyrodniczym byłem jedynym prawdziwym Słowakiem z Moraw, co dawało mi pewne przywileje; przy każdej uroczystej okazji, a nawet w czasie niektórych zebrań, obchodów czy na Pierwszego Maja, chłopcy zachęcali mnie, żebym wyciągnął klarnet i wraz z dwoma czy trzema amatorami spośród naszych kolegów imitował słowacką kapelę. Tak więc (z klarnetem, skrzypcami i basetlą) maszerowaliśmy przez dwa lata z rzędu w majowym pochodzie, a Zemanek, jako że ładny był z niego chłopak i lubił się popisywać, szedł razem z nami, ubrany w wypożyczony strój regionalny, tańczył w pochodzie, wyrzucał rękę w górę i śpiewał. Ten rodowity prażanin, który na Słowacku nigdy nie był, strasznie lubił udawać wiejskiego zawadiakę, a ja patrzyłem na niego życzliwie,

bo byłem szczęśliwy, że muzyka moich rodzinnych stron, które od dawna stanowiły eldorado sztuki ludowej, cieszy się taką sympatią.

Poza tym Zemanek znał Małgorzatę, co było drugim plusem. W czasie różnych studenckich uroczystości często trzymaliśmy się we trójkę; kiedyś (była nas wtedy większa paczka) wymyśliłem sobie, że na Szumawie żyją plemiona krasnoludków, i na poparcie tego twierdzenia przytoczyłem szereg cytatów z dzieła naukowego, które porusza ten temat. Małgorzata dziwiła się, że nigdy o tym nie słyszała. Powiedziałem, że nie ma w tym nic dziwnego: nauka burżuazyjna umyślnie przecież zatajała istnienie krasnoludków, ponieważ kapitaliści traktowali krasnoludki jak niewolników.

– Ależ o tym powinno się pisać! – wołała Małgorzata. – Dlaczego się o tym nie pisze? Przecież to byłby właśnie argument przeciwko kapitalistom!

– Nie pisze się pewnie dlatego – wyjaśniłem zamyślony – że cała ta sprawa jest w pewnym sensie delikatna i gorsząca: krasnoludki bowiem odznaczały się niezwykle walorami w sprawach miłosnych, co sprawiało, że istniało na nie duże zapotrzebowanie, i nasze państwo potajemnie eksportowało je za grube dewizy, zwłaszcza do Francji, gdzie starzejące się damy ze sfer kapitalistycznych wynajmowały krasnoludki jako służących, aby w rzeczywistości wykorzystywać je do całkiem innych celów.

Koledzy wstrzymywali się od śmiechu, który wywoływał nie tyle mój nie nadzwyczajny dowcip, ile raczej przejęty wyraz twarzy Małgorzaty, gotowej zawsze do czegoś (ewentualnie przeciw czemuś) się zapalić; przygryzali wargi, żeby nie psuć Małgorzacie przyjemności poznania nowego zagadnienia, a niektórzy (pośród nich głównie Zemanek) sekundowali mi, by potwierdzić moją informację o krasnoludkach.

Kiedy Małgorzata zapytała, jak właściwie taki krasnoludek wygląda, pamiętam, że Zemanek odpowiedział jej z poważną miną, iż profesor Cze-chura, którego Małgorzata i jej koledzy mają zaszczyt widywać czasami na katedrze, jest z pochodzenia krasnoludkiem, i to albo po obojgu, albo po jednym z rodziców. Docent Hule opowiadał ponoć Zemankowi, że kiedyś w czasie ferii mieszkał w tym samym hotelu co państwo Czechurowie, którzy oboje mają w sumie niecałe trzy metry wzrostu. Któregoś dnia wszedł do ich pokoju, nie przypuszczając, że małżonkowie jeszcze śpią, i zdębiał: leżeli w jednym łóżku, i to nie obok siebie, ale w jednej linii, Czechura skulony w dolnej, a Czechurowa w górnej połowie łóżka.

– Tak – potwierdziłem. – Poza tym nie tylko Czechura, ale i jego żona pochodzi niewątpliwie z krasnoludków szumawskich, ponieważ sypianie w jednej linii jest atawistycznym nawykiem wszystkich tamtejszych krasnoludków, które zresztą w przeszłości nigdy nie budowały swoich chat w kształcie koła czy kwadratu, ale zawsze w kształcie wydłużonego prostokąta, ponieważ nie tylko pary małżeńskie, ale i całe rodziny zwykły były sypiać tworząc długi łańcuch – jedno za drugim.

Kiedy owego ponurego dnia przypomniałem sobie tamto nasze bajdurzenie, wydało mi się, że błyska z niego dla mnie promyk nadziei. Zemanek, któremu zostanie powierzone rozstrzygnięcie mojej sprawy, zna mój sposób dowcipkowania, zna również i Małgorzatę, zrozumie zatem, że kartka, którą do niej napisałem, była jedynie żartobliwą prowokacją wobec dziewczyny, w której wszyscyśmy się podkochiwali i którą (może właśnie dlatego) lekceważyliśmy. Przy pierwszej zatem okazji opowiedziałem mu o swoim kłopotcie: Zemanek słuchał uważnie, marszczył czoło i oświadczył, że zobaczy.

Żyłem tymczasem w zawieszeniu; chodziłem na wykłady jak dawniej i czekałem. Często wzywano mnie przed różne komisje partyjne, które głównie usiłowały sprawdzić, czy nie należę do jakiejś grupy trockistowskiej; starałem się dowieść, że na dobrą sprawę nie wiem nawet dokładnie, co to trockizm; czepiałem się każdego spojrzenia prowadzących śledztwo towarzyszy i szukałem w nim zaufania; niekiedy rzeczywiście je znajdowałem i długo potrafiłem nosić potem w duszy takie spojrzenie, hołubić je i cierpliwie wykrzesywać z niego nadzieję.

Małgorzata w dalszym ciągu mnie unikała. Zrozumiałem, że ma to związek z aferą wokół mojej kartki, a wiedziony dumną wspaniałomyślnością, nie chciałem jej o nic pytać. Któregoś dnia sama zatrzymała mnie na korytarzu uniwersytetu.

– Chciałabym porozmawiać z tobą w pewnej sprawie.

Tak więc znowu po kilku miesiącach znaleźliśmy się na wspólnej przechadzce; była już jesień, oboje mieliśmy na sobie długie płaszcze, sięgające trochę za kolana, tak jak się w owym czasie (czasie całkowicie wyzutym z elegancji) chodziło; mżyło leciutko, drzewa na bulwarze były czarne i bezlistne. Małgorzata opowiedziała mi, jak się to wszystko stało: kiedy była na wakacyjnym szkoleniu, wezwali ją naraz towarzysze i zapytali, czy otrzymuje tu jakąś korespondencję; powiedziała, że tak. Pytali, od kogo. Powiedziała, że pisuje do niej matka. I nikt inny? Od czasu do czasu jeden kolega, powiedziała. Możesz

powiedzieć nam który? spytali. Wymieniła moje nazwisko. A o czym to pisze do ciebie towarzysz Jahn? Wzruszyła ramionami, ponieważ nie miała najmniejszej ochoty cytować słów z mojej kartki. Ty też do niego pisałaś? spytali. Pisałam. O czym pisałaś? A tak, powiedziała, o szkoleniu i w ogóle. Podoba ci się na szkoleniu? spytali. Tak, bardzo. A napisałaś mu, że ci się podoba? Tak, napisałam. A on? pytali dalej. On? odpowiedziała niepewnie Małgorzata, on jest dziwny, trzeba go znać. My go znamy, powiedzieli, i chcielibyśmy wiedzieć, co do ciebie pisał. Możesz nam pokazać tę pocztówkę?

– Nie gniewaj się na mnie – rzekła Małgorzata – musiałam im tę kartkę pokazać.

– Nie usprawiedliwiał się – powiedziałem do Małgorzaty – oni znali jej treść już wcześniej, zanim jeszcze rozmawiali z tobą; gdyby jej nie znali, nie wzywałiby cię.

– Ja się wcale nie usprawiedliwiam ani nie wstydzę, że dałam im to przeczytać, nie tłumacz sobie tego w ten sposób. Jestem członkiem partii, a partia ma prawo wiedzieć, kim jesteś i co myślisz – zastrzegła się, po czym oświadczyła mi, że była przerażona tym, co napisałem, wszyscy bowiem wiemy, że Trocki był największym wrogiem tego, o co walczymy i dla czego żyjemy.

Co miałem Małgorzacie wyjaśniać? Poprosiłem, żeby opowiedziała, co było dalej.

Powiedziała, że przeczytali kartkę i zdębieli. Spytała, co ona na to. Powiedziała, że to okropne. Spytała, czemu sama nie przyszła im tego pokazać. Wzruszyła ramionami. Spytała, czy nie wie, co to jest czujność. Spuściła głowę. Spytała, czy nie wie, ilu partia ma wrogów. Powiedziała, że wie, ale że nie wierzyła, żeby towarzysz Jahn... Spytała, czy dobrze mnie zna. Spytała, jaki jestem. Powiedziała, że jestem dziwny. Że wprawdzie chwilami sądzi, iż jestem prawdziwym komunistą, ale niekiedy mówię coś, czego żaden komunistą mówić nie powinien. Spytała, cóż to takiego niekiedy mówię. Odparła, że żadnych konkretnych przykładów sobie nie przypomina, ale że nie istnieje dla mnie nic świętego. Oświadczyli, że widać to z mojej kartki. Powiedziała im, że często klóciła się ze mną o wiele rzeczy. I dodała jeszcze, że inaczej mówię na zebraniach, a inaczej z nią. Na zebraniach płonę świętym zapalem, podczas gdy z nią ze wszystkiego tylko sobie pokpiwam i wszystko bagatelizuję. Spytała ją, czy uważa, że taki człowiek może być członkiem partii. Wzruszyła ramionami. Spytała, czy partia zbudowałaby socjalizm, gdyby jej członkowie głosili, że optymizm to opium dla ludu. Powiedziała, że taka partia nie zbudowałaby



socjalizmu. Stwierdzili, że to wystarczy. I żeby na razie nic mi nie mówiła, ponieważ chcą zobaczyć, co będę pisać dalej. Oświadczyła, że nie chce mnie więcej widzieć. Odpowiedzieli, że to byłoby niesłuszne, wprost przeciwnie, powinna do mnie na razie pisywać, żeby się mogli zorientować, co we mnie jeszcze siedzi.

– I ty im potem pokazywałaś moje listy?– spytałem Małgorzatę rumieniąc się w głębi duszy na wspomnienie swoich miłosnych wyznań.

– A co miałam robić? – rzekła. – Ale sama po tym wszystkim naprawdę nie mogłam już do ciebie pisywać. Nie mogę przecież korespondować z kimś tylko po to, żeby go wciągnąć w pułapkę. Wysłałam ci jeszcze pocztówkę, i koniec. Nie chciałam się z tobą zobaczyć, bo nie miałam ci nic do powiedzenia i bałam się, że byś mnie o coś nie zapytał, musiałabym ci przecież kłamać w żywe oczy, a ja kłamać nie lubię.

Zapytałem Małgorzatę, co ją skłoniło do dzisiejszego spotkania ze mną. Powiedziała, że przyczyną był towarzysz Zemanek. Spotkał ją po feriach na korytarzu uniwersytetu i wciągnął do małego pokoiku, gdzie mieściła się egzekutywa organizacji partyjnej Wydziału Przyrodniczego. Powiedział jej, że otrzymał wiadomość, jakoby przysłał jej na szkolenie pocztówkę z antypartyjnymi epitetami. Spytał ją, co to były za słowa. Powiedziała mu. Spytał, co ona o tym sądzi. Powiedziała, że potępia. Powiedział, że słusznie robi, i spytał, czy jeszcze ze mną chodzi. Była w kłopotcie i dała wymijającą odpowiedź. Powiedział, że ze szkolenia przyszła o niej na wydział bardzo pochlebna opinia i że organizacja wydziałowa na nią liczy. Powiedziała, że bardzo się cieszy. Powiedział, że nie chce się mieszać do jej życia prywatnego, ale że uważa, iż człowieka poznaje się po tym, z kim się styka, jakiego przyjaciela sobie wybiera, i że nie świadczyłoby o niej dobrze, gdyby wybrała właśnie mnie.

W ciągu paru tygodni Małgorzata przemyślała sobie to wszystko. Nie widywała się ze mną już od kilku miesięcy, tak że uwaga Zemanka była właściwie zbyteczna, a jednak ta właśnie uwaga sprawiła, że Małgorzata zaczęła się zastanawiać, czy to nie zbyt okrutne i niedopuszczalne moralnie namawiać kogoś, żeby się rozstał ze swoim przyjacielem tylko dlatego, że ów przyjaciel popełnił błąd, czy zatem nie było niesprawiedliwe również i to, że już przedtem sama ze mną zerwała. Poszła do towarzysza, który w czasie ferii prowadził szkolenie, spytała go, czy w dalszym ciągu nie ma prawa powiedzieć mi o tym, co się stało w związku z moją pocztówką, a kiedy się dowiedziała, że nie ma już powodu nic ukrywać, zaczepiła mnie i poprosiła o rozmowę.

I teraz oto zwierza mi się z tego, co ją dręczy i co jej ciąży: tak, źle postąpiła, kiedy postanowiła się ze mną nie widywać, żaden człowiek przecież nie jest stracony, choćby popełnił największe nawet błędy. Przypomniała sobie, jak mówiła, Aleksiego Tołstoja, który był białogwardzistą i emigrantem, a przecież w końcu został wielkim pisarzem socjalistycznym. Przypomniła jej się też radziecki film *Sąd honorowy* (film bardzo wówczas popularny w środowisku partyjnym), w którym jakiś radziecki lekarz-naukowiec podał swoje odkrycie najpierw do wiadomości publicznej za granicą, zanim opublikował je w kraju, co zalaatywało kosmopolityzmem i zdradą. Małgorzata powoływała się z przejęciem głównie na zakończenie filmu: uczony został w końcu potępiony przez sąd honorowy złożony z jego kolegów, ale kochająca żona potępionego małżonka nie opuściła, lecz starała się natchnąć go siłą, by mógł naprawić swą ciężką winę.

– A więc zdecydowałaś, że mnie nie opuścisz?

– Tak – rzekła Małgorzata i chwyciła mnie za rękę.

– Powiedz, Małgorzato, uważasz, że dopuściłem się ciężkiego przewinienia?

– Tak, uważam – powiedziała.

– Jak myślisz, mam prawo zostać w partii czy nie?

– Myślę, że nie, Ludwiku.

Wiedziałem, że gdybym przystał na tę grę, w którą Małgorzata się wciągnęła i której patos przeżywała, jak się wydawało, całą duszą, osiągnąłbym wszystko, o co miesiąc temu na próżno zabiegałem: popychana patosem zbawienia niczym statek parą, oddałaby mi teraz bez wątpienia i swoje ciało. Oczywiście pod jednym warunkiem: że jej instynkt zbawiania zostałby istotnie w pełni zaspokojony; a żeby został zaspokojony, musi na to przystać obiekt zbawiania (niestety ja sam!), najgłębiej świadom swojej winy. Tylko że ja tego zrobić nie mogłem. Byłem tak bliski upragnionego celu – ciała Małgorzaty, a jednak nie mogłem zdobyć jej za tę cenę, nie mogłem uznać swojej winy i zgodzić się na niedopuszczalny wyrok; nie mogłem słuchać, jak ktoś, kto powinien mi być bliski, tę winę i ten wyrok uznaje.

Nie przystałem na propozycję Małgorzaty, odtrąciłem ją i utraciłem, ale czy naprawdę czułem się niewinny? Tak, bez przerwy utwierdzałem się w przekonaniu, że cała ta afery jest śmieszna, ale jednocześnie (i to właśnie dzisiaj, z dystansu wielu lat, wydaje mi się najprzykrzejsze i najbardziej znamienne) zaczynałem widzieć owe trzy zdania na kartce pocztowej oczyma tych, którzy prowadzili przeciw mnie śledztwo; zacząłem bać się tych trzech zdań, zląkłem

się, że pod płaszczykiem żartu zdradzają jakiś bardzo poważny mój rys, a mianowicie to, że nigdy nie zrosłem się bez reszty z partią, że nigdy nie byłem prawdziwym proletariackim rewolucjonistą, ale że na podstawie samej tylko (!) decyzji „przystąpiłem do rewolucjonistów” (uważaliśmy bowiem, że rewolucyjność proletariacka to, że tak powiem, nie sprawa wyboru, ale rzecz wrodzona: albo ktoś jest rewolucjonistą i potem zrasta się z ruchem w jedno ciało, myśli jego mózgiem i czuje jego sercem, albo też nim nie jest, i wtedy pozostaje mu tylko, aby chciał nim być; ale wtedy też bezustannie ponosi winę za to, że nim nie jest: winę za swoją niezależność, inność, odrębność).

Kiedy dziś przypominam sobie mój ówczesny stan, nasuwa mi się analogia do ogromnej siły chrześcijaństwa, które sugeruje wierzącemu jego wrodzoną i nieustającą grzeszność; i ja stałem (wszyscyśmy zresztą tak stali) wobec rewolucji i jej partii z wiecznie pochyloną głową, tak że powoli zaczynałem godzić się z tym, iż moje słowa, chociaż pomyślane jako żart, są mimo to przestępstwem, i zacząłem przeprowadzać w myślach samokrytyczne dochodzenie: mówiłem sobie, że te słowa nie przyszły mi do głowy ot tak tylko, przez przypadek, że przecież już dawniej towarzysze wytykali mi (i słusznie) „pozostałości indywidualizmu” i „intelektualizmu”; mówiłem sobie, że powodowany próżnością zacząłem znajdować nadmierne upodobanie we własnym wykształceniu, w fakcie, że jestem studentem, i w swojej przyszłości intelektualisty, i że mój ojciec, robotnik, który umarł w czasie wojny w obozie koncentracyjnym, nie rozumiałby mojego cynizmu, wyrzucałem sobie, że niestety nie odziedziczyłem jego robociarskiego sposobu myślenia, wyrzucałem sobie najrozmaitsze rzeczy i godziłem się z koniecznością poniesienia jakiejś kary, broniłem się tylko przed jednym: żeby wyrzucono mnie z partii i tym samym uznano za jej wroga; żyć w roli wroga tego wszystkiego, co wybrałem już jako młody chłopiec i do czego najmocniej przyłgnałem, wydawało mi się rzeczą straszną.

Taką samokrytykę, będącą jednocześnie rozpaczliwą obroną, sto razy złożyłem w duchu, co najmniej dziesięć razy przed różnymi komitetami i komisjami, a w końcu także na decydującym zebraniu plenarnym naszego wydziału, gdzie o mnie i o moim przewinieniu Zemanek wygłosił wstępny referat (sugestywny, błyskotliwy, niezapomniany) i w imieniu egzekutywy postawił wniosek o usunięcie mnie z partii. Dyskusja po moim samokrytycznym wystąpieniu rozwinęła się w sposób dla mnie niekorzystny; nikt nie stanął w mojej obronie i w końcu wszyscy (było tam chyba ze sto osób, a wśród nich moi profesorowie i moi najbliżsi koledzy), tak, wszyscy co do jednego, podnieśli ręce,

aby uchwalić wniosek nie tylko o usunięcie mnie z partii, ale (tego się w ogóle nie spodziewałem) i o konieczności wydalenia mnie ze studiów.

Jeszcze tej samej nocy po zebraniu wsiadłem do pociągu i wyjechałem do domu, tylko że dom nie mógł mi przynieść żadnej pociechy, choćby dlatego, że przez kilka dni nie odważyłem się w ogóle powiedzieć matce – która okropnie dumna była z moich studiów – co się stało. Za to od razu następnego dnia zjawił się u mnie Jarosław, mój kolega z gimnazjum i z kapeli, w której jako uczeń gimnazjalny grywałem, i ogromnie się ucieszył, że zastał mnie w domu; pojutrze się żeni, oświadczył, i muszę być jego świadkiem. Nie mogłem odmówić staremu druhowi i nie pozostawało mi nic innego jak swoją klęskę uczcić weselną zabawą.

Jarosław bowiem był jeszcze na dodatek zagorzałym słowackim patriotą i folklorystą, tak że własny ślub wykorzystał dla wyładowania swojej pasji etnograficznej i urządził go zgodnie z dawnymi ludowymi zwyczajami: w strojach regionalnych, z kapelą, ze swatem wygłaszającym kwieciste oracje, z przeniesieniem panny młodej przez próg i z pieśniami, jednym słowem, ze wszystkimi całym dniem trwającymi ceremoniami, które oczywiście zrekonstruował raczej z książek etnograficznych niż z żywej pamięci. Zauważyłem jednak coś dziwnego: mój kolega Jarosław, świeżo mianowany kierownik znakomicie prosperującego zespołu pieśni i tańca, trzymał się wprawdzie wszystkich możliwych starych zwyczajów, ale (pomny widać swojej kariery i posłuszny ateistycznym hasłom) nie poszedł z gośćmi weselnymi do kościoła, mimo że tradycyjny wiejski ślub bez księdza i błogosławieństwa bożego był nie do pomyślenia; pozwolił staroście wygłaszać wszystkie ceremonialne mowy, ale starannie wykreślił z nich wszelkie motywy biblijne, mimo iż właśnie one nadawały tyle obrazowości ludowym mowom weselnym. Smutek, który nie pozwolił mi włączyć się w pijaną wesołość ślubnej ceremonii, sprawił, że w feerii tych ludowych obrzędów potrafiłem wyczuć zapach chloroformu, a na dnie owej pozornej spontaniczności dostrzec żdźbło fałszu. Ale kiedy potem Jarosław poprosił mnie, bym wziął (na sentymentalną pamiątkę swojej dawnej działalności w kapeli) klarnet i zasiadł wśród pozostałych muzykantów, odmówiłem mu. Przypomniało mi się bowiem, jak w ten właśnie sposób grywałem przez ostatnie dwa lata na Pierwszego Maja i jak prażanin Zemanek tańczył obok mnie w stroju regionalnym, wyrzucał w górę ręce i śpiewał. Nie mogłem wziąć klarnetu do ręki i czułem, jak cały ten folklorystyczny wrzask jest mi wstrętny, wstrętny, wstrętny...

Utraciwszy możliwość studiów, utraciłem zarazem prawo do odroczenia służby wojskowej, czekałem już więc tylko na jesienny pobór; okres wyczekiwania wypełniłem pracą w dwóch długoterminowych brygadach; najpierw pracowałem przy naprawie szosy gdzieś pod Gottwaldowem, pod koniec lata zaś zgłosiłem się do pracy sezonowej w fabryce przetworów owocowych „Frut”, wreszcie nadeszła jesień i pewnego poranku (po nie przespanej nocy w pociągu) dowlokłem się do koszar na nie znanym mi, szkaradnym przedmieściu Ostrawy.

Stałem na dziedzińcu koszar wraz z innymi młodymi ludźmi przydzielonymi do tej samej jednostki; nie znaliśmy się; w mroku tej początkowej wzajemnej nieznajomości ostro wybijają się u innych na pierwszy plan rysy obcości i chamstwa; tak było i tym razem, a jedyne, co nas w jakiś ludzki sposób łączyło, to niejasna przyszłość, o której krążyły między nami niepewne pogłoski. Niektórzy twierdzili, że jesteśmy u „czarnych”, inni temu zaprzeczali, a niektórzy nie wiedzieli nawet, co to znaczy. Ja wiedziałem, toteż owe domysły napełniały mnie lękiem.

Potem przyszedł plutonowy i zaprowadził nas do baraku; wtargnęliśmy hurmem na korytarz i korytarzem do jakiegoś większego pomieszczenia, gdzie wszędzie dokoła widniały ogromne gazetki ścienne, pełne haseł, fotografii i nieporadnych rysunków; na honorowym miejscu przyszpilono wielki napis wycięty z czerwonego papieru: BUDUJEMY SOCJALIZM, pod tym napisem stało krzesło, a obok niego mały chudy staruszek. Plutonowy wskazał na jednego z nas, by usiadł na krześle. Staruszek przewiązał mu wokół szyi białą serwetkę, potem sięgnął do teczki, która stała oparta o nogę krzesła, wyjął maszynkę do golenia i wjechał nią we włosy chłopca.

Fryzjerskie krzesło stanowiło początek ruchomej taśmy, która miała przekształcić nas w żołnierzy: z krzesła, na którym pozbyliśmy się włosów, popędzono nas do sąsiedniego pomieszczenia; tam musieliśmy rozebrać się do naga, zapakować ubrania do papierowych worków, przewiązać je sznurkiem i oddać przy okienku; nadzy, z ogolonymi głowami, przeszliśmy następnie korytarzem do dalszego pokoju, gdzie wyfasowaliśmy nocne koszule; w nocnych koszulach ruszyliśmy do następnych drzwi, gdzie dostaliśmy wojskowe buty; w tych buciorach i nocnych koszulach przemaszerowaliśmy potem przez dziedziniec do następnego baraku, gdzie wydano nam koszule, kalesony, onuce, pasy i mundury (na bluzach były czarne wyłogi); w końcu dobrnęliśmy do ostatniego baraku, gdzie podoficer odczytał nasze nazwiska, podzielił nas na drużyny i wyznaczył izby i łóżka w baraku.

Tak więc szybciotko każdy z nas został pozbawiony swej własnej woli i zamienił się w coś, co na zewnątrz przypominało przedmiot (przedmiot, którym można dysponować, wysyłać go, zaszeregować, odkomenderować), a wewnątrz człowieka (cierpiącego, zdenerwowanego, przestraszonego); tegoż dnia jeszcze zbiórka, potem kolacja, i do łóżka; rano obudzono nas i zaprowadzono do kopalni; na dole rozdzielono według drużyn na brygady robocze i zaopatrzone w narzędzia (wiertarki, łopaty i lampy górnicze), którymi żaden z nas nie umiał się posługiwać; potem klatka windy zwiozła nas pod ziemię. Kiedy z obolałym ciałem wyjechaliśmy znowu na powierzchnię, czekali na nas podoficerowie, ustawili w szereg i odprowadzili z powrotem do koszar; zjedliśmy obiad, po południu była musztra, po musztrze sprzątanie, wychowanie polityczne, obowiązkowy śpiew; zamiast życia osobistego – pomieszczenie z dwudziestoma łózkami. I tak to się już potoczyło dzień po dniu.

To przeobrażenie w bezduszne przedmioty, któremu ulegliśmy, wydawało mi się w pierwszych dniach absolutnie nieprzeniknione; bezosobowe, narzucone funkcje, które wykonywaliśmy, zastąpiły wszelkie ludzkie odruchy; ale ta nieprzeniknioność była jedynie względna, spowodowana nie tylko realnymi okolicznościami, lecz również nieprzyzwyczajeniem wzroku (podobnie jak kiedy ze światła wchodzi człowiek do ciemnego pokoju); po pewnym czasie coś zaczęło powoli prześwitywać i w owym „mroku ubezdusznienia” zaczęły się uwidocznić w ludziach ludzkie cechy. Muszę jednak przyznać, że byłem jednym z ostatnich, którzy potrafili przystosować wzrok do zmienionego „oświetlenia”.

Wypływało to stąd, że całą istotą buntowałem się przeciwko zaakceptowaniu swego losu. Żołnierze z czarnymi wyłogami, wśród których się znalazłem, odbywali tylko musztrę bez broni i pracowali w kopalniach. Za swoją pracę otrzymywali wynagrodzenie (pod tym względem byli w lepszej sytuacji niż inni żołnierze), ale była to dla mnie słaba pociecha, kiedy pomyślałem, iż są to wyłącznie ludzie, którym młode państwo socjalistyczne nie chciało powierzyć broni, ponieważ uważa ich za swoich wrogów. Oczywiście pociągało to za sobą bardziej okrutne traktowanie i groźbę, że czynna służba może przeciągnąć się ponad obowiązkowe dwa lata, ale mnie najbardziej przerażał fakt, że znalazłem się wśród tych, których uważałem za największych swoich wrogów, i że przydzielili mnie do nich (definitywnie, nieodwołalnie, z dożywotnim piętnem) moi własni towarzysze. Toteż pierwszy okres wśród „czarnych” przeżywałem jako zatwardziały samotnik, nie chciałem żyć ze swoimi nieprzyjaciółmi, nie chciałem się wśród nich zaaklimatyzować. Z przepustkami było w owym czasie bardzo źle (do przepustki żołnierz nie miał prawa, dostawał ją jedynie w nagrodę,

co w praktyce oznaczało, że wychodził z koszar mniej więcej raz na dwa tygodnie – w sobotę), ale w tych dniach, kiedy żołnierze po kilku wyruszyli do gospod i na dziewczynki, wolałem być sam; kładłem się na łóżku w baraku, usiłowałem coś czytać, nawet się uczyć (matematykowi wystarczy w końcu do pracy papier i ołówek) i pławiłem się w swojej niezdolności przystosowania; wierzyłem, że mam jeden jedyny cel: dalej walczyć o swoją godność polityczną, o swoje prawo „niebicia wrogiem”, o swoje prawo wydobycia się stąd.

Parę razy byłem u oficera politycznego jednostki i starałem się go przekonać, że znalazłem się wśród „czarnych” przez pomyłkę; że usunięto mnie z partii za mój intelektualizm i cynizm, ale nie jako wroga socjalizmu; wyjaśniałem znowu (który to już raz!) śmieszna historię z kartką pocztową, historię, która wcale już nie była śmieszna, ale która w zestawieniu z moimi czarnymi wyłogami stawała się coraz bardziej podejrzana i zdawała się kryć w sobie coś, co przemilczam. Muszę jednak gwoździem prawdy powiedzieć, że oficer polityczny wysłuchał mnie cierpliwie i okazał nieoczekiwane niemal zrozumienie dla mojej chęci usprawiedliwienia się; rzeczywiście zapytywał potem gdzieś u góry (jakże niesprecyzowane oznaczenie miejsca!) o moją sprawę, ale w końcu sam mnie wezwał i powiedział szczerze rozżalony:

– Dlaczego mnie okłamywałeś? Dowiedziałem się, że jesteś trockistą.

Zacząłem rozumieć, że nie ma siły, która mogłaby zmienić ów obraz mojej osoby złożony gdzieś w najwyższej izbie wyrokującej o ludzkich losach; zrozumiałem, że ten obraz (aczkolwiek do mnie niepodobny) jest o wiele prawdziwszy niż ja sam, że nie on moim, ale ja jego jestem cieniem, że nie on ponosi winę za to, że nie jest do mnie podobny, ale że temu brakowi podobieństwa winien jestem ja, i że ów brak podobieństwa to mój krzyż, którego na nikogo nie mogę zwalić i który muszę nieść sam.

Niemniej jednak nie chciałem kapitulować. Chciałem naprawdę ten mój brak podobieństwa nieść; być nadal tym, kim – jak zdecydowano – nie jestem.

Mniej więcej jakieś dwa tygodnie trwało, zanim jako tako przywykłem do męczącej pracy w kopalni z ciężką wiertarką, której drżenie wibrowało mi w całym ciele jeszcze do następnego rana. Ale tyrałem uczciwie, z jakąś zajadłością, chciałem osiągnąć przodujące rezultaty i wkrótce zaczęło mi się to udawać.

Tylko że nikt nie widział w tym przejawu mego politycznego uświadomienia. Wszystkim nam przecież płacono za naszą pracę (potrącano wprawdzie na wyżywienie i mieszkanie, ale i tak sporo dostawaliśmy na rękę!), dlatego też i

wielu innych, bez względu na swoje poglądy, pracowało ze sporym zapałem, żeby z tych straconych lat mieć przynajmniej jakąś korzyść.

Mimo że wszyscy uważali nas za zajadłych przeciwników ustroju, zachowywano w koszarach wszystkie formy życia publicznego przyjęte w kolektywach socjalistycznych: my, wrogowie ustroju, pod nadzorem oficera politycznego urządzaliśmy pogadanki i dyskusje, mieliśmy codziennie szkolenie polityczne, musieliśmy się troszczyć o gazetki ścienne, w których umieszczaliśmy fotografie socjalistycznych dostojników i wypisywaliśmy hasła o szczęśliwej przyszłości.

Na początku prawie że demonstracyjnie zgłosiłem się do wszystkich tych prac. Ale i w tym nikt nie widział objawu uświadomienia, zgłaszali się przecież i inni, kiedy chcieli, żeby komendant zwrócił na nich uwagę i dał im przepustkę.

Nikt z żołnierzy nie uważał tego za działalność polityczną, lecz tylko za pozbawiony treści gest, haracz, który trzeba złożyć tym, co mają nas w swoich rękach.

Zrozumiałem zatem, że i ten mój bunt jest daremny, że już nawet swój „brak podobieństwa” dostrzegam tylko ja sam, a dla innych jest on niewidoczny.

Wśród podoficerów, którym zostaliśmy wydani na pastwę, był czarnowłosy Słowak, kapralik, który różnił się od innych łagodnością i absolutnym brakiem sadyzmu. Lubiliśmy go, chociaż niektórzy z nas twierdzili złośliwie, że jego dobroć wypływa jedynie z głupoty. Podoficerowie w odróżnieniu od nas mieli oczywiście broń i od czasu do czasu chodzili na strzelanie. Kiedyś nasz czarnowłosy kapralik wrócił z takich ćwiczeń opromieniony sławą, ponieważ zajął w strzelaniu pierwsze miejsce. Liczni spośród nas natychmiast zaczęli mu hałaśliwie gratulować (częściowo z dobrego serca, częściowo dla żartu); kapralik tylko się rumienił.

Przypadkowo znalazłem się z nim tego dnia sam na sam i dla podtrzymania rozmowy spytałem:

– Jak pan to robi, że tak dobrze pan strzela?

Kapralik popatrzył na mnie badawczo, po czym rzekł:

– Mam taki jeden sposób, co mi pomaga. Wyobrażam sobie, że to nie jest tarcza z blachy, ale imperialista. I taka mnie wściekłość bierze, że trafiam.



Chciałem go zapytać, jak wyobraża sobie takiego imperialistę (jaki ma nos, włosy, oczy, kapelusz), ale uprzedził moje pytanie i poważnym, pełnym zadumy głosem powiedział:

– Ja nie wiem, dlaczego wy wszyscy mi gratulujecie. Przecież gdyby była wojna, strzelałbym do was.

Kiedy usłyszałem to z ust tego poczciwiny, który nie potrafił na nas nigdy nawet krzyknąć i którego dlatego właśnie przeniesiono potem gdzie indziej, zrozumiałem, że nic wiążąca mnie z partią i towarzyszami bezpowrotnie wymknęła mi się z ręki. Zostałem zepchnięty ze swojej życiowej drogi.

## 6

Tak, wszystkie nici zostały zerwane.

Zniweczone studia, udział w ruchu, praca, stosunki z przyjaciółmi, zniweczony cały pełen treści tok życia. Pozostał mi tylko czas. Poznałem go za to tak dogłębnie jak nigdy przedtem. Nie był to już czas, który znałem dawniej, czas przeobrażony w pracę, miłość, wszelkiego rodzaju wysiłki, czas, którego nie dostrzegałem, ponieważ nie był natrętny i pozostawał dyskretnie ukryty poza moim własnym działaniem. Teraz przyszedł do mnie obnażony, sam jako taki, w swojej pierwotnej i autentycznej postaci, i zmusił mnie, bym nazwał go prawdziwym imieniem (ponieważ teraz żyłem samym tylko czasem, zwykłym, pustym czasem), bym ani na chwilę o nim nie zapominał, abym ciągle o nim myślał i ustawicznie czuł jego brzemię.

Kiedy gra muzyka, słyszymy melodię, zapominając, że to tylko jedna z form czasu; gdy orkiestra milknie, słyszymy czas; sam czas. Żyłem w pauzie. Oczywiście nie w pauzie orkiestralnej (której czas trwania jest definitywnie określony znaczkami w nutach), lecz w pauzie bez określonego końca. Nie mogliśmy (jak to robią we wszystkich innych jednostkach) odcinać po kawałku z krawieckiego centymetra, żeby widzieć, jak dzień po dniu ubywa z naszej obowiązkowej służby; „czarni” bowiem mogli być trzymeni w wojsku dowolnie długo. Czterdziestoletni Ambroży z drugiej kompanii był tu już czwarty rok.

Służyć wówczas w wojsku, mając w domu żonę lub narzeczoną, było rzeczą bardzo gorzką; oznaczało to ustawiczne i daremne czuwanie w duchu nad ich trybem życia, którego upilnować nie sposób, ustawiczne drżenie o ich niestałość. Ale oznaczało to również ustawiczną radość z ich rzadkich przyjazdów i ustawiczną obawę, czy komendant nie cofnie przyrzeczonej na ten dzień

przepustki i czy żona nie zjawi się pod bramą koszar na próżno. Opowiadano wśród „czarnych” (z czarnym humorem), że oficerowie tylko czekają na takie niezaspokojone żony żołnierzy, asystują im i zbierają owoce tęsknoty, które przypaść miały żołnierzom zatrzymanym w koszarach.

A jednak żołnierze, którzy mieli w domu jakąś kobietę, snuli w swojej „pauzie” nic, może cienką, może rozpaczliwie cieniutką i słabą, ale jednak jakąś nic. Ja takiej nici nie miałem: z Małgorzatą zerwałem wszelkie kontakty, a jeśli przychodziły do mnie jakieś listy, to jedynie od matki... A co, czy to nie jest nic?

Nie, to nie jest nic; jeżeli to jest jedynie dom moich rodziców, to nie jest żadna nic; to tylko przeszłość: listy od rodziców to wieści z ładu, od którego się oddalasz; ba, taki list uprzytamnia ci jedynie twoje wykolejenie przypomnieniem portu, z którego wypłynąłeś w warunkach tak rzetelnie, tak obiecująco przygotowanych; tak, mówi tego rodzaju list, port stale tu jeszcze jest, jeszcze trwa, bezpieczny i piękny w swojej dawności, ale podróż, podróż przepadła!

Przyzwyczaiłem się więc powoli do tego, że moje życie utraciło swoją ciągłość, że wymknęło mi się z rąk i że nie pozostanie mi w końcu nic innego, jak również pod względem psychicznym znaleźć się tam, gdzie rzeczywiście i nieodwołalnie się znajduję. Tak zatem i wzrok mój przywykał stopniowo do owego „mroku ubezdusznienia” i zacząłem dostrzegać ludzi wokół siebie; później wprawdzie niż inni, ale na szczęście nie tak późno, by stać się wśród nich kimś zupełnie obcym.

Z tego mroku wynurzył się najpierw (tak jak pierwszy wynurza się z mojej pamięci) Janek, brnianin (mówił niezrozumiałym niemal żargonem z przedmieścia), który dostał się do „czarnych” za pobicie milicjanta. Pobił go dlatego, że był to dawny jego szkolny kolega i o coś się pokłócili, ale sąd nie dał sobie tego wy tłumaczyć. Janek odsiedział pół roku w więzieniu i przyszedł stamtąd prosto do nas. Był wykwalifikowanym monterem i było mu najwyraźniej obojętne, czy będzie kiedyś znowu monterem czy czymś innym; do niczego nie był przywiązany, wobec tego, co go czeka, przejawiał całkowitą obojętność, która stanowiła źródło jego beczelnej i beztroskiej niezależności.

Rzadko spotykanym poczuciem wolności mógł z Jankiem rywalizować tylko Fryderyk, największy oryginał naszej dwudziestoosobowej izby; dostał się do nas dopiero w dwa miesiące po regularnym poborze wrześniowym, ponieważ poszedł początkowo do piechoty, gdzie jednak uparcie odmawiał wzięcia broni do ręki, było to bowiem sprzeczne z jego osobistymi przekonaniem i surowymi zasadami religijnymi; nie mogli dać sobie z nim rady, zwłaszcza kiedy przechwycili jego

listy, adresowane do Trumana i Stalina, w których z emfazą wzywał obu mężów stanu, by w imię socjalistycznego zbratania rozpuścili wszystkie armie; nie wiedząc, co robić, pozwolono mu z początku, by brał udział w musztrze, tak że spośród wszystkich żołnierzy on jeden nie miał broni, i rozkazy „na ramię broń” i „do nogi broń” wykonywał bez zarzutu, ale z pustymi rękami. Brał także udział w pierwszych szkoleniach politycznych, gdzie gorliwie zabierał głos w dyskusjach i gardłował przeciwko imperialistycznym podżegaczom wojennym. Kiedy jednak na własną zgubę wykonał i powiesił w koszarach plakat wzywający do złożenia wszelkiej broni, prokurator wojskowy oskarżył go o bunt. Wysoki sąd tak był jednak skołowany jego pokojowymi wypowiedziami, że kazał go zbadać psychiatrom i po dłuższym wahaniu cofnął oskarżenie i wysłał do nas. Fryderyk był z tego zadowolony; to właśnie zwracało na niego uwagę; był jedynym, który z własnej woli wywalczył sobie czarne wyłogi, i był szczęśliwy, że je ma. Dlatego czuł się tutaj wolny – chociaż ta jego wolność nie przejawiała się, tak jak u Janka, bezczelnością – wprost przeciwnie, spokojnym zdyscyplinowaniem i pełną zadowolenia pracowitością.

Wszyscy inni byli o wiele bardziej przytłoczeni lękiem i smutkiem: trzydziestoletni Węgier Varga z południowej Słowacji, który nie mając przesądów narodowościowych walczył w czasie wojny w kilku armiach i parokrotnie był w niewoli po obu stronach frontu; rudy Petrań, którego brat uciekł przez granicę i zastrzelił przy tym żołnierza wojsk pogranicza; prostaczek Józef, syn bogatego chłopca ze wsi nad Łabą (zanadto przywykł do rozblękitnionej przestrzeni, nad którą szybuje skowronek, i teraz przeżywał dławiący strach w piekielnych podziemiach szybów i sztolni); dwudziestoletni Staszek, otrząskany cwaniak z Żiżkowa, któremu tamtejsza Rada Narodowa wystawiła miażdżącą opinię, jako że na defiladzie pierwszomajowej upił się i potem siusiał naumyślnie przy skraju chodnika, na oczach rozentuzjasmowanych obywateli; Paweł Piękny, student, który w Dniach Lutowych demonstrował wraz z grupą kolegów przeciw komunistom (zrozumiałem niebawem, że należałem do tego samego obozu co ci, którzy po Lutym wyrzucili go z uniwersytetu; on też był jedynym, który okazywał w stosunku do mnie złośliwą satysfakcję, że dostałem się teraz tam gdzie i on).

Mógłbym wyliczać dalszych żołnierzy, którzy dzielili wówczas ze mną mój los, ale chcę się trzymać tylko tego, co najważniejsze: najbardziej lubiłem Janka. Przypominam sobie jedną z naszych pierwszych rozmów; było to w czasie krótkiej przerwy w sztolni, kiedy (jedząc śniadanie) znaleźliśmy się obok siebie, a Janek trzepnął mnie w kolano.

– Ty, głuchoniemy, coś ty właściwie za jeden?

Byłem wtedy rzeczywiście głuchoniemy (pograżony w swojej własnej wewnętrznej samoobronie) i z trudem usiłowałem wy tłumaczyć mu (słowami, których sztuczność i wymuszoność sam natychmiast przykro odczułem), w jaki sposób się tu dostałem i dlaczego to nie jest miejsce dla mnie. Powiedział:

– Ty głupi, a dla nas to jest miejsce?

Chciałem znowu wyjaśnić mu swój punkt widzenia (szukałem bardziej naturalnych słów), ale Janek przełknął ostatni kęs i rzekł powoli:

– Żebyś był taki wysoki, jak jesteś głupi, toby ci słońce łeb przepaliło.

Z tych słów uśmiechnął się do mnie wesoło plebejski duch przedmieścia, a ja zawstydzilem się nagle, że wciąż jeszcze kapryśnie domagam się utraconych przywilejów, podczas gdy swój światopogląd zbudowałem przecież właśnie na sprzeciwie wobec przywilejów i rozkapryszczenia.

Z biegiem czasu bardzo zbliżyliśmy się obaj z Jankiem. (Janek szanował mnie za to, że umiałem szybko rozwiązywać w pamięci wszelkie skomplikowane obliczenia związane z wypłatą i dzięki temu parę razy zapobiegłem wystawieniu nas do wiatru); kiedyś zaczął mnie wyśmiewać, że gdy już mogę wyjść na przepustkę, to jak głupi siedzę w koszarach, i wyciągnął mnie razem z kilkoma kolegami do miasta. Dobrze pamiętam, to popołudnie; była nas wtedy cała paczka, chyba z ośmiu, byli z nami Staszek, Varga, a także Wicek, nieukończony student wyższej szkoły przemysłu artystycznego z drugiej kompanii (dostał się do „czarnych”, ponieważ na uczelni malował uparcie obrazy kubistyczne, za to teraz, żeby tu i ówdzie zaskarbić sobie jakieś względy, robił do wszystkich pomieszczeń ogromne rysunki węglem, wyobrażające husyckich wojowników z maczugami i cepami). Nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru, dokąd iść: do centrum Ostrawy nie wolno nam było chodzić, mogliśmy odwiedzać tylko niektóre dzielnice, a tam jedynie niektóre gospody. Zaszliśmy na sąsiednie przedmieście i okazało się, że mamy szczęście, bo w dawnej sali „Sokoła”, której żaden zakaz nie obejmował, była właśnie zabawa taneczna. Zapłaciliśmy przy wejściu niewielką sumę za wstęp i weszliśmy do środka. W dużej sali było wiele stołów i krzeseł, ale ludzi mniej; wszystkiego jakieś dziesięć dziewczyn; mężczyzn chyba ze trzydziestu, z tego połowę stanowili żołnierze z tamtejszych koszar artylerii; na nasz widok natychmiast zaostrzyli czujność, a my przez skórę czuliśmy, że lustrują nas i liczą.

Usiedliśmy przy długim pustym stole i kazaliśmy przynieść butelkę wódki, brzydka kelnerka jednak surowo oświadczyła, że w tym lokalu alkoholu się nie sprzedaje, Janek zamówił więc osiem flaszek lemoniady; potem od każdego z nas

wziął po banknocie i po chwili wrócił z trzema butelkami rumu, z których pod stołem dolewaliśmy potem do szklanek z lemoniadą. Robiliśmy to jak najdyskretniej, zdawaliśmy sobie bowiem sprawę, że artylerzyści nie spuszczają nas z oka, i wiedzieliśmy, że wcale nie byłoby od tego, żeby zadenuncjować nas za nielegalną konsumpcję alkoholu. Jednostki uzbrojone bowiem żywiły w stosunku do nas głęboką wrogość: z jednej strony widzieli w nas podejrzany element, morderców, złodziei i nieprzyjaciół, gotowych (w duchu ówczesnej literatury szpiegowskiej) dokonać w każdej chwili podstępnej zbrodni na ich spokojnych rodzinach, z drugiej strony (i to było chyba ważniejsze) zazdrościli nam, że mamy pieniądze i możemy sobie na wszystko pozwolić pięć razy łatwiej niż oni.

Na tym bowiem polegała niezwykłość naszej sytuacji: znaliśmy tylko zmęczenie i harówkę, co dwa tygodnie golono nam łby na zero, żeby włosy nie dodawały nam niepotrzebnej pewności siebie, byliśmy wyrzutkami, którzy niczego dobrego od życia już nie oczekują, ale mieliśmy pieniądze. Nie było tego dużo, ale dla żołnierza z jego dwiema przepustkami na miesiąc był to taki majątek, że w ciągu tych kilku godzin wolności (w tych paru dozwolonych miejscach) mógł się zachowywać jak bogacz i w ten sposób wynagrodzić sobie chroniczną bezsilność pozostałych długich dni.

A więc podczas gdy na podium kiepska orkiestra wygrywała na przemian to polkę, to walczyka, a na parkiecie kręciło się kilka par, spokojnie oglądaliśmy sobie dziewczęta i popijaliśmy lemoniadę, której alkoholowy posmak dawał nam teraz wyższość nad wszystkimi siedzącymi na sali; byliśmy w świetnym humorze; czułem, jak do głowy uderza mi rozkoszne uczucie koleżeństwa, uczucie kumplostwa, którego nie zaznałem od czasu, kiedy po raz ostatni grałem z Jarosławem i innymi w ludowej kapeli. A tymczasem Janek wymyślił, w jaki sposób sprzątnąć stąd artylerzystom jak najwięcej dziewcząt. Plan był genialny w swojej prostocie i szybko przystąpiliśmy do jego realizacji. Najenergiczniej zabrał się do dzieła Wicek, a że był z niego komediant i lubił się popisywać, odgrywał swoją rolę ku naszej uciechu jak najbardziej demonstracyjnie: poprosił do tańca jaskrawo umalowaną brunetkę i przyprowadził ją potem do naszego stołu; kazał nalać dla siebie i dla niej rumowej lemoniady i znacząco rzekł do dziewczyny:

– A więc zgoda?

Brunetka skinęła głową i stuknęła się z nim. W tej chwili już znalazł się koło nas wyrostek w mundurze artylerzysty z dwiema belkami plutonowego na wyłogach, zatrzymał się przed brunetką i jak najbardziej bezczelnym tonem zwrócił się do Wieka:

– Pozwolisz?

– Oczywiście, kolego, zatańcz sobie – rzekł Wicek.

Podczas gdy brunetka w idiotycznym rytmie polki hopsała z namiętym plutonowym, Janek dzwonił już po taksówkę; w dziesięć minut później taksówka była na miejscu, a Wicek stanął przy drzwiach wyjściowych; brunetka skończyła tańczyć, przeprosiła plutonowego, że musi iść do toalety, i po chwili słychać już było odjeżdżające auto.

Po Wieku odniósł sukces stary Ambroży z drugiej kompanii, który znalazł sobie jakąś starszą babkę, nędznie wyglądającą (co nie przeszkadzało artylerzystom zapamiętane się przy niej kręcić); po dziesięciu minutach zajechała taksówka i Ambroży odjechał z dziewczyną i z Vargą (który twierdził, że z nim żadna babka nie pojedzie) do umówionej gospody na drugim końcu Ostrawy, w ślad za Wiekiem. Potem następnym dwóm spośród nas udało się porwać jeszcze jedną dziewczynę, i na sali zostało nas tylko trzech: Staszek, Janek i ja. Artylerzyści łypali na nas z każdą chwilą bardziej złowieszczyim wzrokiem, ponieważ zaczęli pojmować związek między naszą przerzedzoną liczbą a zniknięciem trzech kobiet z ich łowieckiego terenu. Staraliśmy się mieć niewinny wyraz twarzy, ale czuliśmy, że szykuje się awantura.

– Teraz już tylko ostatnia taksówka, żebyśmy mogli wycofać się z honorem – powiedziałem i litościwie popatrzyłem na blondynkę, z którą na początku udało mi się raz zatańczyć, ale nie odważyłem się jej powiedzieć, żeby stąd ze mną pojechała; miałem nadzieję, że zrobię to przy następnym tańcu, tylko że artylerzyści tak jej pilnowali, że nie mogłem się do niej docisnąć.

– Nic się już nie da zrobić – orzekł Janek i podniósł się, żeby iść do telefonu.

Jednakże w miarę jak szedł przez salę, artylerzyści podnosili się od swoich stolików i otoczyli go całą gromadą. Awantura wisiała w powietrzu i groziła wybuchem, a mnie i Staszкови nie pozostało nic innego jak wstać od stołu i przepchać się do zagrożonego kolegi. Grupa artylerzystów oblegała Janka w milczeniu, ale nagle zjawił się wśród nich jakiś podpity sierżant (też miał widać butelkę pod stołem) i przerwał złowróżbne milczenie: zaczął wyluszczać, że jego ojciec za Pierwszej Republiki był bezrobotny i on nie ma już na to nerwów, żeby patrzeć, jak tu się panoszą ci burżuje z czarnymi wyłogami, że nie ma na to nerwów i niech go lepiej koledzy trzymają, żeby temu tu (miał na myśli Janka) nie dał po gębie. Janek milczał, a kiedy w oracji sierżanta nastąpiła króciutka pauza, zapytał grzecznie, czego by koledzy artylerzyści od niego chcieli. Żebyście się stąd jak najprędzej zmyli, rzekł artylerzysta, a Janek zapewnił, że właśnie

mamy ten zamiar, ale niech mu pozwolą zadzwonić po taksówkę. W tym momencie sierżanta mało szlag nie trafił:

– Do dupy – krzyczał wysokim głosem – do dupy z takim bajzlem, to my tyramy jak dzikie osły, wyjść nam nie wolno, dają nam w kość, forsy nie mamy, a oni, ci kapitaliści, ci dywersanci, te gnojki, będą się rozbijać taksówkami! Niedoczekanie! Żeby sam tymi rękami miał drani wydusić, taksówką stąd nie odjada!

Wszystkich ta kłótnia wciągnęła; koło żołnierzy skupili się również cywile i personel lokalu, który bał się jakiejś awantury. W tej chwili zobaczyłem swoją blondynkę; została sama przy stole i (obojętna na kłótnię) wstała, po czym skierowała się do ubikacji; niepostrzeżenie oddaliłem się od stłoczonej gromady i w przedsionku przy wejściu, gdzie mieściła się szatnia i toalety (oprócz szatniarki nikogo tam nie było), zaczepiłem ją; wpadłem w tę sytuację jak nie umiejący pływać w wodę i tak czy siak musiałem działać; pogrzebałem w kieszeni, wyciągnąłem kilka pomiętych banknotów stukoronowych i zapytałem:

– Nie poszłaby pani z nami? Będzie lepszy ubaw niż tutaj!

Utkwiła wzrok w pieniądzach i wzruszyła ramionami. Powiedziałem, że zaczekam na nią na ulicy, a ona skinęła głową, zniknęła w toalecie i po chwili wyszła już w płaszczu; uśmiechnęła się do mnie i oświadczyła, że jestem inny niż tamci. Sprawilo mi to pewną przyjemność, wziąłem ją pod rękę i przeprowadziłem na drugą stronę ulicy, za róg, skąd obserwowaliśmy wejście na salę „Sokoła”, czekając, kiedy pojawią się tam Janek i Staszek.

Blondynka spytała, czy jestem studentem, a kiedy powiedziałem, że tak, zwierzyła mi się, że wczoraj w szatni w fabryce skradziono jej pieniądze nie będące jej własnością, a należące do firmy, i że jest w rozpacz, bo mogą ją za to podać do sądu; spytała, czy mógłbym jej pożyczyć ze sto koron; sięgnąłem do kieszeni i dałem jej dwie zmięte stukoronówki.

Nie czekaliśmy długo, i obaj moi koledzy wyszli w furażerkach i w płaszczach. Gwizdnąłem na nich, ale w tej chwili z lokalu wypadli trzej inni żołnierze (bez płaszczy i czapek) i podbiegli do tamtych. Słyszałem pełen pogróżek ton pytań, słów wprawdzie nie rozumiałem, ale wyczułem, o co chodzi; szukali mojej blondynki. Potem jeden z nich rzucił się na Janka i zaczęła się bójka. Popędziłem w tę stronę. Staszek miał na sobie jednego artylerzystę, a Janek dwóch; niewiele brakowało, a byliby go powalili na ziemię, ale na szczęście nadbiegłem w porę i zacząłem młócić pięściami jednego z nich. Artylerzyści sądzili, że będą mieli przewagę liczebną, i od chwili gdy siły się wyrównały, stracili początkowy impet;

kiedy jeden z nich pod ciosem Staszka zgiął się wpół i zaczął jęczeć, wykorzystaliśmy powstałe wśród nich zamieszanie i szybko opuściliśmy pole bitwy.

Blondynka grzecznie czekała na nas za rogiem. Koledzy na jej widok wpadli w szaleńczy zachwyty, mówili, że jestem równy gość, chcieli mnie uściskać, a ja po raz pierwszy od dłuższego czasu byłem znowu naprawdę radosny i szczęśliwy. Janek wyciągnął spod płaszcza pełną butelkę rumu (nie mam pojęcia, w jaki sposób udało mu się ją ocalić podczas bójki) i uniósł ją w górę. Byliśmy w kapitalnym humorze, tylko że nie mieliśmy dokąd iść; z jednego lokalu nas wyrzucono, do innych nie wolno nam było wejść, taksówki nie dali nam wezwać zapalczywi rywale i nawet na ulicy groziła nam karna ekspedycja, którą mogli jeszcze przeciw nam urządzić. Ruszyliśmy szybko wąską uliczką, szliśmy między domami, a potem już tylko z jednej strony był mur, a z drugiej płoty; gdzieś pod płotem majaczyła drabina, a obok niej jakaś maszyna rolnicza z blaszanym siodełkiem.

– Tron – powiedziałem, a Janek posadził blondynkę na siodełku, które znajdowało się mniej więcej metr nad ziemią. Podawaliśmy sobie butelkę z rąk do rąk, piliśmy wszyscy czworo, blondynka zrobiła się nagle bardzo elokwentna i założyła się z Jankiem:

– O zakład, że nie pożyczysz mi setki!

Janek był wspaniałomyślny, wetknął jej stukoronówkę w rękę i po chwili dziewczyna miała zadarty płaszcz, podkasaną spódnicę, a jeszcze po chwili sama zdjęła majtki. Ujęła mnie za rękę i usiłowała przyciągnąć do siebie, ale ja miałem tremę, wyrwałem się jej i popchnąłem ku niej Staszka, który nie przejawiał najmniejszego wahania i z całym zdecydowaniem wszedł między jej uda. Trwali tak razem zaledwie jakieś dwadzieścia sekund; chciałem dać pierwszeństwo Jankowi (z jednej strony chciałem zachować się jak gospodarz, z drugiej zaś miałem solidną tremę), ale tym razem blondynka była rezolutniejsza, szarpnęła mnie ku sobie, a kiedy wskutek podniecających dotknięć dojrzałem wreszcie do tego, o co jej chodziło, szepnęła mi czule do ucha:

– Dla ciebie tu jestem, głuptasku – po czym zaczęła wzdychać, tak że naprawdę doznałem nagle uczucia, że to subtelna dziewczyna, która mnie kocha i którą ja kocham; wzdychała i wzdychała, a ja nie ustawałem, aż naraz usłyszałem jakiś ordynarny wyraz wypowiedziany przez Janka, raptem uświadomiłem sobie, że to nie jest dziewczyna, którą kocham, i odsunąłem się od niej gwałtownie, tak że blondynka aż się przestraszyła.



– Co się wygłupiasz? – powiedziała, ale już był przy niej Janek i głośne westchnienia odezwały się na nowo.

Wróciliśmy tego dnia do koszar dopiero koło drugiej w nocy. O wpół do piątej musieliśmy wstawać na ochotniczą zmianę niedzielną, za którą nasz komendant dostawał premię, a my zarabialiśmy sobie na nasze przepustki co drugą sobotę. Byliśmy niewyspani, mieliśmy w żyłach alkohol, ale mimo że w mroku sztolni poruszaliśmy się jak widma, miło wspominałem poprzedni wieczór.

Gorzej było w dwa tygodnie później: z powodu jakiegoś zajścia Jankowi odebrano przepustkę i wyszedłem do miasta z dwoma chłopcami z innego plutonu, z którymi znałem się bardzo słabo. Poszliśmy na pewniaka do jakiejś babki, którą z powodu jej niesamowitego wzrostu przezwano Kandelabrem. Było to wyjątkowe brzydactwo, ale co robić, krąg kobiet, których względy mogliśmy pozyskać, był poważnie ograniczony, zwłaszcza naszymi skromnymi możliwościami czasowymi. Konieczność wykorzystania za wszelką cenę przepustki (tak rzadko przydzielanej i dającej tak mało czasu) doprowadzała żołnierzy do tego, że dawali pierwszeństwo temu, co pewne, przed tym, co znośne. Z biegiem czasu ustalono w drodze wywiadu i wzajemnych informacji zestaw (wprawdzie kiepski) takich mniej więcej pewnych (i oczywiście zaledwie znośnych) kobiet i oddano do powszechnego użytku.

Kandelabr należała do tego właśnie zestawu; zupełnie mi to nie przeszkadzało; kiedy obaj chłopcy żartowali na temat jej nienormalnego wzrostu i chyba z pięćdziesiąt razy powtarzali dowcip, że musimy znaleźć jakąś cegłę, żeby na niej stanąć, jak przyjdzie co do czego, te ich żarty (ordynarne i nudne) sprawiały mi dziwną przyjemność i potęgowały moje namiętne pragnienie kobiety; jakiegokolwiek kobiety; im mniej zindywidualizowana, tym lepiej; tym lepiej, jeśli to będzie byle jaka kobieta.

Ale chociaż tego już sobie popiłem, moje namiętne pragnienie kobiety osłabło, kiedy ujrzałem dziewczynę zwaną Kandelabrem. Wszystko wydało mi się niesmaczne i bez sensu, a ponieważ nie było tam ani Janka, ani Staszka, nikogo, kogo bym lubił, następnego dnia miałem straszliwego kaca, a zrodzony z niego sceptycyzm sięgał także wstecz i ogarnął również przygodę sprzed dwóch tygodni; przysięgłem sobie, że nigdy już nie chcę mieć ani dziewczyny na siodełku maszyny rolniczej, ani pijanego Kandelabra...

Może odezwały się we mnie jakieś zasady moralne? Bzdura: była to po prostu niechęć. Ale dlaczego niechęć, skoro jeszcze kilka godzin temu miałem

piekielną chęć na kobietę, przy czym wściekła namiętność tego pragnienia wiązała się właśnie z tym, że było mi programowo obojętne, kim będzie ta kobieta? Może byłem subtelniejszy niż inni i brzydkiły mnie prostytutki? Bzdura: to było nieoczekiwane rozżalenie.

Rozżalenie wypływające z oczywistego zrozumienia, że ta sytuacja nie była czymś wyjątkowym, czymś, co wybrałem sobie z przesytu, z kaprysu, z nieodpartego pragnienia, żeby przeżyć wszystko (wzniosłe i niskie), ale że stała się zasadniczą, typową i zwykłą sytuacją w moim obecnym życiu. Że dokładnie wyznaczała ona krąg moich możliwości, że dokładnie określała perspektywy mojego życia erotycznego, które od teraz ma mi przypaść w udziale. Że ta sytuacja nie była wyrazem mojej wolności (tak jak mógłbym ją pojmować, gdyby działało się to, powiedzmy, o rok wcześniej), ale wyrazem mojej determinacji, mego ograniczenia, mego skazania. I poczułem strach. Strach przed tymi żalonymi perspektywami, strach przed takim losem. Czułem, jak moja dusza kuli się w sobie, jak zaczyna cofać się przed tym wszystkim, a jednocześnie przerażało mnie, że nie ma się dokąd wycofać z tego obłączenia.

## 7

Ów smutek płynący z żalonych perspektyw życia miłosnego znali (lub przynajmniej podświadomie odczuwali) u nas wszyscy. Fryderyk (autor manifestacji pokojowych) bronił się przed tym, pogrążając się w głębiach swojej jaźni, gdzie widać przebywał jego mistyczny Bóg; w sferze erotycznej odpowiednikiem owej religijnej mentalności był onanizm, który uprawiał z rytualną systematycznością. Inni bronili się w sposób o wiele bardziej hipokrytyczny, cyniczne wyprawy na dziwki uzupełniali najbardziej sentymentalnym romantyzmem: ten i ów miał w domu ukochaną, którą tutaj w intensywnych wspomnieniach ozłacał promienną, migocącą aureolą; ten i ów wierzył w długotrwałą Wierność i wierne Czekanie; ten i ów wmawiał sobie skrycie, że pijana dziwka, którą poderwał w knajpie, żywi dla niego wzniosłe i czyste uczucie. Staszka dwa razy odwiedziła pewna dziewczyna z Pragi, z którą coś go łączyło przed wojskiem (a której wtedy nie traktował zbyt poważnie), i Staszek nagle się rozkleił i postanowił (zgodnie ze swoim postrzelonym usposobieniem), że natychmiast się z nią ożeni. Mówił wprawdzie, że robi to, żeby dostać dwa dni urlopu z okazji ślubu, ale ja wiedziałem, że to tylko świadomie cyniczna wymówka. W pierwszych dniach marca dowódca rzeczywiście udzielił mu dwudniowego urlopu i Staszek pojechał na sobotę i

niedzielę do Pragi, żeby się ożenić. Pamiętam to bardzo dokładnie, ponieważ dzień Staszkowego ślubu i dla mnie stał się dniem ogromnie ważnym.

Dostałem przepustkę, a że po ostatnim wolnym popołudniu zmarnowanym z Kandelabrem było mi smutno, wymknąłem się kolegom i poszedłem sam. Wsiadłem do kolejki podmiejskiej, to znaczy do starego tramwaju, jadącego po wąskich szynach i łączącego odległe dzielnice Ostrawy, i pozwoliłem, by mnie wiozł przed siebie. Potem na chybił trafił wysiadłem i na chybił trafił wsiadłem znowu do tramwaju innej linii; całe te bezkresne ostrawskie peryferie, gdzie w przedziwny sposób fabryki mieszają się z zielenią, pola ze śmietniskami, małe łaski z hałdami, a kamienice z chałupami wiejskimi, w szczególny sposób pociągały mnie i intrygowały; wysiadłem znów z tramwaju i ruszyłem pieszo na długi spacer; niemal z pasją obserwowałem tę dziwną okolicę i usiłowałem nazwać słowami to, co temu pejzażowi, złożonemu z tak różnorodnych elementów, nadaje jednolity charakter i ład; przechodziłem obok sielankowego domku wiejskiego oplecionego bluszczem i przyszło mi na myśl, że jest tu na swoim miejscu właśnie dlatego, że po prostu nie pasuje do odrapanych kamienic, które stoją w jego pobliżu, ani do sylwetek wież wiertniczych, kominów i pieców, tworzących jego tło; mijałem niskie nędzne domki, które tworzyły jakąś osadę w osadzie, i kawałek dalej zobaczyłem willę, szarą wprawdzie i brudną, ale otoczoną ogrodem z żelaznym parkanem; w rogu ogrodu rosła duża wierzba płacząca, która w tym krajobrazie była jakimś przybłędą, a jednakże – myślałem sobie – chyba właśnie dlatego świetnie do niego pasuje. Byłem wstrząśnięty wszystkimi tymi drobnymi przejawami niestosowności, nie tylko dlatego, że widziałem w nich wspólny mianownik tego pejzażu, ale przede wszystkim dlatego, że dostrzegałem w nich odbicie swego własnego losu, swojego własnego tutaj wygnania; a jednak: spojrzenie na moją osobistą historię przez pryzmat całego tego miasta dawało mi jakieś ukojenie; rozumiałem, że jestem tutaj nie na miejscu tak samo jak ta wierzba płacząca i domek spowity bluszczem, jak te krótkie uliczki wiodące w pustkę, donikąd, uliczki utworzone z domków, które jak gdyby przywędrowały tu każdy skądinąd, byłem tutaj tak samo nie na miejscu, jak nie na miejscu – w tym pogodnym niegdyś wiejskim krajobrazie – były owe potworne dzielnice tandetnych domków, i uświadomiłem sobie, że właśnie dlatego, że jestem tu zupełnie nie na miejscu, muszę tu być, w tym przerażającym mieście rzeczy niedostosowanych, mieście, które w bezwzględnym uścisku zespoliło wszystko, co sobie nawzajem obce.

Potem znalazłem się na długiej ulicy Petrkovic: była to dawna wieś będąca dzisiaj jednym z bliskich przedmieść Ostrawy. Zatrzymałem się przed nieco

większym jednopiętrowym budynkiem, na którego narożniku umocowany był pionowy napis: KINO.

Nasunęło mi się pytanie, zupełnie nieistotne, takie jakie może przyjść do głowy wałęsającemu się przechodniowi: jak to możliwe, żeby obok słowa KINO nie widniała również nazwa tego kina? Rozejrzałem się, ale na budynku (który zresztą niczym kina nie przypominał) żadnego innego napisu nie było. Budynek ten od sąsiedniego domu dzieliła dwumetrowa mniej więcej przestrzeń, tworząca wąską uliczkę; poszedłem tamtędy i znalazłem się na podwórzu; tutaj dopiero było widać, że budynek ma od tyłu na parterze jakieś pomieszczenia; na murze znajdowały się oszklone gabloty z plakatami i fotosami filmowymi; podszedłem bliżej, ale i tutaj nie znalazłem nazwy kina; rozejrzałem się i naprzeciwko, za drucianym ogrodzeniem sąsiedniego podwórza, zobaczyłem dziewczynkę. Zapytałem ją, jak się to kino nazywa; dziewczynka spojrzała zdziwiona i powiedziała, że nie wie. Pogodziłem się więc z faktem, że kino nie ma nazwy, że na tym ostrawskim wygwizdowie kin nie stać nawet na nazwę.

Zawróciłem (bez żadnego zamiaru) z powrotem do oszklonej gabloty i teraz dopiero dotarło do mnie, że film, reklamowany plakatem i dwoma fotosami, to obraz radziecki *Sąd honorowy*. Był to ten sam film, na który bohaterko powoływała się Małgorzata, kiedy zachciało jej się odegrać w moim życiu szlachetną rolę samarytanki, ten sam film, na którego co bardziej rygorystyczne aspekty powoływali się towarzysze prowadzący przeciwko mnie postępowanie dyscyplinarne; wszystko to wystarczająco obrzydziło mi ów film, tak że nie chciałem już o nim słyszeć; ale proszę, oto nawet tu, w Ostrawie, nie unikałem jego groźnie wzniesionego palca... No cóż, jeśli nie podoba się nam ów podniesiony palec, możemy się odwrócić do niego plecami. Tak właśnie zrobiłem i ruszyłem z podwórza z powrotem na petrkovicką ulicę.

I wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Łucję.

Nadchodziła właśnie w moim kierunku; weszła na podwórze kina; dlaczego nie minąłem jej i nie poszedłem dalej? Czy sprawił to wyjątkowo włóczęgowski charakter mego wolnego popołudnia? Czy kryło się to w specyficznym przedwieczornym oświetleniu podwórza? Dość, że zatrzymałem się jeszcze na chwilę i nie wyszedłem na ulicę; a może zawinił wygląd Łucji? A przecież wyglądała całkiem zwyczajnie, i chociaż później właśnie ta zwyczajność tak mnie wzruszała i pociągała, jak to się stało, że zafrapowała mnie i kazała się zatrzymać od razu, od pierwszego wejrzenia? Czyż takich zwyczajnych dziewcząt nie spotykałem więcej na ostrawskich ulicach? A może właśnie ta zwyczajność była tak niezwykła? Nie wiem. Pewne jest tylko, że przystanąłem i patrzyłem w

ślad za dziewczyną: szła wolnym krokiem, nie spiesząc się, w stronę gabloty i przyglądała się fotosom *Sądu honorowego*, potem z wolna się od nich oderwała i przez otwarte drzwi małego hallu przeszła dalej, do kasy. Tak, już się domyślałam, to była właśnie ta specyficzna powolność Łucji, powolność, z której jak gdyby promieniowała zrezygnowana uległość, świadomość, że nie ma się dokąd spieszyć, że nie ma sensu niecierpliwie wyciągać do czegoś rąk. Tak, chyba rzeczywiście ta powolność pełna smutku kazała mi z daleka śledzić dziewczynę, jak podchodzi do kasy, jak wyjmuje drobne, bierze bilet, zagląda na salę, a potem odwraca się i znowu wychodzi na podwórze.

Nie spuszczałem z niej oczu. Stała do mnie tyłem, utkwivszy spojrzenie dalej, poza podwórzem, gdzie ogrodzone drewnianymi opłotkami ogródki i wiejskie chałupy ciągnęły się pod górę, aż tam, gdzie zamykał je kontur brunatnego kamieniołomu. (Nigdy nie zdołam zapomnieć tego podwórza, pamiętam każdy jego szczegół, pamiętam drucianą siatkę, która dzieliła je od sąsiedniego podwórza, gdzie ze schodków wiodących do domu gapiła się mała dziewczynka, pamiętam, że te schodki zamykał z dwóch stron murek, na którego stopniach stały dwie puste doniczki i szara miednica; pamiętam słońce, zadymione, osuwające się nad kontur kamieniołomu.)

Była za dziesięć szósta, to znaczy, brakowało dziesięciu minut do rozpoczęcia seansu. Łucja odwróciła się i powoli ruszyła przez podwórze na ulicę; poszedłem za nią; zamknął się za mną obraz spustoszonej wsi ostrawskiej i znowu ukazała się miejska ulica; o pięćdziesiąt kroków stąd znajdował się mały placzyk, starannie utrzymany, z paroma ławkami i skwerkiem, zza którego przeświecał pseudogotycki budynek z czerwonej cegły. Obserwowałem Łucję: usiadła na ławce, powolność nie opuszczała jej ani na chwilę, mógłbym niemal powiedzieć, że nawet siedziała powoli; nie rozglądała się, nie wodziła oczami, siedziała, jak siedzi człowiek, który czeka na operację albo na coś, co nas na tyle absorbuje, że nie rozglądamy się, zapatrzeni w siebie; chyba ta właśnie okoliczność pozwoliła mi przechadzać się obok i przyglądać się jej tak, że nie zdawała sobie z tego sprawy.

Mówi się o miłości od pierwszego wejrzenia; zbyt dobrze wiem, że miłość sama przez się ma skłonności do stwarzania legendy i mitologizowania z perspektywy czasu własnych początków; nie chcę zatem twierdzić, że chodziło tu o taką właśnie nagłą miłość, ale jakieś jasnowidzenie miało tu jednak miejsce; ową kwintesencję tego, czym potem Łucja dla mnie była, zrozumiałem, poczułem, ujrzałem momentalnie, natychmiast; Łucja odsłoniła mi się sama, tak jak odsłaniają się ludziom prawdy objawione. Patrzałem na nią, przyglądałem

się jej prowincjonalnej trwałej ondulacji, skrecającej włosy w bezkształtną masę drobnych loczków; przyglądałem się jej brązowemu, ubożutkiemu, zniszczonemu i trochę przykrótkiemu płaszczykowi, przyglądałem się jej twarzy, niepozornie pięknej, pięknie niepozornej; czułem, że w tej dziewczynie jest spokój i prostota, i skromność, i że wszystko to są wartości, których mi potrzeba; zdawało mi się zresztą, że jesteśmy sobie bardzo bliscy; że w jakiś tajemniczy sposób wszystko jest między nami (choć się nie znamy) zupełnie oczywiste; miałem wrażenie, że wystarczy, bym tylko podszedł do dziewczyny i zagadnął ją, a w chwili gdy (wreszcie) spojrzy mi w twarz, musi uśmiechnąć się chyba tak, jakby stanął przed nią nagle jej brat, którego od kilku lat nie widziała.

Potem Łucja podniosła głowę; patrzyła w górę na zegar na wieży (również i ten gest mam upamiętniony w mózgu; gest dziewczyny, która nie ma na ręce zegarka i która automatycznie siada twarzą do zegara). Wstała i skierowała się w stronę kina; chciałem do niej podejść, nie brakowało mi odwagi, ale nagle zabrakło mi słów, pierś miałem pełną uczuć, ale w głowie ani jednej sylaby; w ślad za dziewczyną doszedłem znowu aż do małego hallu, gdzie znajdowała się kasa i skąd widać było salę świecącą pustkami. Pusta widownia ma w sobie coś odpychającego; Łucja zatrzymała się i rozejrzała niepewnie, w tej chwili do hallu weszło parę osób i skierowało się do kasy; ubiegłem je i kupiłem bilet na antypatyczny mi film.

Dziewczyna weszła tymczasem na widownię; poszedłem za nią; w na wpół pustej sali numeracja krzeseł zatraciła sens i każdy siadał, gdzie chciał; wszedłem do tego samego rzędu, gdzie siedziała Łucja, i zająłem miejsce obok niej. Rozległa się głośna muzyka z jakiejś zdartej płyty, światło na sali zgasło i na ekranie pojawiły się reklamy. Łucja musiała zdawać sobie sprawę, że to nie jest przypadek, iż żołnierz z czarnymi wyłogami usiadł właśnie koło niej, na pewno przez cały czas uświadamiała sobie i czuła moje sąsiedztwo, musiała chyba odczuwać je tym bardziej, że ja sam skoncentrowałem uwagę bez reszty na jej osobie; nie widziałem, co się dzieje na ekranie (co za śmieszna zemsta: cieszyłem się, że film, na który tak często powoływali się moi moralisci, przesuwa się teraz przede mną na ekranie, a ja nie poświęcam mu najmniejszej uwagi).

Potem film się skończył, zabłyśły światła, garstka widzów podniosła się ze swych miejsc. Również i Łucja wstała. Wzięła płaszcz, który trzymała złożony na kolanach, i wsunęła rękę do rękawa. Szybko włożyłem furażerkę, żeby nie zobaczyła mojej ostrzyżonej na zero głowy, i bez słowa pomogłem jej naciągnąć drugi rękaw. Rzuciła mi krótkie spojrzenie i nic nie powiedziała, tylko nieznacznie poruszyła głową, ale nie wiedziałem, czy ma to oznaczać podzięko-

wanie, czy też był to ruch całkiem mimowolny. Potem drobnymi kroczkami wyszła z rzędu krzeseł. Szybko narzuciłem również mój zielony płaszcz (był dla mnie za długi i bardzo mi w nim było nie do twarzy) i podażyłem za nią. Jeszcze na sali odezwałem się do niej.

Zupełnie jakbym w czasie tych dwóch godzin, kiedy siedziałem obok niej i patrzyłem na nią, nastroił się na jej falę; naraz wiedziałem, jak z nią rozmawiać, jakbym ją dobrze znał; nie zacząłem rozmowy od żadnego dowcipu czy paradoksu, jak to miałem w zwyczaju, ale byłem całkiem naturalny – samego mnie to dziwiło, ponieważ do tej pory zawsze wobec dziewcząt uginałem się pod ciężarem różnych masek.

Spytałem ją, gdzie mieszka, co robi, czy często chodzi do kina. Powiedziałem jej, że pracuję w kopalni, że to straszna mordęga, że rzadko mogę wychodzić do miasta. Mówiła, że pracuje w fabryce, że mieszka w internacie, że o jedenastej muszą być w domu, że do kina chodzi często, ponieważ nie bawia jej potańcówki. Powiedziałem, że chciałbym pójść z nią do kina, jak znów będzie miała kiedyś wolny czas. Oświadczyła, że woli chodzić sama. Zapytałem, czy to dlatego, że czuje się smutna. Kiwnęła głową. Powiedziałem, że mnie również nie jest wesoło.

Nic nie zbliża ludzi szybciej (choć często pozornie tylko i fałszywie) niż smutne, melancholijne zrozumienie; ta atmosfera spokojnej wspólnoty, która usypia wszelkie obawy i hamulce i którą zrozumieć mogą dusze subtelne i wulgarne, wyrafinowane i prymitywne, jest najprostszym, a przecież tak rzadkim sposobem zbliżenia; trzeba bowiem odrzucić wypracowaną starannie „postawę psychiczną\*”, wypracowane gesty i mimikę i być sobą; nie wiem, jak udało mi się to (nagle, bez przygotowania) osiągnąć, jak to się mogło udać mnie, który zawsze po omacku błądziłem wśród swoich sztucznych twarzy; nie wiem, ale odczułem to jako nieoczekiwany dar i cudowne wyzwolenie.

Mówiliśmy więc sobie nawzajem najzwyklejsze rzeczy o sobie; nasza obustronna spowiedź była krótka i rzeczowa. Doszliśmy aż do internatu i tam staliśmy jeszcze przez chwilę; latarnia rzucała światło na Łucję, a ja patrzyłem na jej brązowy płaszczyk i gładziłem ją, nie po twarzy czy po włosach, ale po zniszczonym materiale tego wzruszającego płaszczyka.

Pamiętam jeszcze, że latarnia się kołysała; że obok nas przeszły z nieprzyjemnie hałaśliwym śmiechem młode dziewczyny i otworzyły drzwi do internatu, pamiętam spojrzenie w górę, wzdłuż ściany tego budynku, w którym mieszkała Łucja, ściany szarej i gołej, z oknami bez gzymsów; pamiętam też

twarz Łucji, która (w porównaniu z twarzami innych dziewcząt znanych mi z tego rodzaju sytuacji) była bardzo spokojna, pozbawiona mimiki i przypominała twarz uczennicy przed tablicą, pokornie recytującej (bez sprzeciwu i bez oszukiwania) tylko to, co wie, nie zabiegającej ani o dobry stopień, ani o pochwałę.

Umówiliśmy się, że napiszę do Łucji kartkę pocztową, żeby ją zawiadomić, kiedy znowu dostanę przepustkę i kiedy się zobaczymy. Pożegnaliśmy się (bez pocałunków i dotknięć) i odszedłem. Kiedy oddaliłem się o parę kroków, obejrzałem się i zobaczyłem ją, jak stoi przy drzwiach, nie otwiera, stoi i patrzy za mną; dopiero teraz, kiedy byłem daleko, wyzbyła się swojej powściągliwości i jej spojrzenie (dotychczas nieśmiałe) długo na mnie spoczywało. A potem uniosła rękę, jak ktoś, kto nigdy nie machał ręką i robić tego nie potrafi, a wie tylko, że na pożegnanie się macha, i dlatego nieporadnie zdecydował się na ten gest. Zatrzymałem się i ja również pomachałem jej ręką; patrzyliśmy na siebie z tej odległości, znów zrobiłem parę kroków i znów przystanąłem (Łucja ciągle poruszała ręką), i tak powoli się oddalałem, aż w końcu skręciłem za róg i zniknęliśmy sobie z oczu.

## 8

Od tego wieczoru wszystko się we mnie zmieniło; w mojej duszy znowu ktoś zamieszkał; nie miałem już w sobie jedynie owej żalostnej pustki, w której kłębiły się (jak śmieci w splądrowanym pokoju) żale, wyrzuty i skargi; moja dusza była znowu pokojem nagle uprzątniętym, w którym ktoś zamieszkał. Zegar wiszący na jego ścianie, o wskazówkach nie poruszanych przez długie miesiące, naraz zaczął chodzić. To było znamienne: czas, który do tej pory płynął jak obojętny strumień znikąd donikąd (w moim życiu trwała przecież pauza), bez jakiegokolwiek artykulacji, bez jakiegokolwiek rytmu, znowu zaczął odzyskiwać ludzką twarz: zaczął się dzielić na okresy i dawał się obliczać. Zacząłem zabiegać o przepustki, a pojedyncze dni zmieniały się dla mnie w szczeble drabiny, po której wspinałem się do Łucji.

Nigdy w życiu żadnej innej kobiecie nie poświęciłem tylu myśli, tyle milczącego skupienia co jej (zresztą nigdy już nie miałem na to tyle czasu). Dla żadnej kobiety nie czułem nigdy tyle wdzięczności.

Wdzięczności? Za co? Łucja wyrwała mnie przede wszystkim z kręgu owych żalostnych perspektyw życia miłosnego, który więził nas wszystkich. To prawda: i świeżo ożeniony Staszek wyrwał się na swój sposób z tego kręgu, miał teraz w domu, w Pradze, swoją ukochaną żonę, mógł o niej myśleć; mógł malować sobie



w myślach daleką przyszłość swojego małżeństwa, mógł się cieszyć, że jest kochany. Ale nie było mu czego zazdrościć. Przez fakt ożenku wprowadził w ruch swój los i już w chwili, gdy wsiadał do pociągu i wracał do Ostrawy, tracił na niego jakikolwiek wpływ; i tak tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu do jego początkowego spokoju sączyło się coraz więcej bezsilnej troski o to, co się dzieje w Pradze z jego własnym życiem, od którego był tu odcięty i do którego nie wolno mu było wrócić.

I ja poprzez spotkanie z Łucją wprowadziłem w ruch mój los; ale nie traciłem go z oczu; spotykałem się z Łucją rzadko, ale mniej więcej regularnie, i wiedziałem, że potrafi czekać na mnie dwa tygodnie i dłużej i że po tej przerwie powita mnie tak, jakbyśmy rozstali się wczoraj.

Ale Łucja uwolniła mnie nie tylko od ogólnego kociokwiku, wywołanego żalonym charakterem ostrawskich przygód miłosnych. Wiedziałem już wprawdzie w tym czasie, że przegrałem swoją walkę i że nic już nie zmienię w swoich czarnych wyłogach, wiedziałem, że nie ma sensu stronić od ludzi, obok których miałem żyć dwa lata albo i więcej, że nie ma sensu występować stale z reklamacjami o prawo powrotu na swoją poprzednią drogę życia (której uprzywilejowanie zaczynałem już rozumieć), jednakże ta zmiana postawy była jedynie sprawą rozumu, woli, i nie mogła uwolnić mnie od wewnętrznego płaczu nad „zmarowanym życiem”. Ten wewnętrzny płacz Łucja w cudowny sposób uciszyła. Wystarczyło, że czułem ją obok siebie wraz z całym ciepłym kręgiem jej życia, w którym żadnej roli nie odgrywała kwestia kosmopolityzmu i internacjonalizmu, czujność partyjna, spory o definicję dyktatury proletariatu, polityka ze swoją strategią, taktyką i polityką kadrową.

Owe problemy (tak nierozdzielnie związane z pewnym okresem, że ich terminologia już wkrótce będzie niezrozumiała) były przyczyną mojej klęski i do nich właśnie lgnąłem całym sercem. Mogłem wobec rozmaitych komisji podawać dziesiątki powodów, dla których zostałem komunistą, ale to, co mnie w ruchu najbardziej pociągało, ba, wręcz urzekało, to był ster historii, w którego pobliżu (obojętne, rzeczywiście czy rzekomo) się znalazłem. Wtedy bowiem naprawdę decydowaliśmy o losach ludzi i spraw, i to właśnie na wyższych uczelniach; w gronie profesorskim było wtedy niewiele komunistów, toteż w pierwszych latach po wojnie na wyższych uczelniach partyjni studenci rządili niemal sami, decydując o obsadzaniu katedr profesorskich, o reformie i planach nauczania. Upojenie, w którym trwaliśmy, nazywa się zwykle upojeniem władzą, ale (przy odrobinie dobrej woli) mógłbym znaleźć i mniej surowe słowa: byliśmy urzeczeni historią; upajało nas to, że wskoczyliśmy na siodło historii i że jest nam powolna;

istotnie, przerodziło się to później przeważnie w odrażającą żądzę władzy, ale (tak jak dwuznaczne jest wszystko, co ludzkie) była w tym (i to chyba właśnie u nas, młodzieniaszków) jednocześnie szlachetna iluzja, że to właśnie my rozpoczynamy ową epokę ludzkości, w której człowiek (żaden człowiek) nie będzie się znajdował poza historią, ani pod butem historii, ale będzie kierował nią i ją tworzył.

Byłem przekonany, że poza kręgiem owego steru historii (którego w upojeniu dotykałem) nie ma życia, tylko wegetacja, nuda, wygnanie, Sybir. A teraz nagle (po pół roku Sybiru) ujrzałem zupełnie nową i nieoczekiwaną możliwość życia: otwarła się przede mną zapomniana łąka powszedniości, ukryta pod szumiącymi skrzydłami historii, a na tej łące stała skromniutka, biedna, a przecież godna miłości kobieta – Łucja.

Co wiedziała Łucja o tych wielkich skrzydłach historii? Może zaledwie niekiedy docierał do niej ich szum; nie wiedziała o historii nic; żyła poza nią; nie tęskniła do niej, historia była jej obca; nie wiedziała nic o wielkich przejściowych trudnościach, żyła dla trudności małych i wiecznych. A ja zostałem nagle wyzwolony; wydawało mi się, że przyszła po mnie, żeby mnie wprowadzić do swego szarego raję; i ów krok, który przed chwilą wydawał mi się straszny, krok, którym miałem wyjść z historii, stał się dla mnie nagle krokiem przynoszącym ulgę i szczęście. Łucja nieśmiało trzymała mnie za rękę, a ja pozwalałem się prowadzić.

Łucja była moją szarą przewodniczką. Ale czym była Łucja według bardziej konkretnych danych?

Miała dziewiętnaście lat, ale w rzeczywistości chyba o wiele więcej, jak to zwykle kobiety, które miały twarde życie i z wieku dziecięcego rzucone zostały na łeb, na szyję prosto w wiek dojrzały. Mówiła, że pochodzi z Chebu, że ukończyła szkołę dziewięcioklasową, a potem uczyła się zawodu. O swoim domu mówiła niechętnie, a jeśli mówiła o nim w ogóle, to tylko dlatego, że ją do tego zmuszałem. W domu czuła się źle. Rodzice mnie nie kochali – mówiła i przytaczała różne przykłady: matka po raz drugi wyszła za mąż; ojczym pił i był dla niej niedobry; kiedyś rzucili na nią podejrzenie, że ukryła przed nimi jakieś pieniądze, poza tym bili ją. Kiedy nieporozumienia jeszcze bardziej się zaostrzyły, Łucja skorzystała z okazji i wyjechała do Ostrawy. Mieszka tu już cały rok; ma koleżanki, ale woli być sama, jej koleżanki chodzą na tańce i sprowadzają sobie do internatu chłopców, a ona tego nie chce; jest poważna z natury; woli chodzić do kina.

Tak mówiła o sobie, że jest „poważna”, i łączyła tę cechę z chodzeniem do kina; najbardziej lubiła filmy o wojnie, których w tym czasie wyświetlano bardzo wiele; może lubiła je dlatego, że było w nich nagromadzone ludzkie cierpienie i Lucja oglądając je doznawała uczucia litości i żalu, o których sądziła, że ją uszlachetniają i umacniają w jej „powadze”, którą u siebie lubiła. Kiedyś wspomniała także, że widziała „bardzo piękny film” – był to *Miczurin Dowżenki*; bardzo się jej podobał i motywowała to trzema przyczynami: wspaniale pokazano tam piękno przyrody; ona zawsze strasznie lubiła kwiaty; człowiek, który nie kocha drzew, nie jest dobrym człowiekiem.

Niesłuszne byłoby sądzić, że w Lucji pociągała mnie tylko egzotyka jej prostoty; prostota Lucji i jej skromne wykształcenie zupełnie nie przeszkadzały, aby mnie rozumiała. To zrozumienie nie tkwiło w doświadczeniu czy wiadomościach, w umiejętności dyskusowania i udzielania rad, ale w pełnej intuicji uwadze, z jaką mnie słuchała.

Mam w oczach pewien letni dzień. Wyszedłem na przepustkę, jeszcze zanim Lucja skończyła pracę; zabrałem z sobą wtedy książkę; usiadłem na murku ogrodzenia i zacząłem czytać; z czytaniem było u mnie kiepsko, miałem za mało czasu i słabe kontakty ze znajomymi z Pragi; ale już jako rekrut wziąłem do kufierka trzy tomiki wierszy, które ciągle wertowałem i które były mi pociechą; były to poezje Franciszka Halasa.

Te książki odegrały w moim życiu szczególną rolę, szczególną już choćby dlatego, że nie jestem amatorem poezji i że były to jedyne zbiorki wierszy, jakie kiedykolwiek sobie upodobałem. Wpadły mi w rękę w okresie, kiedy już byłem usunięty z partii; właśnie wtedy nazwisko Halasa znowu stało się głośnie, a to dlatego, że główny ideolog tamtych lat oskarżył niedawno zmarłego poetę o dekadentyzm, brak wiary, egzystencjalizm, o wszystko, co w owym czasie miało posmak politycznej anatemy. (Książka, w której zebrał swoje poglądy na czeską poezję i na Halasa, wyszła wówczas w masowym nakładzie i obowiązkowo przerabiano ją na zebraniach w tysiącach kólek młodzieżowych.)

W chwilach niedoli człowiek szuka pociechy w tym, że zespala swój smutek ze smutkiem innych; i jeśli nawet jest w tym może coś śmiesznego, przyznaję się: wyszukałem wiersze Halasa dlatego, że chciałem poznać kogoś, kto także został ekskomunikowany; chciałem sprawdzić, czy rzeczywiście mój sposób myślenia przypomina mentalność ekskomunikowanego. Chciałem spróbować, czy smutek, o którym ów potężny ideolog twierdził, że jest chorobliwy i szkodliwy, nie sprawi mi choćby swym współbrzmieniem jakiejś radości (ponieważ w mojej sytuacji trudno mi było szukać radości w samej radości). Jeszcze przed wyjazdem do

Ostrawy pożyczyłem wszystkie trzy książki od dawnego kolegi szkolnego, który żywił kult dla literatury, a w końcu ubłagałem go, żeby nie żądał ode mnie ich zwrotu. I potem te wiersze zawsze już mi towarzyszyły.

Kiedy owego dnia Łucja zastała mnie na umówionym miejscu z książką w ręku, zapytała, co czytam. Pokazałem jej otwartą książkę.

– To są wierszyki – rzekła zdziwiona.

– Czy to dziwne, że czytam wierszyki?

Wzruszyła ramionami i powiedziała: „Dlaczego?”, ale myślę, że wydało jej się to dziwne, ponieważ wiersze łączyły się dla niej najprawdopodobniej z pojęciem lektury dla dzieci.

Wałęsaliśmy się wśród dziwnego ostrawskiego lata, pełnego sadzy, czarnego lata, nad którym zamiast białych obłoków sunęły na długich linach wagoniki z węglem. Widziałem, że książka w mojej ręce jakoś Łucję przyciąga. Toteż kiedy usiedliśmy w rzadkim lasku, który znajduje się pod Petrzvaldem, otworzyłem książkę i zapytałem:

– Interesuje cię to?

Kiwnęła głową.

Nikommu przedtem i nikomu potem nie czytałem wierszy; mam w sobie dobrze funkcjonujący bezpiecznik wstydu, który broni mi obnażać się zbyt wroczliwie wobec ludzi, mówić przy innych o swoich uczuciach; a czytać wiersze – to w moim pojęciu tak, jakbym nie tylko mówił o swoich uczuciach, ale jakbym mówiło nich stojąc na jednej nodze; pewna nienaturalność, która kryje się w samej istocie rytmu i rymu, wprowadzałyby mnie w zakłopotanie, gdybym miał oddawać się jej inaczej niż w samotności.

Ale Łucja miała tę cudowną moc (nikt inny po niej już jej nie miał), że panowała nad owym bezpiecznikiem i uwalniała mnie od brzemienia wstydu. Przy niej mogłem pozwolić sobie na wszystko: na szczerłość, na uczucie, na patos.

Czytałem więc:

Kłosem chudziutkim jest ciało twe  
ziarno wypadło zeń by nie wzejść nigdy  
jak kłos chudziutki jest ciało twe

Pasmem jedwabiu jest ciało twe  
żar je oznaczył po ostatnią falde  
jak pasmo jedwabiu jest ciało twe

Niebem spalonym jest ciało twe  
wśród tkanek czujnie śmierć już nasłuchuje  
jak niebo spalone jest ciało twe

Ciche tak ciche jest ciało twe  
płacz jego sprawia że drżą mi powieki  
ach jakże ciche jest ciało twe.\*

Obejmowałem ramiona Łucji (okryte cienkim płótnem sukienki w kwiaty), wyczuwałem je koniuszkami palców i uległem nasuwającej się sugestii, że wiersze, które czytam (ta rzewna litania), pasują właśnie do smutku jej ciała, cichego, pokornego ciała, skazanego na śmierć. I czytałem jej następne wiersze, także i ten, który do dzisiaj wywołuje przede mną jej obraz, a który kończy się tak:

Nie wierzę wam spóźnione słowa prawdziwe jest milczenie  
bo ponad pięknem ponad wszystkim  
króluje zrozumienie\*\*

Co ją doprowadziło do płaczu? Treść tych wierszy? Czy raczej trudny do określenia smutek, który płynął z melodii słów i barwy mego głosu? A może uduchowiła ją uroczysta niezrozumiałość wiersza, i Łucja była do łez wzruszona tym właśnie uduchowieniem? Albo też wiersze otwarły w niej ukrytą tamę, i trysnęła strumieniem nagromadzona gorycz? Nie wiem. Łucja jak małe dziecko obejmowała mnie za szyję, głowę przytuliła do przepoconego płótna zielonego munduru, który obciskał mi pierś, i płakała, płakała, płakała.

---

\* František Halas, *Cicho*, przełożył Andrzej Czcibor-Piotrowski.

\*\* František Halas, z wiersza *Słavnost porozumeni*, przełożył Andrzej Czcibor-Piotrowski.

Ileż to razy najrozmaitsze kobiety zarzucały mi w ostatnich latach (tylko dlatego, że nie umiałem odwzajemnić ich uczuć), że jestem zarozumiały. To nonsens, wcale nie jestem zarozumiały, ale prawdę mówiąc, samego mnie martwi, że od czasu kiedy jestem faktycznie dorosły, nie potrafiłem wykrzesać w sobie prawdziwego uczucia dla żadnej kobiety, że żadnej kobiety, jak się to mówi, nie kochałem. Nie jestem pewny, czy znam przyczyny tej swojej niezdolności, nie wiem, czy tkwią po prostu we wrodzonych mankamentach mego serca, czy też raczej w moim życiorysie; nie chcę być patetyczny, ale wygląda to tak: bardzo często powraca w moich wspomnieniach sala, w której sto osób podnosi rękę i w ten sposób wydaje rozkaz, by życie moje zostało złamane; tych sto osób nie przeczuło, że nadejdzie kiedyś rok pięćdziesiąty szósty i stosunki stopniowo ulegną zmianie; nie mogli przeczuć czegoś takiego, liczyli zatem, że moja ekskomunika będzie dożywotnia. Nie przez cierpiętnictwo, ale przez jakiś złośliwy upór, który jest cechą rozmyślań, zmieniałem często w różny sposób tę sytuację i wyobrażałem sobie, co by się na przykład stało, gdyby zamiast usunięcia mnie z partii zaproponowano dla mnie szubienicę. Nigdy nie mogłem dojść do innego wniosku jak tylko do tego, że i w tym wypadku wszyscy podnieśliby ręce, zwłaszcza gdyby w referacie wprowadzającym pożytek z powieszenia mnie został sugestywnie uzasadniony. Od tego czasu, kiedy spotykam mężczyzn, którzy mogliby być moimi przyjaciółmi, i kobiety, które mogłyby być moimi kochankami, przenoszę ich w duchu do tej sali i zadaję sobie pytanie, czy podnieśliby rękę; nikt temu egzaminowi nie sprostał; wszyscy podnosili rękę, tak jak podnieśli ją (obojętne, chętnie czy niechętnie, z przekonania czy ze strachu) ówcześni moi przyjaciele i znajomi. Przyznajcie więc sami: trudno jest współżyć z ludźmi, którzy byliby zdolni posłać was na wygnanie czy na śmierć, trudno z nimi się zbliżyć, trudno ich kochać.

Może to było okrutne z mojej strony poddawać ludzi, z którymi się stykałem, tak bezwzględnej wyimaginowanej próbie, skoro najprawdopodobniej żyliby obok mnie mniej więcej spokojnym, powszednim życiem, poza dobrem i złem, i nigdy nie przeszliby przez prawdziwą salę, w której podnosi się rękę. Może ktoś powie nawet, że to, co robiłem, miało jeden jedyny cel: wywyższenie się w moim moralnym samolubstwie ponad innych. Ale zarzut pychy byłby doprawdy niesprawiedliwy; sam wprawdzie nigdy nie podniosłem ręki na czyjaś zgubę, ale dobrze wiedziałem, że jest to zasługa dość problematyczna, jako że prawa do podnoszenia ręki wystarczająco wcześniej mnie pozbawiono. Długi czas co prawda usiłowałem sobie przynajmniej wmówić, że w podobnej sytuacji nie

podniósłbym ręki, ale jestem na tyle uczciwy, że w końcu sam musiałem siebie wyśmiać: ja jeden nie podniósłbym ręki? ja jeden jestem sprawiedliwy? ach, nie, nie znajdowałem w sobie żadnej gwarancji, że byłbym lepszy od innych; tylko że co z tego wypływa, jeśli chodzi o mój stosunek do ludzi? Świadomość własnej małości absolutnie nie godzi mnie z małością innych. Czuję najgłębsze obrzydzenie, kiedy ludzie żywią dla siebie braterskie uczucia, dlatego że dojrzeli w sobie nawzajem podobną podłość. Nie tęsknię za takim oślizłym braterstwem.

Jak więc się to stało, że mogłem kochać Łucję? Rozważania, którym dałem upust przed chwilą, mają na szczęście późniejszą datę, tak że Łucję (w młodzieńczym wieku, kiedy więcej się smuciłem, niż myślałem) mogłem jeszcze przyjąć spragnionym sercem bez sceptycyzmu, jako dar; dar niebios (szarych, życzliwych niebios). Był to więc dla mnie szczęśliwy okres, może najszczęśliwszy w życiu: byłem zmordowany, umęczony, zaharowany, ale wewnątrz mnie z każdym dniem rozlewał się coraz bardziej błękitny spokój. To zabawne: gdyby kobiety, które dziś mają mi za złe moją zarozumiałość i podejrzewają, że uważam wszystkich za głupców, znały Łucję, z ironicznym uśmiechem nazwałyby ją głupią gęsią i nie mogłyby zrozumieć, że ją kochałem. A ja kochałem ją tak, że w ogóle nie dopuszczałem myśli, że mógłbym się kiedyś z nią rozstać; nigdy co prawda o tym z Łucją nie mówiliśmy, ale ja zupełnie poważnie żyłem w przeświadczeniu, że się z nią kiedyś ożenię. A jeżeli nawet przychodziło mi do głowy, że byłby to związek nierówny, to owa nierówność bardziej mnie pociągała, niż odpychała.

Powinienem za tych parę szczęśliwych miesięcy być wdzięczny również ówczesnemu komendantowi; podoficerowie dręczyli nas, jak mogli, szukali pyłka w załawkach naszych mundurów, rozrzucali nam pościel, kiedy znaleźli na niej choćby jedną fałdkę – ale komendant był przyzwoity. Był to starszy facet, przenieśli go do nas z pułku piechoty i mówiono, że to dla niego była degradacja. Jego zatem również dotknęło nieszczęście, i to chyba wewnętrznie go z nami godziło; wymagał od nas oczywiście porządku, dyscypliny i od czasu do czasu jakiejś niedzielnej szychty na ochotnika (żeby mógł się wobec przełożonych wykazać aktywnością polityczną), ale nigdy nie męczył nas niepotrzebnie i bez trudu dawał nam nasze przepustki co drugą sobotę; zdaje mi się nawet, że tego właśnie lata mogłem widywać się z Łucją aż trzy razy w miesiącu.

W dniach kiedy nie widziałem Łucji, pisywałem do niej; napisałem do niej niezliczoną ilość listów, kartek i widokówek. Nie potrafię już sobie dzisiaj dokładnie odtworzyć, jak i co do niej pisałem. Chętnie przeczytałbym te moje dawne listy, a jednocześnie cieszę się, że ich przeczytać nie mogę; to bardzo

dobrze, że człowiek nie może się spotkać z samym sobą w młodszym wydaniu, boję się, że wydałbym się sobie wstrętny, że w rezultacie podarłbym nawet to opowiadanie, ponieważ zrozumiałbym, że świadectwo, jakie tu sobie wystawiam, zbyt już nasiąkło moją obecną postawą, moim dzisiejszym sposobem myślenia. Ale któreż wspomnienia nie są jednocześnie (i mimo woli) przemalowywaniem starego obrazu? Któreż nie są jednoczesnym ukazaniem dwóch twarzy, tej obecnej i tej dawnej? Jaki byłem naprawdę – bez pośrednictwa dzisiejszych wspomnień – tego już nikt nigdy nie stwierdzi. A zresztą – wracając do rzeczy – nie takie to w końcu ważne, jakie były moje listy do Łucji; chciałem raczej podkreślić, że napisałem ich bardzo wiele, a ona do mnie ani jednego.

Nie mogłem jej zmusić, żeby do mnie napisała; może onieśmieliłem ją jakoś moimi własnymi listami, może wydawało jej się, że nie ma o czym do mnie pisać, że robi błędy ortograficzne, może wstydziła się niewyrobionego charakteru pisma, który znałem tylko z podpisu w jej dowodzie osobistym. Nie byłem w stanie dać jej do zrozumienia, że właśnie jej niewyrobienie i brak wykształcenia są mi drogie, nie dlatego, żebym cenił prymitywizm jako taki, ale dlatego, że były one oznaką dziewiczości Łucji, że dawały mi nadzieję, iż tym głębiej, tym bardziej niezatarcie będę się mógł zapisać w jej sercu.

Za moje listy Łucja dziękowała tylko nieśmiało i wkrótce zapragnęła jakoś mi się zrewanżować, a ponieważ nie chciała pisać, zamiast listów wybrała kwiaty.

Za pierwszym razem było tak: wałęsaliśmy się po rzadkim lesie i nagle Łucja schyliła się po jakiś kwiatek (niechaj będzie mi wybaczone, że nie znam jego nazwy; miał drobne fioletowe płatki i cienką łodyżkę) i podała mi go. To było bardzo miłe i wcale mnie nie zdziwiło, ale kiedy przy następnym spotkaniu czekała na mnie z całym bukietem, zrobiło mi się trochę wstyd.

Miałem dwadzieścia dwa lata i panicznie unikałem wszystkiego, co mogłoby na mnie rzucić cień podejrzenia o zniewieściałość czy niedojrzałość, wstydziłem się chodzić po ulicy z kwiatami: nie lubiłem ich kupować, a co dopiero dostawać. Zmieszany, napomknąłem Łucji, że kwiaty dają mężczyźni kobietom, a nie kobiety mężczyznom, ale kiedy zobaczyłem, że jest bliska płaczu, prędko ją pochwaliłem i wziąłem bukietek.

Nie było rady. Od tej chwili kwiaty czekały na mnie przy każdym spotkaniu i w końcu pogodziłem się z tym, ponieważ rozbrajała mnie spontaniczność tego daru i ponieważ wiedziałem, że Łucja przywiązuje wagę do tego sposobu obdarowywania mnie; może wpływało to stąd, że dobieranie słów sprawiało jej



trudność, nie była zbyt elokwentna, a w kwiatkach widziała pewną formę wypowiedzi, nie w sensie sztywnej symboliki dawnej „mowy kwiatów”, ale raczej w sensie jeszcze starszym, jeszcze bardziej mglistym, bardziej dyktowanym instynktem, wcześniejszym niż język; zapewne Łucja, która była zawsze raczej milcząca niż rozmowna, podświadomie tęskniła do owego stadium człowieka, kiedy nie było słów i kiedy ludzie porozumiewali się z sobą przy pomocy drobnych gestów: wskazali palcem na drzewo, roześmiali się, dotknęli jeden drugiego...

Bez względu na to, czy rozumiałem, czy też nie rozumiałem genezy podarunków Łucji, wzruszyły mnie one w końcu i wzbudziły we mnie chęć, abym ja także jakoś ją obdarował. Łucja miała wszystkiego trzy sukienki, które regularnie zmieniała, tak że nasze spotkania następowały po sobie w trzytaktowym rytmie. Lubiałem te trzy sukienki właśnie dlatego, że były zniszczone i niezbyt gustowne; lubiałem je tak samo jak jej brązowy płaszcz (krótki i przetarty na mankietach), który pogładziłem przecież jeszcze wcześniej niż twarz Łucji. A jednak umyśliłem sobie, że kupię jej sukienkę, piękną sukienkę, i to niejedną. Pieniędzy miałem przecież dość, oszczędzać mi się nie chciało, a przestałem już trwonić je po knajpach. Tak więc któregoś dnia zaprowadziłem Łucję do domu towarowego.

Łucja myślała z początku, że idziemy tam tylko ot tak sobie, popatrzeć i pogapić się na ludzi, których potok płynął schodami w górę i w dół. Na drugim piętrze zatrzymałem się przy długich drążkach, z których gęsto upchane zwisały damskie suknie, Łucja zaś widząc, że oglądam je z zainteresowaniem, podeszła bliżej i zaczęła robić uwagi na temat niektórych spośród nich.

– O, ta jest ładna – wskazała na jedną w starannie wymalowane czerwone kwiatki. Było tam doprawdy niewiele ładnych sukien, ale tu i ówdzie można było znaleźć jakąś lepszą; wyciągnąłem jedną sukienkę i zawołałem obsługującego stoisko sprzedawcę:

– Czy ta pani mogłaby to zmierzyć?

Łucja byłaby się pewnie broniła, ale wobec obcego człowieka, sprzedawcy, nie miała na to odwagi, toteż sama nawet nie wiedziała, kiedy znalazła się za kotarą.

Po chwili odsunąłem zasłonę i spojrzałem na Łucję; chociaż sukienka, którą mierzyła, nie była specjalnie efektowna, zdumiałem się niemal: jej jako tako modny fason uczynił nagle z Łucji inną istotę.

– Mogę popatrzeć? – odezwał się za mną sprzedawca, po czym zasypał Łucję oraz mierzoną przez nią sukienkę lawiną słów zachwytu. Potem spojrział na mnie, na moje czarne wyłogi, i zapytał (choć odpowiedź była z góry oczywista), czy jestem u politycznych. Kiwnąłem głową. Mrugnął, uśmiechnął się i powiedział:

– Miałbym tu coś w lepszym gatunku. Może zechce pan obejrzeć?

Po chwili leżało przed nami kilka letnich sukienek i jedna elegancka wieczorowa. Łucja przymierzała jedną po drugiej, we wszystkich było jej do twarzy, w każdej była inna, a w tej wieczorowej w ogóle nie mogłem jej poznać.

Punkty zwrotne w miłości nie zawsze bywają spowodowane wydarzeniami dramatycznymi, lecz często okolicznościami na pierwszy rzut oka zupełnie nieistotnymi. W dziejach mojej miłości do Łucji taką właśnie rolę odegrały sukienki. Aż do tej chwili Łucja była dla mnie wszystkim: dzieckiem, źródłem wzruszeń, radości, balsamem i ucieczką od samego siebie, była dla mnie dosłownie wszystkim – tylko nie kobietą. Nasza miłość w sensie fizycznym nie wyszła poza granice pocałunków. Zresztą nawet sposób, w jaki Łucja całowała, był dziecinny (zakochałem się w tych długich, niewinnych pocałunkach z zamkniętymi ustami, kiedy suche wargi, pieszcząc się wzajemnie, z takim wzruszeniem liczą swoje delikatne chropowatości).

Jednym słowem – aż do tej pory Łucja budziła we mnie czułość, a nie zmysłowość; do braku tego rodzaju odczuć tak przywykłem, że nawet go sobie nie uświadamiałem; to, co łączyło mnie z Łucją, wydawało mi się tak piękne, że nie przyszło mi nawet do głowy, że czegoś tu nie dostaje. Wszystko łączyło się w idealnej harmonii: Łucja – jej klasztornie szary ubiór – i mój klasztornie niewinny stosunek do niej. W momencie gdy Łucja włożyła inną sukienkę, całe równanie przestało się zgadzać; Łucja raptem wymknęła się moim wyobrażeniom o Łucji; zrozumiałem, że ma przed sobą również inne możliwości, że może wcielić się w inną postać aniżeli ta wzruszająca, prowincjonalna. Ujrzałem ją naraz jako piękną kobietę, której nogi kusząco rysują się pod dobrze skrojoną suknią, figura ma idealnie wyważone proporcje, a nieefektywność zniknie nagle bez śladu w sukience o zdecydowanym kolorze i modnym kroju. Byłem zupełnie oszołomiony jej nagle objawionym ciałem.

Łucja mieszkała w internacie w jednym pokoju z trzema dziewczętami; na odwiedziny w internacie były przeznaczone tylko dwa dni w tygodniu, a wizyta mogła trwać zaledwie trzy godziny, od piątej do ósmej, przy czym odwiedzający musiał zapisać się na dole w portierni, zostawić legitymację i przy wyjściu znowu

się zameldować. Prócz tego wszystkie trzy współlokatorki Łucji miały swoich chłopców (jednego albo i więcej) i wszystkie chciały się z nimi spotykać w zaciszu internatu, toteż wiecznie się między sobą kłóciły, nienawidziły nawzajem i wymawiały sobie każdą minutę, której jedna drugą pozbawiła. Wszystko to było tak nieprzyjemne (jeżeli nie wręcz żenujące), że nigdy nie usiłowałem odwiedzić Łucji w jej pokoju. Ale wiedziałem również, że wszystkie trzy współlokatorki Łucji mają mniej więcej za miesiąc wyjechać na trzy dni na brygadę rolną. Powiedziałem Łucji, że chciałbym z tego skorzystać i spotkać się z nią wtedy u niej. Przyjęła to niechętnie; posmutniała i oświadczyła, że woli spędzać czas ze mną poza domem. Powiedziałem jej, że pragnąłbym być z nią gdzieś, gdzie prócz nas nie będzie nikogo, gdzie nic nam nie będzie przeszkadzało i gdzie będziemy się mogli zająć wyłącznie sami sobą; a poza tym chciałbym zobaczyć, jak ona mieszka. Łucja nie umiała się sprzeciwić, a ja pamiętam do dzisiaj, jaki byłem wzburzony, kiedy w końcu przystała na moją propozycję.

## 10

Przebywałem już w Ostrawie niemal rok, a służba w wojsku, początkowo nieznośna, z czasem stała się dla mnie czymś powszednim i zwyczajnym; była wprawdzie nieprzyjemna i męcząca, ale mimo to udawało mi się jakoś z tym żyć, znaleźć paru kolegów, a nawet być szczęśliwym; było to dla mnie piękne lato (drzewa pokryte były sadzą, a mimo to wydawały mi się jaskrawozielone, kiedy patrzyłem na nie oczyma oswobodzonymi z ciemności kopalni), ale, jak to już bywa, załazek katastrofy krył się właśnie w szczęściu; smutne wypadki tamtej jesieni miały swój początek w owym zielonoczarnym lecie.

Zaczął się od Staszka. W marcu się ożenił, a już w parę miesięcy później zaczęły dochodzić do niego wieści, że jego żona włóczy się po knajpach; stracił spokój, pisał do żony list za listem i dostawał uspokajające odpowiedzi; ale potem (na dworze było już ciepło) przyjechała do niego matka; spędził z nią całą sobotę i wrócił do koszar blady i milczący; z początku nic nie chciał mówić, bo się wstydził, ale nazajutrz zwierzył się Jankowi, a potem także innym, i wkrótce wszyscy wszystko wiedzieli, a Staszek widząc, że wszyscy wiedzą, mówił o tym sam, co dzień i niemal bez przerwy; że żona mu się łajdaczy, że pojedzie do niej i łeb jej ukreści. I natychmiast poszedł do komendanta, żeby mu dał dwa dni urlopu, tylko że komendant wzdragał go się puścić, ponieważ właśnie w tym czasie przychodziły na Staszka z kopalni i z koszar same skargi, spowodowane jego roztargnieniem i zdenerwowaniem. Staszek poprosił więc o dwudziestoczterogodzinny urlop. Komendant ulitował się i dał mu go. Staszek pojechał i od

tej chwili nigdy go już nie zobaczyliśmy. Co się z nim stało, wiem tylko ze słyszenia: -

Przyjechał do Pragi, naskoczył na babę (mówię o niej baba, a to była dziewiętnastoletnia dziewczyna), a ona bezwstydnie (a może nawet i chętnie) do wszystkiego się przyznała; zaczął ją bić, dusić, a w końcu uderzył ją w głowę butelką – dziewczyna upadła na podłogę i znieruchomiała; Staszek w jednej chwili wytrzeźwiał, przeraził się i uciekł; nie wiadomo, w jaki sposób znalazł jakąś chatę w Górach Kruszcowych i siedział tam w bożym strachu, czekając, aż go znajdą i powieszą za zabójstwo. Znaleźli go po dwóch miesiącach, ale sądzili nie za zabójstwo, tylko za dezercję. Jego żona bowiem, ledwo uciekł, odzyskała przytomność i prócz bólu głowy żadnych obrażeń nie odniosła. Podczas gdy Staszek siedział w wojskowym więzieniu, rozwiodła się z nim i jest dzisiaj żoną znanego aktora z Pragi, chodzę czasami go obejrzyć jedynie po to, by przypomnieć sobie dawnego kolegę, który tak marnie skończył; po odbyciu służby wojskowej nadal pracował w kopalni; na skutek wypadku przy pracy stracił nogę, a w następstwie źle przeprowadzonej amputacji – życie.

Ta baba, która podobno do dzisiaj cieszy się dużym powodzeniem w środowisku bohemy, wpędziła w kłopoty nie tylko Staszka, ale i nas wszystkich. Tak się nam przynajmniej zdawało, chociaż nie można mieć całkowitej pewności, czy między awanturą spowodowaną zniknięciem Staszka a kontrolą z ministerstwa, która zjawiała się wkrótce potem u nas w koszarach, istniał rzeczywiście (jak wszyscy sądzili) związek przyczynowy. Ale tak czy inaczej, nasz komendant został odwołany, a na jego miejsce przyszedł młody oficer (mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat) i wraz z jego przybyciem wszystko się zmieniło.

Powiedziałem, że miał jakieś dwadzieścia pięć lat, ale wyglądał jeszcze młodziej, zupełnie jak chłopak, i tym większą wagę przywiązywał do tego, żeby jego wystąpienia zyskały mu respekt i robiły jak największe wrażenie. Mówiliśmy o nim, że swoje przemówienia ćwiczy przed lustrem i że się ich uczy na pamięć. Nie lubił krzyczeć, mówił chłodno i z największym spokojem, dawał nam do zrozumienia, że wszystkich nas uważa za bandę przestępców.

- Ja wiem, że najchętniej widzielibyście mnie wszyscy na szubienicy – powiedział do nas ten dzieciuch w swoim pierwszym przemówieniu – tylko że jeśli ktoś z nas będzie wisiał, to wy, nie ja.

Wkrótce doszło do pierwszych konfliktów. Utkwiła mi zwłaszcza w pamięci przygoda Wieka, chyba dlatego, że wydawała się nam bardzo zabawna. Nie mogę się powstrzymać, żeby jej nie opowiedzieć: w ciągu roku spędzonego w wojsku

Wicek wykonał już ogromną ilość dużych malowideł ściennych, które w czasach poprzedniego komendanta zyskiwały zawsze uznanie. Wicek, jak już wspominałem, malował najchętniej Żiżkę i wojowników husyckich; żeby zrobić przyjemność kolegom, lubił uzupełniać ich hufce rysunkiem nagiej kobiety, którą przedstawiał komendantowi jako symbol Wolności lub symbol Ojczyzny. Również i nowy komendant chciał skorzystać z usług Wieka, wezwał go do siebie i kazał mu namalować coś do sali, gdzie odbywało się szkolenie polityczne. Powiedział mu przy tej okazji, żeby tym razem zrezygnował z tych Żiżków i „nastawił się na coś bardziej współczesnego”<sup>11</sup>. Wicek powiedział: „Rozkaz” i wziął się do roboty; malował przez kilka popołudni na podłodze, na wielkich białych kartonach, które później przytwierdzał pinezkami na całej największej ścianie sali. Kiedy po raz pierwszy ujrzelśmy gotowy obraz (wysoki na półtora metra, a szerokości co najmniej ośmiu metrów), dosłownie oniemieliśmy; pośrodku w bohaterskiej postawie stał ciepło ubrany żołnierz z automatem, w futrzanej czapie z nausznikami, a dokoła niego chyba z osiem nagich kobiet. Dwie stały tuż przy nim po dwóch stronach, zerkając ku niemu kokieteryjnie, on zaś obejmował każdą z nich za ramiona i śmiał się zuchowato; pozostałe niewiasty upozowane były dokoła, patrzyły na niego, wyciągały ku niemu ręce albo po prostu tylko stały (jedna zaś leżała), ukazując swoje ponętne kształty.

Wicek zatrzymał się przed obrazem (czekaliśmy na oficera politycznego, byliśmy na sali sami) i urządził nam taki oto wykład:

– Ta tutaj, na prawo od sierżanta, to jest Alena, to była, chłopcy, moja pierwsza babka, złapała mnie sobie, jak miałem szesnaście lat, była żoną oficera, tak że pasuje nam tutaj jak ulał. Namalowałem ją tak, jak wyglądała wtedy, dzisiaj już pewno wygląda gorzej, ale już wtenczas była taka więcej przy kości, jak widzicie, głównie w biodrach (pokazał ją palcem). Ponieważ dużo ładniejsza była od tyłu, namalowałem ją jeszcze raz tutaj (przeszedł do krawędzi obrazu i wskazał palcem nagą kobietę, odwróconą do sali tyłem, jakby gdzieś odchodziła). Widzicie oto jej królewski zad, trochę może nadmiernej wielkości, ale to właśnie coś w naszym guście. Był ze mnie wtedy absolutny bałwan, pamiętam, że okropnie lubiła, żeby ją prać po tym tyłku, a ja za nic nie mogłem tego pojąć. Raz, pamiętam, była Wielkanoc, a ta ciągle w kółko, żebym nie zapomniał przynieść z sobą różgi, a jak przyszedłem, powiada: zbij dziewczynkę, dostaniesz kolorową pisanekę, więc ja tak tylko, symbolicznie, trzepałem różgą przez spódnicę, ale ona, że to żadne bicie, podnieś, mówi, dziewczynce spódniczkę, musiałem zadrzeć jej kieckę, ściągnąć z niej majtki i ciągle, durny, tak tylko symbolicznie ją trzepałem, a ona zeżliła się i w krzyk: będziesz lał porządnie,

gówniarzu! no, głupi wtenczas byłem; ta (wskazał kobietę stojącą na lewo od sierżanta) to jest Lojzka, ją miałem, jak już byłem dorosły, miała małe piersi (pokazał), długie nogi (pokazał) i śliczną buzię (też pokazał), była na tym samym roku co ja. A to jest nasza modelka ze szkoły, ją znam na pamięć, dwudziestu innych chłopaków też znają na pamięć, bo stawała zawsze na środku klasy i na niej uczyliśmy się rysować ludzkie ciało, żaden z nas jej nie tknął, zawsze na korytarzu czekała na nią mamusia i od razu zabierała córuchnę do domu, ona, niech jej Pan Bóg wybaczy, pokazywała się nam tylko jedynie z całym zachowaniem cnoty, proszę kolegów. Za to ta to była kurwa (wskazał kobietę rozwaloną na jakiejś stylowej sofie), podejdźcie bliżej, panowie (podeszliśmy), widzicie tę kropkę na jej brzuchu? to od papierosa, zrobiła to jej jakoby jedna zazdrosna babka, z którą żyła, ponieważ ta dama, panowie, lubiła i to, i to, ta miała temperament jak sto diabłów, dałaby z nim radę całemu światu i nam wszystkim, jak tu jesteśmy, razem z naszymi małżonkami, naszymi kochankami, naszymi dziećmi i pradziadkami.

Wicek zbliżał się najwyraźniej do najcelniejszych ustępów swego komentarza, na salę jednak wszedł oficer polityczny i musieliśmy usiąść. Polityczny był przyzwyczajony do arcydzieł Wieka jeszcze z czasów dawniejszego komendanta, tak że nie poświęcił najmniejszej uwagi nowemu obrazowi, tylko zaczął głośno czytać jakąś broszurę, w której wyjaśniano różnicę między armią socjalistyczną a kapitalistyczną. Rozbrzmiewało w nas wciąż jeszcze echo wywodów Wieka i oddaliśmy się cichym marzeniom, gdy wtem na sali zjawił się komendant-dziecię. Przyszedł widocznie na inspekcję, ale zanim jeszcze zdążył przyjąć meldunek oficera politycznego i dać rozkaz, żebyśmy znowu usiedli, stanął jak rażony gromem na widok obrazu na ścianie; nie pozwolił oficerowi politycznemu czytać dalej i natarł ostro na Wieka, co ten obraz ma znaczyć. Wicek skoczył, stanął przed obrazem i zaczął:

– Tu zostało alegorycznie unaocznione, jakie znaczenie miała armia dla walki naszego narodu, tu wyobrażona została (wskazał na sierżanta) armia; u jej boku ukazana jest symbolicznie (pokazał żonę oficera) klasa robotnicza, a tu z drugiej strony (wskazał na koleżankę ze studiów) symbol Dni Lutowych. Dalej (pokazywał następne damy) widnieją symbole wolności, symbol zwycięstwa, a tu symbol równości; tutaj (wskazał na żonę oficera prezentującą swój potężny zad) widać burżuazję, jak schodzi ze sceny dziejów.

Wicek skończył, a komendant oświadczył, że ten obraz to obelga dla armii i że ma być natychmiast usunięty; w stosunku zaś do Wieka wyciągnięte zostaną wszelkie konsekwencje. Zapytałem (półgłosem) dlaczego. Komendant mnie

usłyszał i spytał, czy mam jakieś zastrzeżenia. Wstałem i powiedziałem, że mnie się ten obraz podoba. Komendant oświadczył, że chętnie temu wierzy, ponieważ jest to obraz dla onanistów. Zwróciłem mu uwagę, że Mylsbek wyobrażał Wolność także jako nagą kobietę, Alesz zaś namalował nawet rzekę Izerę jako trzy nagie kobiety i że zawsze tak robili malarze wszystkich czasów.

Komendant-dziecię popatrzał na mnie niepewnie i powtórzył swój rozkaz, by obraz usunięto, ale chyba rzeczywiście udało się nam go skołować, bo Wieka nie ukarał; nabrał jednak do niego niechęci, a przy tym również i do mnie. Wkrótce potem Wicek został ukarany dyscyplinarnie, a zaraz potem i ja.

Było to tak: nasz pluton z oskardami i łopatami pracował któregoś dnia w odległym miejscu na terenie koszar. Leniwy kapral nie pilnował nas zbyt gorliwie, toteż bardzo często przystawaliśmy wsparci o łopaty, gadaliśmy i aniśmy spostrzegli, że w pobliżu zjawił się komendant-dziecię i obserwuje nas. Stwierdziliśmy to dopiero, kiedy dobiegł nas jego srogi głos:

– Szeregowy Jahn, do mnie!

Energicznie chwyciłem łopatę, podszedłem i wyprężyłem się przed nim na baczność.

– Tak wyobrażacie sobie pracę? – zapytał.

Doprawdy nie wiem już, co mu odpowiedziałem, ale nie była to żadna bezczelna odpowiedź, nie miałem bowiem zamiaru utrudniać sobie życia w koszarach i ni stąd, ni zowąd nastawiać wrogo do siebie człowieka, który miał nade mną nieograniczoną władzę. Po mojej nijakiej, a raczej speszzonej odpowiedzi spojrzenie jego jednak stwardniało, zrobił krok w moją stronę, błyskawicznie chwycił mnie za rękę i przerzucił mnie sobie przez plecy znakomicie wyćwiczonym chwytem dźiu-dźitsu. Potem przykucnął koło mnie i przytrzymał mnie na ziemi (nie bronilem się, byłem tylko zdziwiony).

– Wystarczy? – spytał potem głośno (tak, aby wszyscy stojący opodal słyszeli); odpowiedziałem, że wystarczy. Zakomenderował „powstań” i przed uformowanym w szereg plutonem oznajmił:

– Daję szeregowemu Jahnowi dwa dni aresztu. Nie za to, że był wobec mnie bezczelny. Jego bezczelność, jak widzicie, skwitowałem własnoręcznie. Dostaje dwa dni paki, ponieważ się obijał, a was na przyszłość czeka to samo.

Potem odwrócił się i dziarsko odmaszerował.

Nie potrafiłem wtedy zdobyć się w stosunku do niego na inne uczucie jak nienawiść, a nienawiść rzuca na wszystko zbyt ostre światło, w którym zatracają się właściwe kształty przedmiotów. W komendancie widziałem jedynie mściwego i podstępного szczura, dzisiaj jednak widzę go przede wszystkim jako człowieka, który był młody i grał. Młodzi ludzie nie są przecież winni temu, że grają; nie są jeszcze uformowani, a życie rzuca ich w uformowany świat i muszą się zachowywać jak ludzie uformowani. Korzystają zatem bez namysłu z gotowych form, wzorów i schematów, tych, które podobają im się najbardziej, które są w modzie, z którymi im do twarzy – i grają.

Również nasz komendant był takim właśnie człowiekiem jeszcze nie uformowanym i nagle znalazł się wobec nas, żołnierzy, których absolutnie nie mógł zrozumieć; ale umiał sobie radzić, ponieważ lektura i zasłyszane opowiadania podsunęły mu gotową maskę, odpowiednią do tego rodzaju sytuacji: spokojny, opanowany bohater powieści kryminalnych, młody mężczyzna o żelaznych nerwach, pogromca bandy złoczyńców, niepotrzebny tu żaden patos, tylko chłodny spokój, efektowny, suchy dowcip, pewność siebie i wiara w siłę własnych mięśni. Im lepiej zdawał sobie sprawę ze swego chłopięcego wyglądu, tym bardziej fanatycznie wcielał się w ową rolę żelaznego nadczłowieka, tym gorliwiej ją przed nami demonstrował.

Ale czy to pierwszy raz spotkałem się z takim młodocianym aktorem? Kiedy przesłuchiwałem mnie w komitecie uczelnianym w związku z ową pocztówką, miałem trochę ponad dwadzieścia lat, a moi sędziowie śledczy najwyżej o rok lub dwa więcej. To także były przede wszystkim chłopaczki, które swoje nie uformowane jeszcze twarze osłoniły maską, taką, jaka wydawała się im najbardziej imponująca, maską twardego, ascetycznego rewolucjonisty. A Małgorzata? Czyż nie zdecydowała się grać roli zbawczyni, roli podpatrzonych na jakimś kiepskim schematycznym filmie? A Zemanek, ni stąd, ni zowąd natchniony sentymentalnym patosem moralności? Czyż to nie była rola? A ja sam? Czyż nie grałem kilku nawet ról, wśród których miotałem się niezdecydowanie, aż mnie tak miotającego się przychwycono?

Młodość jest straszna; to scena, gdzie na wysokich koturnach i w najrozmaitszych kostiumach poruszają się dzieci (ponoć niewinne!) i recytują wyuczone kwestie, które rozumieją tylko w połowie, ale którym są fanatycznie oddane. I historia jest straszna, ponieważ tak często staje się placem zabaw dla młodocianych; dla młodziutkiego Nerona, młodziutkiego Napoleona, dla sfanatyzowanych tłumów dzieci, u których podpatrzona gdzieś namiętność i prymitywne role zmieniają się naraz w rzeczywistość katastrofalnie rzeczywistą.



Kiedy o tym pomyślę, następuje w moich myślach odwrócenie hierarchii wszelkich pojęć: czuję głęboką nienawiść do młodości, i na odwrót: w jakiś paradoksalny sposób wybaczam historycznym zbrodniarzom, bo w ich zbrodniach dopatruję się jedynie strasznego bezprawia młodzieńczego wieku.

A kiedy rozmyślam nad wszystkimi młodymi i niedojrzałymi, widzę Aleksa; on także grał swoją wielką rolę, która przerastała jego rozum i doświadczenie. Miał coś wspólnego z komendantem; on również wyglądał młodo jak na swój wiek; jego młodzieńczość (w odróżnieniu od młodzieńczości komendanta) nie miała jednak uroku: chudziutkie ciało, krótkowzroczne oczy za grubymi szklami okularów, pryszczata (jakby wiecznie w okresie dojrzewania) cera. Początkowo, kiedy poszedł do wojska, uczęszczał do szkoły oficerów piechoty, ale nagle odebrano mu stopień i przeniesiono do nas. Zbliżał się już bowiem okres słynnych procesów politycznych i w wielu salach (partyjnych, sądowych i policyjnych) raz po raz podnosiły się w górę ręce, pozbawiając oskarżonych zaufania, czci i wolności; Aleks był synem wysokiego funkcjonariusza partyjnego, który niedawno został uwięziony.

Któregoś dnia zjawił się w naszej drużynie i przydzielono mu łóżko Staszka. Patrzył na nas podobnie, jak ja z początku patrzyłem na swoich nowych kolegów; dlatego też zamknął się w sobie, a pozostali, stwierdziwszy, że jest członkiem partii (dotychczas z partii go nie wyrzucono), zaczęli w jego obecności uważać na to, co mówią.

Kiedy Aleks dowiedział się, że byłem w partii, zaczął ze mną trochę gadać; wyznał mi, że za wszelką cenę musi sprostać wielkiej próbie, na którą wystawiło go życie, i nigdy nie zdradzić partii. Przeczytał wiersz, który napisał (choć nigdy przedtem nie pisywał wierszy), kiedy się dowiedział, że ma być przeniesiony do nas. Była tam taka zwrotka:

Choćbyście mnie, towarzysze,  
miażdżyli swoją pogardą,  
ja nadal w jednym szeregu  
siać z wami będę twardo.

Rozumiałem go, ponieważ rok temu i ja odczuwałem to samo. Ale teraz było to mimo wszystko o wiele mniej bolesne: ta, która wprowadziła mnie w świat

szarej codzienności, Łucja, odciągnęła mnie z miejsca, gdzie tak rozpaczliwie męczyli się różni Aleksowie.

## 11

Przez cały ten czas kiedy komendant-dziecię wprowadzał nowe porządki w naszej jednostce, myślałem przede wszystkim o tym, czy uda mi się dostać przepustkę; koleżanki Łucji wyjechały, a ja od miesiąca już nie wyszedłem z koszar; komendant dobrze zapamiętał moją twarz i moje nazwisko, a w wojsku jest to najgorsza *rzecz*, jaka się może przytrafić. Gdzie mógł, dawał mi teraz poznać, że każda godzina mego życia zależy od jego fantazji. A z przepustkami było w ogóle bardzo źle; od razu na początku oznajmił, że dostaną je wyłącznie ci, którzy będą regularnie pracowali na ochotniczych szychtach niedzielnych; pracowaliśmy więc na nich wszyscy; ale było to kiepskie życie, ponieważ w ciągu całego miesiąca nie mieliśmy ani jednego dnia bez kopalni, a jeśli już któryś z nas dostał w końcu przepustkę na sobotę aż do drugiej w nocy, to szedł potem na niedzielną szychtę niewyspany i snuł się po kopalni jak półżywy.

Ja również zacząłem chodzić na niedzielne szychty, co oczywiście nie było żadną gwarancją, że dostanę przepustkę, ponieważ zasługa pracy na niedzielnej szychcie mogła zostać z łatwością anulowana przez takie przewinienie jak źle zaścielone łóżko albo jakiegokolwiek inne wykroczenie. Pycha władców jednakże nie przejawia się jedynie w okrucieństwie, ale i (choć rzadziej) w miłosierdziu. Komendant-dziecię znalazł satysfakcję w tym, że po kilku tygodniach mógł mi okazać również i łaskawość, i w ostatniej chwili, na dwa dni przed powrotem koleżanek Łucji, dostałem przepustkę.

Byłem zdenerwowany, kiedy staruszka w okularach zapisywała w portierni internatu moje nazwisko i pozwoliła mi wejść po schodach na górę, na czwarte piętro, gdzie w głębi, na końcu długiego korytarza, zapukałem do drzwi. Drzwi się otworzyły, ale Łucja stała ukryta za nimi, tak że ujrzałem przed sobą tylko pokój, który na pierwszy rzut oka wcale nie przypominał pokoju w internacie; wydawało mi się, że znalazłem się w pomieszczeniu przygotowanym do jakiejś uroczystości religijnej; na stole płonął złoty bukiet georginii, pod oknem sterczały dwa duże fikusy, a wszędzie (na stole, na łóżku, na podłodze, za obrazami) były rozsypane i zatknięte zielone gałązki (jak potem stwierdziłem, asparagusa), jak gdyby oczekiwano tu wjazdu Jezusa Chrystusa na osiołku.

Przyciągnąłem Łucję do siebie (wciąż jeszcze chowała się przede mną za otwartymi drzwiami) i pocałowałem ją. Miała na sobie czarną wieczorową

sukienkę i pantofle na wysokich obcasach, które kupiłem jej tego samego dnia, kiedy kupowaliśmy suknie. Wśród całej tej uroczystej zieleni stała tu niczym kapłanka.

Zamknęliśmy drzwi i dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że jestem rzeczywiście w zwyczajnym pokoju internatu i że pod tą szatą zieleni znajdują się tylko cztery żelazne łóżka, cztery odrapane nocne stoliki, stół i trzy krzesła. Nie mogło to jednak w niczym umniejszyć uczucia zachwyty, który ogarnął mnie w chwili, gdy Łucja otworzyła drzwi: po miesiącu znowu na parę godzin wypuszczono mnie z koszar; ale nie tylko to: po raz pierwszy od roku znalazłem się znowu w małym pokoju; owionęła mnie atmosfera przytulności i jej siła poraziła mnie niemal.

W czasie wszystkich dotychczasowych spacerów z Łucją wolna przestrzeń stale wiązała mnie jakoś z koszarami i moim koszarowym życiem; wszechobecne, zewsząd otaczające nas powietrze niewidzialnymi więzami przykuwało mnie do bramy, na której widniał napis: „Służymy narodowi”; zdawało mi się, że nigdzie nie istnieje miejsce, w którym mógłbym choć na chwilę przestać „służyć narodowi”; przez cały rok nie byłem w prywatnym pokoju.

I nagle zupełnie nowa sytuacja; doznałem uczucia, że na trzy godziny jestem absolutnie wolny; mogłem na przykład bez obawy zrzucić z siebie (wbrew wszelkim przepisom wojskowym) nie tylko czapkę i pas, ale i bluzę, spodnie, buty, wszystko, a ewentualnie, gdyby mi przyszła fantazja, mogłem to wszystko nawet podeptać; mogłem robić cokolwiek i znikąd nie było mnie widać; ponadto w pokoju było przyjemnie ciepło, i to ciepło wraz z ową wolnością uderzyły mi do głowy niczym grzane wino; wziąłem Łucję w ramiona i zaniósłem na zaścielone zielenią łóżko. Te gałązki na łóżku (przykrytym tanim szarym kocem) podniecały mnie. Nie umiałem wytłumaczyć ich sobie inaczej niż jako symbol zaślubin; przyszło mi na myśl (i wzruszyło mnie to), że w prostocie Łucji podświadomie znalazły oddźwięk prastare obyczaje ludowe, że chce pożegnać się ze swym dziewictwem z całym uroczystym ceremoniałem.

Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że chociaż Łucja odpowiada na moje pocałunki i uściski, to jednak zachowuje przy tym wyraźną rezerwę. Mimo że pocałunki jej były gorące, usta miała ciągle zamknięte; przytulała się do mnie całym ciałem, ale kiedy wsunąłem jej rękę pod suknię, żeby poczuć pod palcami skórę jej nóg, wywinęła się. Zrozumiałem, że w mojej spontaniczności – której wraz z Łucją chciałem się oddać w ślepym zapamiętaniu – jestem osamotniony; przypominam sobie, że w tym momencie (a było to zaledwie w pięć minut od chwili mego wejścia do pokoju) poczułem w oczach lży żalu.

Usiedliśmy zatem obok siebie (przygniatając siedzeniami biedne gałązki) i zaczęliśmy o czymś mówić. I znowu po chwili (rozmowa się nie kleiła) spróbowałem objąć Łucję, ale broniła się; zacząłem się z nią mocować; od razu się jednak zorientowałem, że to nie są urocze przekomarzania zakochanych, lecz walka, która nasz czuły związek zamienia w coś szkaradnego, ponieważ Łucja broniła się naprawdę zaciekle, niemal desperacko, była to więc prawdziwa walka, nie żadne igraszki miłosne; toteż bardzo szybko ustąpiłem.

Staralem się przekonać Łucję słowami; gadałem jak najęty; mówiłem oczywiście, że ją kocham, że kochać się to znaczy oddać się sobie nawzajem bez reszty; nie mówiłem z pewnością nic oryginalnego (przecież i cel, do którego zmierzałem, wcale nie był oryginalny); mimo swojej abstrakcyjności była to argumentacja nie do zbicia, zresztą Łucja wcale nie usiłowała jej zbijać. Zamiast protestować milczała albo mówiła:

– Proszę cię, nie, no proszę... Dzisiaj nie... – i próbowała (była w tym wzruszająco niezręczna) sprowadzić rozmowę na inny temat.

Zaatakowałem znowu: przecież nie należysz do tych dziewcząt, które wprawiają mężczyznę w podniecenie, a potem go wyśmiewają, przecież nie jesteś zła i bez serca... i znowu ją objąłem, i znowu zaczęła się krótka, żalosna walka, która (znowu) napełniła mnie poczuciem czegoś obrzydliwego, była bowiem zacięta i nie było w niej ani śladu miłości; Łucja zdawała się nie pamiętać w tej chwili, że to ja jestem tu przy niej, jak gdybym zmienił się w kogoś zupełnie obcego.

Znowu ustąpiłem i naraz wydało mi się, że rozumiem, dlaczego Łucja mnie odtrąca; mój Boże, że też nie zrozumiałem od razu! Przecież Łucja to dziecko, na pewno lęka się miłości, jest dziewicą, boi się, boi się nieznanego; postanowiłem natychmiast, że muszę w swoim zachowaniu wyzbyć się owej natarczywości, która ją najwyraźniej odstrasza, że muszę być delikatny, czuły, żeby akt miłosny nie różnił się niczym od naszych tkliwych pieszczot, żeby był tylko jedną z nich. Przestałem zatem nalegać i zacząłem pieścić się z Łucją. Całowałem ją i głaskałem (trwało to bardzo długo i nagle przestało sprawiać mi przyjemność, ponieważ te pieszczoty były jedynie podstępem i środkiem), pieściłem się więc z Łucją (nieszczercze, zgrywając się) i usiłowałem niepostrzeżenie ją przy tym położyć. Udało mi się to nawet; gładziłem jej piersi (przed tym Łucja nigdy się nie broniła); powtarzałem sobie, że chcę być czuły wobec całego jej ciała, bo to ciało to ona, a ja chcę być czuły dla niej całej; udało mi się nawet trochę podnieść jej sukienkę i całować ją dziesięć, dwadzieścia centymetrów nad kolanami; kiedy jednak chciałem przesunąć głowę wyżej, przestraszona wyrwała mi się i

zeskoczyła z łóżka. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że na jej twarzy maluje się jakiś spazmatyczny wysilek, wyraz, którego jeszcze u niej nie widziałem.

– Łucjo, Łucjo, wstydzisz się przy świetle? Chciałabyś, żeby było ciemno? – spytałem, a ona uchwyciła się mego pytania jak deski ratunku i potakiwała, że tak, że wstydzi się światła. Podszedłem więc do okna i chciałem zaciągnąć rolety, ale Łucja powiedziała:

– Nie, nie, nie rób tego! Nie zaciągaj!

– Dlaczego?

– Ja się boję.

– Czego się boisz? Ciemności czy światła?

Milczała i zaczęła płakać.

Jej upór zupełnie mnie nie wzruszał, wydawał mi się głupi, krzywdzący, niesprawiedliwy; męczył mnie, nie rozumiałem go. Spytałem ją, czy broni się przede mną dlatego, że jest dziewicą, czy boi się bólu, jaki jej sprawię.. Na każde takie pytanie posłusznie kiwała twierdząco głową, ponieważ widziała w nim argument, który jej podsuwałem. Tłumaczyłem jej, że to cudowne, że jest dziewicą i że właśnie pozna wszystko ze mną, który ją kocham.

– Czy ty się nie cieszysz, że będziesz moją żoną, tak już zupełnie, bez reszty?

Powiedziała, że tak, że się cieszy. Znowu ją objąłem i znowu zaczęła się bronić. Jedyne z trudem przemagałem złość.

– Dlaczego się opierasz?

– Proszę cię, innym razem – powiedziała – tak, ja chcę, ale innym razem, kiedy indziej, nie dzisiaj.

– A dlaczego nie dzisiaj?

– Dzisiaj nie – odrzekła.

– Ale dlaczego?

– Proszę cię, nie dzisiaj – powtórzyła.

– No to kiedy? Przecież wiesz dobrze, że to ostatnia okazja, kiedy możemy być sami, pojutrze wracają twoje koleżanki. Kiedy znowu będziemy razem?

– Ty już coś znajdziesz – rzekła.

– Dobrze – zgodziłem się – ja coś znajdę, ale ty przyrzeknij mi, że tam ze mną pójdziesz, bo to na pewno nie będzie taki miły pokój jak ten.

– Nie szkodzi – rzekła – nie szkodzi, to może być, gdzie chcesz.

– Dobrze, ale przyrzeknij mi, że będziesz moją żoną, że nie będziesz mi się opierać.

– Tak – powiedziała.

– Obiecujesz?

– Tak.

Zrozumiałem, że obietnica to jedyna rzecz, którą tego dnia mogę uzyskać od Łucji. Było to niewiele, ale w każdym razie coś. Opanowałem złość i resztę czasu spędziliśmy na pogawędce. Kiedy odchodziłem, strzepnąłem z munduru gałązkę asparagusa, pogładziłem Łucję po policzku i powiedziałem jej, że będę myślał już tylko o naszym następnym spotkaniu (i nie kłamałem).

## 12

W parę dni po ostatnim spotkaniu z Łucją (była dżdżysta jesień) wracaliśmy z kopalni oddziałami do koszar; droga pełna była dziur, w których stały głębokie kałuże; byliśmy zachlapani, zmęczeni, przemoczeni i marzyliśmy o odpoczynku. Większość z nas już od miesiąca nie miała ani jednej wolnej niedzieli. Ale zaraz po obiedzie komendant-dziecię urządził zbiórkę i oznajmił, że w czasie porannej inspekcji naszych baraków stwierdził nieporządek. Przekazał nas następnie podoficerom i nakazał im, żeby za karę przegonili nas solidnie o dwie godziny dłużej.

Jako że byliśmy żołnierzami bez broni, nasza musztra i ćwiczenia miały szczególny charakter; jedynym ich celem było marnowanie naszego czasu. Pamiętam, że za czasów komendanta-dziecięcia musieliśmy kiedyś przez całe popołudnie przenosić ciężkie deski z jednego końca koszar na drugi, a potem, następnego dnia, znowu z powrotem, i że w przenoszeniu desek ćwiczyliśmy się tak pełnych dziesięć dni. Takim przenoszeniem desek było właściwie wszystko, cośmy na dziedzińcu koszar po szychcie robili. Tym razem więc przenosiliśmy nie deski, ale własne ciała, obracaliśmy je – w tył zwrot, w prawo zwrot, rzucaliśmy je na ziemię i znów podnosili, biegaliśmy z nimi tam i z powrotem i wlekleśmy je po ziemi. Minęły trzy godziny musztry i zjawił się komendant; wydał podoficerom rozkaz, by zaprowadzili nas na gimnastykę.

Z tyłu za barakami znajdowało się boisko, gdzie można było grać w futbol, ale gdzie również można było ćwiczyć albo biegać. Podoficerowie postanowili urządzić z nami biegi sztafetowe; było w naszej kompanii dziewięć drużyn, po dziesięciu chłopca każda, a więc dziewięć dziesięcioosobowych sztafet. Podoficerowie chcieli nas nie tylko porządnie przegonić, ale ponieważ byli to przeważnie chłopcy od osiemnastu do dwudziestu lat i mieli chłopięce zachcianki, zapragnęli wziąć udział w tych zawodach i pokazać nam, że jesteśmy od nich gorsi; tak więc wystawili przeciw nam swoją własną sztafetę, złożoną z dziesięciu kaprali i starszych szeregowych.

Sporo czasu trwało, zanim wyjaśnili nam swój zamiar i zanim zrozumieliśmy, o co chodzi: dziesięciu zawodników miało pobiec z jednego końca boiska na drugi; tam, na wprost nich, miał już stać przygotowany drugi szereg zawodników, którzy z kolei mieli pobiec tam, skąd wystartowali ci pierwsi, ale gdzie już tymczasem stanąć miał trzeci szereg zawodników, i tak dalej, i tak dalej. Podoficerowie pracowicie odliczali nas i rozsyłali na przeciwległe krańce boiska.

Byliśmy po szybcie i po musztrze śmiertelnie zmordowani i wściekaliśmy się na myśl, że mamy jeszcze biegać; podzieliłem się wtedy z dwoma kolegami zupełnie prymitywnym pomysłem: pobiegniemy wszyscy całkiem powoli! Pomysł natychmiast chwycił, przechodził z ust do ust i tłumem zmęczonych żołnierzy wesoło zakołysał powstrzymywany śmiech.

W końcu stanęliśmy każdy na swoim miejscu, gotowi do startu w wyścigu, którego sam pomysł był już czystym nonsensem: chociaż mieliśmy biec w mundurach i ciężkich butach, musieliśmy przy starcie przykłęknąć; chociaż mieliśmy podawać pałeczkę w niespotykany zupełnie sposób (przejmujący pałeczkę biegł naprzeciw nas), mocno trzymaliśmy pałeczki w dłoni, a sygnałem do startu miał być autentyczny wystrzał z pistoletu. Starszy szeregowy na dziesiątym torze (najlepszy biegacz drużyny podoficerów) ruszył pędem, i my również poderwaliśmy się z ziemi (byłem w pierwszym szeregu zawodników) i ruszyliśmy wolnym kłusem naprzód; już po dwudziestu metrach z trudem tłumiliśmy śmiech, ponieważ starszy szeregowy zbliżał się już do drugiego końca boiska, podczas gdy my, zaledwie kawałek od miejsca startu, w nieprawdopodobnie rozciągniętym szyku kłusowaliśmy sapiąc i udając niesamowity wysiłek; żołnierze zgromadzeni po obu stronach boiska zaczęli nas hałaśliwie dopingować:

– Tem-po, tem-po, tem-po...

W połowie boiska minęliśmy drugiego zawodnika podoficerskiej sztafety, który już biegł naprzeciw nas w stronę linii, z której wystartowaliśmy. W końcu dotarliśmy do końca boiska i oddali pałeczki, ale wtedy po przeciwnej stronie za naszymi plecami wystartował już z pałeczką trzeci podoficer.

Wspominam dzisiaj ten bieg sztafetowy jako ostatnią wielką rewię moich „czarnych” kolegów. Chłopaki miały masę inwencji. Janek biegnąc utykał na jedną nogę, wszyscy gorąco go dopingowali i rzeczywiście dobiegł do przejmującego pałeczkę wśród burzliwego aplauzu jako bohater, o dwa kroki wyprzedzając pozostałych. Cygan Matlosz w czasie wyścigów upadł chyba z osiem razy na ziemię. Wicek biegnąc podnosił kolana wysoko, aż pod brodę (musiało go to męczyć dużo bardziej, niż gdyby wziął nawet największe tempo). Nikt nie nawalił w tej zabawie: ani zdyscyplinowany i łagodny autor manifestów pokojowych, Fryderyk, który teraz biegł z powagą i godnością w zwolnionym tempie wraz z innymi, ani kmiotek Józef, ani Paweł Piękny, który mnie nie lubił, ani stary Ambroży, który biegł sztywno wyprostowany, z rękoma założonymi do tyłu, ani rudy Petrań, który kwilił cieniutkim głosikiem, ani Węgier Varga, który krzyczał w biegu „Hura!”, żaden z nich nie zepsuł tego znakomitego a niewymyślnego widowiska, które sprawiło, że my, stojący dokoła, pokładaliśmy się wprost ze śmiechu.

Potem zobaczyliśmy, że od strony baraków nadchodzi komendant-dziecię. Jeden z kaprali dostrzegł go i wyszedł mu naprzeciw, żeby złożyć meldunek. Kapitan wysłuchał go, po czym zbliżył się do skraju boiska, by obserwować nasz wyścig. Podoficerowie (ich sztafeta dawno już zwycięsko dobiegła do mety) zrobili się nerwowi i zaczęli na nas krzyczeć:

– Prędeż, prędeż! Ruszać się! Tempo!

Ale ich doping rozplynął się całkowicie w naszych zachęcających okrzykach. Podoficerowie nie wiedzieli, co robić, zastanawiali się, czy nie przerwać wyścigu, biegali jeden do drugiego, naradzali się, zerkali z boku na komendanta, ale on nawet na nich nie spojrzał, tylko z lodowatym spokojem obserwował zawody.

W końcu przyszła kolej na ostatni szereg naszych zawodników: był wśród nich również Aleks; bardzo byłem ciekaw, jak pobiegnie, i nie omyliłem się: chciał zepsuć zabawę; ruszył naprzód całą parą i po dwudziestu metrach miał już co najmniej pięć metrów przewagi. Ale nagle stało się coś dziwnego: jego tempo osłabło i odstęp między nim a resztą biegnących pozostawał ciągle taki sam; zrozumiałem naraz, że Aleks nie może popsuć zabawy, nawet gdyby chciał: przecież to był słabowity chłopak, któremu zaraz po pierwszych dwóch dniach



musieli chcać nie chcać przydzielić lżejszą pracę, nie miał przecież ani wyrobionych mięśni, ani mocnych płuc! W momencie, kiedy to zrozumiałem, wydało mi się, że dopiero jego bieg jest ukoronowaniem całego kawału; Aleks dawał z siebie wszystko, ale mimo to nie odróżniał się niczym od chłopców, którzy wlekli się pięć kroków za nim, w tym samym tempie; podoficerowie i komendant musieli być przekonani, że ostry start Aleksa należy do całej komedii, tak samo jak udawane kuśtykanie Janka, upadki Matlosza i nasze dopingujące okrzyki. Aleks biegł z zaciśniętymi pięściami, tak samo jak ci za nim, którzy udawali straszliwe zmęczenie i donośnie sapali. Tylko że Aleksa męczył prawdziwy ból w dołku i chłopak przemagał go z największym wysiłkiem, tak że po twarzy spływał mu prawdziwy pot; kiedy byli w połowie boiska, Aleks jeszcze bardziej zwolnił tempo, a szereg ospale biegnących łobuziaków powoli go doganiał; kiedy był o trzydzieści metrów od celu, prześcignęli go; kiedy był dwadzieścia metrów od celu, przestał biec i resztę przeszedł utykającym krokiem; trzymał się ręką za lewą stronę brzucha. Komendant kazał nam stanąć w dwuszeregu. Spytał, dlaczego biegliśmy tak powoli.

– Byliśmy zmęczeni, towarzyszu kapitanie.

Kazał, żeby wszyscy, którzy byli zmęczeni, podnieśli rękę. Podnieśliśmy ręce. Przyglądałem się uważnie Aleksowi (stał w szeregu przede mną), on jeden nie podniósł ręki. Ale komendant go nie zauważył.

– Dobrze – powiedział – a zatem wszyscy.

– Nie – odezwał się głos.

– Kto nie był zmęczony?

– Ja – powiedział Aleks.

– Wy nie? – komendant spojrzał na niego. – Jak to możliwe, że nie byliście zmęczeni?

– Bo jestem komunistą – odrzekł Aleks.

Na te słowa pluton zahuczał tłumionym śmiechem.

– To wy doszliście do mety jako ostatni? – spytał komendant.

– Tak – rzekł Aleks.

– I nie byliście zmęczeni?

– Nie.

– Skoro nie byliście zmęczeni, to znaczy, żeście rozmyślnie sabotowali ćwiczenia. Dwa tygodnie aresztu za próbę buntu. Wy, cała reszta, byliście zmęczeni, więc macie usprawiedliwienie. Ponieważ wyniki waszej pracy w kopalni są niewiele warte, to znaczy, że męczycie się widocznie na przepustkach. Dla dobra waszego zdrowia plutonowi odbiera się przepustki na okres dwóch miesięcy.

Jeszcze zanim poszedł do paki, odbył ze mną Aleks rozmowę. Zarzucał mi, że nie postępuję jak komunista, i zapytał patrząc surowo, czy jestem za socjalizmem. Odpowiedziałem mu, że jestem za socjalizmem, ale że tutaj, w koszarach, u „czarnych”, jest to zupełnie obojętne, ponieważ istnieje tu inny podział niż gdzie indziej – tutaj po jednej stronie są ci, którzy stracili wpływ na własny los, a po drugiej ci, którzy ten los trzymają w ręku i robią z nim, co chcą. Aleks jednak nie zgodził się ze mną: linia podziału między socjalizmem a reakcją przebiega, jak mówił, wszędzie; nasze koszary to przecież tylko środek obrony przeciwko wrogom socjalizmu. Spytałem go, w jaki sposób komendant-dziecię broni socjalizmu przed wrogiem, skoro właśnie jego, Aleksa, posyła na dwa tygodnie do paki i w ogóle postępuje z ludźmi tak, żeby wychować ich na najzaciętszych wrogów socjalizmu, i Aleks przyznał, że komendant mu się nie podoba. Kiedy jednak oświadczyłem, że gdyby tutaj w koszarach istniała zdecydowana linia dzieląca socjalizm od reakcji, to on, Aleks, nigdy nie mógłby się tutaj znaleźć, odparł z uniesieniem, że znajduje się tutaj absolutnie zasłużenie.

– Mego ojca uwięziono za szpiegostwo. Rozumiesz, co to znaczy? Jak partia może mieć do mnie zaufanie? Partia ma obowiązek mi niedowierzać!

Rozmawiałem potem z Jankiem; wyrzekąłem (w duchu na Łucję), że teraz nie wydostaniemy się z koszar przez dwa miesiące.

– Ty głupi – powiedział – czego się boisz? Będzie się teraz wychodzić więcej niż kiedy indziej.

Wesoły sabotaż biegów sztafetowych umocnił w moich kolegach poczucie solidarności i obudził w nich dużą operatywność. Janek utworzył jakiś mały komitet, który pośpiesznie zaczął badać możliwości tajnego wymknięcia się z koszar. W dwa dni wszystko było gotowe; utworzono tajny fundusz łapówkowy; przekupieni zostali dwaj podoficerowie z naszej izby; znaleziono najdogodniejsze miejsce, gdzie nieznacznie przecięto drut w ogrodzeniu; miejsce to znajdowało się na końcu terenu koszar, gdzie mieściła się już tylko izba chorych i gdzie pierwsze wiejskie zabudowania oddalone były od ogrodzenia zaledwie o pięć metrów; w

najbliższym domku mieszkał górnik, którego znaleźliśmy ze sztolni; chłopcy szybko się z nim dogadali, że furtkę w płocie będzie zostawiał nie zamkniętą; wykradający się z koszar żołnierz musiał więc niepostrzeżenie dotrzeć do ogrodzenia, a potem szybko przeleźć przez druty i przebiec pięć metrów; jak tylko znajdzie się poza furtką domku, będzie bezpieczny; przejdzie przez dom i wyjdzie z drugiej strony na podmiejską ulicę.

Wyjście było zatem stosunkowo bezpieczne; nie należało jednak za często z niego korzystać; gdyby jednego i tego samego dnia wymknęło się z koszar zbyt wielu żołnierzy, łatwo byłoby stwierdzić ich nieobecność; toteż spontanicznie utworzony przez Janka komitet musiał regulować wyjścia i ustalać kolejność, w jakiej kto może opuścić koszary.

Tylko że jeszcze zanim przyszła kolej na mnie, całe przedsięwzięcie Janka wzięło w łeb. Komendant przeprowadził osobiście nocną rewizję baraków i stwierdził, że trzech żołnierzy brak. Wsiadł na podoficera (komendanta izby), który nie zameldował nieobecności żołnierzy, i jakby idąc na pewniaka, spytał go, ile za to dostał. Podoficer, przekonany, że komendant wie o wszystkim, nawet nie usiłował zaprzeczać. Do komendanta został wezwany Janek i przy konfrontacji podoficer zeznał, że otrzymywał od niego pieniądze.

Komendant-dziecię dał nam szach mat. Podoficera, Janka i trzech żołnierzy, którzy tej nocy wyszli po kryjomu z koszar, odesłał do prokuratora wojskowego. (Nie zdążyłem się nawet pożegnać ze swoim najlepszym kolegą, wszystko odbyło się bardzo szybko, przed obiadem, kiedy byliśmy na szychcie; dopiero o wiele później dowiedziałem się, że sąd wymierzył im wszystkim kary, Janek dostał cały rok więzienia). Komendant zarządził zbiórkę kompanii i oświadczył nam, że zakaz wychodzenia na przepustki przedłuża się o następne dwa miesiące, a w całej kompanii zostaje wprowadzony reżim kompanii karnej. Wystąpił z żądaniem, by w rogach obozu ustawić dwie wieże wartownicze z reflektorami i żeby na naszym terenie byli dwaj wartownicy z psami, którzy strzegliby koszar.

Ingerencja komendanta była tak nagła i uwieńczona takim sukcesem, że wszyscy nabraliśmy przekonania, iż o przedsięwzięciu Janka ktoś doniósł. Nie można powiedzieć, żeby donosicielstwo wśród „czarnych” jakoś specjalnie kwitło; wszyscy zgodnie żywiliśmy dla niego pogardę, ale wszyscy wiedzieliśmy, że jako możliwość ustawicznie istnieje, ponieważ jest to najskuteczniejszy środek, jaki sam się nasuwa, by poprawić sobie warunki, wrócić wcześniej do domu, dostać dobrą opinię i jako tako ocalić swoją przyszłość. Uchroniliśmy się (w ogromnej

większości) przed tym najpodlejszym upodleniem, ale nie uchroniliśmy się przed tym, by zbyt łatwo nie posądzać o nie innych.

I tym razem takie podejrzenie szybko się zrodziło, zmieniło gremialnie w poczucie ogólnej pewności (choć postępowanie komendanta można było oczywiście tłumaczyć nie tylko donosem) i bez najmniejszej wątpliwości z czyjejkolwiek strony skupiło się na Aleksie. Odsiadywał wtedy właśnie ostatnie dni aresztu; chodził jednak dzień w dzień na szychcę, a więc cały czas był z nami w kopalni; wszyscy twierdzili, że miał tysiące okazji, żeby o przedsięwzięciu Janka coś tam („swoim szpiclowskim uchem”) usłyszeć.

Biednemu krótkowzrocznemu studentowi zaczęły się zdarzać najgorsze rzeczy: przodownik (jeden z nas) znowu zaczął przydzielać mu najcięższe odcinki pracy; regularnie ginęły mu narzędzia, za które musiał potem bulić ze swojej wypłaty; musiał wysłuchiwać aluzji i obelg i znosić setki drobnych przykrości: na drewnianej ścianie, pod którą stało jego łóżko, ktoś napisał wielkimi czarnymi literami: UWAGA, SZCZUR.

W parę dni potem, jak Janka wraz z pozostałymi czterema winowajcami zabrała eskorta, zajrzałem późnym wieczorem do izby naszej drużyny; była pusta, tylko Aleks pochylony nad swoim łóżkiem układał pościel. Zapytałem, dlaczego ściele łóżko. Odrzekł, że chłopcy po parę razy na dzień rozrzucają mu pościel. Powiedziałem mu, że wszyscy są przekonani, iż to on wydał Janka. Zaprotestował niemal z płaczem; o niczym nie wiedział i nigdy by nie donosił.

– Dlaczego mówisz, żebyś nie donosił? – spytałem. – Uważasz się za sojusznika komendanta. Z tego łatwo wynika, że mógłbyś donosić.

– Nie jestem sojusznikiem komendanta! Komendant to sabotażysta! – powiedział załamującym się głosem.

A potem zwierzył mi się, do jakich wniosków doszedł, mając w areszcie dużo czasu na samotne rozmyślenia: oddziały „czarnych” ustanowiła partia dla ludzi, którym na razie nie może powierzyć broni, ale których chce reedukować. Ale wróg klasowy nie śpi i za wszelką cenę usiłuje przeszkodzić temu, by ów proces reedukacji dał wyniki, chce, aby „czarni” utrzymywani byli w zacieklej nienawiści do komunizmu i mogli stanowić rezerwę kontrrewolucji. To, że komendant-dziecię postępuje ze wszystkimi tak, żeby budzić w nich nienawiść, wyraźnie należy do nieprzyjacielskich planów. Nie mam nawet, mówił, pojęcia, gdzie to partia nie ma wrogów. Komendant z pewnością jest wrogim agentem. Aleks wie, co należy do jego obowiązków, i napisał szczegółowy raport o działalności komendanta. Zdziwiłem się.

– Co? Coś ty napisał? I dokąd to wysłałeś?

Odpowiedział, że wystosował skargę na komendanta do partii.

Wyszliśmy z baraku. Spytał, czy nie boję się pokazywać w jego towarzystwie. Powiedziałem mu, że jest idiota, jeśli o to pyta, a podwójny idiota, jeśli myśli, że jego list dojdzie do adresata. Odparł mi na to, że jest komunistą i we wszystkich sytuacjach musi postępować tak, żeby nie musiał się wstydzić. I znowu przypomniał mi, że ja także jestem komunistą (choć usuniętym z partii) i że powinienem postępować inaczej, niż postępuję.

– Jako komuniści jesteśmy odpowiedzialni za wszystko, co się tu dzieje. Chciało mi się śmiać: powiedziałem mu, że odpowiedzialność jest nie do pomyślenia bez wolności.

Odparł, że czuje się wystarczająco wolny na to, by postępować jak komunistą. Kiedy to mówił, broda mu się trzęsła; jeszcze dzisiaj, po latach, wywołuję w pamięci tę chwilę i uprzytamniam sobie dużo lepiej niż wówczas, że Aleks miał niewiele ponad dwadzieścia lat, że to był młodzik, chłopaczek, i że plątał się w swoim losie jak drobna figurka w ubraniu olbrzyma.

Pamiętam, że wkrótce po rozmowie z Alekssem spytał mnie Wicek (dokładnie w myśl obaw Aleksa), po co ja gadam z tym szczurem. Powiedziałem mu na to, że Aleks jest bałwan, ale szczurem nie jest, i powtórzyłem mu, co mi mówił o swojej skardze na komendanta.

Na Wicku nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

– Czy to jest bałwan, tego nie wiem – rzekł – ale szczur to na pewno. Kto się potrafi wyrzec publicznie swego starego, ten jest szczur.

Nie rozumiałem go; zdziwił się, że o tym nie wiem; sam oficer polityczny pokazywał im przecież gazety sprzed kilku miesięcy, gdzie zamieszczone było oświadczenie Aleksa: wyrzeka się swego ojca, który zdradził i splugawił największą świętość, jaką zna jego syn.

Tego dnia pod wieczór na wieży wartowniczej (zbudowanej w ostatnich dniach) po raz pierwszy zapaliły się reflektory i oświetliły pogrążony w ciemnościach obóz; koło ogrodzenia z drutów przechadzał się wartownik z psem.

Ogarnęło mnie straszliwe przygnębienie: byłem sam, bez Łucji, i wiedziałem, że nie zobaczę jej przez całe dwa miesiące. Napisałem do niej tego wieczora długi list; pisałem jej, że długo się nie zobaczymy, że nie wolno nam wychodzić z

koszar i że jest mi przykro, że odmówiła mi tego, czego pragnąłem i co we wspomnieniach pomogłoby mi przeczekać te smutne tygodnie.

W dzień potem, jak wrzuciłem list do skrzynki, ćwiczyliśmy po południu na dziedzińcu obowiązkowe w tył zwrot, biegiem marsz i padnij. Wykonywałem wszystkie te ruchy całkiem automatycznie, nie widząc niemal wydającego rozkazy kaprała ani swoich maszerujących i padających na ziemię kolegów; nie widziałem też tego, co mnie otaczało: z trzech stron baraki, a z jednej ogrodzenie z drutu, wzdłuż którego, na zewnątrz, biegła szosa. Od czasu do czasu przechodził ktoś obok drutów, niekiedy ktoś koło nich przystawał (przeważnie dzieci, same albo z rodzicami, którzy im tłumaczyli, że za drutami są żołnierze i że się ćwiczą). Wszystko to zmieniło się dla mnie w martwą dekorację, w ścienne malowidło (wszystko, co znajdowało się poza drutami, to były ścienne malowidła); zapatrzyłem się więc w ogrodzenie, aż ktoś półgłosem zawołał w tamtym kierunku:

– Co się gapisz, cizia?

Dopiero wtedy ją zobaczyłem. Była to Łucja. Stała za drutami w brązowym płaszczku, w tym starym, zniszczonym (przyszło mi na myśl, że przy letnich zakupach zapomnieliśmy, iż lato się skończy i przyjdą chłody) i w czarnych modnych pantofelkach na wysokich obcasach (także prezent ode mnie), które do tego nędznego paletka absolutnie nie pasowały. Stała bez ruchu za drutami i patrzyła na nas. Żołnierze robili na temat jej dziwnej cierpliwej postawy coraz to złośliwsze komentarze, a uwagi ich nabrzmiały były całą rozpaczą zdrowych mężczyzn trzymanych w przymusowym celibacie. W końcu podoficer zauważył roztargnienie żołnierzy i szybko dostrzegł również jego przyczynę; ogarnął go widać gniew na własną bezsilność, nie mógł kazać dziewczynie odejść od drutów; poza drutami rozciągało się królestwo względnej wolności, gdzie nie sięgały już jego rozkazy. Pogroził więc żołnierzom, żeby zaprzestali swoich uwag, i nasilił głos i tempo ćwiczeń.

Łucja chwilami spacerowała, chwilami całkiem zniknęła mi z oczu, ale znowu wracała na miejsce, skąd było mnie widać.

Potem musztra się skończyła, ale nie mogłem podejść do niej, ponieważ zaprowadzono nas na szkolenie polityczne; słuchaliśmy słów o obozie pokoju, o imperialistach, i dopiero po godzinie mogłem wybiec na dwór (ściemniało się już) i popatrzeć, czy Łucja stoi jeszcze za drutami; była tam, podbiegłem do niej.

Prosiła mnie, żebym się na nią nie gniewał, że mnie kocha i że przykro jej, jeśli jest mi smutno z jej powodu.

Powiedziałem, że nie wiem, kiedy będę mógł się z nią zobaczyć. Odparła, że to nic nie szkodzi, że będzie przychodziła tu do mnie. (Mijało nas właśnie kilku żołnierzy i rzucili w naszą stronę jakąś sprośną uwagę.) Spytałem, czy nie będą jej przeszkadzały ordynarne docinki żołnierzy. Powiedziała, że to jej nie przeszkadza, że mnie kocha. Podała mi przez ogrodzenie łodyżkę róży (odezwwała się trąbka; wzywano nas na apel); pocałowaliśmy się przez druty.

### 13

Lucja przychodziła pod ogrodzenie koszar dzień w dzień, jeśli miałem ranną szychtę i spędzałem popołudnie w koszarach; dzień w dzień dostawałem bukiet (kiedyś w czasie rewizji walizek plutonowy wyrzucił mi je wszystkie na ziemię) i wymieniałem z Lucją parę zdań (zdań całkiem stereotypowych, ponieważ właściwie nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia; nie była to wymiana myśli czy wiadomości, utwierdzaliśmy się jedynie w tym, cośmy już wielokrotnie sobie powiedzieli); przy tym nie przestawałem niemal codziennie do niej pisywać; był to najintensywniejszy okres naszej miłości. Reflektory na wieży wartowniczej, psy ujadające wieczorami, zawadiacki pętał, który tym wszystkim komendował, nie zajmowali zbyt wiele miejsca w moich myślach, które koncentrowały się całkowicie na odwiedzinach Lucji.

Byłem właściwie bardzo szczęśliwy wewnątrz tych koszar, strzeżonych przez psy, i we wnętrzu kopalni, gdzie napierałem całym ciałem na wibrującą wiertarkę. Byłem szczęśliwy i dumny, ponieważ w Lucji posiadałem bogactwo, jakiego nie miał żaden z moich kolegów ani żaden z dowódców; byłem kochany publicznie i demonstracyjnie. Jeśli nawet Lucja nie ucieleśniała w oczach moich kolegów ideału kobiety, jeśli nawet jej miłość, przejawiała się – jak uważali – w sposób dość dziwny, była to jednakże miłość kobiety, a to budziło podziw, nostalgię i zazdrość.

Im dłużej byliśmy odcięci od świata i od kobiet, tym więcej mówiło się o kobietach, ze wszystkimi szczegółami, ze wszystkimi detalami; wspomniano ich pieprzyki, rysowano (ołówkiem na papierze, oskardem w ziemi, palcem na piasku) linie ich piersi i pośladków, wybuchały spory o to, który tyłek nieobecnych a wspomnianych kobiet ma właściwszy kształt; odtwarzano dokładnie powiedzenia i westchnienia w czasie stosunku; wszystko to wałkowano w kółko w coraz to nowych wariantach i za każdym razem uzupełniano nowymi niuansami. Mnie również koledzy zarzucali pytaniami, a jeśli chodziło o moje własne zwierzenia, byli tym bardziej ciekawi, że dziewczynę, o której

miałem mówić, widywali teraz codziennie, mogli zatem z łatwością ją sobie wyobrazić i podkładać jej konkretną postać pod moje opowiadanie. Nie mogłem tego chłopakom odmówić, nie mogłem zrobić nic innego, jak tylko opowiadać; mówiłem więc o nagim ciele Łucji, którego nigdy nie widziałem, o pieszczotach, których nigdy nie zaznałem, i wyłaniał się przede mną dokładny, precyzyjny obraz jej cichej namiętności.

Jak to było, kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy?

Widziałem to w czasie swego opowiadania jako najautentyczniejszą rzeczywistość: działo się to w jej pokoju w internacie; rozbierała się przede mną posłusznie, uległe, a jednak z jakimiś oporami, bo była przecież dziewczyną z prowincji, ja zaś byłem pierwszym mężczyzną, który ją oglądał naga. A mnie podniecała do szaleństwa właśnie ta uległość pomieszana z nieśmiałością; kiedy do niej podszedłem, schyliła się i wstydliwie osłoniła rękami...

Dlaczego ona ciągle nosi te czarne pantofle na wysokich obcasach?

Wyjaśniłem, że kupiłem jej je po to, żeby spacerowała w nich przede mną naga; wstydziła się, ale spełniała wszystko, czego od niej zażądałem; ja zostawałem zawsze jak najdłużej w ubraniu, a ona przechadzała się nago w tych pantoflach (strasznie mi się to podobało, że ona była nago, a ja w ubraniu!), podchodziła do szafki, gdzie było wino i, naga, nalewała mi kieliszek...

Toteż gdy Łucja przychodziła teraz pod druty, patrzyłem na nią nie tylko ja, ale wraz ze mną co najmniej dziesięciu chłopaków, którzy wiedzieli dokładnie, jak Łucja się oddaje, co przy tym mówi, jak wzdycha, zawsze też znacząco stwierdzali, że znowu jest w czarnych pantoflach na wysokich obcasach, i wyobrażali sobie, jak nago spaceruje w nich po malutkim pokoiku.

Każdy z moich kolegów mógł snuć wspomnienia o jakiejś kobiecie i w ten sposób dzielić się nią z innymi, ale tylko ja poza słowami mogłem dostarczyć im również widoku tej kobiety; tylko moja dziewczyna była prawdziwa, żywa, obecna. Koleżeńska solidarność, która kazała mi odmalowywać szczegółowy obraz nagości Łucji i jej pieszczot, sprawiła, że moje pożądanie boleśnie się skonkretyzowało. Ordynarne uwagi chłopców, którymi komentowali odwiedziny Łucji, zupełnie mnie przy tym nie irytowały; żaden z kolegów mi przez to Łucji nie odbierał (przed wszystkimi, a także przede mną, chroniło ją ogrodzenie z drutów i psy); wprost przeciwnie, wszyscy mi ją dawali: wszyscy wyostrozali mi jej podniecający obraz, wszyscy malowali go wraz ze mną i czynili go diabło kuszącym; uległem moim kamratom, a wszyscy razem ulegliśmy pożądaniu Łucji. Kiedy potem przychodziłem do niej pod druty, czułem, jak drzę, pragnąłem



jej tak, że nie mogłem w ogóle mówić; nie potrafiłem pojąć, jak mogłem z nią chodzić pół roku niczym nieśmiały sztubak i w ogóle nie widzieć w niej kobiety; oddałbym wszystko, by raz się z nią przespać.

Nie chcę przez to powiedzieć, że mój stosunek do niej stał się bardziej wulgarny, bardziej płaski, że stracił na tkliwości. Nie, powiedziałbym, że był to jeden jedyny wypadek w moim życiu, kiedy pragnąłem kobiety całym sobą, że w tym uczuciu zaangażowane było wszystko, co jest we mnie; ciało i dusza, pożądanie i czułość, smutek i wściekła witalność, tęsknota za chwilą rozkoszy i za wiecznym posiadaniem. Byłem cały zaangażowany, bez reszty sprężony, cały bez reszty skoncentrowany, i dzisiaj, w wieku wędnących żądz, wspominam te chwile jak utracony raj (dziwny raj, wokół którego krąży wartownik z psem i w którym wyrzaskuje rozkazy kapral).

Byłem zdecydowany zrobić wszystko, żeby spotkać się z Łucją poza terenem koszar; miałem jej obietnicę, że następnym razem „nie będzie mi się opierała” i że spotka się ze mną, gdzie tylko będę chciał. Wielokrotnie potwierdziła tę obietnicę w czasie naszych krótkich rozmów przez druty. Wystarczyło zatem jedynie zdecydować się na niebezpieczną akcję.

Wkrótce wszystko miałem dokładnie obmyślane. Po Janku został nam dokładny plan ucieczki, którego komendant nie odkrył. Druk w ogrodzeniu nadal był w niewidoczny sposób przecięty, a umowa z górnikiem, który mieszkał naprzeciwko koszar, nie została zerwana, należało ją tylko odnowić.

Koszary były jednak idealnie strzeżone, a wyjście z nich w czasie dnia niemożliwe. Także po zapadnięciu zmroku patrole z psami obchodziły teren, świeciły się reflektory, ale raczej już dla efektu i dla przyjemności komendanta niż dlatego, żeby nas ktoś podejrzewał o chęć ucieczki; za wykrycie ucieczki groził sąd wojskowy, a to było już zbyt duże ryzyko. Właśnie dlatego powiedziałem sobie, że mogłoby mi się udać.

Chodziło już tylko o to, by znaleźć dla siebie i dla Łucji jakieś dogodne pomieszczenie, w miarę możliwości niezbyt daleko od koszar. Górnicy mieszkający w pobliżu zjeżdżali do tej samej kopalni co my, udało mi się wkrótce z jednym z nich, pięćdziesięcioletnim wdowcem, zawrzeć umowę (nie kosztowało mnie to więcej niż trzy setki w ówczesnej walucie), że wypożyczy mi swoje mieszkanie.

Dom, w którym mieszkał (jednopiętrowy szary dom), widać było z koszar; pokazałem go Łucji przez druty i wyłożyłem jej swój plan; nie ucieszyła się; ostrzegła mnie, żebym nie narażał się z jej powodu, a w końcu zgodziła się jedynie dlatego, że nie umiała się sprzeciwić.

Nadszedł umówiony dzień. Zaczął się dosyć dziwnie. Zaraz po powrocie z szycy komendant-dziecię zarządził zbiórkę i wygłosił jedno ze swoich częstych przemówień. Zazwyczaj straszył nas wojną, która wisi na włosku, oraz tym, że nasze państwo ostro weźmie się za reakcjonistów (miał przy tym na myśli przede wszystkim nas). Tym razem dodał do swojego przemówienia nową myśl: wróg klasowy wkradł się jakoby w szeregi samej partii; ale niechaj pamiętają szpiedzy i zdrajcy, że z zamaskowanymi wrogami postępować się będzie stokroć gorzej niż z tymi, którzy nie kryją swoich poglądów, ponieważ zamaskowany wróg – to parszywy pies.

– A jednego z nich mamy wśród nas – rzekł na zakończenie komendant-dziecię i wywołał z szeregu Aleksa-dziecię. Potem wyciągnął z kieszeni jakieś papiery i podsunął mu pod oczy.

– Znasz ten list?

– Znam – rzekł Aleks.

– Jesteś parszywy pies. Ale jesteś także szpicel i donosiciel. Tylko że psie głosy nie idą pod niebiosy.

I na jego oczach podarł list.

– Mam dla ciebie jeszcze jeden list – powiedział i podał Aleksowi otwartą kopertę. – Czytaj na głos.

Aleks wyciągnął z koperty arkusik papieru, przebiegł go wzrokiem i... milczał.

– Czytaj! – powtórzył komendant. Aleks milczał.

– Nie będziesz czytać? – zapytał komendant znowu, a kiedy Aleks milczał nadal, zakomenderował:

– Padnij!

Aleks padł na błotnistą ziemię.

Komendant-dziecię stał przez chwilę nad nim, a my wszyscy wiedzieliśmy, że teraz nastąpi już tylko: powstań, padnij, powstań, padnij, i że Aleks będzie musiał padać i wstawać, padać i wstawać. Ale komendant nie dał następnej komendy, odwrócił się od Aleksa i powoli zaczął obchodzić pierwsze szeregi żołnierzy; kontrolował wzrokiem ich rynsztunek, doszedł aż na koniec szeregu (trwało to kilka minut), po czym powoli ruszył z powrotem w stronę leżącego żołnierza.

– No, a teraz czytaj – powiedział, i rzeczywiście Aleks uniósł znad ziemi zabłoconą brodę, wyciągnął przed siebie prawą rękę, w której przez cały czas trzymał list, i leżąc na brzuchu przeczytał:

– „Zawiadamiamy was, że z dniem piętnastego września 1951 roku zostaliście usunięci z Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Za komitet obwodowy...”

Komendant kazał stanąć Aleksowi w szeregu, przekazał nas kapralowi i zaczęła się musztra.

Po musztrze było szkolenie polityczne, a około wpół do siódmej (było już ciemno) Łucja stanęła za drutami; podszedłem do niej, a ona kiwnęła tylko głową, że wszystko w porządku, i odeszła. Potem była kolacja, capstrzyk i poszliśmy spać; czekałem chwilę leżąc w swoim łóżku, aż zaśnie kapral – komendant naszej izby. Potem wciągnąłem buty i tak jak byłem, w długich, białych kalesonach i w nocnej koszuli, wyszedłem z izby. Przemknąłem korytarzem i znalazłem się na dziedzińcu. W moim nocnym odzieniu było mi porządnie zimno. Miejsce, gdzie chciałem przeleźć przez ogrodzenie, znajdowało się w głębi, za izbą chorych, co miało tę ogromną zaletę, że gdyby mnie ktoś spotkał, mógłbym twierdzić, iż źle się czuję i chcę obudzić doktora. Ale nikt mnie nie spotkał; obszedłem izbę chorych i skuliłem się w jej cieniu; reflektor leniwie rzucał światło na jedno miejsce (wartownik na wieży przestał widać poważnie traktować swoje zadanie), a płaska przestrzeń dziedzińca, którą musiałem przebyć, tonęła w ciemności; dotarłem szczęśliwie do izby chorych i przycisnąłem się do ściany; teraz chodziło już tylko o to, żeby nie wpaść na wartownika, który ze swoim wilczurem przez całą noc chodził wzdłuż ogrodzenia; była cisza (niebezpieczna cisza, która przeszkadzała mi się zorientować); stałem chyba z dziesięć minut, kiedy usłyszałem szczekanie psa; rozlegało się gdzieś z tyłu, po drugiej stronie koszar. Odskokczyłem więc od ściany i pobiegłem (było to zaledwie pięć metrów) w kierunku drutów, które tutaj, po machinacjach Janka, odstawały trochę od ziemi. Kucnąłem i prześliznąłem się; teraz nie wolno już było mi się wahać, zrobiłem dalszych pięć kroków do drewnianego płotu domku górnika; wszystko było w porządku; furtka była otwarta i znalazłem się na małym podwórzu parterowego domku, w którego oknie (z zaciągniętą roletą) paliło się światło. Zapukałem w szybę i po krótkiej chwili ukazało się w drzwiach wielkie chłopisko i donośnym głosem zaprosiło mnie do środka. (Przelałem się tego donośnego głosu, nie mogłem bowiem zapomnieć o tym, że znajduję się zaledwie pięć metrów od koszar.)

Drzwi prowadziły wprost do pokoju; stanąłem w progu, trochę zaskoczony: wewnątrz siedziało wokół stołu (stała na nim otwarta butelka) jeszcze pięciu facetów i popijali; zobaczywszy mnie zaczęli się śmiać z mojego stroju; stwierdzili, że w tej nocnej koszuli musiałem zmarznąć, i natychmiast nalali mi szklaneczkę; skosztowałem; był to rozcieńczony spirytus; zachęcony przez nich, wychyliłem szklaneczkę jednym haustem; rozkaszałem się; to znowu wywołało wybuch życzliwego śmiechu; podsunęli mi krzesło; wypytywali, jak się powiodło moje „przejście przez granicę”, i znowu oglądali mój komiczny strój, śmieli się nazywając mnie „uciekinierem w gaciach”. Byli to górnicy w wieku trzydziestu do czterdziestu lat i prawdopodobnie częściej się tutaj spotykali; pili, ale nie byli pijani; po pierwszym zaskoczeniu (w którym była i odrobina przestרחu) ich beztroska obecność uwalniała mnie teraz z przygnębienia. Kazałem nalać sobie jeszcze jedną szklaneczkę tego niesamowicie mocnego i cuchnącego napoju. Właściciel domku przeszedł w tym czasie do sąsiedniego pokoju i wrócił z ciemnym męskim ubraniem.

– Będzie na ciebie dobre? – zapytał.

Uprzytomniłem sobie, że górnik jest co najmniej o dziesięć centymetrów wyższy, powiedziałem jednak:

– Musi być dobre.

Wciągnąłem spodnie na kalesony, i okazało się, że jest źle; żeby mi nie opadały, musiałem przytrzymywać je ręką w pasie.

– Nie ma kto z was paska? – spytał mój ofiarodawca. Nikt paska nie miał.

– To może przynajmniej kawałek szpagatu? – powiedziałem. Szpagat się znalazł i przy jego pomocy spodnie jako tako się trzymały.

Potem włożyłem marynarkę i obecni orzekli, że wyglądam (nie bardzo wiem dlaczego) jak Charlie Chaplin, że brakuje mi tylko melonika i laseczki. Żeby im zrobić przyjemność, ustawiłem stopy piętami do siebie, a czubkami od siebie. Ciemne spodnie fałdowały się nad twardymi cholewami wojskowych butów; facetom bardzo się to podobało i twierdzili, że dzisiaj każda kobieta spełni każde życzenie, jakie wyczyta z moich oczu. Nalali mi trzecią szklaneczkę spirytusu i wyprowadzili na dwór. Gospodarz upewnił mnie, że mogę zastukać w okno o każdej porze nocy, kiedy będę chciał znowu się przebrać.

Wyszedłem na ciemną, źle oświetloną ulicę. Zabrało mi to co najmniej dziesięć minut, zanim z daleka okrążyłem całe koszary i wydostałem się na ulicę, na której czekała na mnie Łucja. Żeby się tam dostać, musiałem przejść obok

oświetlonej bramy naszych koszar; poczułem lekki strach, ale okazało się, że zupełnie niepotrzebnie; cywilne ubranie chroniło mnie doskonale, i żołnierz pilnujący bramy, chociaż mnie widział, nie poznał mnie, tak że bez przeszkód doszedłem do umówionego domu. Otworzyłem drzwi wejściowe (oświetlała je samotna latarnia uliczna) i szedłem na pamięć (nigdy w tym domu nie byłem i znałem wszystko jedynie z opisu górnika): schodami na lewo, pierwsze piętro, pierwsze drzwi na wprost schodów. Zapukałem. Zazgrzytał klucz w zamku i otworzyła mi Łucja.

Objąłem ją (przyszła tutaj, kiedy właściciel mieszkania wychodził na nocną zmianę, i od tej pory tu na mnie czekała); zapytała, czy piłem; odrzekłem, że tak, i opowiedziałem jej, jak się tu dostałem. Mówiła, że przez cały czas trzęsła się, czy nic mi się nie stanie. (W tym momencie uświadomiłem sobie, że naprawdę się trzęsie.) Mówiłem jej, jak strasznie się cieszyłem, że się z nią spotkam; trzymałem ją przy tym w ramionach i czułem, że drży coraz bardziej.

– Co ci jest? – spytałem.

– Nic.

– Dlaczego cała drżysz?

– Bałam się o ciebie – rzekła i wywinęła się lekko z moich objęć.

Rozejrzałem się dokoła. Był to mały pokój, urządzone z surową prostotą: stół, krzesła, łóżko (zaścielone łóżko, z nieco przybrudzoną bielizną pościelową); nad łóżkiem wisiał jakiś święty obraz; przy ścianie naprzeciwko stała szafa, a na niej słoiki z konfiturami (jedyna nieco bardziej „domowa” rzecz w tym pokoju), a nad tym wszystkim paliła się pod sufitem żarówka, goła, bez abażuru, nieprzyjemnie rażąca w oczy i ostro oświetlająca moją postać, której smutną śmieszność boleśnie sobie w tej chwili uświadomiłem: olbrzymia marynarka, podtrzymywane szpagatem spodnie, spod których wyglądają czarne cholewy butów, a nad tym wszystkim moja świeżo ogolona łepetyna, która w świetle żarówki musiała błyszczeć niby blady księżyc.

– Na litość boską, Łucjo, wybacz, że tak wyglądam – powiedziałem i znowu zacząłem wyjaśniać, dlaczego musiałem się tak przebrać. Łucja zapewniła mnie, że to nie ma żadnego znaczenia, ale ja w przypiływie pijackiej spontaniczności oświadczyłem, że w ten sposób nie mogę tu przed nią stać, i szybko zrzuciłem z siebie marynarkę i spodnie; tylko że pod marynarką miałem nocną koszulę i okropne wojskowe kalessony, co razem stanowiło strój dużo bardziej komiczny niż ten, który go przed chwilą przykrywał. Podeszedłem do kontaktu i zgasilem

światło, ale żadna ciemność nie przysłała mi w sukurs, ponieważ przez okno wpadało do pokoju światło ulicznej latarni. Wstydziłem się bardziej śmieszności niż nagości, toteż szybko zrzuciłem z siebie koszulę i kalesony i stanąłem naprzeciw Łucji nagi. Objąłem ją. (Znowu poczułem, jak drży.) Powiedziałem jej, żeby się rozebrała, żeby zrzuciła z siebie wszystko, co nas dzieli. Przesuwałem dłońmi po całym jej ciele i wciąż na nowo powtarzałem swoją prośbę, ale Łucja powiedziała, żebym chwilę zaczekał, że nie może, że teraz nie może, że nie może tak prędko. Wziąłem ją za rękę i usiedliśmy na łóżku. Położyłem głowę na jej kolanach i przez chwilę siedziałem spokojnie; i nagle zdałem sobie sprawę z niestosowności swego adamowego stroju (leciutko oświetlonego mętnym światłem latarni za oknem); przyszło mi na myśl, że wszystko wyszło akurat odwrotnie, niż to sobie wymarzyłem: to nie naga dziewczyna usługuje ubranemu mężczyźnie, ale nagi mężczyzna leży na kolanach ubranej kobiety; czułem się jak nagi Chrystus, zdjęty z krzyża, w ramionach płaczącej Marii, a jednocześnie przestraszyłem się natychmiast tego porównania, ponieważ nie przyszedłem tu po litość, ale po coś zupełnie innego – i znowu zacząłem nalegać na Łucję, całować ją (jej twarz i ubranie) i niepostrzeżenie rozpinąć guziki jej sukienki.

Ale niczego nie osiągnąłem; Łucja znowu mi się wywinęła; straciłem całkiem początkowy impet i czuła niecierpliwość, wyczerpałem naraz wszystkie swoje słowa i pieszczoty. Leżałem na łóżku nagi, wyciągnięty i nieruchomy, a Łucja siedziała przy mnie i chropowatymi dłońmi gładziła mnie po twarzy. A we mnie powoli narastała irytacja i gniew; wypomniałem Łucji w duchu całe ryzyko, jakie poniosłem, żeby się dzisiaj z nią spotkać; przypominałem jej (w duchu) wszystkie kary, które mogłaby pociągnąć za sobą moja dzisiejsza wyprawa. Ale były to tylko powierzchowne wyrzuty (dlatego też je Łucji – choć w milczeniu – czyniłem). Właściwe źródło mojego gniewu było dużo głębsze (wstydziłem się o tym mówić): myślałem o swoim godnym pożałowania losie, o godnej pożałowania, nieudanej młodości, o godnych pożałowania niezliczonych tygodniach bez ukojenia, o poniżającej nieskończoności niespełnionych pragnień; stanęły mi przed oczami moje daremne próby zdobycia Małgorzaty, odrażająca dziewczyna na żniwiarce i znowu daremne próby zdobycia Łucji. Miałem ochotę głośno się skarżyć: dlaczego we wszystkich sprawach muszę być dorosły, jako dorosły być sądzony, wyrzucany, uznany za trockistę, jako dorosły zesłany do kopalni, a dlaczego w miłości nie wolno mi być dorosłym i muszę przetykać całą hańbę niedojrzałości? Nienawidziłem Łucji, nienawidziłem jej tym bardziej, ponieważ wiedziałem, że mnie kocha, ponieważ jej upór był tym bardziej bezsensowny, niezrozumiały i niepotrzebny i doprowadzał mnie do wściekłości. Po pół godzinie zaciętego milczenia znowu przeszedłem do ataku.

Zwalilem się na nią; użyłem całej siły, udało mi się zedrzeć jej suknię, rozerwać stanik, dostać się ręką do nagiej piersi, ale Łucja broniła się coraz zacieklej i (owładnięta równie ślepą siłą co ja) obroniła się w końcu, zeskoczyła z łóżka i stanęła koło szafy.

– Dlaczego się bronisz?! – krzychałem na nią.

Nie umiała odpowiedzieć, mówiła coś o tym, żebym się nie gniewał, żebym jej wybaczył, ale nie powiedziała nic sensownego, nic, co by ją tłumaczyło.

– Dlaczego mi się opierasz? Czy nie wiesz, że cię kocham? Ty jesteś szalona!  
– krzychałem.

– No to mnie wypędź! – rzekła, ciągle przyciśnięta do szafy.

– Wypędzę cię, naprawdę wypędzę, bo mnie nie kochasz, bo sobie ze mnie kpisz! – Krzychałem, że daję jej ultimatum, że albo będzie moja, albo nie chcę jej więcej widzieć. Znowu podszedłem do niej i objąłem ją. Tym razem się nie opierała, ale leżała w moich ramionach jak martwa.

– Co ty sobie wyobrażasz z tym twoim dziewictwem, dla kogo chcesz je zachować?

Milczała.

– Dlaczego milczysz?

– Ty mnie nie kochasz – powiedziała.

– Ja ciebie nie kocham?!

– Nie kochasz mnie. A ja myślałam, że mnie kochasz... – Wybuchnęła płaczem.

Ukląknę przed nią; całowałem jej nogi, błagałem. Ale ona płakała i twierdziła, że jej nie kocham.

Nagle porwała mnie niesamowita wściekłość. Wydało mi się, że jakaś nadprzyrodzona siła stoi mi na drodze i za każdym razem wytrąca mi z ręki to, dla czego chcę żyć, to, co sobie wymarzyłem, to, do czego mam prawo; to ta sama siła, która odebrała mi partię, towarzyszy, uniwersytet, która za każdym razem wszystko mi odbiera, i to zawsze za nic, bez najmniejszego powodu. Zrozumiałem, że ta nadprzyrodzona siła występuje teraz przeciw mnie w postaci Łucji, i nienawidziłem Łucji za to, że stała się narzędziem tej nadludzkiej siły; uderzyłem ją w twarz – bo zdawało mi się, że to nie jest Łucja, ale owa wroga

siła, krzychałem, że jej nienawidzę, że nie chcę jej więcej widzieć, że już nigdy, nigdy więcej nie chcę jej widzieć.

Rzuciłem jej brązowy płaszcz (wisiał przerzucony przez krzesło) i krzyknąłem za nią, żeby się wynosiła.

Włożyła płaszczyk i wyszła.

A ja położyłem się na łóżku, w duszy miałem pustkę, chciałem wołać, żeby wróciła, bo tęskniłem za nią, już w chwili gdy ją wypędzałem, bo wiedziałem, że tysiąc razy lepiej jest być z Łucją, ubraną i wzdragającą się, niż bez Łucji; bo być bez Łucji znaczyło być absolutnie samotnym.

Wszystko to wiedziałem, a jednak nie krzyknąłem, żeby wróciła.

Długo leżałem na łóżku w wypożyczonym pokoju, ponieważ nie umiałem sobie wyobrazić, że w tym stanie ducha mógłbym spotkać się z ludźmi, że mógłbym się zjawić w domku obok koszar, żartować z górnikami i odpowiadać na ich wesołe, bezwstydne pytania.

W końcu (była już późna noc) podniosłem się jednak i wyszedłem. Latarnia paliła się naprzeciw domu, który opuściłem. Okrzyłem koszary, zastukałem w okno domku (światło już się tam nie paliło), zczekałem jakieś trzy minuty, potem w obecności ziewającego górnika zdjąłem ubranie, bąknąłem coś niewyraźnie w odpowiedzi na jego pytanie, jak mi się powiodła moja wyprawa, i ruszyłem (znów w nocnej koszuli i kalesonach) do koszar. Byłem w rozpacz i było mi wszystko jedno. Zupełnie nie zwracałem uwagi, gdzie znajduje się wartownik z psem, było mi obojętne, gdzie skierowany jest reflektor. Przelazłem przez druty i spokojnie szedłem w stronę swego baraku. Byłem właśnie pod ścianą izby chorych, kiedy usłyszałem:

– Stój!

Zatrzymałem się. Padło na mnie światło latarki. Słyszałem warczenie psa.

– Co tu robisz?

– Rzygam, towarzyszu plutonowy – odpowiedziałem, opierając się ręką o mur.

– No to prędzej, prędzej! – odparł plutonowy i wraz z psem ruszył w dalszy obchód.



Po ostatnim zdaniu zrobiłem odstęp, przerwę, którą dziełem swoje wspomnienia na poszczególne rozdziały. Nie jestem pewien, czy słusznie, ponieważ łańcuch szybko po sobie następujących wydarzeń nie skończył się na moim spotkaniu z plutonowym, ale osiągnął swój punkt kulminacyjny następnego ranka.

Do łóżka dotarłem tej nocy już bez żadnych komplikacji (kapral mocno spał), ale na próżno starałem się zasnąć, toteż ucieszyłem się, kiedy niemiły głos dyżurnego (ryczącego: „Pobudka!”) zakończył złą noc. Wsunąłem stopy w buty i poszedłem do umywalni, żeby ochłapać się i orzeźwić zimną wodą. Kiedy wróciłem, ujrzałem obok łóżka Aleksa stłoczoną gromadkę na wpół ubranych kolegów, którzy tłumili chichot. Od razu zrozumiałem, o co chodzi: Aleks (leżał na brzuchu, z głową wciśniętą w poduszkę, przykryty kocem) spał jak suseł. Przypomniał mi się natychmiast Franek Petraszek z trzeciego plutonu, który kiedyś, wściekły na swego plutonowego, udawał rano tak twardy sen, że tarmosili go po kolei trzej różni przełożeni, wszyscy bez rezultatu: musiano go w końcu wynieść razem z łóżkiem na dwór, i dopiero kiedy wycelowano w niego strażacką sikawkę, zaczął leniwie przecierać oczy. Tylko że w wypadku Aleksa nie wchodził w rachubę żaden bunt, a jego mocny sen mógł być jedynie wynikiem słabości fizycznej. Korytarzem nadchodził właśnie kapral (komendant naszej izby) niosąc w ręku ogromny gar wody; otaczało go paru żołnierzy; widać namówili go do tego starego, głupiego kawału z wodą, który tak znakomicie odpowiada podoficerskiej mentalności wszystkich czasów i wszystkich ustrojów.

Zirytowała mnie w tej chwili ta wzruszająca jednomyślność między żołnierzami i podoficerem (kiedy indziej tak przez nich pogardzanym); zirytowało mnie, że wspólna nienawiść do Aleksa wymazała nagle wszystkie stare porachunki między nim a nimi. Wczorajsze słowa komendanta o donosicielstwie Aleksa wszyscy wytłumaczyli sobie widać jako potwierdzenie własnych podejrzeń i poczuli w sobie nagły przyływ gorącej solidarności z okrucieństwem komendanta. Zresztą, czyż nie wygodniej jest nienawidzić razem z silnym komunistą tego bezsilnego niż z bezsilnym tego silnego? Uderzyła mi do głowy fala oślepiającej wściekłości na wszystkich dookoła, na to, jak bezmyślnie potrafią uwierzyć w każde oskarżenie, na tę ich gotowość do okrucieństwa, które miało im przywrócić zachwianą pewność siebie – wyminałem kaprała i otaczającą go gromadę. Podeszedłem do łóżka i powiedziałem głośno:

– Aleks, ty idioto, wstawaj!

W tej chwili ktoś z tyłu wykręcił mi rękę i zmusił mnie, abym ukląkł. Obejrzałem się i zobaczyłem, że to Paweł Piękny.

– Dlaczego nam wszystko psujesz, ty bolszewiku? – zasyczał.

Wyrwałem się i wymierzyłem mu policzek. Bylibyśmy się z pewnością na siebie rzucili, ale pozostali uspokoili nas skwapliwie, ponieważ bali się, by Aleks przedwcześnie się nie obudził. Zresztą kapral z garnkiem wszedł już do sali. Stał nad Alekssem, ryknął: „Pobudka!”... i w tej samej chwili wylał na niego całą wodę, której było w garnku co najmniej dziesięć litrów.

I oto stało się coś dziwnego: Aleks nadal leżał tak jak przedtem. Kapral na chwilę stracił rezon, po czym ryknął:

– Szeregowy! Powstań!

Ale szeregowy się nie ruszał. Kapral pochylił się i potrząsnął nim (koc był cały przemoczony, przemoczone było też łóżko i prześcieradło, woda ściekała na podłogę). Udało mu się odwrócić ciało Aleksa na wznak, tak że zobaczyliśmy jego twarz; była zapadnięta, blada, nieruchoma.

– Lekarza! – krzyknął kapral.

Nikt się nie ruszył, wszyscy patrzyli na Aleksa w przemoczonej koszuli, a kapral znowu krzyknął: – Lekarza! – i wskazał na jednego żołnierza, który natychmiast wybiegł.

(Aleks leżał bez ruchu, był drobniejszy i mizerniejszy niż zwykle, o wiele młodszy, wyglądał jak dziecko, tylko usta miał mocno zaciśnięte, tak jak się to u dzieci nigdy nie zdarza, i kapala z niego woda. Ktoś powiedział: – Pada deszcz...)

Wreszcie przyszedł lekarz, ujął Aleksa za przegub dłoni i powiedział:

– No tak.

Potem odrzucił z niego mokry koc, i Aleks leżał teraz przed nami wyciągnięty na całą swoją (niewielką) długość; widać było przemoczone, długie białe kalesony, z których sterczały bosa stopy. Doktor rozejrzał się dokoła i wziął z nocnego stolika dwie fiołki; zajrzał do środka (były puste) i powiedział:

– To by starczyło na dwóch.

Potem ściągnął prześcieradło z najbliższego łóżka i przykrył nim Aleksa.

Wszystko to zatrzymało nas, tak że musieliśmy potem w biegu zjeść śniadanie i w trzy kwadransy później zjeżdżaliśmy już pod ziemię. A potem koniec

szychty i znowu musztra, i znowu szkolenie polityczne, i obowiązkowy śpiew, i sprzątanie, i capstrzyk, i spać, a ja myślałem o tym, że nie ma już Staszka, że nie ma mego najlepszego przyjaciela Janka (nigdy go już potem nie widziałem, słyszałem tylko, że po skończonej służbie wojskowej udało mu się uciec przez granicę do Austrii) i że nie ma już także Aleksa; podjął się swojej wielkiej roli ślepo i odważnie i nie jego wina, że nagle nie potrafił już grać jej dalej, że nie potrafił pokornie i cierpliwie stać w szeregu miażdżony pogardą, że nie miał już sił; nie był to mój przyjaciel, był mi obcy, jeśli chodzi o zaciekłość jego wiary, ale jeśli idzie o podobieństwo losów, był mi najbliższy ze wszystkich; wydawało mi się, że jego śmierć kryje w sobie również i do mnie skierowany wyrzut, jakby mi chciał powiedzieć, że z chwilą gdy partia wyłączy człowieka ze swych szeregów, to ten człowiek nie ma już po co żyć. Odczułem naraz jako swoją winę fakt, że go nie lubiłem, ponieważ teraz był już nieodwołalnie martwy, a ja nigdy nic dla niego nie zrobiłem, aczkolwiek jedynie ja mogłem tu coś dla niego zrobić.

Ale utraciłem nic tylko Aleksa i bezpowrotną sposobność ocalenia człowieka; dzisiaj, z pewnego dystansu, widzę, że właśnie wtedy straciłem ciepłe, przyjacielskie poczucie solidarności ze swoimi czarnymi druhami, a wraz z nim możliwość całkowitego wskrzeszenia w sobie swojej zdeptanej wiary w ludzi. Zaczęłem wątpić w wartość naszej solidarności, która wytworzyła się jedynie pod naporem warunków i instynktu samozachowawczego, jednoczących nas w zgodną gromadę. Zaczęłem sobie uświadamiać, że naszczamy kolektyw tak samo potrafi zaszczyć innego człowieka (skazać go na wyobcowanie i na śmierć), jak kolektyw tych, co jednomyślnie podnosili ręce, i jak każdy chyba kolektyw ludzki.

Czułem się w tych dniach, jakby rozpościerała się we mnie pustynia; byłem pustynią na pustyni i chciałem wołać Łucję. Nie mogłem naraz absolutnie pojąć, dlaczego tak niepoczytalnie pragnąłem jej ciała; wydawało mi się teraz, że to chyba w ogóle nie jest kobieta z krwi i kości, ale jedynie przejrzysta smuga ciepła, sunąca przez królestwo bezkresnego chłodu, smuga ciepła, która oddala się ode mnie, którą sam od siebie odegnałem.

A potem przyszedł następny dzień, po szychcie w czasie musztry nie spuszczałem oczu z ogrodzenia i czekałem, czy przyjdzie; ale za drutami w ciągu całego tego czasu przystanąła jedynie jakaś baba, która pokazywała nas umorusanemu dzieciakowi. Wieczorem napisałem więc list, długi i żalony, prosiłem Łucję, żeby znowu przyszła, że muszę ją zobaczyć, że już nic od niej nie chcę, tylko żeby w ogóle była, żebym mógł ją zobaczyć i wiedzieć, że jest ze mną, że istnieje, że w ogóle jest...

Jak na urągowisko w tych dniach akurat się ociepliło, niebo było błękitne, był cudowny październik. Liście na drzewach mieniły się kolorowo, a przyroda (ta ubożutka ostrawska przyroda) świętowała jesienne pożegnanie w szaleńczym zachwyceniu. Nie mogłem nie uważać tego za urągowisko, ponieważ na moje rozpaczliwe listy nie przychodziła żadna odpowiedź, a pod drutami zatrzymywali się (pod wyzywającym słońcem) sami tylko straszliwie obcy ludzie. Mniej więcej po dwóch tygodniach wrócił jeden z moich listów: adres był na nim przekreślony, a kopia ołówkiem dopisano: „Adresat się wyprowadził.”

Ogarnęło mnie przerażenie. Od swego ostatniego spotkania z Łucją tysiąc razy powtarzałem w duchu wszystko, co jej wtedy powiedziałem, i co ona powiedziała mnie, sto razy sam siebie przeklinałem i sto razy usprawiedliwiałem się przed sobą, sto razy byłem skłonny uwierzyć, że na zawsze odepchnąłem Łucję, i sto razy zapewniałem się, że Łucja potrafi mnie zrozumieć i że mi przebaczy. Ale dopisek na kopercie brzmiał jak wyrok.

Nie byłem już w stanie opanować niepokoju i natychmiast popełniłem nowe szaleństwo, ale nie było to właściwie nic bardziej niebezpiecznego niż moja ostatnia ucieczka z koszar, tak że miano szaleństwa nadało tej historii raczej *ex post* jej fiasko niż jej ryzykowność.

Wiedziałem, że przede mną parę razy zrobił coś takiego Janek, kiedy w lecie miał romans z jakąś Bułgarką, której mąż przed południem był w pracy. Poszedłem więc w jego ślady: rano wraz z innymi żołnierzami stawilem się na szychtę, wziąłem markę, lampkę, umazałem twarz sadzą, po czym niepostrzeżenie zniknąłem; pobiegłem do internatu Łucji i zacząłem wypytywać odźwierną. Dowiedziałem się, że Łucja mniej więcej dwa tygodnie temu odeszła stąd z walizką, do której zapakowała wszystkie swoje rzeczy; nikt nie wie, dokąd poszła, nikomu nic nie powiedziała. Przestraszyłem się, czy coś jej się nie stało. Odźwierna popatrzyła na mnie i machnęła ręką.

– Te z brygad to zawsze tak robią. Przyjeżdżają, wyjeżdżają, nikomu nic nie powiedzą.

Pojechałem do fabryki, gdzie pracowała, i zapytałem w wydziale personalnym; ale niczego więcej się nie dowiedziałem. Włączyłem się potem po Ostrawie, a pod koniec szychty wróciłem do kopalni, żeby wmieszać się między kolegów, kiedy wyjadą na powierzchnię; ale widać przegapiłem coś z metody Janka przy tego rodzaju ucieczkach; wszystko wzięło w łeb. W dwa tygodnie później stanąłem przed sądem wojskowym i dostałem dziesięć miesięcy więzienia za dezercję.

Tak, tutaj, w chwili gdy utraciłem Lucję, zaczął się właśnie ów długi okres beznadziejności i pustki, którego odbiciem wydała mi się brudna podmiejska sceneria mego rodzinnego miasta, gdzie przyjechałem na krótki czas. Tak, dopiero od tego momentu się to zaczęło: w ciągu tych dziesięciu miesięcy, które przesiedziałem w więzieniu, umarła mi matka, a ja nie mogłem nawet pojechać na pogrzeb. Potem wróciłem znowu do Ostrawy, do „czarnych”, i służyłem jeszcze cały następny rok. W tym czasie podpisałem zobowiązanie, że po wojsku zostanę na trzy lata w kopalni, ponieważ rozeszła się wiadomość, że ci, co nie podpiszą, zostaną w koszarach o parę lat dłużej. Tak więc jeszcze przez trzy lata zjeżdżałem pod ziemię jako cywil.

Niechętnie to wspominam, niechętnie o tym opowiadam i, nawiasem mówiąc, czuję obrzydzenie, kiedy ci, którzy podobnie jak ja zostali przepędzeni przez własną partię, w którą wierzyli, chełpią się teraz swoim losem. Tak, istotnie, niegdyś i ja otaczałem nimbem heroizmu swój los wyrzutka, ale była to fałszywa pycha. Sam musiałem sobie od czasu do czasu przypominać, że nie dostałem się do „czarnych” za to, że byłem odważny, że walczyłem, że przeciwstawiłem się w swoich poglądach poglądom innych; nie, mojej klęski nie poprzedziła żadna patetyczna tragedia, byłem raczej przedmiotem niż podmiotem całej swojej historii i wobec tego (jeżeli nie chcę uważać za zasługę udręki, smutku czy wręcz słabości) nie mam się czym chwalić.

Lucja? Ach tak: nic widziałem jej całych piętnaście lat, a przez długi czas niczego się o niej nawet nie dowiedziałem. Dopiero po powrocie z wojska doszło do mnie, że jest prawdopodobnie gdzieś w zachodnich Czechach. Ale wtedy już jej nie szukałem.

## 1

Widzę drogę, która się wije przez pole. Widzę tę drogę, pokrytą kołami wiejskich furmanek. I widzę miedze wzdłuż drogi, porośnięte trawą, miedze tak zielone, że nie mogę się powstrzymać i gładzę dłonią ich miękką pochyłość.

Dokoła same małe poletka, nie żadne wielkie scalone pola pegeerowskie. Co takiego? Że to nie jest dzisiejszy krajobraz? A więc jaki?

Idę dalej, a przede mną ukazuje się krzak głogu. Cały obsypany jest drobnymi dzikimi różami. A ja przystaję i jestem szczęśliwy. Siadam na trawie pod krzakiem, po chwili kładę się. Czuję, jak moje plecy dotykają porośniętej trawą ziemi. Obmacuję ją grzbietem. Trzymam ją na swoich plecach i proszę, żeby nie lękała się swego ciężaru, żeby bez obawy napierała na mnie całą siłą.

Potem słyszę tętent kopyt. W dali pojawia się obłoczek kurzu. Zbliża się, a jednocześnie rozplywa się i rzednie. Wynurzają się z niego jeźdźcy. Na koniach siedzą młodzi chłopcy w mundurach. Ale im bardziej się zbliżają, tym widoczniejsza staje się bylejakość tych mundurów. Niektóre kurtki są zapięte i świecą na nich złote guziki, niektóre rozpięte, a niektórzy chłopcy są tylko w samych koszulach. Jedni mają czapki, inni są z gołą głową. O nie, to nie jest wojsko, to dezernerzy, zbiegowie, rozbójnicy! To nasza jazda! Wstałem z ziemi i patrzyłem, jak się zbliżają. Pierwszy z jeźdźców wyciągnął szablę i wznosił ją w górę. Oddział zatrzymał się.

Młodzieniec z wzniesioną szablą pochylił się teraz nad szyją konia i utkwiał wzrok we mnie.

– Tak, to ja – mówię.

– Król! – powiada tamten, zdumiony. – Poznaję cię.

Pochyliłem głowę, szczęśliwy, że mnie znają. Jeżdżą tu już od tyłu stuleci, a znają mnie.

– Jak ci się żyje, królu? – pytał młodzieniec.

– Boję się, przyjaciele – odparłem.

– Ścigają cię?

– Nie, ale to jest gorsze niż pościg. Szykuje się coś przeciw mnie. Nie poznaję ludzi wokół siebie. Wchodzę do domu, a wewnątrz jest inny pokój, inna żona, wszystko inne. Myślę, że się pomyliłem, wybiegam, ale na zewnątrz to jest jednak mój dom! Na zewnątrz mój, a wewnątrz obcy. I tak jest, gdziekolwiek się ruszę. Dzieje się coś, czego się boję, przyjaciele.

– Nie zapomniałeś jeszcze jeździć? – zapytał mnie młodzieniec.

Dopiero teraz zauważyłem, że obok jego konia stoi osiodłany wierzchowiec bez jeźdźca. Młodzieniec wskazał na niego. Wsunąłem nogę w strzemień i wskoczyłem na siodło. Koń szarpnął się, ale siedzę już pewnie i z rozkoszą ściskam kolanami jego boki. Młodzieniec wyciąga z kieszeni czerwoną chustkę i podaje mi ją.

– Owiąż sobie twarz, żeby cię nie poznali!

Owiązałem sobie twarz, byłem ślepy.

– Koń cię poprowadzi – usłyszałem głos młodzieńca.

Cały oddział ruszył kłusem. Po obu stronach wyczuwałem kłusujących jeźdźców. Dotykałem łydkami ich łydek i słyszałem parskanie ich koni. Jechaliśmy tak chyba z godzinę, strzemień w strzemień. Potem stanęliśmy. Ten sam męski głos mówi do mnie:

– Jesteśmy na miejscu, królu!

– Gdzie na miejscu? – pytam.

– Nie słyszysz, jak szumi wielka rzeka? Stoimy na brzegu Dunaju. Tutaj jesteś bezpieczny, królu.

– Tak – mówię – czuję, że jestem bezpieczny. Chciałbym zdjąć tę chustkę.

– Nie można, królu. Jeszcze nie. Twoje oczy do niczego nie są ci potrzebne. Oczy tylko by cię mamily.

– Ale ja chcę zobaczyć Dunaj, to moja rzeka, moja rzeka-matka, chcę ją zobaczyć.

– Niepotrzebne ci do tego twoje oczy, królu. Wszystko będę ci opowiadał. Tak będzie o wiele lepiej. Wokół nas rozciąga się bezkresna równina. Pastwiska. Tu i ówdzie jakieś krzewy, tu i ówdzie sterczy drewniany drag, wahadło studni, ale my znajdujemy się wśród traw, przy brzegu. Niedaleko od nas trawa przechodzi w piasek, ponieważ rzeka ma tutaj piaszczyste dno. A teraz zsiądź z konia, królu.

Zeskoczyliśmy z koni i usiedliśmy na ziemi.

– Chłopcy rozniecają ogień – słyszę głos młodzieńca. – Słońce wtapia się już w daleki widnokrąg i wkrótce zrobi się chłodno.

– Chciałbym zobaczyć Vlastę – mówię naraz.

– Zobaczysz ją.

– Gdzie ona jest?

– Niedaleko stąd. Pojedziesz do niej. Twój koń cię do niej zaprowadzi. Zerwałem się i prosiłem, żebym już teraz zaraz mógł tam jechać. Ale męska ręka chwyciła mnie za ramię i zmusiła, bym usiadł.

– Siadaj, królu. Musisz odpocząć i zjeść coś. Będę ci tymczasem o niej opowiadał.

– Opowiadaj; gdzie ona jest?

– O godzinę drogi stąd stoi drewniany domek kryty słomą. Otacza go drewniany płot.

– Tak, tak – przytakuję i czuję w sercu słodki ciężar – wszystko z drzewa. Tak właśnie ma być. Nie chcę, aby w tym domu był choć jeden żelazny gwóźdź.

– Tak – ciągnie dalej głos – płot jest z drewnianych palików, ociosanych tylko z grubsza, tak że można w nich rozpoznać pierwotny kształt gałęzi.

– Wszystkie drewniane rzeczy przypominają kota albo psa – mówię. – To są raczej istoty niż rzeczy. Kocham świat z drzewa. Tylko w nim swojsko się czuję.

– Za płotem rosną słoneczniki, nagietki i georginie, rośnie tam również stara jabłoń. Na progu domu stoi właśnie Vlasta.

– Jak jest ubrana?

– Ma lnianą spódnicę, trochę przybrudzoną, bo wraca z chlewa. W rękę trzyma drewniany cebrzyk. Jest bosa. Ale jest piękna, ponieważ jest młoda.

– I uboga – mówię – to uboga dziewczeczka.

– Tak, ale jednocześnie królowa. A ponieważ jest królową, musi pozostawać w ukryciu. Nawet tobie nie wolno do niej pójść, aby nie została zdradzona. Możesz iść tam tylko z zasłoniętą twarzą. Zaprowadzi cię do niej koń.

Opowiadanie młodzieńca było tak piękne, że ogarnęło mnie błogie rozleniwienie. Leżałem na trawie, słyszałem głos, ale potem głos ucichł i słyszeć było



tylko szum wody i trzaskanie ognia. Było to takie cudowne, że bałem się otworzyć oczy. Ale nie było rady. Wiedziałem, że już czas i że muszę je otworzyć.

## 2

Pode mną były trzy materace na politurowanym drzewie. Nie lubię politurowanego drzewa. Nie lubię również wygiętych prętów metalowych, na których stoi tapczan. Nade mną zwisa z sufitu różowa szklana kula, opasana białymi wstążkami. Tej kuli także nie lubię. Ani tej serwantki naprzeciwko, gdzie za szybą ustawiono mnóstwo niepotrzebnego szkła. Z drzewa jest tu jedynie czarna fisharmonia w kącie. Tylko ją jedną lubię w tym pokoju. Została tu po ojcu. Ojciec zmarł rok temu.

Wstałem z tapczanu. Nie czułem się wypoczęty. Był piątek, popołudnie, dwa dni dzieliły nas od Jazdy Królów. Wszystko spadło na moją głowę. Wszystko bowiem, co dotyczy folkloru w naszym powiecie, spada zawsze na moją głowę. Od dwóch tygodni nie mogłem porządnie spać, tyle było kłopotów, bieganiny, kłótni i różnych spraw do załatwienia.

Do pokoju weszła Vlasta. Często sobie myślę, że powinna utyć. Tęgie kobiety mają pogodne usposobienie. Vlasta jest chuda i ma już sporo drobnych zmarszczek na twarzy. Zapytała, czy wracając ze szkoły nie zapomniałem wstąpić do pralni po bieliznę. Zapomniałem.

– To było do przewidzenia – rzekła i spytała, czy dzisiaj raz wreszcie zostanę w domu. Musiałem jej powiedzieć, że nie. Zaraz mam zebranie. W Radzie Powiatowej.

– Obiecałeś, że dzisiaj pomożesz Włodzimierzowi w lekcjach. Wzruszyłem ramionami.

– A kto będzie na tym zebraniu?

Zacząłem wymieniać uczestników, ale Vlasta mi przerwała.

– Hanzlikowa też?

– Też – odrzekłem.

Vlasta zrobiła obrażoną minę. Wiedziałem, że jest źle. Hanzlikowa miała fatalną opinię. Mówiono o niej, że sypia, z kim popadnie. Vlasta nie podejrzewała wprawdzie, że coś mnie łączy z panią Hanzlikowa, ale każda wzmianka na jej temat zawsze ją irytowała. Miała w pogardzie wszelkie zebrania, w których brała

udział Hanzlikowa. Nie można było z nią o tym mówić, toteż wolałem szybko ulotnić się z domu.

Na zebraniu omawialiśmy ostatnie przygotowania do Jazdy Królów. Diabła to było warte. Rada Narodowa zaczyna na nas oszczędzać. Jeszcze parę lat temu wspierała wszystkie uroczystości regionalne dużymi dotacjami. A dzisiaj my musimy wspierać Radę Narodową. Związek Młodzieży niczym już młodzieży nie przyciąga, jemu więc trzeba powierzyć przygotowanie Jazdy Królów, żeby stał się bardziej atrakcyjny. Dochody z Jazdy Królów obracało się dawniej na pomoc finansową dla innych, mniej dochodowych imprez regionalnych, niechaj więc tym razem przypadną one Związkowi Młodzieży, który użyje ich według własnego uznania. Zwróciliśmy się do milicji, żeby na czas Jazdy Królów zamknęła szosę. Ale właśnie tego dnia dostaliśmy odpowiedź odmowną. Z powodu Jazdy Królów nie można jakoby zakłócać komunikacji. Ale jak będzie wyglądała Jazda Królów, kiedy konie będą się płoszyć między samochodami? Nic, tylko kłopoty.

Dopiero koło ósmej wyszedłem z zebrania. Na placu zobaczyłem Ludwika. Szedł chodnikiem po drugiej stronie, w kierunku przeciwnym niż ja. Co on tu robi? Potem uchwyciłem jego spojrzenie, które na chwilę spoczęło na mnie, po czym szybko odwrócił wzrok. Udał, że mnie nie widzi. Dwaj starzy przyjaciele. Osiem lat w jednej ławce! I udaje, że mnie nie widzi!

Ludwik, to była pierwsza rysa w moim życiu. Teraz jednak przyzwyczailem się już całkowicie do myśli, że moje życie nie jest solidnie zbudowanym domem. Byłem niedawno w Pradze i poszedłem do jednego z tych małych teatrzyków, które w latach sześćdziesiątych zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu i bardzo szybko zyskały sobie popularność, ponieważ kierowali nimi młodzi ludzie nadający im studencki styl. Grano jakąś sztukę o nie-nadzwyczajnej akcji, ale były tam dowcipne piosenki i dobry jazz. Nagle, ni stąd, ni zowąd, ci jazzowi muzykanci wsadzili sobie na głowy kapelusze z piórkiem, takie, jakie nosi się u nas do strojów regionalnych, i zaczęli naśladować wiejską kapelę. Pokrzykiwali, pohukiwali, naśladując nasze ruchy w tańcu i to nasze charakterystyczne wyrzucanie ręki w górę... Trwało to chyba nie więcej niż pięć minut, ale publiczność pokładała się ze śmiechu. Nie wierzyłem własnym oczom. Jeszcze pięć lat temu nikt nie odważyłby się z nas naigrawać. I nikt by się z tego nie śmiał. A teraz wzbudzamy śmiech. Jak to się stało, że nagle wzbudzamy śmiech?

A Włodzimierz? Z nim też w ostatnich tygodniach miałem utrapienie. Powiatowa Rada Narodowa podsunęła Związkowi Młodzieży myśl, żeby go w tym roku wybrali na króla. Od dawien dawna obranie kogoś królem jest wyrazem szacunku dla jego ojca. W tym roku miał to być wyraz szacunku dla mnie.

Chcieli poprzez mego syna odwdziżyć mi się za wszystko, co działałem tutaj dla sztuki ludowej. Ale Włodzimierz się opierał. Wykręcał się, jak mógł. Mówił, że w niedzielę chce jechać do Brna na zawody motocyklowe. Potem twierdził nawet, że boi się konia. A w końcu oświadczył, że nie chce być królem, ponieważ jest to nakaz z góry. Że on nie chce żadnej protekcji.

Ileż razy już było to powodem mojej troski. Zupełnie jakby chciał wyrzucić ze swego życia wszystko, co mogłoby mu przypominać moje własne życie. Nigdy nie chciał uczęszczać do dziecięcego zespołu pieśni i tańca, który powstał z mojej inicjatywy przy naszym zespole. Już wtedy miał tysiąc wymówek. Twierdził, że nie ma zdolności do muzyki. Przy tym grał bardzo dobrze na gitarze i zbierali się z kolegami, żeby śpiewać jakieś amerykańskie piosenki.

Ale Włodzimierz ma dopiero piętnaście lat. I kocha mnie. To wrażliwy chłopiec. Rozmawialiśmy z sobą parę dni temu o samotności i chyba mnie zrozumiał.

### 3

Dobrze to pamiętam. Siedziałem na taborecie obrotowym, Włodzimierz naprzeciw mnie na tapczanie. Opierałem się łokciem o zamknięte wieko fisharmonii, mego ulubionego instrumentu. Słuchałem go od dziecka. Ojciec grywał na nim codziennie. Przeważnie pieśni ludowe o prostej harmonice. Zupełnie jakbym słuchał dalekiego szmeru strumienia. Gdyby Włodzimierz chciał to zrozumieć. Gdyby chciał zrozumieć...

Wszystkie narody mają swoją sztukę ludową, ale przeważnie bez trudu mogą oddzielić ją od swojej kultury. My nie. Każdy naród zachodnioeuropejski posiada nieprzerwaną linię rozwoju kulturalnego co najmniej od średniowiecza. Debussy nawiązuje do rokokowej muzyki Couperina i Rameau, a Couperin i Rameau do średniowiecznych trubadurów. Max Reger nawiązuje do Bacha, Bach do starych polifoników niemieckich. Tomasz Mann spokojnie sięga poprzez parę wieków do średniowiecznego *Fausta*.

Naród czeski w XVII i XVIII wieku przestał niemal istnieć. W XIX wieku narodził się właściwie po raz drugi. Wśród starych narodów europejskich był dzieckiem. Miał wprawdzie również swoją wielką przeszłość, ale dzieliła go od niej przepaść dwustu lat, kiedy to język czeski wycofał się z miast na wieś i posługiwali się nim tylko analfabeci. Ale nawet wśród nich nie przestał dalej tworzyć swojej kultury. Kultury skromnej i całkowicie ukrytej przed oczyma

Europy. Kultury pieśni, bajek, zwyczajowych obrzędów, przysłów i porzekadeł. A przecież była to jedynie wążutka kładka przerzucona ponad dwóchsetletnią przepaścią.

Jedyna kładka, jedyny mostek. Jedno jedyne odgałęzienie nieprzerwanej tradycji. Tak więc ci, którzy u progu XIX wieku zaczęli tworzyć nową czeską literaturę i muzykę, zaszczepili ją właśnie na tej odrośli. Dlatego to pierwsi czescy poeci i muzycy tak często zbierali bajki i pieśni. Dlatego ich pierwsze poetyckie i muzyczne próby były często jedynie parafrazą ludowej poezji i ludowych melodii.

Gdybyś mógł to zrozumieć, Włodzimierzu. Twój ojciec to nie tylko zbirkowany fanatyk folkloru. Może zresztą trochę i fanatyk, ale poprzez ten fanatyzm mierzy głębiej. Słyszy, jak w sztuce ludowej krążą soki, bez których uschłaby cała czeska kultura. Zakochany jest w szumie tych soków.

Ta miłość zrodziła się w czasie wojny. Chcieli nam dowieść, że nie mamy prawa do istnienia, że jesteśmy jedynie Niemcami mówiącymi językiem słowiańskim. Musieliśmy się utwierdzić w przekonaniu, że istnieliśmy i istniejemy. Wszyscy wówczas sięgnęli do źródeł. *Ad fontes*. Do sztuki ludowej.

Wtedy przyszła kolej i na mnie. Grałem w małym studenckim zespole jazzowym na kontrabasie. Ojciec piłował mnie, jeżeli chodzi o muzykę, umiałem więc grać na wszystkich instrumentach smyczkowych. I naraz zjawia się u mnie doktor Błaha, prezes Kółka Słowackiego. Mówi, że należałoby wskrzesić na nowo kapelę z cymbałami. Że to nasz patriotyczny obowiązek. Pokazać, że jesteśmy Słowianami. Że mamy starą kulturę ludową.

Kto mógł wówczas odmówić – w takiej sprawie? Poszedłem tam i grałem na skrzypcach.

Budziliśmy pieśni ludowe ze śmiertelnego snu. W dziewiętnastym wieku bowiem patrioci w sam czas przenieśli sztukę ludową do śpiewników. Cywilizacja szybko zaczęła wypierać folklor. Tak więc na przełomie stulecia powstają kółka etnograficzne, aby sztukę ludową ze śpiewników wprowadzić z powrotem w życie. Najpierw w miastach. Potem również na wsi. A zwłaszcza w naszych stronach. Urządza się uroczystości ludowe, Jazdy Królów, popiera się ludowe kapela. Był to ogromny wysiłek, ale nic by z niego nie wyszło. Folklorysty nie potrafili wskrzeszać tak szybko, jak cywilizacja grzebać. Dopiero wojna wlała w nas nowe siły.

Nóż na gardle ma i swoje dobre strony. Człowiek sięga nagle wzrokiem do samego sedna. Była wojna, gra szła o życie narodu. Słuchaliśmy pieśni ludowych

i naraz zrozumieliśmy, że to jest najbardziej fundamentalna opoka. Poświęciłem im swoje życie. Płynę wraz z nimi nurtem strumienia, który pulsuje głęboko pod powierzchnią. Jestem falą tego strumienia. Jestem falą i rzeką zarazem. I dobrze mi z tym.

Podczas wojny wszystko przeżywaliśmy silniej. Był ostatni rok okupacji. W naszej wsi urządzono Jazdę Królów. W mieście znajdowały się koszary i między publicznością tłoczyli się również niemieccy oficerowie. Nasza Jazda zamieniła się w demonstrację. Barwny zastęp chłopców z szabłami na koniach. Niepokonana czeska konnica. Wysłannicy z otchłani dziejów. Wszyscy Czesi tak to wtedy rozumieli i oczy im płonęły. Miałem wówczas piętnaście lat i obrano mnie królem. Jechałem pomiędzy dwoma paziami i miałem zasłoniętą twarz. Byłem dumny. Również mój ojciec był dumny, wiedział, że wybrano mnie królem na jego cześć. Był nauczycielem wiejskim, patriotą. Wszyscy go kochali.

Wierzę, Włodzimierzu, że wszystko ma swój sens. Wierzę, że losy ludzkie związane są z sobą nawzajem spoiwem mądrości. Widzę jakiś znak w fakcie, że w tym roku obrano królem ciebie. Jestem tak samo dumny jak przed dwudziestu laty. Jeszcze dumniejszy. Ponieważ w tobie chcą uczcić mnie. A ja cenię sobie to uznanie, dlaczego miałbym zaprzeczać. Chcę przekazać ci swoją królewską godność. I chcę, żebyś ją ode mnie przyjął.

Chyba mnie zrozumiał. Obiecał mi, że przyjmie swój wybór na króla.

#### 4

Gdyby tak chciał zrozumieć, jakie to ciekawe. Nie potrafię wyobrazić sobie nic bardziej zajmującego. Nic bardziej pasjonującego.

Choćby na przykład to: muzykolodzy przez długi czas twierdzili, że europejskie pieśni ludowe pochodzą z okresu baroku. W kapelach dworskich grywali i śpiewali wiejscy grajkowie i potem przenosili elementy muzyki dworskiej do życia wsi. Tak więc rzekomo pieśń ludowa nie jest w ogóle zjawiskiem samodzielnym. Pochodzi od muzyki artystycznej.

Pieśni ludowe na terenie Czech istotnie są spokrewnione z artystyczną muzyką barokową. Ale co było wcześniej? Jajko czy kura? Nie rozumiem, dlaczego mielibyśmy robić dłużnika z pieśni ludowej.

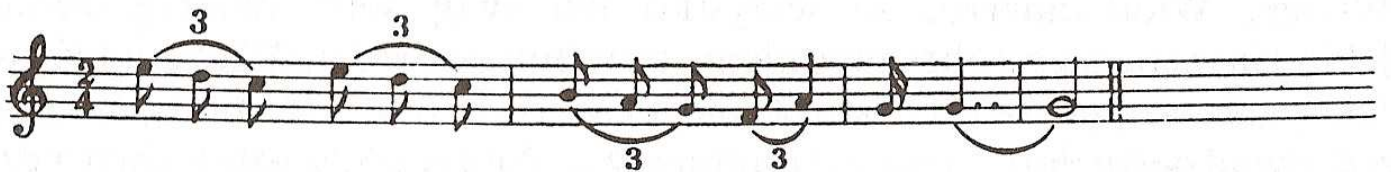
Ale mniejsza o to, jak było w Czechach. Pieśni, które śpiewamy na południowych Morawach, nie da się wywieść z największym nawet wysiłkiem z

muzyki artystycznej. To było dla nas oczywiste na pierwszy rzut oka. Już choćby z punktu widzenia tonacji. Artystyczna muzyka barokowa pisana była w tonacjach dur i moll. Nasze pieśni natomiast śpiewa się w tonacjach, o jakich dworskim kapelom nawet się nie śniło!

Choćby w tonacji lidyjskiej. To ta ze zwiększoną kwartą. Wywołuje ona we mnie zawsze tęsknotę za dawnymi idyllami pasterskimi. Widzę pogańskiego Pana i słyszę jego fletnię. O tak:



Muzyka barokowa i klasyczna w fanatyczny sposób czciła wielką septymę. Do toniki znalazła drogę jedynie poprzez zdyscyplinowany półton. Małej septymy, która wstępowała z dołu do toniki poprzez dużą sekundę, panicznie się bała. A ja lubię w naszych pieśniach ludowych właśnie tę małą septymę, bez względu na to, czy brzmi po eolsku, po dorycku czy po mikrolidyjsku. Z powodu jej melancholijności i zadumy. I dlatego, że nie chce po wariacku pędzić do podstawowego tonu, na którym wszystko się kończy, i pieśń, i życie:



Ale istnieją pieśni w tonacjach tak niezwykłych, że nie można nazwać ich imieniem żadnej z tzw. tonacji kościelnych. Staję wobec nich w osłupieniu:



Pieśni morawskie pod względem tonalności są niewypowiedzianie różnorodne. Ich myślenie muzyczne jest zagadką. Zaczynają się w tonacji minorowej, kończą w majorowej, balansują między paroma tonacjami. Często, kiedy mam je harmonizować, zupełnie nie wiem, jak mam rozumieć ich tonację.

I równie jak wieloznaczna jest ich tonacja, tak samo wieloznaczny jest ich rytm. Zwłaszcza w tych nie do tańca, w tych rozwlekłych. Bartók mówił o nich – pieśni „parlando”. Ich rytmu nie sposób zapisać naszym systemem nutowym. Albo powiem to inaczej. Z punktu widzenia naszego systemu nutowego wszyscy ludowi śpiewacy, jeśli chodzi o rytm, śpiewają swoje pieśni niedokładnie i źle.

Czym to wytłumaczyć? Leoš Janaček twierdził, że ta złożoność i nieuchwytność rytmu wynika z chwilowego nastroju śpiewaka. Ważne jest przy tym, gdzie się śpiewa, kiedy się śpiewa i w jakim nastroju. Pieśniarz ludowy reaguje jakoby swym śpiewem na barwę kwiatów, na pogodę i otaczającą go przestrzeń.

Ale czy to nie trochę zanadto poetyckie wyjaśnienie? Już na pierwszym roku studiów docent zapoznał nas ze swoim eksperymentem. Kazał zaśpiewać niezależnie od siebie kilku różnym interpretatorom ludowym tę samą nieuchwytną pod względem rytmu piosenkę. Za pomocą pomiarów na precyzyjnych przyrządach elektronicznych stwierdził, że wszyscy śpiewają ją zupełnie jednakowo.

Rytmiczna złożoność pieśni nie jest zatem spowodowana niedokładnością czy nastrojem śpiewającego. Rządzą nią własne tajemnicze prawa. W pewnym typie tanecznej piosenki morawskiej, na przykład, druga połowa taktu jest zawsze o ułamek sekundy dłuższa niż pierwsza. Ale jak uchwycić w nutach ową złożoność rytmu? Metryczny system muzyki artystycznej polega na symetrii. Cała nuta dzieli się na dwie półnuty, półnuta na dwie ćwiartki, takt dzieli się na dwie, trzy, cztery jednakowe jednostki rytmiczne. Ale co zrobić z taktem, który dzieli się na dwie nierówne jednostki rytmiczne? Dzisiaj najtwardszym orzechem do zgryzienia jest dla nas problem, jak zapisać przy pomocy nut oryginalny rytm pieśni morawskich.

Ale jeszcze twardszym orzechem jest zagadnienie, skąd się w ogóle wzięło to skomplikowane pod względem rytmu myślenie muzyczne. Jeden z badaczy wystąpił z teorią, że owe rozwlekłe pieśni śpiewano pierwotnie w czasie jazdy na koniu. W ich dziwnym rytmie znalazł swoje odbicie krok wierzchowca i ruch jeźdźcy. Inni uważali za bardziej sensowne doszukiwanie się pierwowzoru tych pieśni w powolnym, kołyszącym kroku, jakim przechadzała się młodzież

wieczorami po wiejskim placu. Jeszcze inni – w powolnym rytmie, jakim wieśniacy koszą trawę...

Wszystko są to chyba tylko domysły. Ale jedno jest pewne. Naszych pieśni nie da się wyprowadzić od muzyki barokowej. Czeskie być może. Chyba tak. Naszych z pewnością nie. Nasza ojczyzna składa się wprawdzie z trzech krajów, z Czech, Moraw i Słowacji, ale granica kultury ludowej dzieli je na dwie połowy: na Czechy wraz z zachodnimi Morawami, oraz Słowację z Morawami wschodnimi, skąd właśnie pochodzę. W Czechach poziom cywilizacji był wyższy, większy kontakt miasta ze wsią i chłopów z zamkiem. Na wschodzie również istniały zamki. Ale wieś na skutek swego prymitywizmu była od nich o wiele bardziej odseparowana. Wieśniacy nie grywali tutaj w żadnych dworskich kapelach. Tutaj zresztą, w węgierskiej strefie kulturalnej, funkcję czeskich kapel zamkowych pełnili Cyganie. Ale nie grywali oni ziemiaństwu menuetów i saraband szkoły włoskiej. Grywali swoje czardasze i dumki, a to znów były pieśni ludowe, trochę jedynie przetworzone przez sentymentalną i pełną ornamentyki interpretację cygańską.

W tych warunkach mogły się u nas zachować pieśni ludowe z najdawniejszych nawet czasów. To również tłumaczy, dlaczego są one tak różnorodne. Pochodzą z różnych etapów swojej długiej, powolnej historii.

Toteż, kiedy stajesz twarzą w twarz z całą naszą ludową kulturą muzyczną, masz wrażenie, jakby tańczyła przed tobą niewiasta z tysiąca i jednej nocy odrzucając kolejno jeden zawój po drugim.

A oto pierwszy zawój: jest z grubej tkaniny, drukowany w wulgarne wzory. To są najmłodsze pieśni, pochodzące z ostatnich pięćdziesięciu, siedemdziesięciu lat. Przychodziły do nas z zachodu, z Czech. Przynosiły je orkiestry dęte. Nauczyciele uczyli nasze dzieci śpiewać je w szkole. Są to przeważnie pieśni w tonacji dur, w popularnym na Zachodzie stylu, trochę tylko zaadaptowane do naszego rytmu.

A oto drugi zawój: ten jest już o wiele barwniejszy. To są pieśni pochodzenia węgierskiego. Towarzyszyły one wtargnięciu języka węgierskiego na słowiańskie obszary Węgier. Cygańskie kapele roznosiły je w dziewiętnastym wieku po całych Węgrzech. Kto by ich nie znał! Czardasz i piosenki rekruckie z charakterystycznym synkopowym rytmem w kadencji.

Kiedy tancerka zrzuci ten zawój, ukazuje się następny. Oto on. To już są pieśni tutejszej ludności słowiańskiej z osiemnastego i siedemnastego wieku.



Ale jeszcze piękniejszy jest ów czwarty zawój. To są jeszcze starsze pieśni. Ich wiek sięga aż czternastego stulecia. Wówczas szczytami Karpat od wschodu przywędrowali do nas Wołosi. Pasterze. Ich pasterskie i zbójnickie pieśni nie wiedzą nic o akordach i harmonizacjach. Polegają tylko na melodyce w systemach tonacji archaicznych. Piszczalki i fujarki nadały specyficzny charakter ich melodiom.

A kiedy spadnie i ten zawój, nie ma już pod nim żadnego innego. Tancerka tańczy zupełnie naga. To są pieśni najstarsze. Ich początki sięgają dawnych czasów pogańskich. Oparte są te pieśni na najstarszym systemie myślenia muzycznego. Na systemie czterech tonów, na systemie tetrachordalnym. Pieśni żeńców. Pieśni najbliższej związane z obrzędami patriarchalnej wsi.

Bela Bartok wykazał, że w tej najstarszej warstwie pieśni słowackie, południowomorawskie, węgierskie i chorwackie są absolutnie do siebie podobne. Jeśli wyobrazisz sobie w duchu ten obszar geograficzny, wyłoni ci się przed oczyma pierwsze wielkie państwo słowiańskie z IX wieku: Rzesza Wielkomorawska. Jej granice przestały istnieć przed tysiącem lat, a mimo to w owej najstarszej warstwie pieśni ludowych pozostały wyryte do dzisiaj!

Pieśń ludowa czy ludowy obrzęd to tunel biegnący poprzez historię, w którym zachowało się wiele z tego, co na powierzchni od dawna już zniszczyły wojny, rewolucje i bezlitosna cywilizacja. To tunel, przez który spoglądam daleko wstecz. Widzę Rościsława i Światopełka, pierwszych książąt morawskich. Widzę dawny słowiański świat.

Ale po co mówić wciąż o słowiańskim świecie? Łamaliśmy sobie głowę nad pewnym zagadkowym tekstem pieśni ludowej. Jest w niej mowa o chmielu, w jakimś niejasnym związku z wozem i kozą. Ktoś jedzie na kozie, a ktoś inny na wozie. A chmiel chwali się tym, że z panien czyni niewiasty. Ale pieśniarze ludowi, którzy tę pieśń śpiewali, nie rozumieli jej tekstu. Tylko siłą bezwładu dawnej tradycji zachował się w pieśni zestaw słów, który dawno już przestał być zrozumiały. W końcu znalazło się jedyne możliwe wytłumaczenie: starogreckie święto Dionizosa. Satyr na koźle i bóg trzymający w ręce tyrs opleciony chmielem.

Starożytność! Nie mogłem w to uwierzyć! Ale potem studiowałem na uniwersytecie historię myślenia muzycznego. Struktura muzyczna naszych najstarszych pieśni ludowych rzeczywiście zgodna jest ze strukturą muzyki antycznej. Lidyjski, frygijski i dorycki tetrachord. Zstępujące pojęcie gamy, które za ton podstawowy uważa ton górny, a nie najniższy, jak to się stanie dopiero

wtedy, kiedy muzyka zacznie myśleć w sposób harmoniczny. Nasze najstarsze pieśni należą zatem do tego samego okresu muzycznego co pieśni śpiewane w starożytnym Rzymie. Zachowała się w nich dla nas epoka antyczna!

Kiedyś, na początku stulecia, malarz morawski Uprka zaprosił na Morawy rzeźbiarza Rodina. Pokazał mu również Jazdę Królów. Rodin oszalał podobno z zachwytu na ten wspaniały widok i zawołał: „Ależ to Hellada!” O rzeźbach Rodina nikt tu nie ma zielonego pojęcia, ale ten okrzyk znają wszyscy. Wszyscy oczywiście widzą w nim jedynie wyraz podziwu. Ale ja wiem, że te słowa mają zupełnie inne znaczenie!

## 5

Dzisiaj w czasie kolacji bez przerwy widziałem spojrzenie Ludwika umykające w bok i czułem, jak tym mocniej całym sercem lgnę do Włodka. I naraz ogarnęła mnie obawa, czy go dotychczas nie zaniedbywałem. Czy udało mi się kiedykolwiek wciągnąć go w swój świat? Po kolacji Vlasta została w kuchni, a ja i Włodzimierz przeszliśmy do pokoju. Usiłowałem opowiadać mu o piosenkach. Przecież to takie ciekawe. Takie pasjonujące. Ale jakoś mi się nie udawało. Czułem się jak belfer. Bałem się, że go nudzę. Włodek siedział wprawdzie i milczał, i wyglądało na to, że słucha. To dobry chłopak. Zawsze był dla mnie dobry. Ale czy ja wiem, co się kryje w tej jego łepetynie?

Kiedy już go dostatecznie długo wymęczyłem swoją gadaniną, zajrzała do pokoju Vlasta i oświadczyła, że czas spać. Co robić, ona jest duszą domu, jego kalendarzem, jego zegarem. Nie będziemy protestować. No, uciekam, synku, dobranoc.

Zostawiłem go w pokoju, gdzie stoi fisharmonia. Sypia tam na tapczanie, który ma nikłowe rurki. Ja sypiam obok w sypialni, na małżeńskim łożu obok Vlasty. Nie pójdę jeszcze spać. Długo przewracałbym się na łóżku, bojąc się, że obudzę Vlastę. Wyjdę jeszcze na chwilę. Ogród przy starym parterowym domu, w którym mieszkamy, pełen jest odwiecznych wiejskich zapachów. Pod gruszą stoi ławka ze zwykłego, z grubsza tylko ociosanego drzewa.

Cholerny Ludwik. Dlaczego zjawił się akurat dziś? Boję się, że to zły znak. Mój najdawniejszy przyjaciel! Przecież właśnie na tej ławce tyle razy siadywaliśmy razem jako mali chłopcy. Kochałem go. Już od pierwszej klasy gimnazjum, od chwili gdy go poznałem. Miał więcej rozumu w małym palcu niż

my w całej głowie, ale nigdy się nie wywyższał. Szkołę i nauczycieli miał w nosie i bawiło go robienie wszystkiego, co było sprzeczne ze szkolnym regulaminem.

Dlaczego właśnie my dwaj tak się zaprzyjaźniliśmy? Chyba jakieś Parki musiały maczać w tym palce. Obydwaj byliśmy półsierotami. Moja matka umarła przy porodzie. A Ludwikowi, kiedy miał trzynaście lat, wywieziono ojca do obozu koncentracyjnego i nigdy go już nie zobaczył.

Za co Niemcy aresztowali starego Jahna – tego nikt dokładnie nie wiedział. Niektórzy twierdzili z uśmiechem, że miał na sumieniu jakieś paskarskie machlojki. Pracował jako pomocnik murarski w niemieckiej firmie i udało mu się jakoś wykombinować dodatkowe kartki żywnościowe. Ludwik mówił, że dawał je pewnej głodującej żydowskiej rodzinie. Nie wiadomo. Ci Żydzi nigdy już nie wrócili i nie mogli tego potwierdzić.

Ludwik był starszym synem. A w owym czasie już jedynym, jego młodszy braciszek bowiem umarł. Po aresztowaniu ojca matka i syn zostali więc sami. Klepali straszną biedę. Nauka w gimnazjum była płatna. Zdawało się, że Ludwik będzie musiał rzucić szkołę. Ale za pięć dwunasta przyszedł ratunek.

Ojciec Ludwika miał siostrę, która już przed wojną zrobiła karierę wychodząc za tutejszego bogatego przedsiębiorcę budowlanego. Z bratem murarzem nie utrzymywała prawie żadnych stosunków. Ale kiedy go aresztowano, jej serce patriotki ogarnął płomień. Zaproponowała bratowej, że zajmie się Ludwikiem. Sama miała jedną głupkowatą córkę, a zdolności Ludwika budziły w niej zazdrość. Nie tylko pomagali mu finansowo, ale zaczęli go codziennie do siebie zapraszać. Przedstawiali go miejscowej śmietance, która się u nich schodziła. Ludwik musiał okazywać im wdzięczność, ponieważ od ich pomocy zależała jego nauka.

Przy tym kochał ich jak psy dziada w ciasnej ulicy. Nazywali się Kouteccy i od tego czasu określaliśmy tym nazwiskiem wszystkich nadętych pyszałków. Przedsiębiorca budowlany Koutecki był mecenasem sztuki. Skupował na kopy obrazy od pejzażystów naszego regionu. Od tych, którzy mieli już nazwisko. Byli to pacykarze, że niech Bóg broni. Pani Koutecka przystawała ponoć przed jakimś obrazem i wzdychała z zachwytem:

– O, ten to ma perspektywę!

Oceniali obrazy wyłącznie według tego, jaką miały perspektywę.

Na bratową Koutecka patrzyła z góry. Miała za złe bratu, że nie umiał się ożenić. Nawet po jego uwięzieniu nie zmieniła swego stosunku do bratowej. Lufy

armatnie swojej dobroczynności skierowała na samego tylko Ludwika. Widziała w nim dziedzica swojej krwi i pragnęła uczynić z niego własnego syna. Istnienie bratowej uważała za pożałowania godną pomyłkę. Nigdy nawet jej do siebie nie zaprosiła. Ludwik widział to wszystko i zgrzytał zębami. Był bardzo przywiązany do matki. Ileż to razy chciał się zbuntować. Ale matka zawsze ubłagiwała go z płaczem, żeby był rozsądny i okazywał Kouteckim wdzięczność.

Tym chętniej przychodził Ludwik do nas. Byliśmy niczym bliźniacy. Mój ojciec kochał go chyba bardziej niż mnie. Sprawiało mu przyjemność, że Ludwik pochłania jego bibliotekę i zna w niej każdą książkę. Kiedy zacząłem grywać w studenckim zespole jazzowym, Ludwik chciał tam być razem ze mną. Kupił sobie w komisie tani klarnet i w krótkim czasie nauczył się całkiem nieźle na nim grać. Grywaliśmy więc razem w zespole jazzowym i razem też poszliśmy do kapeli.

Pod koniec wojny córka Kouteckich wychodziła za męża. Koutecka postanowiła, że ślub ma się odbyć z wielką pompą. Chciała, by za panem młodym i panną młodą kroczyło pięć par drухen i družbów. Obarczyła tym obowiązkiem również Ludwika i przeznaczyła mu do pary jedenastoletnią córeczkę miejscowego aptekarza. Ludwik całkiem stracił rezon. Wstyd mu było przed nami, że ma odgrywać rolę błazna w tej pretensjonalnej ślubnej szopce. Chciał, by uważano go za dorosłego, i było to dla niego policzkiem, że miał stanowić parę razem z jedenastoletnią smarkulą. Wściekał się, że Kouteccy wystawiają go na pokaz, jako dowód swojej dobroczynności. Wściekał się, że w czasie obrzędu ślubnego musi całować obśliniony krucyfiks. Wieczorem uciekł z weselnego przyjęcia i przybiegł do nas, do tylnej sali w gospodzie. Graliśmy, popijali i nabijaliśmy się z niego. Zdenerwował się i oświadczył, że nienawidzi kołtunów. Potem zaczął kłać na religijne obrzędy, powiedział, że pluje na Kościół i że z niego wystąpi.

Nie traktowaliśmy poważnie jego słów, ale w parę dni po zakończeniu wojny Ludwik rzeczywiście to zrobił. Naturalnie wywołało to śmiertelne zgorzenie Kouteckich. Zupełnie się tym nie przejmował. Z radością rozstał się z nimi. Zaczął namiętnie sympatyzować z komunistami. Uczęszczał na urządzone przez nich odczyty. Kupował książki, które wydawali. Nasza okolica była głęboko katolicka, a nasze gimnazjum szczególnie. Mimo to skłonni byliśmy wybaczyć Ludwikowi jego komunistyczne ekstrawagancje. Uznawaliśmy jego przywileje.

W czterdziestym siódmym roku zdaliśmy maturę, a na jesieni rozjechaliśmy się. Ludwik do Pragi na studia, ja do Brna. Obydwaj zostawiliśmy w domu samotne istoty. Ludwik matkę, a ja ojca. Do Brna jest od nas na szczęście dwie godziny jazdy pociągiem. Ale Ludwika nie widziałem po maturze cały rok.

Był właśnie rok czterdziesty ósmy. Całe życie zaczęło się wywracać do góry nogami. Kiedy w czasie ferii Ludwik przyszedł do naszego kółka, przyjęliśmy go z zakłopotaniem. W przewrocie lutowym widzieliśmy nastanie dyktatury. Ludwik przyniósł z sobą klarnet, ale nie był mu potrzebny. Całą noc spędziliśmy na dyskusji.

Czy wtedy zaczął się rozdźwięk między nami? Myślę, że nie. Ludwik teje jeszcze nocy niemal całkowicie mnie sobie pozyskał. Wykręcał się, jak mógł, od wszelkich sporów politycznych i mówił o naszym kółku. O tym, że powinniśmy cel naszej pracy pojmować szerzej niż dotąd. Bo jakież to ma sens wskrzeszać jedynie utraconą przeszłość? Kto się ogląda wstecz, ten skończy jak żona Lota.

– No więc co mamy robić? – krzyczeliśmy.

– Naturalnie – odpowiedział – musimy pielęgnować to, co zostawiła nam w spuściźnie sztuka ludowa, ale to za mało. Czasy się zmieniły. Przed naszą działalnością otwierają się nowe horyzonty. Musimy wyplenić z ogólnej kultury muzycznej dnia powszedniego wszystkie szlagiery i oklepane „kawałki”, bezduszną szmirę, którą burzuje karmią lud. Ich miejsce musi zająć prawdziwa, oryginalna sztuka ludowa, która stanie się źródłem współczesnego stylu w życiu i w twórczości artystycznej.

Ciekawa rzecz. To, co mówił Ludwik, to była przecież stara utopia najbardziej konserwatywnych patriotów morawskich. Ci zawsze pomstowali przeciwko bezbożnemu zepsuciu kultury miejskiej. W melodii charlestona słyszeli diabelską piszczałkę. Ale co z tego? Tym bardziej zrozumiałe były dla nas słowa Ludwika.

Jego następna uwaga brzmiała już zresztą bardziej oryginalnie. Mówił o jazzie. Jazz wyrósł przecież z ludowej muzyki murzyńskiej i opanował cały świat zachodni. Zostawmy jednak w spokoju fakt, że jazz zamienił się z czasem w artykuł handlu. Dla nas może to być krzepiącym dowodem, że muzyka ludowa posiada czarodziejską moc. Ze może z niej wyrosnąć powszechny styl muzyczny naszej epoki.

Słuchaliśmy Ludwika z mieszanym uczuciem podziwu i niechęci. Drażniła nas jego pewność siebie. Perorował z taką miną, jaką mieli wówczas wszyscy komuniści. Jakby zawarł tajną umowę z samą przyszłością i miał prawo występowania w jej imieniu. Czuliśmy do niego niechęć również dlatego, że naraz stał się inny niż wtedy, kiedyśmy go znali. Dla nas był to zawsze dobry kompan i

kpiarz. Teraz mówił z patosem i nie wstydził się wielkich słów. Odrzucało również to, że w sposób tak oczywisty, bez wahania, łączy losy naszej kapeli z losem partii komunistycznej, mimo że nikt z nas nie był komunistą.

Ale z drugiej strony jego słowa nas frapowały. Jego idee odpowiadały naszym najskrytszym marzeniom i nagle awansowały nas do rangi wręcz historycznej.

Zbyt pochlebiały naszej miłości do pieśni morawskiej, żebyśmy je mogli odrzucić. Jeżeli zaś o mnie chodzi, to po dwakroć nie mogłem tego uczynić. Kochałem Ludwika, ale kochałem również ojca, który kłął w diabły wszystkich komunistów. Słowa Ludwika przerzucały pomost nad tą przepaścią.

Nazywam go w duchu szczurołapem. Bo oto zagrał na fujarce, a myśmy natychmiast hurmem poszli za nim. Tam gdzie jego myśl była zbyt niewykończona, spieszyliśmy mu z pomocą. Przypominam sobie swoją własną wypowiedź. Mówiłem o muzyce europejskiej, o jej rozwoju od czasów baroku. Po okresie impresjonizmu była już znużona sama sobą. Wyczerpała już niemal wszystkie własne soki, zarówno w swoich sonatach i symfoniach, jak w swoich szlagierach. Dlatego też jazz podziałał na nią cudotwórczo. Z jego tysiącletnich korzeni zaczęła chciwie wysysać świeże soki. Jazz urzekł nie tylko europejskie winiarnie i tancebudy. Urzekł także Strawińskiego, Honeggera, Milhauda i Martina, którzy wprowadzili jego rytm do swoich utworów. Ale uwaga! W tym samym czasie, a właściwie jeszcze o dziesiątki lat wcześniej, również ludowa muzyka wschodnioeuropejska przelała do żył muzyki europejskiej swoją świeżą, niezmeńczoną krew. Z niej to przecież czerpali młody Strawinski, Janaček, Bartok i Enescu! A zatem sam rozwój muzyki europejskiej ustawił paralelnie muzykę ludową i jazz. Ich udział w kształtowaniu się współczesnej muzyki poważnej XX wieku był równorzędny. Inaczej było tylko z muzyką tzw. szerokich mas. Ludowa muzyka Europy wschodniej nie wycisnęła na niej żadnego piętna. Tutaj niepodzielnie panuje jazz. I tutaj też zaczyna się nasze zadanie. *Hic Rhodus, hic salta!*

Tak, tak to właśnie jest, mówiliśmy sobie z przekonaniem. W korzeniach naszej muzyki ludowej tkwi taka sama siła jak w korzeniach jazzu. Jazz posiada swoją całkiem specyficzną melodykę, w której ciągle jeszcze dostrzec można pierwotną sześciotonową gamę starych pieśni murzyńskich. Ale i nasza pieśń ludowa ma bardzo swoistą melodykę, pod względem tonalnym znacznie bogatszą. Jazz posiada oryginalną rytmikę, której bajeczna złożoność wyrosła na tysiącletniej kulturze afrykańskich bębnow i tam-tamów. Ale i nasza muzyka jest całkowicie swoista pod względem rytmu. Wreszcie podstawą jazzu jest

improwizacja. Ale również zdumiewająca harmonizacja u muzyków ludowych, którzy nigdy nie uczyli się nut, polega na improwizacji.

Jedno tylko różni nas od jazzu. Jazz szybko się rozwija i zmienia. Jego styl ulega stałym fluktuacjom. Jakaż bowiem stroma droga wiedzie od prymitywnych pierwocin nowozelandzkich poprzez hot-jazz, swing do cool-jazzu i dalej! Jazzowi nowozelandzkiemu nie śniło się nawet o harmonizacji, jaką stosuje dzisiejszy jazz. Nasza muzyka ludowa to nieruchoma śpiąca królowa z dawnych stuleci. Musimy ją zbudzić. Musi zespolić się z dzisiejszym życiem i rozwijać się razem z nim. Tak jak jazz: nie przestając być sobą i nie tracąc swojej melodyki i rytmu, musi tworzyć własne, coraz to nowe etapy. I musi mówić o naszym XX wieku. Stać się jego muzycznym zwierciadłem. To nie takie łatwe. To gigantyczne zadanie. Zadanie, które można spełnić jedynie w socjalizmie.

– Co to ma wspólnego z socjalizmem? – protestowaliśmy.

Wyjaśnił nam. Dawna wieś żyła życiem kolektywnym. Wspólne obrzędy towarzyszyły życiu wsi przez cały rok. Sztuka ludowa żyła jedynie w tych obrzędach. Romantycy wyobrażali sobie, że na dziewczynę koszącą trawę spływało nagle natchnienie i pieśni wytryskiwały z niej niczym źródło ze skały. Ale pieśń ludowa powstaje inaczej niż wiersz pisany przez artystę. Poeta tworzy, by wypowiedzieć samego siebie, swoją niepowtarzalność i swoją odmienność. Poprzez pieśń ludową człowiek nie odcinał się od innych, ale łączył z nimi. Pieśń ludowa powstawała jak stalaktyt. Kropla po kropli obrastała w nowe motywy i nowe warianty. Przekazywano ją sobie z pokolenia na pokolenie, a każdy, kto ją śpiewał, dodawał do niej coś nowego. Każda pieśń miała wielu twórców, a wszyscy znikali skromnie za swoim dziełem. Żadna pieśń ludowa nie istniała sama dla siebie. Miała jakąś funkcję. Były pieśni śpiewane na ślubach, pieśni śpiewane podczas dożynek, w czasie zapustów, Bożego Narodzenia, sianokosów, do tańca i na pogrzebach. Nawet pieśni miłosne nie istniały poza tradycyjnymi obrzędami. Wieczorne przechadzki po wsi, pod oknami dziewcząt, zaloty – wszystko to posiadało swój kolektywny rytuał, a w owym rytuale pieśni miały swoje ustalone miejsce.

Kapitalizm rozbił to dawne, kolektywne życie. Tym samym sztuka ludowa straciła swoją podstawę, swoją rację bytu, swoją funkcję. Na próżno usiłowałby ktoś wskrzesić ją do życia, dopóki trwały warunki społeczne, w których człowiek żyje oddzielony od człowieka, sam dla siebie. Ale socjalizm wyzwolił ludzi z jarzma samotności. Ludzie będą żyli w nowej wspólnotcie. Będą związani jednym wspólnym celem. Ich prywatne życie zespoli się w jedno z życiem kraju. Na nowo połączą ich dziesiątki wspólnych obrzędów, wytworzą się nowe wspólne zwyczaje.

Niektóre przejmą z przeszłości. Dożynki, zapusty, zabawy taneczne, sposób pracy. A wytworzą też i nowe. Pierwszy Maja, wiece, obchody rocznicy Wyzwolenia, zebrania. Wszędzie tu znajdzie dla siebie miejsce sztuka ludowa. Tutaj będzie się rozwijać, zmieniać, odnawiać. Czy zrozumieliście wreszcie?

Pojawił się przed mymi oczyma dzień, kiedy na naszych ulicach stały uwiązane do drzew wojskowe koniki. Parę dni wcześniej Armia Czerwona zdobyła nasze miasto. Przywdzialiśmy odświętne stroje regionalne i poszliśmy do parku grać. Piliśmy i grali przez wiele godzin bez przerwy. Rosyjscy żołnierze odpowiadali nam swoimi piosenkami. Myślałem wtedy, że nadchodzi nowa epoka. Epoka Słowian. Podobnie jak narody romańskie i germańskie, tak i my jesteśmy spadkobiercami kultury antycznej. W odróżnieniu od nich przespaliśmy i przetrwali w północy wiele stuleci. Ale za to jesteśmy teraz porządnie wyspani. Rześcy. Na nas kolej! Na nas!

To uczucie powracało teraz znowu. Wciąż na nowo nad tym rozmyślałem. Korzenie jazzu znajdują się w Afryce, jego pień w Ameryce. Żywe korzenie naszej muzyki tkwią w muzykalności europejskiego antyku. Przechowaliśmy starą, bezcenną grzywnę srebra. Naraz wszystko to stało się absolutnie logiczne. Jedna myśl wiązała się z drugą. Słowianie niosą rewolucję. A wraz z nią nową wspólnotę i nowe braterstwo, nową sztukę, która żyć będzie w ludzie i z ludem, tak jak niegdyś stare wiejskie piosenki. Wielka misja, którą powierzyła nam historia, nam, chłopcom od cymbałów, była jednocześnie i niewiarygodna, i niewiarygodnie logiczna.

A wkrótce się okazało, że niewiarygodne zaczyna się rzeczywiście spełniać. Nikt nigdy nie zrobił dla naszej sztuki tyle co władza komunistyczna. Ofiarowywała ogromne kwoty pieniężne na tworzenie nowych zespołów. Muzyka ludowa, skrzypce i cymbały rozbrzmiewały codziennie w radiu. Fala morawskich i słowackich pieśni ludowych wtargnęła do uniwersytetów, obchodów pierwszomajowych, na młodzieżowe zabawy i estrady. Jazz nie tylko że zniknął całkowicie z powierzchni naszego życia, ale stał się symbolem zachodniego kapitalizmu i jego upadku. Młodzi ludzie przestali tańczyć tanga i boogie-woogie, a na swoich wieczorkach i uroczystościach obejmowali się za ramiona i tańczyli w kole tańce zbiorowe. Partia komunistyczna starała się stworzyć nowy styl życia. Tak jak w Związku Radzieckim. Za podstawę brała słynną stalinowską definicję nowej sztuki: „socjalistyczna treść w narodowej formie”. Tej narodowej formy nie mogło dostarczyć naszej muzyce, tańcowi, poezji nic oprócz właśnie sztuki ludowej.



Nasza kapela płynęła na pełnych żaglach tej polityki. W krótkim czasie stała się znana w całym kraju. Dokooptowano nowych pieśniarzy i tancerzy i powstał potężny zespół, który występował na setkach estrad i co roku wyjeżdżał na *tournée* zagraniczne. Nie śpiewaliśmy jednak jak dawniej tylko o Janiczku, co to zabił swoją miłą, ale także nowe pieśni, które komponował nasz zespół sam. Na przykład o tym, że „dobrze jest, dobrze, że już nie ma pana”, albo piosenkę o Stalinie, o zaoranych miedzach, o spółdzielczych dożynkach. Nasza pieśń nie była już jedynie wspomnieniem dawnych czasów. Żyła. Należała do najbardziej współczesnej historii. Towarzyszyła jej.

Partia komunistyczna gorąco nas popierała. Nasze zastrzeżenia politycznej natury szybko więc topniały. Ja sam wstąpiłem do partii zaraz na początku czterdziestego dziewiątego roku. A pozostali koledzy z naszego zespołu poszli za moim przykładem.

## 7

Ale wciąż jeszcze byliśmy przyjaciółmi. Kiedy padł między nas pierwszy cień?

Oczywiście, że wiem. Wiem bardzo dobrze. Stało się to na moim ślubie.

Studiowałem w konserwatorium w Brnie, w klasie skrzypiec, i uczęszczałem na uniwersyteckie wykłady z teorii muzyki. W trzecim roku mego pobytu w Brnie zacząłem czuć się nieswojo. Ojcu wiodło się gorzej z każdym dniem. Przeszedł wylew krwi do mózgu. Skończyło się dobrze, ale od tej pory musiał bardzo na siebie uważać. Ciągle myślałem o tym, że jest w domu sam i że gdyby coś mu się stało, nie mógłby nawet wysłać depeszy. W sobotę ze strachem jechałem do domu, a w poniedziałek rano wyjeżdżałem do Brna z nowym niepokojem. Któregoś dnia nie zdołałem już znieść tego niepokojem. Dręczył mnie w poniedziałek, we wtorek dręczył mnie jeszcze bardziej, a w środę wrzuciłem wszystkie manatki do walizki, zapłaciłem gospodyni i powiedziałem, że już nie wrócę.

Pamiętam do dziś, jak szedłem wówczas z dworca do domu. Do naszej wsi, leżącej w bliskim sąsiedztwie miasta, idzie się przez pole. Była jesień i za chwilę zapaść miał zmrok. Dał wiatr, a na polu biegali chłopcy puszczając pod niebo papierowe latawce na długachnych sznurach. Mnie też ojciec kiedyś zrobił latawca. Potem chodził ze mną na pole, wyrzucał latawca w górę i ruszał biegiem, żeby powietrze stawiało opór papierowemu ciału latawca i wyniosło go

wzwyż. Mnie to specjalnie nie bawiło. Ojciec miał z tego dużo większą uciechę. I to właśnie najbardziej owego dnia wzruszało mnie we wspomnieniach, przyspieszyłem więc kroku. Przebiegło mi przez myśl, że ojciec wypuszczał tego latawca w górę do mamy. Od dziecka bowiem aż do dzisiaj wyobrażam sobie, że moja matka jest w niebie. Nie, w Boga od dawna nie wierzę ani w żywot wieczny, ani w nic z tych rzeczy. To, o czym mówię, to nie jest wiara. To są wyobrażenia. Nie wiem, czemu miałbym z nich zrezygnować. Bez nich byłbym osierocony. Vlasta zarzuca mi, że jestem marzycielem. Jej zdaniem nie widzę rzeczy takimi, jakie są. Nie widzę rzeczy takimi, jakie są, ale oprócz rzeczy widzialnych widzę również i te niewidzialne. Zmyślenia i fantazje nie istnieją na świecie ot tak tylko, bez powodu. Mają swoje miejsce wśród nas. To właśnie one czynią z naszych domów prawdziwe domy.

O swojej matce usłyszałem po raz pierwszy, kiedy już od dawna nie żyła. Dlatego też nigdy jej nie oplakiwałem. Zawsze się raczej cieszyłem, że jest młoda i piękna, i że jest w niebie. Inne dzieci nie miały matek tak młodych jak moja.

Lubię wyobrażać sobie świętego Piotra, jak siedzi na stołeczku przy oknie, z którego roztacza się widok w dół, na ziemię. Moja matka często przychodzi tam do niego, do tego okienka. Święty Piotr robi dla niej wszystko, ponieważ jest śliczna. Pozwala jej wyglądać przez to okienko. I mama nas widzi. Mnie i ojca.

Twarz mojej matki nigdy niebyła smutna. Wręcz przeciwnie. Kiedy spoglądała na nas przez okno z portierni świętego Piotra, bardzo często uśmiechała się do nas. Kto żyje życiem wiecznym, nie dręczy się tęsknotą. Wie, że ludzkie życie trwa sekundę i że spotkanie jest bliskie. Ale kiedy mieszkałem w Brnie i zostawiałem ojca samego, wydawało mi się, że twarz mamy jest smutna i pełna wyrzutu. A ja chciałem żyć ze swoją matką w zgodzie.

Spieszyłem więc do domu i widziałem latawce, jak szybują ku niebu, jak nieruchomieją pod błękitnym sklepieniem. Byłem szczęśliwy. Nie żałowałem niczego, co porzucałem. Oczywiście, kochałem swoje skrzypce i naukę o muzyce. Ale nie dążyłem do kariery. Najbardziej nawet zawrotne sukcesy nie wynagrodzą mi radości z powrotu do domu, gdzie znów otoczony będę tym wszystkim, co dane mi zostało w chwili narodzin: widnokregiem rodzinnej ziemi, przytulnością paru ścian, matką i ojcem. Wracałem do domu z wielką ulgą.

Kiedy oznajmiłem ojcu, że do Brna już nie wrócę, strasznie się zirytował. Nie chciał, żebym z jego powodu marnował sobie życie. Musiałem więc mu wmówić, że wyrzucono mnie ze szkoły za kiepskie postępy w nauce. W końcu w to uwierzył i rozgniewał się na mnie jeszcze bardziej. Ale mnie to zbytnio nie

martwiło. Nie wróciłem zresztą do domu po to, żeby próżnować. W dalszym ciągu grałem jako pierwszy skrzypek w kapeli naszego zespołu. W szkole muzycznej otrzymałem posadę nauczyciela gry na skrzypcach. Mogłem poświęcić się temu, co kochałem.

Obejmowało to również i Vlaste. Mieszkała w sąsiedniej wsi, która dzisiaj – podobnie jak moja wieś – tworzy już peryferie miasta. Tańczyła w naszym zespole. Poznałem ją w tym czasie, kiedy studiowałem w Brnie, i cieszyłem się, że po powrocie mogę się z nią prawie codziennie widywać. Ale tak naprawdę, to zakochałem się dopiero nieco później – i to nieoczekiwanie, kiedy podczas którejś próby upadła tak nieszczęśliwie, że złamała sobie nogę. Niosłem ją na rękach do sprowadzonej naprędce karetki pogotowia. Czulem w ramionach jej drobne ciało, drżące i słabe. Uświadomiłem sobie nagle ze zdziwieniem, że mam metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wagę sto kilo, że mógłbym dęby z korzeniami wyrywać, a ona jest taka leciutka i biedna.

Była to chwila jasnowidzenia. W osóbcie zbolalej Vlasty ujrzałem nagle inną, dużo bardziej znajomą postać. Jak to się stało, że dawno już na to nie wpadłem? Vlasta to przecież uboga dziewczeczka, która nie ma na świecie nic prócz swojej niewinności, uboga dziewczeczka, którą ludzie krzywdzą, uboga dziewczeczka w obszarpanej sukience, uboga dziewczeczka – sierota.

W rzeczywistości nie była tym wszystkim. Miała rodziców, i to wcale nie ubogich. Ale właśnie dlatego, że to byli zamożni chłopcy, nowe czasy zaczęły przypierać ich do muru. Vlasta często przychodziła do zespołu z płaczem, żądano od nich dużych dostaw. Jej ojca uznano za kułaka. Zarekwirowali mu traktor i maszyny rolnicze. Grozili więzieniem. Żał mi jej było i cieszyłem się, że się nią zaopiekuję. Ubogą dziewczeczką.

Od czasu kiedy taką ją właśnie zacząłem widzieć, opromienioną słowem z ludowej piosenki, miałem uczucie, że tylko znowu przeżywam miłość, przeżywaną już tysiąc razy. Jak gdybym grał z jakichś bardzo starych nut. Jak gdyby rozbrzmiewały we mnie dźwięki ludowej pieśni. Unoszony tym potokiem dźwięków, marzyłem o ślubie i cieszyłem się myślą o nim.

Dwa dni przed ślubem nieoczekiwanie przyjechał Ludwik. Przywitałem go wylewnie. Natychmiast oznajmiłem mu wielką nowinę o swoim ślubie i oświadczyłem, że jako mój najbliższy przyjaciel musi wystąpić w roli świadka. Obiecał mi. I przyszedł.

Koledzy z zespołu wyprawili mi prawdziwe morawskie wesele. Już z samego rana zjawili się u mnie wszyscy z muzyką i w regionalnych strojach. Pięćdzie-

sięcioletni Vondraczek, cymbalista z zespołu, był najstarszym drużbą. Przypadły mu w udziale obowiązki starosty. Mój ojciec ugościł najpierw wszystkich śliwowicą, chlebem i słoniną. Następnie starosta dał wszystkim znak, żeby się uciszyli, i dźwięcznym głosem wyrecytował:

Osobliwie czcigodni dla mnie, panny, kawalerowie.

Panie a panowie!

Przyzwałem was do domu tego z tej przyczyny.

iż tu przytomny młodzieniec uprasza,

abyśmy z nim pospołu do domu ojcowego Vlasiy Netahałow odbyli drogę ona jako że córkę jego, pannę szlachetną, obrał za narzeczoną.\*

Starosta, najstarszy drużba, jest główną osobą, duszą, gospodarzem całej uroczystości. Tak było zawsze. Tak było zawsze od tysiąca lat. Pan młody nigdy nie był podmiotem ślubu. Był jego przedmiotem. To nie on się żenił. To jego żenili. Ktoś przemocą wciągnął go w ten ślub, a on tylko płynął unoszony potężną falą. To nie on działał i mówił. Za niego działał i mówił starosta. Ale nawet i nie starosta. To długowieczna tradycja podawała sobie do rąk jednego człowieka za drugim i wciągała ich w swój słodki nurt. W tym nurcie wszyscy byli do siebie podobni i stawali się ludzkością.

Wyruszyliśmy zatem pod wodzą starosty do sąsiedniej wsi. Szliśmy przez pola, a moi koledzy grali przez cały czas. Przed domem Vlasty czekała już na nas, ze strony panny młodej, gromada ludzi w ludowych strojach. Starosta zadeklamował:

Jakośmy są prawie zdrożeni,

pięknie prosimy,

a w te pocziwe progi radzi wstąpimy,

bo z głodu i pragnienia ledwie stoimy.

Z gromadki stojącej przed wejściem do domu wystąpił starszy mężczyzna w stroju regionalnym.

---

\* Wiersze obrzędu weselnego przełożyła Anna Kamińska.

– Jeśli dobrzy z was ludzie, to serdecznie witamy.

I zaprosił nas do środka. W milczeniu weszliśmy do sionki. Byliśmy, jak to powiedział starosta, kiedy nas przedstawiał, jedynie utrudzonymi wędrowcami, toteż z początku nie ujawnialiśmy swoich prawdziwych zamiarów. Starszy mężczyzna ze strony panny młodej ośmielił nas:

– Jeśli macie coś, co wam leży na sercu, to mówcie.

Starosta zaczął tedy mówić, z początku niejasno, w przenośniach, a ów mężczyzna odpowiadał mu w ten sam sposób. Dopiero po dłuższych ceregielach starosta wyjawiał, po cośmy przyszli. Starosta panny młodej zadał mu pytanie:

Pytamy was, miły panie drużbo, czegoż to pan młody  
pocziwy tę dziewczynę pocziwą za małżonkę pojąć  
pragnący się nadziewa?  
Kwiatu czy owocu z tego drzewa?

Starosta zaś odpowiedział:

Dobrze to rzecz wiadoma wszem wobec, że kwiat nastaje  
w krasie, wspaniałości, serce uciesza.  
Aleć kwiat odchodzi,  
owoc nadchodzi.  
Tak i my tę pannę bierzemy nie dla kwiatu, ale dla owocu,  
jako że z owocu pożytek przychodzi.

Jeszcze przez dłuższą chwilę tak sobie nawzajem odpowiadali, aż wreszcie starosta panny młodej zakończył:

– Przywołajmy tedy oblubienicę, niechaj powie, czy się zgadza, czy nie.

Zniknął w sąsiedniej izbie i po chwili wrócił, wiodąc za rękę niewiastę w ludowym stroju. Była chuda, wielka, koścista, twarz miała zasłoniętą chustką.

– Oto macie oblubienicę.

Ale starosta pokręcił głową, a my wszyscy głośnym pomrukiem wyraziliśmy sprzeciw. Starszy mężczyzna przez chwilę nas przekonywał, ale w końcu musiał

odprowadzić zamaskowaną niewiastę z powrotem. Dopiero wtedy przywiódł Vlastę. Była w czarnych wysokich bucikach, czerwonym fartuszką i kolorowym serdaczką. Na głowie miała wianek. Wydała mi się piękna. Włożył jej rękę do mej dłoni.

Potem starszy mężczyzna obrócił się do matki panny młodej i płaczącym głosem zawołał:

– O matulu!

Panna młoda przy tych słowach wyrwała mi rękę, uklękła na ziemi przed matką i pochyliła głowę.

Starszy mężczyzna ciągnął dalej:

Matulu miła, odpuście mi, w czym wam uwłoczyłam.

Malulu najmiłsza, odpuście mi, w czym wam uwłoczyłam.

Matulu jedyna, na ran bożych pięcioro proszę, odpuście mi, w czym wam uwłoczyłam.

Byliśmy jedynie niemymi aktorami podstawionymi do dawno już napisanego tekstu. Ale ten tekst był piękny, porywający, i wszystko to była prawda. Potem muzyka znów zaczęła grać i ruszyliśmy do miasta. Uroczystość odbywała się na ratuszu, i tam również przygrywała nam kapela. Potem był obiad. Po obiedzie poszliśmy do „Domu Słowaka”. Była muzyka i tańce.

Wieczorem drużny zdjęły z głowy Vlasty rozmarynowy wianek i uroczystość mi go wręczyły. Z rozpuszczonych włosów uplotły jej warkocz, okręciły jej wokół głowy, a głowę owinęły czepcem. Był to obrządek będący symbolem, że dziewczica staje się niewiastą. Vlasta jednak od dawna już nie była dziewczicą. I właściwie nie miała prawa do symbolicznego wianka. Ale nie wydawało mi się to takie ważne, w jakiejś innej, daleko istotniejszej płaszczyźnie traciła dziewictwo właśnie teraz i jedynie teraz. W chwili gdy drużny oddawały mi jej wianek.

Mój Boże, co to jest, że wspomnienie jej rozmarynowego wianka wzrusza mnie bardziej niż nasza pierwsza prawdziwa noc miłosna, niż chwila, kiedy Vlasta naprawdę utraciła dziewictwo? Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Kobiety śpiewały pieśni, w których ów wianek unosiła woda, a fale rozplatały je-go czerwone wstążki. Chciało mi się płakać. Byłem pijany. Miałem przed oczami ten wianek, który płynie, który potok oddaje strumieniowi, strumień rzece, rzeka

Dunajowi, a Dunaj morzu. Miałem przed oczami ten wianek i jego bezpowrotność. Ta bezpowrotność była najważniejsza. Wszystkie przełomowe sytuacje w życiu są bezpowrotne. Żeby być pełnym człowiekiem, trzeba przejść przez tę bezpowrotność z całą świadomością. Wypić ją do dna. Bez oszustwa. Bez udawania, że się jej nie widzi. Współczesny człowiek szachruje. Stara się wyminąć wszystkie kamienie milowe i gratis przejść od narodzin do śmierci. Człowiek z ludu jest uczciwszy. Zasadnicze momenty przeżywa aż do dna. Kiedy krew Vlasty splamiła ręcznik, który jej podłożyłem, nie przeczuwałem, że zetknąłem się z czymś bezpowrotnym. A w tej chwili nigdzie nie mogłem od tego uciec. Kobiety śpiewały pieśni o pożegnaniu.

A potem była już noc i goście weselni odprowadzili nas do naszego domu. Tam przystanęliśmy, a koledzy i koleżanki Vlasty zaśpiewali nam, upominając, abyśmy na nowym miejscu nie czynili krzywdy ubogiej dziewczeczce, że w domu wszyscy ją kochali, żebyśmy więc i myją kochali.

Otworzyłem drzwi. Vlasta zatrzymała się na progu i odwróciła się raz jeszcze do gromadki przyjaciół stojącej przed domem. A wtedy ktoś z nich zaintonował jeszcze jedną, jeszcze ostatnią piosenkę:

Na progu stała,  
piękna się zdała  
jak róża, różyczka.  
Próg przestąpiła,  
piękność utraciła  
moja kochaneczka.

Potem zamknęły się za nami drzwi i zostaliśmy sami. Vlasta miała dwadzieścia lat, ja trochę więcej. Ale myślałem o tym, że przestąpiła próg i że od tej magicznej chwili uroda będzie z niej opadać jak liście z drzewa. Widziałem to w niej już teraz. Owo opadanie, które już się zaczęło. I właśnie dlatego strasznie ją kochałem. Myślałem o tym, że Vlasta to nie tylko kwiat, ale że w tej chwili jest już w niej również obecna przyszła chwila owocowania. Czułem w tym wszystkim niezłomny porządek rzeczy, porządek, z którym się zespałam i na który się godzę. Myślałem w owej chwili również o Włodzimierzu, którego wtedy jeszcze nie znałem i o którym nie wiedziałem nawet, jak będzie wyglądał. Mimo to myślałem o nim i poprzez niego patrzyłem dalej, w odległą przyszłość jego dzieci.

Położyliśmy się z Vlasta do zasłanego wysoko łoża i doznałem uczucia, że to sama mądra nieskończoność ludzkich pokoleń bierze nas w miękki uścisk swych ramion.

## 8

Co mi zrobił Ludwik w czasie ślubu? Właściwie nic. Miał zaciśnięte usta i był jakiś dziwny. Kiedy po południu grało się i tańczyło, koledzy podsunęli mu klarnet. Chcieli, żeby grał razem z nimi. Odmówił. Wkrótce potem w ogóle sobie poszedł. Na szczęście miałem już zbyt mocno w czubie, żeby zwracać na to większą uwagę. Ale nazajutrz stwierdziłem, że jego odejście pozostawiło małą plamkę na wczorajszym dniu. Alkohol, który rozkładał mi się we krwi, rozszerzał tę plamkę coraz bardziej. A jeszcze bardziej niż alkohol – Vlasta, Nigdy nie lubiła Ludwika. Kobiety instynktownie dzielą przyjaciół swego męża na tych nieszkodliwych i tych niebezpiecznych. Ludwika zakwalifikowała Vlasta do tej drugiej kategorii i zawsze cieszyła się, że on mieszka w Pradze.

Kiedy oznajmiłem jej, że Ludwik będzie moim świadkiem, nie była zbyt zachwycona. A nazajutrz po ślubie bardzo jej było na rękę, że może mi wypominać jego wczorajsze zachowanie. Przez cały czas miał taką minę, jakbyśmy go wszyscy nudzili. Jest nadęty, rogaty, a nosem mało nieba nie przewierci.

Ale jeszcze tego samego dnia wieczorem Ludwik sam do nas przyszedł. Przyniósł Vlastie jakieś prezenty i tłumaczył się. Prosił, byśmy mu wybaczyli, że taki był wczoraj do niczego. Opowiedział nam, co go spotkało. Wyleciał z partii i uniwersytetu. Nie wie, co będzie z nim dalej.

Nie wierzyłem własnym uszom i nie wiedziałem, co powiedzieć. Zresztą Ludwik nie chciał, by się nad nim litowano, i szybko sprowadził rozmowę na inny temat. Nasz zespół miał za dwa tygodnie wyjechać na wielkie *tournée* za granicę. My, prowincjusze, strasznie się już z góry na to cieszyliśmy. Ludwik wiedział o tym i zaczął wypytywać mnie o naszą podróż. A ja natychmiast uświadomiłem sobie, że Ludwik od dziecka marzył o zagranicy, a teraz pewno nigdy już się tam nie dostanie. Ludzi z politycznym kleksem w życiorysie w owym czasie i jeszcze przez wiele lat potem za granicę nie wypuszczano. Widziałem, jak nasze drogi definitywnie się rozchodzą, i starałem się o tym nie mówić. Nie mogłem więc opowiadać o naszej podróży, ponieważ w ten sposób ukazałbym w pełnym świetle nagłą przepaść między moim i jego losem. Chciałem tę przepaść okryć ciemnością i bałem się każdego słowa, które by ją mogło oświetlić. Ale nie



znajdowałem żadnego słowa, które by jej nie oświetlało. Każde zdanie dotyczące choćby trochę naszego życia utwierdzało nas w przekonaniu, że każdy z nas znalazł się całkowicie gdzie indziej. Ze mamy inne możliwości, inną przyszłość. Ze życie unosi nas w dwóch przeciwnych kierunkach. Usiłowałem mówić o czymś, co byłoby na tyle powszednie i nieistotne, by nie wyzierała z tego nasza obcość. Ale to było jeszcze gorsze. Taka rozmowa o niczym była kłopotliwa i bardzo szybko stała się nie do zniesienia.

Ludwik pożegnał się wkrótce i poszedł. Zgłosił się do brygady gdzieś poza naszym miastem, a ja wyjechałem z zespołem za granicę. Od tego czasu nie widziałem go kilka lat. Pisałem do niego do wojska raz czy dwa razy. Kiedy wysyłałem te listy, doznawałem zawsze tego samego uczucia niezadowolenia co po naszej ostatniej rozmowie. Nie potrafiłem stanąć twarzą w twarz z klęską Ludwika. Wstyd mi było, że moje życie układa się tak dobrze. Wydawało mi się rzeczą nie do zniesienia kierować do Ludwika z wyżyn swego zadowolenia słowa otuchy czy współczucia. Starłem się raczej udawać, że nic się między nami nie zmieniło. Opisywałem mu w swoich listach, co robimy, co nowego w zespole, jakiego mamy nowego cymbalistę i co się u nas wydarzyło. Udawałem, że mój świat jest nadal naszym wspólnym światem. I czułem całą gorycz tego udawania.

Potem, pewnego dnia, mój ojciec otrzymał zawiadomienie żałobne. Umarła matka Ludwika. Nikt z nas nie wiedział nawet, że chorowała. Kiedy straciłem z oczu Ludwika, zniknęła mi z oczu również i ona. Teraz, trzymając zawiadomienie w ręce, uświadomiłem sobie własną obojętność wobec ludzi, którzy choć trochę usunęli się z drogi mego życia. Mego udanego życia. Czułem się winny, chociaż nic złego właściwie nie zrobiłem. A potem dostrzegłem coś, co mnie przeraziło. Pod zawiadomieniem o śmierci matki Ludwika podpisani byli w imieniu wszystkich krewnych małżonkowie Kouteccy. O Ludwiku ani słowa. Nadszedł dzień pogrzebu, *Od rana* miałem tremę przed spotkaniem z Ludwikiem. Ale Ludwik nie przyjechał. Za trumną szło tylko parę osób. Zapytałem Kouteckich, gdzie jest Ludwik. Wzruszyli ramionami i powiedzieli, że nie wiedzą. Kondukt z trumną zatrzymał się przed dużym grobowcem z ciężką marmurową płytą i z białą figurą anioła.

Bogata rodzina przedsiębiorcy zabrała swoim krewnym wszystko, tak że utrzymywali się jedynie z niewielkiej emerytury. Został im tylko ten wielki grób rodzinny z białym aniołem. Wszystko to widziałem, ale nie mogłem zrozumieć, dlaczego tam właśnie spuszczają trumnę.

Dopiero później dowiedziałem się, że Ludwik siedział wtedy w więzieniu. Jego matka była jedyną osobą w naszym mieście, która o tym wiedziała. Kiedy

umarła, Kouteccy zajęli się zwłokami niekochanej bratowej i uznali je publicznie za swoje. Zemścili się w końcu na niewdzięcznym bratanku. Ukradli mu matkę. Przywalili ją ciężką marmurową płytą, nad którą stoi biały anioł o kędzierzawych włosach, z gałązką w ręku. Wciąż potem w myślach widziałem tego anioła. Wznosił się nad splądrowanym życiem mego przyjaciela, któremu zrabowano nawet ciała zmarłych rodziców. Anioł grabieży.

## 9

Vlasta nie lubi żadnych ekstrawagancji. Siedzenie ot tak sobie w nocy w ogrodzie to dla niej ekstrawagancja. Usłyszałem energiczne pukanie w okienną szybę. Za oknem czerniał surowy cień kobiecej postaci w nocnej koszuli. Jestem posłuszny. Nie umiem sprzeciwiać się słabszym, a ponieważ mam metr dziewięćdziesiąt wzrostu i podnoszę jedną ręką stukilowy worek, nie znalazłem w swoim życiu dotychczas nikogo, komu mógłbym się sprzeciwić.

Wróciłem więc do domu i położyłem się obok Vlasty. Żeby nie milczeć, wspomniałem, że spotkałem dziś Ludwika.

– No i? – zapytała z ostentacyjnym brakiem zainteresowania.

Trudna rada. Nie lubi go. Do dzisiaj nie może go znieść. Zresztą nie ma się na co skarżyć. Od naszego ślubu tylko jeden raz miała okazję się z nim widzieć. Było to w roku pięćdziesiątym szóstym. Wtedy owej przepaści, jaka nas rozdzieliła, nie potrafiłem zamaskować kłamstwem nawet sam wobec siebie.

Ludwik miał już za sobą służbę wojskową, więzienie i kilka lat pracy w kopalni. Organizował sobie w Pradze dalsze studia, a do naszego miasta przyjechał załatwić jakieś formalności na milicji. Znowu miałem tremę przed tym spotkaniem. Ale nie spotkałem złamanego cierpiętника. Wręcz przeciwnie. Ludwik był inny niż ten, jakiego dotychczas znałem. Była w nim jakaś szorstkość, kanciastość i chyba trochę więcej spokoju. Nic, co by się domagało współczucia. Wydawało mi się, że z łatwością przerzucimy pomost nad przepaścią, której tak się lękałem. Żeby szybko nawiązać dawną nić przyjaźni, zaprosiłem go na próbę naszej kapeli. Sądziłem, że ciągle jeszcze jest to i jego kapela. Co z tego, że mamy innego cymbalistę, drugiego skrzypka, innego klarnciście i że ze starej gwardii zostałem tylko ja! Czas ucieka, ale to nie może psuć nam humoru. Ważne jest to, że wpisani jesteśmy również i w ten uciekający czas.

Ludwik siadł na krześle obok cymbalisty i tylko przysłuchiwał się naszej próbie. Graliśmy najpierw nasze najulubieńsze piosenki; te, które grywaliśmy jeszcze będąc w gimnazjum. Potem kilka nowych, które odkryliśmy w zapadłych podgórskich wioskach. W końcu przyszła kolej na parę piosenek, z których jesteśmy najdumniejsi. To już nie są prawdziwe piosenki ludowe, ale takie, które my sami ułożyliśmy w zespole, czerpiąc ze sztuki ludowej. Śpiewaliśmy więc piosenki o miedzach, które trzeba zaorać, żeby z wielu małych prywatnych poletek powstał jeden wielki łąn spółdzielczy, piosenki o biedakach, którzy dzisiaj nie potrafią już być niewolnikami, ale są panami w swoim kraju, piosenki o traktorzyście, który żyje szczęśliwie w ośrodku maszyn rolniczych. Wszystko to były piosenki, których muzyka nie różniła się absolutnie od oryginalnych pieśni ludowych, a których słowa oddawały równocześnie obecną rzeczywistość lepiej niż gazety. Spośród nich najbardziej lubiliśmy piosenkę o Fućiku, bohaterze, który w czasie okupacji był torturowany przez faszystów i o którym teraz „pieśni ludzie śpiewają”.

Ludwik siedział na krześle i patrzył, jak ręce cymbalisty przebiegają palczkami po strunach. Co chwila nalewał sobie wina z butelki do małej szklanczki. Obserwowałem go przez podstawkę swoich skrzypiec. Był zamyślony i ani razu nie podniósł głowy w moim kierunku.

Potem do sali zaczęły nadchodzić żony, co jest nieomylnym znakiem, że próba dobiega końca. Zaprosiłem Ludwika do siebie. Vlasta przygotowała nam coś na kolację, po czym poszła spać i zostawiła nas samych. Ludwik mówił o wszystkim, co tylko możliwe. Ale czułem, że jest taki elokwentny tylko dlatego, żeby nie musiał mówić o tym, o czym chciałem mówić ja. Jakże jednak mogłem nie mówić ze swoim najlepszym przyjacielem o tym, co stanowiło nasze największe wspólne bogactwo? Toteż przerwałem Ludwikowi jego bezsensowne bajdurzenie. Co sądzi o naszych piosenkach? Ludwik odrzekł bez wahania, że mu się podobały. Ale nie pozwoliłem mu się wykręcić zdawkową uprzejmością. Wypytywałem go dalej. Co powie o tych nowych piosenkach, odkrytych przez nas w zapadłych wsiach? I o tych, któreśmy sami ułożyli?

Ludwik nie miał ochoty na dyskusję. Ale krok za krokiem wciągałem go do niej, aż się w końcu rozgadał. Tych parę ludowych starych piosenek to rzeczywiście piękna rzecz. Ale poza tym nasz repertuar mu się nie podoba. Zanadto dostosowujemy się do powszechnego gustu. Nic w tym zresztą dziwnego. Występujemy przed szeroką publicznością i chcemy się podobać. Dlatego też zacieramy w naszych piosenkach wszystko, co jest w nich oryginalne. Zacieramy ich niepowtarzalny rytm i dostosowujemy go do rytmiki konwencjonalnej.

Wybieramy piosenki z najmłodszej chronologicznie warstwy, rozmaite czardasze i pieśni rekruckie, ponieważ są najwdzięczniejsze i najbardziej przystępne.

Zaprotestowałem. Przecież dopiero zaczynamy. Chcemy, żeby pieśń ludowa rozpowszechniła się jak najszerzej. Dlatego też musimy ją trochę dostosować do powszechnych gustów. Najważniejsze jest przecież to, że stworzyliśmy współczesny folklor, nowe pieśni ludowe, które mówią o naszym dniu dzisiejszym.

Nie zgodził się z tym. Twierdził, że właśnie te nowe piosenki najbardziej szarpały mu uszy. Co za nędzne naśladownictwo! I jaki fałsz.

Jeszcze dzisiaj jest mi smutno, gdy o tym pomyślę. Któż to nam groził, że spotka nas los żony Lota, jeśli będziemy tylko oglądać się wstecz? Kto snuł fantazje, że z muzyki ludowej wzejdzie nowy styl epoki? Kto apelował do nas, abyśmy zbudzili do życia muzykę ludową i zmusili ją, by dotrzymywała kroku współczesnej historii?

– To była utopia – powiedział Ludwik.

– Jak to, utopia? Te piosenki są! Istnieją!

Wyśmiał mnie.

– To wy śpiewacie je w zespole. Ale pokaż mi jednego choćby człowieka spoza zespołu, który dla własnej przyjemności śpiewałby te wasze piosenki o spółdzielniach produkcyjnych! Przecież gębę by mu wykręciło, takie to wszystko sztuczne i fałszywe! Ten propagandowy tekst odstaje od owej quasi-ludowej muzyki jak źle przyszyty kołnierz! Quasi-morawska piosenka o Fučiku! Co za bzdura! Praski dziennikarz! Co on ma wspólnego z morawskim Słowackiem?

Zaprotestowałem.

– Fučik jest własnością wszystkich. Chyba i my mamy prawo śpiewać o nim po naszymu.

– A bo wy śpiewacie o nim po naszymu? Śpiewacie według recepty agitatorów, a nie po naszymu! Przypomnij sobie tylko tekst tej piosenki! I w ogóle, skąd piosenka o Fučiku? Czy to tylko on jeden walczył w konspiracji? Tylko on jeden był torturowany?

– Ale on jest najślawniejszy!

– Owszem, aparat propagandy chce mieć porządek w galerii nieżyjących bohaterów. Chce mieć wśród nich głównego bohatera, żeby mógł go odpowiednio eksploatować dla celów propagandowych.

– Po co ta ironia? Każda epoka ma swoje symbole!

– W porządku, ale ciekawe jest właśnie, kto jest tym symbolem! Setki ludzi walczyło równie dzielnie, i nikt o nich nie pamięta. A przecież ginęli różni sławni ludzie. Politycy, pisarze, uczeni, artyści. I nie stali się symbolem. Ich fotografie nie wiszą w komitetach i w szkołach. A ci ludzie często mają za sobą wielką twórczość. Tylko że właśnie ta twórczość stanowi przeszkodę. Trudno ją przerobić, przykroić, dopasować. Twórczość jest przeszkodą w propagandowej galerii bohaterów.

– *Reportażu spod szubienicy* nie napisał żaden z nich!

– Otóż to! Co robić z bohaterem, który milczy? Który nie wykorzystuje ostatnich chwil życia na teatralny występ? Na lekcję pedagogiki? To Fućik, chociaż bynajmniej nie był sławny, uważał za rzecz niezmiernie wagi podzielić się ze światem tym, o czym w więzieniu myśli, co czuje, przeżywa, co przekazuje ludzkości i co zaleca. Pisał to na małych zwitkach papieru, a inni ludzie ryzykując życiem przemycali je z więzienia i ukrywali. Jak wysoko zatem musiał cenić własne myśli i uczucia! Jak wysoko oceniał samego siebie!

Tego już nie mogłem znieść.

– A więc Fućik był zarozumiałym egoistą?

Ale Ludwik nie dał się powstrzymać.

– Nie, poczucie wagi własnej osoby nie było tym najważniejszym, co go zmuszało do pisania. Najważniejsza była słabość. Ponieważ był dzielny w samotności, bez świadków i bez aplauzu, tylko sam przed sobą, a do tego potrzeba wielkiej dumy i siły. Fućikowi potrzebna była pomoc publiczności. Stwarzał sobie w samotności całą fikcyjną przynajmniej publiczność. Chciał, żeby na niego patrzono! By aplauz dodawał mu sił. Choćby aplauz fikcyjny! Chciał zamienić więzienie w scenę i uczynić swój los znośnym przez to, że nie tylko go przeżywał, ale także ukazywał. Że upajał się pięknem własnych gestów i słów.

Byłem przygotowany na przygnębienie Ludwika. Na gorycz. Ale z taką złością i taką pełną ironii nienawiścią się nie liczyłem. Co złego zrobił mu zamordowany Fućik? Wartość człowieka widzę w jego wierności. Wiem, że

Ludwika niesłusznie ukarano. Ale tym gorzej! Bo w takim razie jego zmiana poglądów umotywowana jest aż nazbyt przejrzyście. Czyż człowiek może całkowicie zmienić swoją postawę życiową tylko dlatego, że go skrzywdzono?

Wszystko to powiedziałem Ludwikowi prosto w oczy. Ale wtedy znowu zaszło coś nieoczekiwanego. Jak gdyby nagle opadło z niego całe to gniewne rozgorączkowanie. Przyjrzał mi się badawczo, a potem zupełnie cichym i spokojnym głosem poprosił, żebym się nie gniewał. Że może się myli. Powiedział to tak dziwnie i chłodno, że doskonale wiedziałem, iż nie myśli tego szczerze. Ale ja nie chciałem, żeby nasza rozmowa skończyła się takim nieszczerym akordem. Mimo najgłębszego rozgoryczenia powodował mną przez cały czas mój pierwotny zamiar. Chciałem porozumieć się z Ludwikiem i odnowić dawną przyjaźń. I mimo że tak ostro żeśmy się starli, miałem nadzieję, że gdzieś, na końcu długiego sporu, możemy odnaleźć kawałek wspólnego gruntu, na którym niegdyś tak nam z sobą było dobrze i gdzie będziemy mogli znowu wspólnie się zdomowić. Ale na próżno próbowałem kontynuować rozmowę. Ludwik usprawiedliwiał się, że lubi czasem przesadzać i że niestety znowu pozwolił się porwać tematowi. Prosił, żebym zapomniał o tym, co mówił.

Zapomnieć? Dlaczego mielibyśmy zapomnieć o tak ważnej rozmowie? Czy nie powinniśmy raczej prowadzić jej dalej? Ale następnego dnia zrozumiałem właściwy sens tej jego prośby. Ludwik nocował u nas i został na śniadaniu. Po śniadaniu mieliśmy jeszcze pół godziny czasu na rozmowę. Opowiadał mi, ile wysiłku go kosztowało, żeby pozwolono mu ukończyć ostatnie dwa lata studiów. Jakie piętno wycisnął na jego życiu fakt wyrzucenia go z partii. Jak mu nigdzie nie ufają. Że tylko dzięki pomocy kilku przyjaciół, którzy znają go jeszcze z czasów przed Lutym, będzie znowu przyjęty na uniwersytet. Mówił potem również o innych swoich znajomych, którzy są w podobnej sytuacji co on. Mówił o tym, jak się ich śledzi, jak skrupulatnie notuje się każdą ich wypowiedź. Jakim indagacjom poddawani są ludzie z ich otoczenia i jak często jakaś gorliwa czy złośliwa opinia może złamać im życie na dalszych kilka lat. Potem zboczył na jakiś inny temat, a kiedyśmy się żegnali, powiedział, że cieszy się, że się ze mną widział, i jeszcze raz prosił, bym zapomniał, co mi mówił wczoraj.

Związek między tą prośbą a wzmianką o losach jego znajomych był aż nazbyt wyraźny. Zaszokował mnie. Ludwik przerwał rozmowę ze mną dlatego, że się bał! Bał się, że nasza rozmowa nie zostanie między nami! Bał się, że go zadenuncjuje! Bał się mnie! To było straszne. I znowu zupełnie nieoczekiwane. Przepaść, która nas dzieliła, była o wiele głębsza, niż przypuszczałem. Była tak głęboka, że nie pozwalała nam nawet na doprowadzenie rozmowy do końca.

Vlasta już śpi. Chwilami biedactwo leciutko chrapie. Wszyscy u nas już śpią. A ja leżę tu duży, ogromny i myślę o swojej bezsilności. Tak strasznie ją wtedy odczułem. Przedtem łatwowiernie sądziłem, że wszystko zależy ode mnie. Z Ludwikiem nigdy przecież nie wyrządziliśmy sobie żadnej krzywdy. Dlaczego przy dobrej woli nie mielibyśmy znowu się zbliżyć?

Okazało się, że to nie zależy ode mnie. Ani nasze oddalenie, ani nasze zbliżenie nie było zależne ode mnie. Miałem więc nadzieję, że to kwestia czasu. Czas upływał. Od chwili naszego ostatniego spotkania minęło dziesięć lat. Ludwik ukończył w tym czasie studia, dostał świetną posadę, jest naukowcem w dziedzinie, która go interesuje. Siedzę z daleka jego losy. Siedzę je z miłością. Nie mogę uważać Ludwika ani za swego wroga, ani za człowieka obcego. To mój przyjaciel, ale przyjaciel zaklęty. Powtarza się jak gdyby historia z bajki, kiedy to narzeczona księcia została przemieniona w węża czy żabę. W bajkach ratowała zawsze wszystko wytrwała cierpliwość księcia.

Ale na razie czas nie zdejmuje czarów z mego przyjaciela. Parę razy w tym czasie mówiono mi, że Ludwik zatrzymywał się w naszym mieście. Ale nigdy nie zajrzał do mnie. Dzisiaj spotkałem go i udał, że mnie nie widzi. Cholerny Ludwik!

Wszystko to zaczęło się od naszej ostatniej rozmowy. Czuję, jak rok po roku staję się coraz bardziej osierocony, jak w głębi mej duszy kiełkuje strach. Czym dalej, tym większe zmęczenie, czym dalej, tym mniej radości i sukcesów. Zespół odbywał co roku swoje zagraniczne *tournée*, aie zaproszeń powoli ubywało, a dzisiaj nigdzie nas już prawie nie zapraszają. Pracujemy nadal, coraz gorliwiej, ale wokół nas panuje cisza. Stoję w opustoszałej sali. I wydaje mi się, że to Ludwik był tym, który rozkazał, abym został sam. Na samotność bowiem skazują człowieka nie wrogowie, lecz przyjaciele.

Od tego czasu coraz częściej wymykam się na polną drogę biegnącą wśród małych poletek. Na polną drogę, gdzie na miedzy rośnie samotny krzak głogu. Tam spotykam się z moimi ostatnimi wiernymi. Jest tam dezenter ze swymi chłopcami. Jest wędrowny grajek, a za widnokretem drewniany domek, w nim zaś Vlasta, uboga dziewczeczka.

Dezenter nazywa mnie królem i obiecuje, że w każdej chwili mogę schronić się pod jego opiekę. Wystarczy tylko przyjść pod krzak głogu. Tam zawsze się odnajdziemy.

Takie by to było proste – znaleźć spokój w świecie wyobraźni. Ale starałem się zawsze żyć w obu światach równocześnie i nie porzucać jednego dla drugiego. Nie wolno mi porzucić prawdziwego świata, nawet jeśli przegrałem w nim wszystko. Wystarczy zresztą w końcu, jeśli uda mi się to jedno. To ostatnie.

Przekazać swoje życie jako jasne i zrozumiałe posłanie jednemu jedynemu człowiekowi, który zrozumie je i poniesie dalej. Przedtem nie wolno mi odjechać z dezerterem ku Dunajowi.

Ten jedyny człowiek, o którym myślę, który jest mi jedyną nadzieją po wszystkich porażkach, oddzielony jest ode mnie ścianą i śpi. Pojutrze dosiądzie gniadego konia. Będzie miał chustkę na twarzy. Będą nazywać go królem. Chodź, syneczku. Zasypiam. Będą nazywać cię moim imieniem. Teraz zasnę. Chcę we śnie zobaczyć cię na koniu.



## 1

Spałem długo i całkiem dobrze; wspomnienia, którym wydawałem się wieczorem (aż do późnej nocy) na pastwę, mimo całej swojej goryczy nie miały wpływu na rytm mego fizycznego życia, wdrożonego w surową dyscyplinę, którą sam sobie narzuciłem, kiedy po trzydziestce po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że nie będzie mi oszczędzony powszechny los starzejących się ludzi. Obudziłem się dopiero po ósmej, nie pamiętałem żadnych snów, ani dobrych, ani złych, głowa mnie nie bolała, tylko nie chciało mi się wstawać, a ja nie broniłem się przed tą niechęcią, ponieważ od pewnego czasu nie chcę w niej widzieć kaprysu, lecz pojmuję ją jako dobroczynny symptom młodzieńczego lenistwa.

Zostałem więc w łóżku; sen wzniosł pomiędzy mną a owym spotkaniem w piątek wieczór jakiś wiatrochron, za którym czułem się (przynajmniej na chwilę) bezpiecznie ukryty. Nie znaczy to, że tego ranka Łucja zniknęła z mojej świadomości, ale stała się znowu abstrakcją.

Abstrakcją? Tak. Kiedy w Ostrawie Łucja tak zagadkowo i okrutnie zniknęła z mego życia, nie miałem z początku praktycznie żadnej możliwości, by jej szukać. A w miarę jak mijały lata (po moim wyjściu z wojska), powoli traciłem chęć do takich poszukiwań. Mówiłem sobie, że Łucja, choćbym nie wiem jak bardzo ją kochał i choćby była nie wiem jak jedyna, jest nierozdzielna od sytuacji, w jakiej spotkaliśmy się i zakochali w sobie. Wydawało mi się, że jest jakiś błąd w rozumowaniu, jeśli człowiek abstrahuje ukochaną istotę ze wszystkich okoliczności, w których ją poznał i w których ona żyje, jeśli z zapamiętałą wewnętrzną koncentracją usiłuje ją oczyścić ze wszystkiego, co nie jest nią samą, a więc również i z historii, którą wspólnie przeżyli i która tworzy ramy ich miłości.

Nie kocham przecież w kobiecie tego, czym ona jest sama przez się i dla siebie, ale to, co mi z siebie daje, czym jest dla mnie. Kocham ją jako bohaterkę naszej wspólnej przygody. Czym byłaby postać Hamleta bez zamku w Elsynorze, bez Ofelii, bez wszystkich konkretnych sytuacji, przez które przechodzi, czym byłaby bez tekstu swojej roli, czym byłaby wyabstrahowana z tego wszystkiego? Co by z niej pozostało poza jakimś pustym, niemym, iluzorycznym kanonem? Również i Łucja, wyrwana z tła ostrawskich peryferii, bez różyczek podawanych

przez druty, bez zniszczonych sukienek, pozbawiona moich własnych nie kończących się tygodni i długotrwałego poczucia beznadziejności, przestałaby prawdopodobnie być tą Łucją, którą kochałem.

Tak, w ten właśnie sposób to rozumiałem, w ten sposób to sobie tłumaczyłem i w miarę jak mijał rok za rokiem, zacząłem się niemal lękać spotkania z nią, ponieważ wiedziałem, że spotkalibyśmy się w miejscu, gdzie Łucja nie będzie Łucją, a ja nie będę miał czym nawiązać przerwanej nici. Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że przestałem ją kochać, że o niej zapomniałem, że wspomnienie o niej wyblakło; wręcz przeciwnie: istniała we mnie ustawicznie w postaci cichej nostalgii; tęskniłem za nią, jak tęskni się za czymś, co utraciło się na zawsze.

I właśnie dlatego, że Łucja stała się dla mnie czymś definitywnie przebrzmiałym (czymś, co wciąż żyje jako przeszłość, ale jako teraźniejszość jest martwe), przestawała stopniowo w moich myślach być istotą cielesną, materialną, konkretną i w miarę upływu czasu stawała się raczej jakąś legendą, mitem spisany na pergaminie i zamurowanym w metalowej skrzynce w fundamentach mego życia.

Może właśnie dlatego mogła zdarzyć się ta rzecz całkiem niewiarygodna: że na fryzjerskim fotelu nie byłem pewny, czy to ona. I dlatego mogło się zdarzyć, że następnego ranka (opancerzony przerwą poświęconą na sen) miałem uczucie, iż moje wczorajsze spotkanie nie było realne; że i ono odegrało się jedynie w sferze legendy, wróżby czy przepowiedni. I o ile w piątek wieczór zostałem zniecka ugodzony realną obecnością Łucji, rzucony nagle z powrotem w dawne dni, których była ona niepodzielną władczynią, to tego sobotniego ranka zadawałem sobie już tylko ze spokojnym (i dobrze wyspanym) sercem pytanie: dlaczego ją spotkałem? Czyżby przygoda z Łucją miała mieć jeszcze jakiś ciąg dalszy? Co oznacza to spotkanie i co chce mi ono powiedzieć?

Czyżby przypadki, poza tym, że się zdarzają, że istnieją – również coś mówiły? Nie muszę chyba podkreślać, że jestem na wskroś racjonalistą. Ale widocznie zostało we mnie coś z irracjonalnych zabobonów, choćby na przykład owo dziwne przeświadczenie, że wszystkie wydarzenia, które mnie w życiu spotykają, mają ponadto jakiś sens, że coś znaczą; że poprzez te wydarzenia życie mówi coś o sobie, że stopniowo zdradza nam jakąś swoją tajemnicę, że stoimy przed nim jak przed rebusem, który trzeba rozwiązać, że przygody, jakie przeżywamy, są mitologią tego życia i że w owej mitologii znajduje się klucz do prawdy i do tajemnicy.

Że to złudzenie? Tak, być może, to nawet prawdopodobne, ale nie mogę wyzbyć się owej potrzeby wiecznego rozwiązywania swego własnego życia (jakby rzeczywiście był w nim ukryty jakiś sens, jakieś znaczenie, jakaś prawda), nie mogę wyzbyć się tej potrzeby, jeśli nawet jest to jedynie potrzeba zabawy (tak samo jak zabawą jest rozwiązywanie rebusów).

Leżałem więc na skrzypiącym hotelowym łóżku i pozwalałem, by po głowie snuły mi się myśli o Łucji, teraz już znowu przemienionej tylko w myśl, tylko w znak zapytania. Łóżko hotelowe, jak już je w poprzednim zdaniu scharakteryzowałem, było rzeczywiście skrzypiące, a kiedy na nowo uświadomiłem sobie tę jego właściwość, wywołało to we mnie (nagle, maćące spokój) wspomnienie Heleny. Jakby to skrzypiące łóżko było głosem wzywającego mnie obowiązku, westchnąłem, spuściłem nogi na podłogę, siadłem na brzegu łóżka, przeciągnąłem się, przegarnałem włosy, popatrzałem przez okno na niebo i wstałem. Piątkowe spotkanie z Łucją, aczkolwiek zdematerializowało się następnego dnia, pochłaniało jednak i tłumilo moje zainteresowanie Heleną, zainteresowanie kilka dni temu jeszcze tak intensywne. W tej chwili pozostała z niego już tylko świadomość zainteresowania; zainteresowanie przełożone na język pamięci; poczucie obowiązku wobec straconego zainteresowania, o którym rozum zapewniał mnie, że niewątpliwie z całą intensywnością powróci.

Podszedłem do umywalki, zrzuciłem bluzę pizamy i odkręciłem do końca kurek wodociągu; podstawiłem ręce pod strumień wody i niemal na złość oblewałem sobie pełnymi garściami szyję, ramiona, całe ciało; wytarłem się ręcznikiem; chciałem pobudzić krew do szybszego krążenia. Bo nagle się przestraszyłem: przestraszyłem się swojej obojętności wobec przyjazdu Heleny, przestraszyłem się, żebym przez tę obojętność (chwilową obojętność) nie zmarnował okazji, która nadarzyła się raz i po raz drugi już się pewnie nie powtórzy. Powiedziałem sobie, że zjem solidne śniadanie, a po śniadaniu zamówię kieliszek wódki.

Zszedłem na dół do kawiarni, zobaczyłem tam jednak tylko stos krzesel, sterczących żałośnie nogami do góry, ustawionych na stolikach bez obrusów, i jakąś babę w brudnym fartuchu, która dreptała między nimi.

Poszedłem do recepcji hotelu i zapytałem portiera, który tam siedział za kontuarem, tonąc w miękko wyściełanym krześle i w głębokiej zadumie, czy mogę w hotelu zjeść śniadanie. Nie drgnął nawet i oświadczył, że dzisiaj kawiarnia nieczynna. Wyszedłem na ulicę. Był piękny dzień, obłoczki przepływały po niebie, a łagodny wiatr wzbijał kurz z chodników. Poszedłem na plac. Przed sklepem mięsnym stała gromada młodszych i starszych kobiet; w

rękach miały torby i siatki, czekały cierpliwie, w otępieniu, na swoją kolejkę. Wśród przechodniów, którzy wlekli się lub spieszyli ulicami, przykuli po chwili moją uwagę ci, którzy niby miniaturową pochodnię nieśli w ręku rożek z różową czapeczką lodów i oblizywali je. Znalazłem się wreszcie na placu. Stoi tam rozłożysty jednopiętrowy dom z dwiema wieżyczkami po dwóch stronach dachu; na parterze znajdują się cztery wystawy sklepowe, a nad każdą z nich półkolisty szklany szyld; na jednym z nich wymalowani są trzej mężczyźni w strojach regionalnych, trzymający się za ramiona i z otwartymi ustami, na drugim mężczyzna i kobieta (również w strojach regionalnych), na trzecim słońce, a na czwartym beczułka piwa.

Wszedłem do środka. Duża sala z podłogą z kafelków i stolikami na wysokich nogach; stali przy nich ludzie, jedli kanapki i pili kawę albo piwo.

Nie miałem ochoty jeść tutaj śniadania. Nastawiłem się od rana na porządne śniadanie z jajkami, wędzonym boczkiem i kieliszkiem alkoholu, który przywróciłby mi utraconą energię. Przypomniałem sobie, że kawałek dalej, na drugim placu ze skwerkiem i kolumną dziękczynną, znajduje się inna restauracja. Nie jest to wprawdzie lokal zbyt wykwinny, ale wystarczyłoby mi, gdyby był tam stół, krzesło i jeden jedyny kelner, od którego wymusiłbym, co by się dało.

Minałem kolumnę dziękczynną; cokol podpierał świętego, święty podpierał chmurkę, chmurka podpierała anioła, anioł następną chmurkę, a na tej chmurce siedział następny anioł, już ostatni; było bardzo wcześnie; znowu uprzytomniłem sobie ten oczywisty fakt, kiedy popatrzyłem na kolumnę dziękczynną, na tę wzruszającą piramidę świętych, chmurkę i aniołów, którzy wykuci tu w ciężkim kamieniu wyobrażali niebo i jego wysokość, podczas gdy prawdziwe niebo było bledziutko (porannie) błękitne i rozpaczliwie dalekie od tego pokrytego pyłem skrawka ziemi.

Przeciąłem zatem skwerek ze schludnymi trawnikami i ławkami (ale mimo to wystarczająco goły, żeby nie mącić atmosfery pokrytej kurzem pustki) i ująłem za klamkę drzwi wiodących do restauracji. Były zamknięte. Zacząłem rozumieć, że upragnione śniadanie pozostanie w sferze marzeń, i napełniło mnie to lękiem, ponieważ z dziecinnym uporem uważałem posilne śniadanie za decydujący warunek powodzenia w ciągu całego dnia. Uświadomiłem sobie, że miasta powiatowe nie liczą się z dziwakami, chcącymi spożywać śniadanie na siedząco, i że otwierają swoje lokale dopiero o wiele później. Nie próbowałem już więc nawet szukać innej restauracji, zrobiłem w tył zwrot i znowu pomaszerowałem przez skwerek w przeciwnym kierunku.

I znowu spotykałem idących mi naprzeciw ludzi, niosących w dłoniach różki z różową czapeczką, i znowu pomyślałem, że te różki przypominają pochodnie i że, być może, ich kształt posiada pewien określony sens, te pochodnie bowiem to nie są pochodnie, ale trawestacje pochodni, a to, co niosą uroczyście w swoim wnętrzu, ten różowy cień rozkoszy, to nie jest żadna rozkosz, ale trawestacja rozkoszy, co prawdopodobnie wyraża nieuniknione strawestowanie wszystkich pochodni i rozkoszy tego zakurzonego, małego miasta. Pomyślałem sobie, że jeśli będę szedł w kierunku przeciwnym niż ci ludzie niosący i liżący pochodnie, to zaprowadzi mnie to do jakiejś cukierni, w której będzie może stolik i krzesło, a może również czarna kawa i ciastko.

Nie zaprowadziło mnie to jednak do cukierni, ale do baru mlecznego; stała tam długa kolejka ludzi czekających na kakao czy mleko i rogalik, i znowu były tam wysokie stoliki, przy których ludzie jedli i pili, w tylnej salce były jednak normalne stoliki i krzesła, ale wszystkie zajęte. Stałem więc w kolejce i po trzech minutach czekania, urozmaiconego dreptaniem tam i z powrotem, kupiłem szklanekę kakao i dwa rogaliki, po czym stanąłem przy wysokim stoliku, na którym stało ze sześć brudnych szklanek, wyszukałem sobie kawałek miejsca, który nie był zachlapany, i postawiłem tam swoją szklanekę.

Zjadłem śniadanie z przygnębiającym pośpiechem: chyba po trzech minutach znalazłem się znów na ulicy; była godzina dziewiąta; miałem prawie dwie godziny czasu; Helena wyleciała tego dnia pierwszym samolotem z Pragi i w Brnie miała się przesiąść na autobus, który przychodzi tutaj przed jedenastą. Zdawałem sobie sprawę, że te dwie godziny będą idealnie puste i idealnie zbyteczne.

Mogłem oczywiście pójść obejrzeć dawne miejsca mojego dzieciństwa, mogłem w sentymentalnej zadumie przystanąć przed rodzinnym domem, gdzie do ostatnich dni swego życia mieszkała moja matka. Często o niej myślę, ale tu, w mieście, gdzie jej prochy szalbierniczo przywalono obcym marmurem, nawet wspomnienia o niej były jak gdyby zatrute: byłyby pomieszane z uczuciem dawnej bezsilności i pełnej jadu goryczy – a przed tym się bronie.

Nie pozostawało mi zatem nic innego jak siaść na ławce na placu, po chwili znowu wstać, podejść do wystaw sklepowych, obejrzeć tytuły książek w księgarni, a wreszcie wpaść na zbawienny pomysł i kupić w kiosku „Rudé Pravo”, znów usiąść na ławce, przebiec wzrokiem niezbyt zachęcające tytuły, przeczytać w rubryce zagranicznej dwie najciekawsze wiadomości, po czym znowu podnieść się z ławki, złożyć gazetę i nie uszkodzoną wsunąć do kosza na śmieci, potem ruszyć powoli w stronę kościoła, stanąć przed nim, podnieść

wzrok w górę na jego dwie wieże, potem wspiąć się po szerokich stopniach świątyni, wejść do kościelnej kruchty i dalej do środka, nieśmiało, by ludzie nie zgorszyli się niepotrzebnie, że wchodzący nawet się nie przeżegnał, że przyszedł tu jedynie spacerkiem, tak jak chodzi się do parku albo na opustoszały deptak.

Kiedy w kościele zebrało się trochę więcej osób, poczułem się wśród nich jak intruz, który nie wie, jak ma się zachowywać, jak spuścić głowę czy złożyć ręce, wyszedłem więc znów na ulicę, spojrzałem na zegar i stwierdziłem, że wciąż jeszcze mam mnóstwo czasu. Staralem się przywołać myśl o Helenie, chciałem myśleć o niej, by z jakimś pożytkiem wykorzystać chwile nudy; ale ta myśl w żaden sposób nie chciała się rozwijać, nie chciała drgnąć z miejsca; była w stanie wywołać najwyżej wizualny tylko obraz Heleny. To zresztą znana rzecz: kiedy mężczyzna czeka na kobietę, z trudem tylko zdobywa się na myślenie o niej i nie pozostaje mu nic innego jak przechadzać się tam i z powrotem (bardziej lub mniej nerwowo) z jej zastygłym obrazem w oczach.

A więc przechadzałem się. Na skos, naprzeciwko kościoła, zobaczyłem przed dawnym gmachem ratusza (dzisiejszą Miejską Radą Narodową) chyba z dziesięć pustych wózków dzieciennych. Nie mogłem sobie dość szybko wytłumaczyć tego zjawiska. Potem jakiś młody zadyszany mężczyzna przypchał jeszcze jeden wózek, ustawił go obok tamtych, a kobieta (trochę zdenerwowana), która towarzyszyła temu mężczyźnie, wyjęła z wózka kłębek białych jedwabi i koronek (zawierający niewątpliwie dziecko), po czym oboje szybko weszli do ratusza. Mając na uwadze półtorej godziny czasu, które jakoś muszę zabić, ruszyłem za nimi. Już na szerokiej klatce schodowej stało beczynnienie sporo osób, a w miarę jak wchodziłem po schodach, było ich coraz więcej, najwięcej zaś na korytarzu pierwszego piętra, podczas gdy schody wiodące wyżej były znowu puste. Uroczystość, która tu tych ludzi sprowadziła, musiała się odbywać widocznie na tym piętrze, najpewniej w sali, do której prowadziły z korytarza otwarte na rozcież drzwi, zatłoczone sporą gromadą ludzi. Wszedłem tam i znalazłem się w małej salce, gdzie stało chyba z siedem rzędów krzeseł, na których siedzieli ludzie oczekujący jak gdyby na jakieś przedstawienie. W jednym końcu sali znajdowało się podium, a na nim podłużny stół, przykryty czerwonym materiałem, na stole zaś wazon z dużym bukietem kwiatów, na ścianie nad podium widniała efektownie udrapowana flaga państwowa, na dole (i jakieś trzy metry od pierwszego rzędu widowni) ustawiono półkolem osiem krzeseł zwróconych w kierunku podium; w drugim końcu salki stała mała fisharmonia z otwartą klawiaturą, a przy niej z pochyloną łysą głową siedział starszy pan w okularach.

Parę krzeseł na widowni nie było jeszcze zajętych; usiadłem na jednym z nich. Długi czas nic się nie działo, ale ludzie bynajmniej się nie nudzili, nachylali się ku sobie, szeptali, i najwyraźniej pełni byli oczekiwania. Tymczasem zapełnili salę ci, co dotychczas tłoczyli się na korytarzu, zajęli kilka pozostałych krzeseł, a reszta stanęła pod ścianami.

W końcu zaczęło się to, na co czekano: w głębi za podium otworzyły się drzwi i ukazała się w nich kobieta w brązowej sukni, w okularach i z długim cienkim nosem, obrzuciła spojrzeniem salę i podniosła prawą rękę. Ludzie wokół mnie ucichli. Potem owa niewiasta odwróciła się za siebie, w stronę pokoju, z którego przed chwilą wyszła, jakby dawała komuś jakiś znak albo coś do niego mówiła, ale zaraz potem odwróciła się ku nam i przycisnęła plecami do ściany, ja zaś w tej chwili dostrzegłem na jej twarzy (choć była do mnie zwrócona tylko profilem) uroczysty, drętwy uśmiech. Wszystko było widocznie doskonale zsynchronizowane, ponieważ jednocześnie z pierwszym grymasem owego uśmiechu odezwały się za moimi plecami dźwięki fisharmonii.

W parę sekund później ukazała się w drzwiach koło podium młoda jasnowłosa kobieta, czerwona na twarzy, mocno wyondulowana i umalowana, z zalęknioną miną i z białym zawiniątkiem na rękach. Pani w okularach, by jej nie zagradzać drogi, jeszcze bardziej przycisnęła się do ściany, a jej uśmiech miał zachęcać kobietę niosącą niemowlę, by szła naprzód. Kobieta szła, szła niepewnym krokiem, przyciskając do siebie dziecko; za nią wynurzyła się następna z niemowlęciem w ramionach, za nią (gęsiego) cały niewielki korowód; obserwowałem ciągle pierwszą z nich; z początku patrzyła głównie gdzieś w sufit, potem jednak przeniosła wzrok niżej i jej oczy napotkały widać spojrzenie kogoś z widowni, co tak ją wytrąciło z równowagi, że szybko odwróciła wzrok i uśmiechnęła się, tylko że ten uśmiech (znac było dosłownie wysiłek, z jakim musiała się na niego zdobyć), szybko zniknął i pozostały po nim jedynie kurczowo zaciśnięte usta. Wszystko to odegrało się na jej twarzy w ciągu kilku sekund (kiedy zdążyła przejść zaledwie sześć metrów od drzwi); ponieważ szła prosto przed siebie i nie skręciła w porę wzdłuż półkola krzeseł, pani w okularach i w brązach musiała pośpiesznie oderwać się od ściany (twarz jej nieco spochmurniała), podejść do niej, dotknąć jej łagodnie dłonią i w ten sposób skierować we właściwym kierunku. Kobieta szybko skorygowała dewiację z kursu i wyminęła stojące półkolem krzesła, za nią zaś postępowały inne kobiety niosące dzieci. Było ich razem osiem. Przeszły wreszcie wyznaczoną trasę i stały teraz zwrócone tyłem do zebranych, każda przed jednym krzesłem. Niewiasta w brązach wskazała ręką w dół; kobiety stopniowo chwyciły sens tego gestu i

(wciąż odwrócone tyłem do publiczności) siadały (ze swymi zawiniątkami) na krzesłach.

Z twarzy pani w okularach zniknął cień niezadowolenia, już znowu uśmiechnięta podeszła do uchylonych drzwi w głębi za podium. Na chwilę w nich przystanąła, po czym znowu kilkoma krokami cofnęła się na salę i przycisnęła do ściany. W drzwiach ukazał się dwudziestoletni mniej więcej mężczyzna w czarnym ubraniu i białej koszuli, której kołnierzyk przystrojony malowanym krawatem wpijał mu się w szyję. Głowę miał pochyloną i niepewnym krokiem ruszył przed siebie. Za nim postępowało dalszych siedmiu mężczyzn w różnym wieku, przeważnie jednak w ciemnych ubraniach i odświętnych koszulach. Wyminęli krzesła, na których siedziały kobiety z dziećmi, i zatrzymali się. W tej chwili jednak kilku z nich zaczęło przejawiać pewien niepokój i rozglądać się naokoło, jakby czegoś szukając. Pani w okularach (na której twarzy momentalnie pojawił się cień niezadowolenia) podbiegła natychmiast, a kiedy jeden z mężczyzn coś jej powiedział, kiwnęła głową i zakłopotani mężczyźni szybko zamienili się miejscami.

Pani w brązach pośpiesznie przywołała świeży uśmiech na twarz i znów podeszła do drzwi koło podium. Tym razem jednak nie musiała kiwać ręką ani dawać żadnych znaków. Z drzwi wyszedł nowy zastęp i muszę powiedzieć, że tym razem był to zespół zdyscyplinowany i obyty, który kroczył bez onieśmienia, z elegancją niemalże profesjonalną; składał się z dzieci mniej więcej dziesięcioletnich; szły gęsiego: na przemian – jeden chłopczyk, jedna dziewczynka; chłopcy mieli długie granatowe spodnie, białe koszule i czerwone chusteczki, których jeden rozek zwisał im na plecach, a pozostałe dwa były związane pod szyją w węzeł; dziewczynki były w granatowych spódniczkach, białych bluzeczkach i miały takie same czerwone chusteczki wokół szyi; każde z nich niosło w ręce bukiet róż. Szli, jak już wspomniałem pewnie i spokojnie, i to nie tak jak ich poprzednicy w stronę półkolem stojących krzesel, ale prosto wzdłuż podium, potem zatrzymali się i zrobili w lewo zwrot, tak że stali teraz szeregiem poniżej podium, na całej jego długości, zwróceniem twarzą do siedzących półkolem kobiet i do sali.

Znów upłynęło parę sekund i znów w drzwiach przy podium ukazała się jakaś postać, za którą tym razem już nikt nie szedł, i skierowała się prosto za ów długi stół przykryty czerwonym materiałem. Był to mężczyzna w średnim wieku, całkiem łysy. Szedł z godnością, wyprostowany, w czarnym garniturze, w rękę trzymał czerwoną teczkę; zatrzymał się w połowie długości stołu i zwrócił twarzą do zebranych, którym się przy tym lekko uklonił. Widać było, że ma nalaną



twarz, a na szyi czerwono-niebiesko-białą wstęgę; jej oba końce połączone były zwisającym mu mniej więcej w okolicach żołądka złotym medalem, który przy ukłonie zakolysał się parę razy łagodnie nad stołem.

W tej chwili zaczął nagle (nie prosząc nawet o głos) i bardzo donośnie mówić jeden z chłopaczków stojących poniżej podium. Mówił, że nadeszła wiosna, że mamusie i tatusiowie się radują i że raduje się cały kraj. Mówił przez chwilę w tym duchu, po czym przerwała mu jedna z dziewczynek i powiedziała coś podobnego, co było niezupełnie jasne, ale gdzie powtarzały się znowu słowa mama i tata, i wiosna, i jeszcze parę razy słowo róża. Potem przerwał jej inny chłopczyk, a temu z kolei inna dziewczynka, ale nie można powiedzieć, żeby się między sobą sprzeczali, ponieważ wszyscy stwierdzali mniej więcej jedno i to samo. Jeden chłopczyk na przykład oświadczył, że dziecko to pokój. Na to dziewczynka, która po nim zabrała głos, stwierdziła, że dziecko to kwiat. Wszystkie zaś dzieci jednomyślnie aprobowaly to określenie, powtórzyły je jeszcze raz unisono i zrobiły krok naprzód, wyciągając ręce, w których dzierżyły bukietki. Ponieważ było ich akurat ośmioro, tak samo jak kobiet siedzących półkolem na krzesłach, każda z kobiet otrzymała po jednym bukietku. Dzieci wróciły znów na swoje miejsca i od tej chwili stały już cicho.

Za to mężczyzna na podium nad nimi otworzył czerwoną teczkę i zaczął czytać. I on mówił o wiosnie, o kwiatach, o mamusiach i tatusiach, mówił też o miłości i o tym, że miłość rodzi owoce, ale potem naraz jego słownik zaczął się zmieniać i pojawiły się w nim słowa obowiązek i odpowiedzialność, państwo i obywatel, nie mówił już teraz tatuś i mamusia, ale ojciec i matka, i wyliczał, wszystko, co im (ojcom i matkom) państwo daje, i że oni mają za to obowiązek wychować dla państwa swoje dzieci na wzorowych obywateli. Potem oznajmił, że wszyscy tu obecni rodzice stwierdzą to własnoręcznym podpisem, i wskazał na róg stołu, gdzie leżała gruba księga oprawna w skórę.

Pani w brązach stanęła w tym momencie za matką siedzącą z brzegu, dotknęła jej ramienia, matka obejrzała się, a pani wzięła od niej niemowlę. Matka wstała i podeszła do stołu. Mężczyzna z wstęgą na szyi otworzył księgę i podał matce pióro. Podpisała się i kiedy pani w brązach oddała jej dziecko, wróciła na swoje krzesło. Potem podszedł do stołu właściwy ojciec i złożył swój podpis; pani w brązach wzięła teraz dziecko od następnej matki i posłała ją do stołu; po niej złożył podpis odpowiedni mężczyzna, po nim następna matka, następny mężczyzna, i tak aż do końca. Potem znów odezwały się tony fisharmonii, a ludzie siedzący za mną i tworzący publiczność ruszyli hurmem w stronę matek i ojców, by uścisnąć im ręce. Poszedłem wraz z nimi do przodu sali (jakbym także

zamierzał uścisnąć komuś dłoń), aż tu nagle ów mężczyzna ze wstęgą na szyi zwraca się do mnie po imieniu i pyta, czy go nie poznaję.

Oczywiście nie poznawałem go, chociaż przyglądałem mu się przez cały czas, kiedy przemawiał. Żeby nie odpowiadać przecząco na kłopotliwe nieco pytanie, zrobiłem zdziwioną minę i zapytałem, co u niego słyhać. Powiedział, że wszystko raczej w porządku, i w tej chwili nagle go poznałem: ależ tak, to był Kovalik, mój kolega z gimnazjum, poznawałem teraz jego rysy, które w nalanej nieco twarzy wydawały się jakby rozmazane; Kovalik należał zresztą do mniej ciekawych uczniów, nie był ani przykładnym uczniem, ani specjalnie nie rozrabiał, nie był ani zbyt towarzyski, ani się zbyt nie separował, uczył się przeciętnie – po prostu niczym nie zwracał na siebie uwagi; nad czołem sterczała mu wówczas czupryna, której teraz brakowało – mogłem więc znaleźć jakieś usprawiedliwienie, że go od razu nie poznałem.

Zapytał, co tu robię, czy mam jakichś krewnych wśród młodych rodziców. Powiedziałem, że krewnych tu nie mam, że przyszedłem tylko przez ciekawość. Uśmiechnął się zadowolony i zaczął mi wyjaśniać, że tutejsza Rada Narodowa uczyniła bardzo wiele, żeby uroczystości cywilne odbywały się rzeczywiście z całym ceremoniałem, i ze skromną miną dodał, że on, jako referent urzędu stanu cywilnego, położył na tym polu pewne zasługi i że otrzymał za to nawet pochwałę z województwa. Zapytałem go, czy to, co się tu przed chwilą odbywało, to były chrzciny. Odparł, że nie były to chrzciny, tylko powitanie nowych obywateli wkraczających w życie. Był widocznie zadowolony, że ma okazję mówić. Opowiadał, że ścierają się tu dwie instytucje: Kościół katolicki ze swymi obrzędami, mającymi tysiącletnią tradycję, oraz instytucja cywilna, która musi te tysiącletnie obrzędy wypchnąć za pomocą swoich nowych obrzędów. Mówił, że ludzie przestaną chrzcить dzieci i brać śluby w kościele dopiero wówczas, kiedy nasze urzędy cywilne będą miały tyle godności i uroku, co obrzęd kościelny.

Powiedziałem mu, że to nie takie łatwe. Zgodził się ze mną i oświadczył, że cieszy się, iż oni, referenci urzędu stanu cywilnego, znaleźli wreszcie pewne poparcie u naszych artystów, którzy już sobie chyba uświadomili, że to zaszczytne zadanie zapewnić naszemu społeczeństwu prawdziwie socjalistyczne pogrzeby, śluby i chrzciny (natychmiast się jednak poprawił i powiedział „powitanie nowych obywateli wkraczających w życie”). Dodał też, że wiersze, które dzisiaj recytowali pionierzy, są rzeczywiście piękne. Przytaknąłem mu i zapytałem, czy nie dużo skuteczniej odciągnęłoby się ludzi od uroczystości kościelnych dając im możliwość całkowitego zaniechania jakichkolwiek obrzędów. Spytałem, czy nie sądzi, że podstawową cechą współczesnego człowieka jest

właśnie niechęć do wszelkich ceremonii i obrzędów i że jeżeli już coś należy popierać, to właśnie tę niechęć. Odparł, że ludzie swoich ślubów i pogrzebów nigdy nie pozwolą sobie odebrać. I że również z naszego punktu widzenia (położył nacisk na słowo „naszego”, jakby chciał mi dać tym do zrozumienia, że on również w parę lat po zwycięstwie socjalizmu wstąpił do partii) szkoda byłoby nie wyzyskać tych uroczystości dla związania ludzi z naszą ideologią i z naszym państwem.

Spytałem swego dawnego kolegę, co robi z ludźmi, którzy nie chcą wziąć udziału w takiej ceremonii, jeśli w ogóle tacy są. Odpowiedział, że oczywiście są, ponieważ nie wszyscy jeszcze zaczęli żyć po nowemu, ale jeżeli ktoś się nie stawia, to dostaje jeszcze jedno i jeszcze jedno wezwanie, tak że w końcu większość tych ludzi przychodzi na uroczystość, choćby nawet z tygodniowym lub dwutygodniowym opóźnieniem. Zapytałem go, czy udział w uroczystości jest obowiązkowy. Odrzekł z uśmiechem, że nie, ale że dla Rady Narodowej jest to miernik, według którego ocenia się stopień uświadomienia obywateli i ich stosunek do państwa, i że każdy obywatel zdaje sobie z tego w końcu sprawę i przychodzi.

Powiedziałem więc Kovalikowi, że wobec tego Rada Narodowa jest w stosunku do swoich owieczek równie surowa jak Kościół wobec swoich.

Kovalik uśmiechnął się i oświadczył, że nic się na to nie poradzi. Potem zaprosił mnie do swojego gabinetu, żebyśmy tam jeszcze chwilę pogadali. Powiedziałem, że niestety już nie mam czasu, ponieważ muszę wyjść po kogoś do autobusu. Spytał, czy widziałem się już z którymś z „chłopców” (miał na myśli kolegów szkolnych). Powiedziałem, że niestety nie i że cieszę się, iż przynajmniej z nim się spotkałem, kiedy bowiem będę musiał ochrzcić dziecko, przyjadę specjalnie do niego. Roześmiał się i trzepnął mnie pięścią w ramię. Podaliśmy sobie ręce i znowu wyszedłem na plac ze świadomością, że do przyjazdu autobusu został mi jeszcze kwadrans.

Kwadrans to niewiele. Przeszedłem przez plac, minąłem znowu zakład fryzjerski, znowu zajrzałem do niego przez szybę wystawową, ponieważ wiedziałem, że Łucji nie może tam być, że będzie dopiero po południu, a potem włączyłem się już tylko po dworcu autobusowym i wyobrażałem sobie Helenę: jej twarz ukrytą pod warstwą ciemnego pudru, jej rudawe, na pewno tlenione włosy, jej figurę, bynajmniej nie smukłą, która jednak zachowała zasadnicze proporcje, niezbędne do tego, byśmy dostrzegali w kobiecie kobietę, wyobrażałem sobie wszystko to, co umiejscawia ją na ryzykownej granicy dzielącej kobietę pociągającą od odrażającej, wyobraziłem sobie również jej głos, zbyt donośny, by

mógł być przyjemny, a także jej mimikę, której nadmierna żywość zdradza mimo woli zachłanne pragnienie kobiety chcącej się jeszcze podobać.

Widziałem Helenę zaledwie trzy razy w życiu, a to za mało, żebym mógł zapamiętać dokładny jej obraz. Za każdym razem kiedy usiłowałem go wywołać w pamięci, uwypuklał się w nim któryś z jej rysów tak przesadnie, że Helena stale zmieniała mi się w swoją własną karykaturę. Jak by jednak nieprecyzyjna była moja wyobraźnia, sądzę, że właśnie dzięki tym przerysowaniom zdołała uchwycić w Helenie coś istotnego, coś, co kryło się pod jej zewnętrznym wyglądem.

Tym razem nie mogłem się pozbyć zwłaszcza myśli o jakiejś specyficznej zwiotczalności ciała Heleny, jakiejś rozmiękłości, która miała być charakterystyczna nie tylko dla jej wieku i macierzyństwa, ale przede wszystkim dla swego rodzaju psychicznej czy erotycznej bezbronności, bez powodzenia maskowanej pewnym siebie sposobem bycia, dla jej erotycznego „wydawania się na pastwę”. Czy rzeczywiście było w tym coś z prawdziwych cech Heleny, czy raczej przejawiał się w tym mój własny do niej stosunek? Kto wie? Autobus miał przyjechać lada chwila, a ja pragnąłem zobaczyć Helenę właśnie taką, jaką mi ukazywała moja wyobraźnia. Ukryłem się w bramie jednego z domów przy placu otaczającym dworzec autobusowy i chciałem ją stąd przez chwilę obserwować, jak się bez radnie rozgląda, jak jej przychodzi na myśl, że przyjechała na próżno i że mnie tutaj nie spotka.

Duży autobus pospieszny z przyczepą zatrzymał się na placu i jako jedna z pierwszych wysiadła z niego Helena. Miała na sobie niebieski płaszcz ortalionowy włoskiej produkcji, taki, jakie w tym czasie można było kupić w Tuzexie\*, a które nadawały kobietom młodzieńczy, sportowy wygląd. Również Helena (miała podniesiony kołnierz i ściągnięta była paskiem) wyglądała w nim doskonale. Rozejrzała się, przeszła nawet parę kroków, żeby rzucić okiem na część placu zasłoniętą przez autobus, ale nie stała bezradnie w miejscu, lecz bez wahania odwróciła się i ruszyła w stronę hotelu, w którym się zatrzymałem i gdzie również ona miała zamówiony nocleg.

Stwierdziłem raz jeszcze, że moja wyobraźnia ukazuje mi jedynie zdeformowany obraz Heleny (co bywa wprawdzie chwilami podniecające, a jednak często spycha mi ją w sferę uczucia niesmaku czy wręcz odrazy). Na szczęście Helena okazywała się zawsze ładniejsza w rzeczywistości niż w moich

---

\* Tuzex – odpowiednik naszego Pewexu.

wyobrażeniach, co uświadomiłem sobie i tym razem, kiedy patrzyłem na nią, jak na wysokich obcasach idzie w stronę hotelu. Poszedłem za nią.

Stała już w recepcji, pochylona i oparta o kontuar, na którym nieruchawy portier wpisywał jej dane do książki. Sylabizowała mu swoje nazwisko: Helena Zemankova, Ze-man-ko-va... Stałem za nią i słuchałem, jak podawała swoje personalia. Kiedy portier skończył pisać, Helena zapytała:

– Czy mieszka tu towarzysz Jahn?

Portier mruknął, że nie. Podszedłem do Heleny i stojąc za nią położyłem jej rękę na ramieniu.

## 2

Wszystko, co rozgrywało się między mną i Heleną, było dziełem precyzyjnie obmyślanego planu. Rzecz prosta, że i Helena nie nawiązała stosunku ze mną bez konkretnych zamiarów ze swej strony, ale jej zamiary nie przekraczały granic nieokreślonego pragnienia kobiety, która chce zachować swoją spontaniczność, swój poetyczny sentymentalizm i która wobec tego nie stara się z góry reżyserować ani aranżować biegu wypadków. Za to ja działałem od początku jako świadomy aranżer przygody, którą mam przeżyć, i nie pozostawiałem przypadkowemu natchnieniu ani doboru swoich słów i propozycji, ani na przykład wyboru pokoju, w którym chciałem się znaleźć z Heleną sam na sam.

Bąłem się najmniejszego nawet ryzyka, żeby nie zmarnować nadarzającej się okazji, na której zależało mi tak bardzo nie dlatego, żeby Helena była specjalnie młoda, specjalnie miła czy urodziwa, ale tylko i wyłącznie dlatego, że nosiła to nazwisko, jakie nosiła; że jej mężem był człowiek, którego nienawidziłem.

Kiedy pewnego dnia powiedziano mi u nas w instytucie, że ma się do mnie zgłosić niejaka towarzyszka Zemankova z radia i że mam udzielić jej informacji na temat naszych badań, przyszedł mi wprawdzie natychmiast na myśl mój dawny kolega uniwersytecki, ale uważałem tę zbieżność nazwisk za zwykły przypadek i jeśli było mi nieprzyjemnie, że przysyłają ją właśnie do mnie, to z zupełnie innych powodów.

W naszym instytucie ustaliła się już nienaruszalna zasada, że wszystkich możliwych dziennikarzy kieruje się właśnie do mnie i że właśnie mnie każe się w imieniu instytutu urządzać wykłady, kiedy proszą o to rozmaici „wychowawcy

społeczeństwa”. W tym pozornym zaszczycie jest dla mnie coś smutnego: swoją pracę naukową rozpocząłem niemal dziesięć lat później niż moi pozostali koledzy (przecież w wieku lat trzydziestu byłem jeszcze studentem); przez kilka lat ze wszystkich sił starałem się nadrobić tę stratę, ale potem zrozumiałem, że zbyt trudno byłoby poświęcić drugą połowę życia na żalosne (i chyba daremne) doganianie straconych lat, i zrezygnowałem. Na szczęście w owej rezygnacji było również i pewne zadośćuczynienie: im mniej uganiałem się za sukcesami w zakresie swojej wąskiej specjalności, tym bardziej mogłem pozwolić sobie na luksus obserwowania poprzez swoją dziedzinę innych dyscyplin nauki, przyglądania się losom ludzi i świata, i tym, samym mogłem czerpać radość (jedną z najśłodszych) płynącą z rozmyślań i filozofowania. Niemniej jednak moi koledzy dobrze wiedzą, że jeśli nawet tego rodzaju rozmyślania sprawiają komuś przyjemność, to nie na wiele przydają się w karierze naukowej, która wymaga, by człowiek zapamiętał rył w swojej specjalności, niczym ślepy kret, nie tracąc czasu na desperowanie, że traci z oczu szersze horyzonty. Toteż owej rezygnacji koledzy mi trochę zazdroszczą, a trochę mną z jej powodu pogardzają, co dają mi do zrozumienia z pobłażliwą ironią, nazywając mnie „filozofem instytutu”, i przysyłają do mnie różne redaktorki z radia.

Może właśnie z tego powodu nie lubię dziennikarzy, ale z pewnością również i dlatego, że są to przeważnie ludzie płytki, bezczelni i frazesowicze. Fakt, że Helena nie była redaktorką z prasy, tylko z radia – spotęgował jedynie moją awersję. Gazety bowiem znajdują w moich oczach jedną okoliczność łagodzącą: nie są hałaśliwe. Ich nuda nie jest natrętna; nie narzuca się; gazetę można odłożyć, wyrzucić do kosza na śmieci albo wręcz oddać na makulaturę. Nuda radia nie posiada tej okoliczności łagodzącej, ściga nas w kawiarniach, w restauracjach, nawet w pociągach, ba, nawet w czasie odwiedzin u znajomych, którzy nie umieją już żyć bez ustawicznego karmienia swoich uszu.

Ale odpychał mnie również sposób, w jaki Helena mówiła. Zorientowałem się, że jeszcze zanim przyszła do naszego instytutu, miała już swój felieton z góry obmyślony i do szablonowych frazesów szukała już tylko paru konkretnych danych i przykładów, które chciała uzyskać ode mnie. Jak tylko mogłem, starałem się utrudnić jej to zadanie, mówiłem umyślnie w sposób skomplikowany i niezrozumiały i usiłowałem zniweczyć wszystkie pojęcia, z którymi tu przyszła. Kiedy zaczynało grozić niebezpieczeństwo, że mogłaby jednak przejrzeć moją grę, stosowałem unik, stawałem się poufały: mówiłem, że do twarzy jej z tymi rudymi włosami (choć myślałem coś wręcz przeciwnego), pytałem, jak jej się podoba praca w radiu i co najbardziej lubi czytać. A w

cichych rozmyślaniach, które snułem głęboko pod nurtem naszej rozmowy, doszedłem do wniosku, że zbieżność nazwisk nie musi być koniecznie przypadkowa. Ta redaktorka operująca utartymi frazesami, ta krzykliwa koniunkturalistka wydała mi się spowinowacana z człowiekiem, którego znałem również jako krzykacza, frazesowicza i koniunkturalistę. Dlatego też lekkim tonem zalotnej konwersacji zapytałem o małżonka. Okazało się, że trop był dobry, a kilka dalszych pytań pozwoliło mi zidentyfikować Pawła Zemanka w sposób zupełnie niewątpliwy. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby w tej chwili przyszło mi na myśl próbować z Heleną zblżenia, do którego później doszło. Wręcz przeciwnie: niechęć, jaką czułem do niej już w momencie jej zjawienia się, po tym stwierdzeniu jeszcze się pogłębiła. W pierwszej chwili zacząłem szukać jakiegoś pretekstu, który pozwoliłby mi przerwać rozmowę z niepożądaną petentką i wydać ją na pastwę innemu pracownikowi, pomyślałem również, jak by to było przyjemnie, gdybym mógł tę rezolutną, mizdrzącą się w uśmiechach kobietę wyrzucić za drzwi, i żałowałem, że to jest niemożliwe.

A jednak właśnie w tej chwili gdy moja niechęć doszła do zenitu, Helena, sprowokowana moimi nieco intymniejszymi pytaniami i uwagami, których czysto śledczego charakteru nie mogła była dostrzec, zdobyła się parokrotnie na kilka naturalnych kobiecych gestów, i moja nienawiść nabrała nagle całkiem nowego zabarwienia: pod zasłoną profesjonalnej dziennikarskiej gestykulacji zobaczyłem w Helenie kobietę, konkretną kobietę, która może pełnić funkcję kobiety. Pomyślałem najpierw, uśmiechając się w duchu, że Zemanek zasługuje na taką właśnie żonę, która jest dla niego zapewne dostateczną karą, ale natychmiast musiałem się skorygować: ten pobieżny osąd, w który chciałem od razu uwierzyć, był zbyt subiektywny, ba, zbyt dostosowany do moich pragnień; ta kobieta była kiedyś z pewnością ładna i nie ma powodu przypuszczać, że Paweł Zemanek do dzisiaj nie eksploatuje z przyjemnością jej kobiecych wdzięków. Ciągnąłem dalej rozmowę utrzymaną w lekkim tonie, nie zdradzając, o czym myślę. Coś zmuszało mnie, bym w siedzącej naprzeciw mnie redaktorce odkrywał jak najwięcej jej cech kobiecych, i ów wysiłek automatycznie rzutował na kierunek rozmowy.

Pośrednictwo kobiety potrafi nadać nienawiści pewne rysy charakterystyczne dla uczucia sympatii: na przykład ciekawość, pragnienie zblżenia, chęć przekroczenia progu intymności. Wpadałem w swojego rodzaju trans. Wyobrażałem sobie Zemanka, Helenę i cały ich świat (obcy świat) i z jakąś osobliwą rozkoszą rozniecałem w sobie nienawiść (skupioną, niemal subtelną nienawiść) do wyglądu Heleny, do jej rudych włosów, niebieskich oczu, do

krótkich najeżonych rzęs, do okrągłej twarzy, nienawiść do zmysłowych drgających nozdrzy, do szparki między dwoma przednimi zębami, nienawiść do jej tęgiego, dojrzałego ciała. Obserwowałem ją tak, jak obserwujemy kobiety, które kochamy; obserwowałem ją, jakbym wszystko chciał wyryć w swojej pamięci, a żeby nie dostrzegła nienawistnego charakteru mego zainteresowania, dobieierałem w naszej rozmowie słów coraz frywolniejszych, coraz miłszych, toteż Helena stawała się z każdą chwilą bardziej kobieca. Musiałem myśleć o tym, że jej usta, piersi, oczy i włosy należą do Zemanka, i w myślach wszystko to brałem do rąk, ważyłem, szacowałem, próbowałem, czy można to zmiażdżyć w dłoni lub roztrzaskać uderzeniem o ścianę, a potem znów przeprowadzałem dokładne obserwacje, próbowałem widzieć ją oczyma Zemanka, a potem znowu własnymi.

Może i błysnęła mi myśl zupełnie utopijna i platoniczna, że można by tę kobietę z jałowego poletka naszej kokieteryjnej rozmowy popychać coraz dalej i dalej, aż do samej mety – do łóżka. Ale była to tylko myśl, jedna z tych, które jak iskra przelatują przez głowę i natychmiast gasną. Helena podziękowała za informacje, których jej udzieliłem, i oświadczyła, że nie będzie zabierać mi czasu. Pożegnaliśmy się i byłem zadowolony, że już poszła. Dziwne uniesienie minęło, już znowu czułem do niej wyłącznie niechęć i było mi głupio, że przed chwilą okazywałem jej tyle poufałego zainteresowania i sympatii (mimo że tylko udawanej).

Nasze spotkanie nie miałooby z pewnością dalszego ciągu, gdyby w parę dni później Helena sama do mnie nie zadzwoniła prosząc, żeby się z nią zobaczyć.

Może rzeczywiście chciała, żebym przejrzał i poprawił tekst jej felietonu, ale w tej chwili miałem wrażenie, że to tylko pretekst i że ton, jakim ze mną mówi, nawiązuje raczej do owej lekkiej, poufałej części naszej poprzedniej rozmowy. Wpadłem w ten ton szybko, bez namysłu, i już go nie porzuciłem. Spotkaliśmy się w kawiarni, a ja z wyraźną prowokacją pomijałem w rozmowie wszystko, co dotyczyło felietonu Heleny; bez skrepowania bagatelizowałem jej sprawy zawodowe; widziałem, że wprawdzie wyprowadza ją to trochę z równowagi, ale zdawałem sobie sprawę, że w tej właśnie chwili zdobywam nad nią władzę. Zaproponowałem jej, żebyśmy razem wyjechali gdzieś poza Pragę. Odmówiła, tłumacząc się tym, że jest mężatką. Niczym nie mogła mi sprawić większej uciechy. Podtrzymywałem jak najdłużej ten temat, tak bardzo mi drogi; bawiłem się nim; powracałem do niego, stroiłem sobie żarty. W końcu była zadowolona, że udało jej się mnie od niego odwieść poprzez wyrażenie szybkiej zgody na moją propozycję. Potem wszystko potoczyło się już zgodnie z planem. Wymarzyłem go sobie siłą piętnaście lat trwającej nienawiści i poczułem niepojętą wprost



pewność, że się uda i spełni do reszty. I oto plan realizował się pomyślnie. Na portierni wziąłem małą walizeczkę Heleny i odprowadziłem ją na górę do jej pokoju, który, nawiasem mówiąc, był równie brzydki jak mój. Nawet Helena, która miała dziwny talent nazywania rzeczy lepszymi, niż były, musiała to przyznać.

Powiedziałem jej, żeby się tym nie przejmowała, że znajdzie się na to rada. Rzuciła mi niezwykle znaczące spojrzenie. Potem oświadczyła, że chce się umyć, a ja uznałem, że ma rację, i obiecałem, że zaczekam na nią w hallu. Zeszła na dół (pod rozpiętym płaszczem ortalionowym miała czarną spódniczkę i różowy sweterek) i znowu miałem okazję stwierdzić, że jest elegancka. Powiedziałem, że pójdziemy na obiad do „Domu Ludowego”, że to wprawdzie marna restauracja, ale najlepsza, jaka jest w tym mieście. Odrzekła, że jestem przecież tutejszy, że zatem oddaje się pod moją opiekę i w niczym nie będzie mi się sprzeciwiać. (Wyglądało na to, że stara się dobierać słowa trochę dwuznaczne; było to śmieszne i bawiło mnie). Szliśmy znowu tą samą drogą, którą przemierzyłem rano, kiedy daremnie marzyłem o dobrym śniadaniu, a Helena jeszcze parę razy podkreśliła, iż po raz pierwszy widzi moje rodzinne miasto, ale choć rzeczywiście była tu pierwszy raz, wcale się nie rozglądała, nie pytała, co mieści się w tym czy tamtym budynku, i w ogóle nie zachowywała się jak ktoś, kto pierwszy raz przyjechał do obcego miasta. Zastanawiałem się, czy ten brak zainteresowania wywołany jest ociężałością umysłu, który nie potrafi już odczuwać zwykłej ciekawości wobec świata zewnętrznego, czy też raczej tym, że cała uwaga Heleny skoncentrowana jest na mojej osobie i nie starcza jej zainteresowania na co innego: skłaniałbym się chętniej do tej drugiej ewentualności.

Szliśmy znowu obok kolumny dziękczynnej; święty podpierał chmurkę, chmurka anioła, anioł drugą chmurkę, druga chmurka drugiego anioła; niebo było teraz bardziej błękitne niż z rana; Helena zdjęła płaszcz, przerzuciła go sobie przez rękę i powiedziała, że jest ciepło; to ciepło zwiększało tylko natrętne wrażenie zakurzonej pustki; grupowa rzeźba pomnika sterczała pośrodku placu niczym odłamany kawałek nieba, które nie może już powrócić na miejsce; pomyślałem sobie w tej chwili, że i my oboje zostaliśmy straceni na ten dziwny pusty plac ze skwerkiem i restauracją, że jesteśmy tu straceni bezpowrotnie; że i my oboje skądś się odłamaliśmy; że na próżno naśladujemy niebo i jego wyżyny, że nikt nam nie wierzy; że nasze myśli i słowa na próżno pną się w górę, skoro nasze uczynki są tak podłe jak sama ziemia.

Tak, doznałem gwałtownego poczucia własnej podłości; byłem zdziwiony; ale bardziej jeszcze dziwiło mnie to, że ta podłość mnie nie przeraża, że przyjąłem

ją z jakimś zadowoleniem, żeby nie powiedzieć z radością czy ulgą, i że to zadowolenie potęguje pewność, iż kobietę idącą u mego boku popychają ku niewiadomej dzisiejszego popołudnia pobudki niewiele wznioślejsze od moich własnych.

„Dom Ludowy” był już otwarty, ale ponieważ brakowało jeszcze piętnastu minut do dwunastej, sala restauracyjna świeciła pustkami. Stoły były nakryte; przed każdym krzesłem stał głęboki talerz przykryty papierową serwetką, na której leżały sztuce. Nikogo tu nie było. Usiedliśmy przy jednym ze stolików, podnieśliśmy sztuce wraz z serwetką, położyliśmy obok talerza i czekaliśmy. Po kilku minutach zjawił się w drzwiach kuchni kelner, ospałym wzrokiem obrzucił salę i chciał z powrotem wycofać się do kuchni.

– Panie starszy! – zawołałem.

Odwrócił się w stronę sali i zrobił kilka kroków w kierunku naszego stolika.

– Pan sobie życzy? – zapytał, kiedy znajdował się jakieś pięć metrów od nas.

– Chcielibyśmy zjeść obiad – powiedziałem.

– Dopiero o dwunastej – odparł i znów się odwrócił, by odejść do kuchni.

– Panie starszy! – zawołałem ponownie. Odwrócił się.

– Chwileczkę! – Musiałem krzyczeć, ponieważ stał daleko od nas, – Macie czystą wódkę?

– Nie, czystej nie ma.

– A co macie?

– Może być żytniówka albo rum – odpowiedział mi z daleka.

– To niedobrze – krzychałem – ale proszę nam dać dwie żytniówki.

– Nawet nie pytam, czy pije pani żytniówkę – zwróciłem się do Heleny.

Roześmiała się.

– Nie, do żytniówki nie jestem przyzwyczajona.

– Nic nie szkodzi – powiedziałem. – Przyzwyczai się pani. Jest pani na Morawach, a żytniówka to ulubiony trunek morawskiego ludu.

– To świetnie! – ucieszyła się Helena. – Najbardziej lubię takie zwyczajne knajpy, gdzie przychodzą robotnicy i szoferzy i gdzie jest całkiem proste jedzenie i picie.

– W takim razie lubi pani pewnie dodawać rumu do piwa?

– Co to, to nie – rzekła Helena.

– Ale lubi pani takie proste ludowe gospody?

– Tak – rzekła – nie znoszę wytwornych lokali, kręci się tam koło człowieka dziesięciu kelnerów, podają na dziesięciu talerzach...

– Oczywiście, nie ma to jak knajpa, gdzie kelner człowieka nawet nie zauważa i gdzie jest gęsto od dymu i smrodu. A przede wszystkim nie ma jak żytniówka. To był kiedyś mój studencki napój. Na lepszy alkohol nie miałem pieniędzy.

– Ja także lubię te najprostsze potrawy, na przykład placki kartoflane albo kielbasę z cebulą, nie ma nic lepszego...

Tak się przyzwyczailem nikomu nie dowierzać, że gdy mi ktoś (a zwłaszcza kobieta) opowiada, co lubi albo czego nie lubi, nie traktuję tego poważnie, a właściwie, mówiąc ściślej, przyjmuję to jedynie jako przejaw pewnej pozy. Ani przez moment nie wierzyłem, że Helena lżej oddycha w zapluty i niewietrzonych lokalach (których nie brak w naszym kraju) niż w czystych, dobrze wentylowanych restauracjach albo że lepiej jej smakuje ordynarna woda i tanie potrawy niż dania z wytwornej kuchni. Ale mimo to jej oświadczenie miało dla mnie pewną wartość, ponieważ zdradzało skłonność do całkiem określonej pozy, która dawno już się przeżyła i wyszła z mody, a która królowała w latach, kiedy snobizm rewolucyjny lubował się we wszystkim, co „zwyczajne”, „ludowe”, „powszednie”, „surowe”, tak samo jak usiłował pogardzać wszystkim, co było „wyrafinowane”, „rozpieszczone”, co zalatywało kindersztubą, co podejrzanie kojarzyło się z pojęciem smokingu i zbyt dobrego wychowania. Odnajdywałem w tej pozie Heleny czasy swojej młodości, ale w samej Helenie widziałem wyłącznie żonę Zemanka. Moje poranne roztargnienie szybko się ulatniało, zaczynałem się koncentrować.

Kelner przyniósł na tacy dwa kieliszki żytniówki, postawił je przed nami i położył na stoliku arkusik papieru, gdzie widniał napisany na maszynie (najpewniej z kilkoma przebitkami), niewyraźnie, rozmazanymi literami, spis potraw.

Podniosłem kieliszek.

– No, to wypijmy za tę żytniówkę, za tę zwyczajną żytniówkę! – powiedziałem.

Roześmiała się i trąciła ze mną kieliszkiem, po czym rzekła:

– Zawsze marzyłam o człowieku, który byłby prosty i bezpośredni. Naturalny. Jasny.

Wychyliliśmy kieliszki do dna.

– Takich ludzi jest mało – zauważyłem.

– Są – rzekła Helena. – Pan jest taki.

– Chyba nie.

– Na pewno.

Znowu zdumiała mnie nieprawdopodobna ludzka umiejętność przeinaczania rzeczywistości zgodnie z własnym marzeniem czy ideałem, ale bez wahania przyjąłem interpretację zastosowaną przez Helenę wobec mojej osoby.

– Kto wie? Może i tak – powiedziałem. – Prosty i jasny. Ale co to znaczy prosty i jasny? Wszystko polega na tym, żeby człowiek był taki, jaki jest, żeby nie wstydził się chcieć tego, czego chce, i marzyć o tym, o czym marzy. Ludzie są na ogół niewolnikami konwenansów. Ktoś im powiedział, że powinni być tacy i tacy, i starają się być takimi aż do śmierci, nie wiedząc nawet, kim byli i kim są naprawdę. Nie są więc nikim i niczym, postępują niejednoznacznie, niejasno, chaotycznie. Człowiek przede wszystkim musi mieć odwagę być sobą. Od początku mówię pani, Heleno, że mi się pani podoba i że pragnę pani, chociaż jest pani kobietą zamężną. Nie mogę powiedzieć tego inaczej i nie mogę tego nie powiedzieć.

To, co mówiłem, było nieco kłopotliwe (choć Helena, która po moim wyznaniu pochyliła głowę, nie dostrzegła tego), ale było konieczne.

Znajomość kobiecego sposobu myślenia ma bowiem swoje niezachwiane reguły: kto stara się kobietę przekonać, zwalczać jej stanowisko przy pomocy sensownych argumentów itp. – ten nie osiągnie nic. Daleko rozsądniej jest uchwycić, na czym polega podstawowy styl, który przyjęła (podstawową zasadę, ideał, pogląd), i starać się następnie zespolić harmonijnie (przy pomocy sofizmatów, alogicznej demagogii itd.) tę jej pozę życiową z takim postępowaniem owej kobiety, o które nam chodzi. Helena na przykład entuzjasmowała się „prostotą”, „naturalnością”, „spontanicznością”. Te jej ideały bez wątpienia miały źródło w dawnym rewolucyjnym purytyzmie i kojarzyły się z obrazem człowieka „czystego” i „niezepsutego”, o surowych zasadach moralnych. Ale ponieważ świat zasad Heleny nie opierał się na myśleniu (systemie poglądów), lecz (jak u

większości ludzi) na alogicznych sugestiach, było rzeczą całkiem prostą przy pomocy nieskomplikowanej demagogii połączyć obraz „jasnego człowieka” z postępowaniem bynajmniej niepurytańskim, amoralnym, grzesznym, i w ten sposób zapobiec, by w najbliższych godzinach postępowanie Heleny, o które mi chodziło, (tzn. cudzołóstwo) nie doprowadziło do neurastenicznego konfliktu z jej ideałami. Mężczyzna może żądać od kobiety wszystkiego, ale jeżeli nie chce się zachować jak brutal, musi umożliwić jej postępowanie zgodne z jej najgłębszym zakłamaniami.

Tymczasem zaczęli napływać do restauracji ludzie, i większość stolików była wkrótce zajęta. Kelner wyszedł znowu z kuchni i obchodził salę, żeby ustalić, co kto zamawia.

Podąłem Helenie jadłospis. Oświadczyła, że ja z pewnością lepiej się znam na kuchni morawskiej, i zwróciła mi go.

Nie trzeba było absolutnie znać się na kuchni morawskiej, ponieważ jadłospis był dokładnie taki sam jak we wszystkich restauracjach tego typu i zawierał skromny zestaw stereotypowych dań, z których trudno coś wybrać, ponieważ wszystkie są równie mało zachęcające. Patrzałem (posmutniały) na niewyraźnie zadrukowany arkusz papieru, ale kelner stał już nade mną i niecierpliwie czekał na zamówienie.

– Chwileczkę – rzekłem.

– Chcieli państwo zjeść obiad już piętnaście minut temu i jeszcze nic nie wybraliście – skarcił mnie i odszedł.

Na szczęście zjawił się znowu po chwili i odważyliśmy się zamówić zawijane zrazy, dwie dalsze żytniówki i syfon wody. Na Helenę alkohol działał znakomicie, oświadczyła, że życie jest piękne mimo wszystkich ciemnych stron, które u nas jeszcze istnieją. Zresztą to zależy tylko od ludzi, jak sobie to życie ułożą. Przeżuwałem żylaste nadzienie zraza i kiszony ogórek i stwierdziłem (z pełnymi ustami), że ten lokal staje się rzeczywiście piękny, kiedy siedzę tu razem z nią.

Twarz Heleny poczerwieniała (pewnie pod wpływem żytniówki), co podkreślało krągłość jej policzków i pomniejszało jej elegancję, ale ja (zapewne również za sprawą żytniówki) wspaniałomyślnie to ignorowałem i ze złośliwą radością pomyślałem sobie, że to i tak łaska losu, iż Helena wygląda przynajmniej tak, jak wygląda, ponieważ nawet gdyby była brzydka, garbata czy kulawa, i tak bym się do niej zalecał i usiłował ją uwieść.

Helena (z pełnymi ustami) oznajmiła, że to cudowne (z upodobaniem używała słowa „cudowny”), iż tak nieoczekiwanie siedzimy tu oboje w obcym mieście, o którym tyle razy marzyła, kiedy należała jeszcze do zespołu i kiedy śpiewała piosenki pochodzące z tych okolic. Powiedziała potem, że to chyba źle, ale że jest jej tu ze mną bardzo dobrze, nic na to nie może poradzić, to jest wbrew jej woli, ale to silniejsze od niej, i basta. Odrzekłem na to, że rzeczą najbardziej godną pogardy jest wstydzić się swoich własnych uczuć, po czym zawołałem kelnera, żeby zapłacić.

Kiedy wyszliśmy z restauracji, wyrosła przed nami znowu kolumna dziewczynna. Wydała mi się śmieszna. Wskazałem na nią.

– Niech pani spojrzy, Heleno, jak się ci święci wspinają. Jak się drapią w górę! Jak im spieszno do nieba! A niebo ma ich w nosie! Niebo w ogóle o nich nie wie, o tych uskrzydłych małomiasteczkowych prostaczkach.

– To prawda – rzekła Helena, u której świeże powietrze dopełniło dzieła alkoholu. – Po co to w ogóle tutaj, te figury świętych, dlaczego nie postawią tu czegoś, co by sławiło życie, a nie jakiś mistycyzm? – Nie była jednak całkiem pewna, czy posiada nad sobą kontrolę, więc dorzuciła: – A może ja plotę od rzeczy? Co? Prawda, że nie plotę od rzeczy?

– Nie, nie, Heleno, ma pani całkowitą rację, życie jest piękne i nigdy nie zdołamy dostatecznie uczcić jego piękna.

– Tak – rzekła Helena – niech ludzie mówią, co chcą, życie jest cudowne, ja w ogóle nie cierpię pesymistów, chociaż ja miałabym prawo najwięcej narzekać, ale nie narzekam, dlaczego mam narzekać, no, niech pan powie, dlaczego bym miała narzekać, kiedy może przyjść w życiu taki dzień: to przecież cudowne – obce miasto i ja z panem...

Pozwalałem Helenie mówić i tylko od czasu do czasu, kiedy między jej słowami następowała przerwa, rzucałem jakieś zdanie, które podsycalo dalszy potok jej wymowy. Wkrótce znaleźliśmy się przed nowo wybudowanym domem, gdzie mieszka Kostka.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała Helena.

– Wie pani co – rzekłem – te publiczne winiarnie są do niczego. Mam w tym domu małą prywatną winiarenkę. Chodźmy!

– Gdzie mnie pan prowadzi? – protestowała wchodząc za mną do domu.

– Autentyczna prywatna winiarnia słowacka; nigdy jeszcze pani w takiej nie była?

– Nie – rzekła Helena.

Otworzyłem drzwi na trzecim piętrze i weszliśmy do środka.

### 3

– To nie żadna winiarnia, to zwykłe mieszkanie – powiedziała Helena, kiedy z przedpokoju zajrzała do pokoju Kostki.

– To nie jest zwykłe mieszkanie; byłoby to zwykłe mieszkanie, gdyby zajmowała je pani albo ja; specyfika tego mieszkania polega na tym, że nie jest ono ani moje, ani pani; nigdzie nie poniewiera się tutaj ani moja, ani pani bielizna, ani moje, ani pani wspomnienia, nie zalatuje tu ani moim, ani pani domem; to jest obce mieszkanie, i właśnie dlatego dla nas obojga jest ono czyste, i właśnie dlatego możemy się tutaj czuć swobodnie.

Sądzę, że udało mi się wygłosić znakomitą obronę samej idei wypożyczonego mieszkania, ale moja elokwencja była całkowicie zbyt dobra. Helena bynajmniej nie zastanawiała się nad tym, że wprowadziłem ją do cudzego mieszkania, i niepotrzebny jej był do tego żaden komentarz. Wprost przeciwnie, wydawało się, że od chwili gdy przekroczyła próg, była gotowa przejść od kokieterii (która przemawia dwuznacznikami i udaje zabawę) do tego rodzaju zachowania, które ma już tylko jeden sens i znaczenie i które stwarza sobie iluzję, że nie jest zabawą, ale samym życiem. Przystanęła na środku pokoju Kostki, obejrzała się w moją stronę, a ja wyczytałem w jej spojrzeniu, że czeka już tylko, bym do niej podszedł, pocałował ją i objął. W chwili gdy tak patrzyła, była dokładnie tą Heleną, jaka istniała w mojej wyobraźni: Heleną bezsilną i wydaną na pastwę.

Podszedłem do niej, podniosła ku mnie twarz; zamiast ją pocałować (na co tak czekała) uśmiechnąłem się do niej i ująłem w palce ramiona jej niebieskiego płaszcza. Zrozumiała i rozpięła go. Zaniósłem płaszcz na wieszak w przedpokoju. Nie, teraz, kiedy wszystko było już gotowe (moje chęci i jej bezwolność), nie chciałem się śpieszyć i ryzykować, że w pośpiechu mogę pominąć coś z tego wszystkiego, co chciałem mieć. Zacząłem jakąś banalną rozmowę: powiedziałem, żeby usiadła, wskazywałem jej różne drobiazgi w mieszkaniu Kostki, otworzyłem szafkę, gdzie stała butelka wódki, którą mi wczoraj Kostka pokazał, i zrobiłem na

jej widok zdziwioną minę; potem ją otworzyłem, postawiłem na stole dwa małe kieliszki i nalałem.

– Upiję się – rzekła.

– Upijemy się oboje – odparłem (choć wiedziałem, że ja się nie upiję, że nie chcę się upić, ponieważ muszę wszystko zachować wiernie w pamięci).

Nie uśmiechnęła się; była poważna; wypila i powiedziała:

– Wie pan, Ludwiku, czułabym się strasznie nieszczęśliwa, gdyby pan sobie pomyślał, że jestem taka, jak te znudzone damulki, co to szukają przygód. Nie jestem naiwna i wiem, że miał pan w swoim życiu wiele kobiet i że kobiety same nauczyły pana, iż można je lekko traktować. Ale ja byłabym nieszczęśliwa...

– Ja również byłbym nieszczęśliwy – rzekłem – gdyby pani była taka jak inne i traktowała niepoważnie każdą przygodę miłosną, która odciąga panią od męża. Gdyby była pani właśnie taka, nasze spotkanie nie miałoby dla mnie sensu.

– Doprawdy? – spytała.

– Doprawdy, Heleno. Ma pani rację, miałem wiele kobiet i nauczyły mnie, że można je beztrudno zmieniać jedną na drugą, ale spotkanie z panią to co innego.

– Nie mówi pan tego ot tak tylko?

– Nie. Kiedy spotkałem panią po raz pierwszy, bardzo szybko zrozumiałem, że już od lat, od wielu lat czekam właśnie na panią,

– Pan przecież nie lubi frazesów. Nie mówiłby pan tego, gdyby pan tak nie czuł.

– Nie, nie mówiłbym, nie umiem udawać miłości, to jedyna rzecz, której mnie kobiety nigdy nie nauczyły. I dlatego nie kłamię pani, Heleno, chociaż to brzmi niewiarygodnie: kiedy panią zobaczyłem, zrozumiałem, że właśnie na panią czekałem przez tyle lat. Że czekałem na panią, nie znając jej nawet. I że teraz musi pani być moja, że to nieuniknione jak los.

– Mój Boże – rzekła Helena i przymknęła oczy; miała na twarzy czerwone plamy, może od alkoholu, a może ze zdenerwowania, i teraz była jeszcze bardziej tą Heleną, jaką widziałem zawsze w swojej wyobraźni: bezsilną i wydaną na pastwę.

– Ach, Ludwiku, przecież ze mną było właśnie tak samo. Ja już od pierwszej chwili wiedziałam, że to nasze spotkanie to nie żaden flirt, i dlatego właśnie



bałam się tego, ponieważ jestem mężatką, i wiedziałam, że to, co jest między mną a panem, to jest prawda, że pan jest moją prawdą i że nic na to nie poradzę.

– Tak, i pani jest moją prawdą, Heleno – rzekłem.

Siedziała na tapczanie, miała rozszerzone oczy, które patrzyły na mnie, nie widząc mnie nawet, a ja siedziałem naprzeciw niej na krześle i chciwie ją obserwowałem. Położyłem ręce na jej kolanach i powoli podnosiłem jej spódnicę, aż ukazał się brzeg pończoch i podwiązki, które na grubych nogach Heleny robiły wrażenie czegoś smutnego i żalosego. Helena zaś siedziała nie reagując na moje dotknięcia ani jednym gestem czy spojrzeniem.

– Gdyby pan wiedział wszystko...

– Co gdybym wiedział?

– O mnie. Jak ja żyję. Jak żyłam.

– Jak pani żyła?

Uśmiechnęła się gorzko.

Naraz ogarnął mnie strach, aby Helena nie uciekła się do banalnej metody wszystkich niewiernych żon, nie zaczęła bagatelizować swojego małżeństwa i okradać mnie w ten sposób z jego wartości w chwili, kiedy stawało się ono właśnie moim łupem.

– Niech mi pani tylko, na miłość boską, nie mówi, że jest pani nieszczęśliwa w małżeństwie i że mąż pani nie rozumie.

– Nie zamierzałam tego powiedzieć – rzekła Helena, speszona trochę moim wybuchem – chociaż...

– Chociaż w tej chwili tak się pani wydaje. Każdej kobiecie zaczyna się tak wydawać, kiedy jest sam na sam z innym mężczyzną, ale właśnie wtedy zaczyna się całe zakłamanie, a pani chce przecież, być prawdziwa, Heleno. Na pewno kochała pani swego męża, nie jest pani kobietą, która oddałaby się bez miłości.

– Nie – powiedziała cicho.

– Kim jest właściwie pani mąż? Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Mąż...

– Jak dawno się znacie?

– Od trzynastu lat jestem mężatką, ale znamy się dłużej.

– A więc była pani jeszcze studentką?

– Tak. Na pierwszym roku studiów.

Chciała obciągnąć zadartą spódnicę, ale chwyciłem ją za rękę i nie pozwoliłem na to. Wypytywałem dalej:

– A on? Gdzieście się poznali?

– W zespole pieśni i tańca.

– W zespole? Pani mąż tam śpiewał?

– Tak, śpiewał. Wszyscy śpiewaliśmy.

– A więc poznaliście się w zespole. To piękne miejsce na miłość.

– Tak.

– Te czasy w ogóle były piękne.

– Pan też lubi je wspominać?

– To był najpiękniejszy okres mego życia. Czy mąż był pani pierwszą miłością?

– Nie chce mi się teraz myśleć o moim mężu – broniła się.

– Chcę panią poznać, Heleno. Chcę teraz wiedzieć o pani wszystko. Im lepiej będę panią znał, tym bardziej będzie pani moja. Miała pani kogoś jeszcze przed nim?

Helena kiwnęła głową.

– Tak.

Poczułem się niemal zawiedziony, że Helena miała jeszcze kogoś innego i że to pomniejsza jakoś znaczenie jej związku z Pawłem Zemankiem.

– Czy to była prawdziwa miłość?

Pokręciła głową.

– Wyłącznie głupia ciekawość.

– Tak że pierwszą pani miłością był pani mąż?

Przytaknęła.

– Ale to już było tak dawno.

– Jak on wyglądał? – spytałem cicho.

– Dlaczego pan chce wiedzieć?

– Chcę mieć panią razem z tym wszystkim, co jest w pani, ze wszystkim, co jest w tej główce... – rzekłem i pogładziłem ją po włosach.

Jeżeli coś broni kobiecie mówić kochankowi o swoim mężu, to rzadko kiedy bywa to godność i takt (chęć zachowania czystości w nieczystości) czy też prawdziwy wstyd, a raczej najzwyczajniejsza obawa, żeby kochanek nie poczuł się tym jakoś dotknięty. Skoro kochanek tę obawę rozproszy, kobieta bywa mu wdzięczna, czuje się swobodniejsza, a przede wszystkim: ma o czym mówić, ponieważ temat rozmów nie jest niewyczerpany, a własny mąż jest dla kobiety tematem najwdzięczniejszym, tu bowiem jedynie czuje się ona pewnie, tylko w tej dziedzinie jest specjalistką, a każdy człowiek czuje się przecież szczęśliwy, kiedy może się wykazać w swojej specjalności i pochłubić się nią. Również Helena zaczęła mówić całkiem swobodnie o Pawle Zemanku, skoro ją zapewniłem, że mi to nie wadzi, i pozwoliła się nawet tak dalece porwać wspomnieniom, że nie dodawała do jego wizerunku żadnych ciemnych plam, a opowiadała mi z pasją, rzeczowo, jak się w nim zakochała (w tym smukłym jasnowłosym bogu), jak patrzyła na niego z szacunkiem, kiedy został politycznym kierownikiem ich zespołu (ale to nie był żaden sztywniak! Był tysiąc razy weselszy niż cała ta dzisiejsza młodzież!), jak podziwiała go wszystkie, ona i jej przyjaciółki (umiał bajecznie mówić!), i jak historia jej miłości spleta się harmonijnie z całym tamtym okresem, w którego obronie wygłosiła parę zdań (czy myśmy mieli najmniejsze nawet pojęcie, że Stalin kazał rozstrzeliwać wiernych komunistów?), nie dlatego, żeby chciała zboczyć na tematy polityczne, ale dlatego że w jej odczuciu ten temat dotyczył jej osobiście. Sposób, w jaki kładła nacisk na obronę czasów swojej młodości, oraz fakt, że utożsamiała się z tym okresem (jakby był jej domem rodzinnym, który utraciła), miał niemal charakter małej demonstracji, jak gdyby Helena chciała powiedzieć: „bierz mnie całą, bez żadnych warunków, oprócz jednego: że pozwolisz mi być taką, jaka jestem, że weźmiesz mnie sobie razem z moimi poglądami”. Taka demonstracja poglądów w sytuacji, gdzie nie chodzi o poglądy, tylko o ciało, ma w sobie coś anormalnego, co zdradza, że właśnie kwestia poglądów jest piętą achillesową danej kobiety: albo boi się podejrzeń, że w ogóle nie ma żadnych poglądów, i dlatego szybko je wygłasza, albo też (co w przypadku Heleny było bardziej prawdopodobne), że w skrytości ducha nie jest swoich poglądów pewna, że czuje się w nich zachwiana i chce znowu za wszelką cenę odzyskać pewność, choćby w ten sposób, że rzuca w zamian za to na szalę coś, co stanowi dla niej bezsporną wartość: sam akt miłosny (być może z tchórzliwą podświadomą wiarą, że kochankowi będzie z

pewnością bardziej zależało na pieśczołach niż na polemice z jej poglądami). Tak więc demonstracja Heleny nie była dla mnie przykra, ponieważ przybliżyła mnie do sedna mojej pasji.

– Dzisiejsza młodzież jest inna niż my – ciągnęła Helena. – Oni dostali wszystko już za darmo, przyszli do gotowego, oni nie rozumieją, dlaczego ja do dzisiaj czuję się wzruszona, kiedy słyszę rosyjską czastuszkę.

– Ale przecież pani też przyszła już do gotowego. Kiedy wojna się skończyła, miała pani czternaście lat, gdy nadszedł Luty – siedemnaście.

– Tak, ale mimo wszystko to jest część mojego życia. Widzi pan to? – pokazała mi małą srebrną blaszkę przymocowaną na krótkim łańcuszku do jej zegarka na przegubie.

Pochyliłem się bliżej, a Helena wyjaśniła mi, że rysunek wryty na tej blaszce przedstawia Kreml.

– Mam to od Pawła – rzekła i opowiedziała mi historię tego wisiorka, który jakoby wiele, wiele lat temu dała pewna zakochana dziewczyna rosyjska pewnemu rosyjskiemu chłopcu, Saszy, kiedy wyruszał na wielką wojnę. Pod koniec wojny doszedł aż do Pragi, którą wyzwolił, ale która jemu przyniosła śmierć. Na górnym piętrze willi, w której mieszkał z rodzicami Paweł Zemanek, Rosjanie urządzili mały szpitalik i ciężko ranny porucznik rosyjski, Sasza, przeżył tam ostatnie swoje chwile. Paweł zaprzyjaźnił się z nim i spędzali razem całe dni. Kiedy Sasza umierał, dał Pawłowi na pamiątkę wisiorek z rysunkiem Kremla, który przez cały czas wojny nosił zawieszony na szyi. Paweł przechowywał ten dar niczym najdroższą relikwię. Kiedyś – jeszcze jako narzeczeni – Helena i Paweł pokłócili się i myśleli, że wszystko już między nimi skończone; ale wreszcie Paweł przyszedł do niej i na przeprosiny ofiarował jej tę tanią ozdobę (ale najdroższą pamiątkę), i od tej chwili Helena nie zdejmuje jej z ręki, ponieważ ten mały przedmiot uważa za coś w rodzaju pałeczki sztafetowej, posłannictwa (spytałem, jakiego posłannictwa, „posłannictwa radości” – odpowiedziała), które musi nieść aż do końca.

Siedziała naprzeciw mnie (z zadartą spódnicą i odsłoniętymi podwiązkami przymocowanymi do modnych czarnych majteczek elastycznych), twarz miała lekko zaczerwienioną (od alkoholu, a może także na skutek chwilowego podniecenia), ale w tej chwili jej widok przesłonił mi czyjś inny obraz: opowiadanie Heleny o wisiorku trzy razy zmieniającym właściciela wywołało mianowicie przed moimi oczyma w sposób gwałtowny (jak pod wpływem nagłego uderzenia) postać Pawła Zemanka.

Nie wierzyłem ani trochę w istnienie czerwonoarmisty Saszy; zresztą gdyby nawet istniał, jego realna egzystencja ginęła całkowicie za wielkim gestem, którym Paweł Zemanek zamienił go w bohatera legendy swego życia, w święty pomnik, w narzędzie wzruszeń, w sentymentalny argument i przedmiot kultu, który jego żona (zapewne bardziej niż on stała w uczuciach) będzie czciła (gorliwie i na przekór wszystkiemu) aż do śmierci. Wydało mi się, że serce Pawła Zemanka (serce wyuzdanie ekshibicjonistyczne) znajduje się tutaj, że jest tu obecne, i nagle znalazłem się w samym centrum owej sceny sprzed lat piętnastu: sala wielkiego audytorium na Wydziale Przyrodniczo-Matematycznym: na podium za długim stołem siedzi Zemanek, obok niego tęga dziewczyna o okrągłej twarzy, z warkoczem, w brzydkim sweterku, a z drugiej strony młody chłopak, przedstawiciel komitetu uczelnianego. W głębi za podium wisi czarna tablica, na lewo od niej portret Juliusza Fučika oprawny w ramy. Naprzeciw stołu wznoszą się amfiteatralnie ławy dla słuchaczy, na jednej z nich siedzę ja, i teraz, po piętnastu latach, patrzę swoimi ówczesnymi oczyma, widzę przed sobą Zemanka, który zapowiada, że będzie rozpatrywana „sprawa towarzysza Jahna”, widzę go, jak mówi: „Przeczytam wam, towarzysze, listy dwóch komunistów.”, Po tych słowach zrobił małą pauzę, wziął do ręki jakąś cienką książeczkę, przegarnął swoje długie falujące włosy i zaczął czytać sugestywnym, niemal czułym głosem:

– „Trwało to długo, zanim przyszedłaś, śmierci. Mimo wszystko miałem nadzieję, że się z tobą zaznajomię dopiero po wielu latach. Że będę jeszcze żył życiem wolnego człowieka, że będę jeszcze wiele pracował i wiele kochał, i wiele śpiewał, i wędrował po świecie...”

Poznałem *Reportaż spod szubienicy*.

– „Kochałem życie i za jego piękno szedłem w bój. Kochałem was, ludzie, i byłem szczęśliwy, gdyście mi odpłacali miłością, cierpiałem, gdyście mnie nie rozumieli...”

Ten tekst został napisany potajemnie w więzieniu i, opromieniony nimbem bohaterstwa, był w owym czasie najpoczytniejszą chyba lekturą, Zemanek czytał nam najbardziej znane ustępy, które wszyscy umieli niemal na pamięć.

– „Niech nigdy smutek nie łączy się z mym imieniem. To jest mój testament dla was, ojciec i matka, i siostry moje, dla ciebie, Gustyno moja, dla was, towarzysze, dla wszystkich, których kochałem...”

Na ścianie wisiała podobizna Fučika, reprodukcja słynnego rysunku Maxa Svabinskiego, sędziwego malarza secesyjnego, wirtuoza w zakresie symboliki alegorycznej, puciołowatych kobiet, motylków i wszystkiego, co słodkie i ckliwe;

po wojnie zwrócili się podobno do niego towarzysze z prośbą, by według zachowanej fotografii zrobił portret Fučika, i Švabinsky narysował go (z profilu) delikatną kreską w swoim stylu: niemalże dziewczęcego, rozmarzonego, czystego i tak pięknego, że nawet ci, którzy znali Fučika osobiście, dawali szlachetnemu rysunkowi pierwszeństwo przed wspomnieniem jego prawdziwej twarzy. A Zemanek czytał dalej o tym, jak Fučik ze swoim współwięźniem „ojczulkiem” Peszkiem śpiewali w celi 267. Jego głos nabrał teraz tonów jasnych i radosnych:

– „Słońce! Tak szczerze świeci ta czarodziejska kula, tyle cudów czyni przed ludzkimi oczyma... Ach, ojczulku, tak bym jednak chciał kiedyś zobaczyć wschód słońca...”

I Zemanek czytał dalej, a wszyscy słuchali milcząco i uważnie, tęga dziewczyna za stołem zaś nie spuszczała z Zemanka zachwyconego wzroku; potem nagle głos jego stwardniał i brzmiał teraz niemal złowróźnie; czytał o Mirku, który zdradził w więzieniu.

– „Pomyśleć, że to był człowiek o mocnym charakterze, który nie krył się przed kulami walcząc na froncie hiszpańskim i nie ugiął się przechodząc okrutne doświadczenia obozu koncentracyjnego we Francji. Teraz blednie przed trzcinką gestapowca i sypie w obawie, aby mu nie wybito zęba. Jak powierzchowna była ta jego dzielność, skoro nie wytrzymała kilku uderzeń. Tak powierzchowna, jak jego przekonania.

...Stracił wszystko, bo zaczął myśleć o sobie. Aby ocalić własną skórę, poświęcił kolegów. Stchórzył i z tchórzostwa zdradził...”

Ze ściany patrzyła piękna twarz Fučika, tak jak patrzyła ze ścian w tysiącach urzędowych pomieszczeń w naszym kraju, a była tak piękna, że patrząc na nią, czułem się nędzny, nie tylko z powodu swego przewinienia, ale i z powodu swego wyglądu. A Zemanek czytał dalej:

– „Mogą nam odebrać życie, prawda, Gustyno, ale naszej czci i miłości nie odbiorą! Och, ludzie, czy sobie potraficie wyobrazić, jak byśmy żyli, gdybyśmy się znowu spotkali po tych latach cierpienia? Gdybyśmy się znowu spotkali w życiu wolnym, pięknym, swobodnym i twórczym? Gdy nadejdzie to, za czym tak tęskniliśmy, o co walczyliśmy i za co idziemy na śmierć!”\*

Zemanek odczytał z patosem ostatnie zdanie i przez chwilę milczał.

Potem powiedział:

---

\* Julius Fučik, *Reportaż spod szubienicy*, przełożyła Helena Gruszczyńska-Dubowa.

– To był list komunisty pisany w cieniu szubienicy. Przeczytam wam teraz inny list. – I odczytał trzy krótkie, śmieszne, groźne zdania z mojej kartki. Potem umilkł, wszyscy milczeli, a ja wiedziałem, że jestem stracony. Cisza trwała długo, a Zemanek, ten znakomity reżyser, umyślnie jej nie przerywał i dopiero po chwili wezwał mnie do zabrania głosu. Wiedziałem, że nic nie da się już uratować; jeśli moje argumenty odniosły tak niewielki skutek gdzie indziej, to jaki efekt mogły osiągnąć teraz, kiedy Zemanek zastosował do moich słów absolutne kryterium męczeństwa Fučika? Nie mogłem jednak zrobić nic innego jak tylko wstać i mówić. Wyjaśniłem raz jeszcze, że moje słowa były zwykłym żartem, potępiłem jednakże niestosowność i trywialność tego rodzaju żartu, mówiłem jeszcze o swoim indywidualizmie, intelektualizmie, o swoim oderwaniu od ludu, doszukałem się w sobie nawet samolubstwa, sceptycyzmu, cynizmu, zaklinałem się tylko, że mimo to jestem oddany partii i nie jestem jej wrogiem. Potem nastąpiła dyskusja i towarzysze ujawniali sprzeczności w moim stanowisku: pytali mnie, w jaki sposób może być oddany partii człowiek, który sam przyznaje, że jest cynikiem; jedna z koleżanek wypomniała mi moje lekceważące wypowiedzi na temat kobiet i zapytała, czy tak może mówić komunista; inni wygłaszali abstrakcyjne uwagi o drobnomieszczaństwie i doczepiali mnie do nich jako konkretny przykład: wszyscy twierdzili, że moja samokrytyka była płytka i nieszczerą. Potem ta towarzyszka z warkoczami, która siedziała za długim stołem obok Zemanka, postawiła mi pytanie:

– Jak sądzisz, co powiedzieliby na te twoje sformułowania ci towarzysze, których torturowano na gestapo i którzy nie przeżyli?

Przypomniał mi się ojciec i uświadomiłem sobie, że wszyscy udają, iż nic o jego śmierci nie wiedzą. Milczałem. Powtórzyła pytanie. Zmuszała mnie do odpowiedzi.

– Nie wiem – powiedziałem.

– Pomyśl chwilę – nalegała – może na to wpadniesz.

Chciała, żebym wyimaginowanymi ustami nieżyjących towarzyszy wydał na siebie surowy wyrok, ale mnie zalała nagle fala wściekłości, wściekłości zupełnie nieoczekiwanej i nieprzewidzianej, zbuntowałem się przeciwko wiele tygodni trwającemu utwierdzaniu się w samokrytyce i powiedziałem:

– Oni stali między życiem i śmiercią. Na pewno nie byli małostkowi. Gdyby przeczytali moją pocztówkę, być może roześmialiby się.

Jeszcze przed chwilą towarzyszka z warkoczami dawała mi jakąś przynajmniej szansę obrony. Miałem ostatnią okazję zrozumieć surową krytykę towarzyszy, utożsamieć się z nią, przyjąć ją i na tej zasadzie domagać się pewnego zrozumienia także z ich strony. Ale swoją nieoczekiwaną odpowiedzią wyłączyłem się nagle z ich kategorii myślenia, odmówiłem grania roli w komedii, którą powszechnie odgrywano na setkach i tysiącach zebrań, na setkach komisji dyscyplinarnych, a wkrótce potem również na setkach rozpraw sądowych: roli oskarżonego, który sam się oskarża i gorliwością swego samooskarżenia (absolutnym utożsamieniem się z oskarżycielami) wyblaguje zmiłowanie nad sobą.

I znów przez chwilę panowała cisza. Potem zaczął mówić Zemanek. Powiedział, że nie może pojąć, co w moich antypaństwowych sformułowaniach mogłoby pobudzać do śmiechu. Odwołał się znowu do słów Fučika i oświadczył, że chwiejność i sceptycyzm w sytuacjach krytycznych z reguły przeobraża się w zdradę, a partia to twierdza, która w swych murach żadnego zdrajcy tolerować nie będzie. Potem powiedział, że swoim wystąpieniem dowiodłem, iż nigdy w ogóle nic nie rozumiałem, że nie tylko w partii nie ma dla mnie miejsca, ale że nie zasługuję na to, by klasa robotnicza łożyła na moje wykształcenie. Postawił wniosek o wykluczenie mnie z partii i usunięcie z uniwersytetu. Obecni na sali podnieśli ręce, a Zemanek oświadczył mi, że mam oddać legitymację partyjną i wyjść.

Wstałem i położyłem na stole przed Zemankiem moją legitymację. Zemanek nawet na mnie nie spojrział; nie widział mnie już. Aleja widzę teraz jego żonę, siedzi przede mną pijana, czerwona na twarzy, z suknią zadartą do pasa. Jej grube nogi obramowane są u góry czernią elastycznych majtek; to są nogi, których rozwieranie i zwieranie wyznaczało rytm dziesięciu lat życia Zemanka. Na tych nogach położyłem teraz swoje dłonie i doznałem uczucia, że trzymam w ręku samo życie Zemanka. Patrzałem w twarz Heleny, w jej oczy, które na dotyk moich dłoni zareagowały leciutkim przymknięciem powiek.

– Niech się pani rozbierze, Heleno – powiedziałem cicho.

Wstała z tapczanu, podwinięta spódnica ześliznęła się znowu do kolan. Patrzała mi w oczy nieruchomym spojrzeniem i bez słowa (nie spuszczać ze mnie wzroku) zaczęła rozpinać zamek. Uwolniona spódnica spłynęła po nogach na podłogę; wyszła z niej lewą nogą, a prawą podniosła ją, wzięła w rękę i odłożyła na krzesło. Stała teraz w sweterku i halce. Potem ściągnęła sweterek przez głowę i rzuciła go w ślad za spódniczką.



- Niech pan nie patrzy – poprosiła.
- Chcę panią widzieć.
- Nie chcę, żeby pan widział, jak się rozbieram.

Podszedłem do niej. Ująłem ją z obu stron pod pachami i zsuwając dłonie w dół, ku biodrom, czułem pod jedwabiem halki, trochę wilgotnej od potu, jej miękkie, tęgie ciało. Pochyliła głowę, a usta jej pod wpływem wieloletniego nawyku (złego nawyku) rozchyliły się do pocałunku. Ale ja nie chciałem jej całować, chciałem się jej długo, jak najdłużej przyglądać.

– Niech się pani rozbierze – powtórzyłem, odsunąłem się od niej i zdjąłem marynarkę.

- Za jasno tutaj – powiedziała.
- To dobrze – odrzekłem i powiesiłem marynarkę na poręczy krzesła.

Ściągnęła halkę przez głowę i rzuciła ją na spódnice i sweterek; odpięła pończochy i jedną po drugiej zsunęła z nóg; pończoch nie rzuciła; zrobiła dwa kroki w stronę krzesła i ostrożnie je tam położyła; potem wypięła pierś i wyciągnęła ręce do tyłu, trwało to parę sekund, po czym wyciągnięte w tył ramiona (jak przy wspinaniu się na palce) opadły, a wraz z nimi opadł również stanik, ześliznął się z piersi, które ściśnięte trochę ramionami tuliły się do siebie, pełne, białe i oczywiście trochę ciężkie i obwisłe.

- Niech się pani rozbierze, Heleno – powtórzyłem po raz ostatni.

Helena spojrzała mi w oczy, po czym zaczęła ściągać czarne elastyczne majtki, których prężny materiał mocno opinał jej biodra; odrzuciła je w ślad za pończochami i sweterkiem. Była naga.

Nie zatrzymuję się przy wszystkich szczegółach tej sceny przez jakieś szczególne upodobanie w obnażaniu kobiecego ciała, ale dlatego, że każdy z tych szczegółów skrupulatnie notowałem w pamięci: nie chodziło mi przecież o osiągnięcie jak najszybciej rozkoszy z jedną z kobiet (a więc z byle jaką kobietą), szło o to, bym posiadał całkiem określony intymny, obcy świat, a ten obcy świat musiałem zrozumieć w ciągu jednego jedyne popołudnia, jednego aktu miłosnego, w którym miałem być nie tylko tym, który oddaje się pieszczotom, ale jednocześnie tym, co kradnie, co goni za wymykającym się łupem, i dlatego musi mieć się cały czas na baczności.

Dotychczas brałem Helenę w posiadanie jedynie spojrzeniem. I teraz stałem nieco z dala od niej, podczas gdy ona, przeciwnie niż ja, tęskniła za szybkim

dotknięciem ciepłych ramion, które osłoniłyby jej ciało wystawione na chłód spojrzeń. Niemal na odległość tych paru kroków wyczuwałem wilgoć jej ust i zmysłową niecierpliwosć języka. Jeszcze sekunda, jeszcze dwie, i podszedłem do niej. Objęliśmy się stojąc na środku pokoju między dwoma krzesłami pełnymi naszych łachów.

– Ludwik, Ludwik, Ludwik... – szeptała. Podprowadziłem ją do tapczanu. Położyłem.

– Chodź, chodź – powtarzała. – Chodź do mnie, chodź do mnie.

Miłość fizyczna rzadko kiedy idzie w parze z miłością duchową. Co właściwie dzieje się z duszą, kiedy ciało zrasta się (ruchem tak odwiecznym, powszechnym i niezmiennym) z innym ciałem? Ileż to rzeczy potrafi wymyślić w owych chwilach dusza, dowodząc w ten sposób raz jeszcze swojej przewagi nad wytrwałą monotonią życia fizycznego! Jak potrafi gardzić ciałem i używać go (jak również jego *vis à vis*) jedynie jako propozycji dla rozpasanej fantazji, tysiąc razy bardziej cielesnej niż same te ciała! Albo odwrotnie, jak potrafi je znieważać, ignorując jego wahadłowe ruchy i kierując swoje myśli (znużone już kaprysem własnego ciała) zupełnie gdzie indziej: na partię szachów, na wspomnienia dobrego obiadu, na czytana właśnie książkę...

Nic w tym niezwykłego, jeśli łączą się z sobą dwa obce ciała. Zdarza się też czasem symbioza dusz. Ale tysiąc razy rzadszym zjawiskiem jest symbioza ciała z własną duszą i zespolenie się ich we wspólnej namiętności. Ale i to się zdarza czasami, kiedy człowiek kocha naprawdę; chyba tak: wierzę w to i nadal chcę w to wierzyć.

Co wobec tego robiła moja dusza w czasie, kiedy moje ciało uprawiało miłość fizyczną z Heleną?

Moja dusza widziała kobiece ciało. Była wobec tego ciała obojętna. Wiedziała, że to ciało ma dla niej wartość wyłącznie jako ciało, które w taki właśnie sposób widzi i bierze w posiadanie ktoś trzeci, ktoś, kogo tu nie ma, i właśnie dlatego próbowała patrzeć na nie oczyma tego trzeciego, nieobecnego; właśnie dlatego starała się być jego medium; było tu nagie ciało kobiety, podkurczona noga, fałda na brzuchu i pierś, ale wszystko to nabierało znaczenia dopiero w chwili, gdy moje oczy przeobrażały się w oczy tego trzeciego, nieobecnego. W owo cudze spojrzenie wstępowała nagle moja dusza i zamieniała się w tamtego; brała w posiadanie nie tylko podkurczoną nogę, fałdę na brzuchu i piersi, ale brała je tak, jak widział ten trzeci, nieobecny.

A moja dusza nie tylko przeobrażała się w medium tego trzeciego, nieobecnego, ale nakazywała memu ciału, by stało się medium jego ciała, a potem cofała się o parę kroków i spoglądała na te kurczowe zmagania dwóch ciał, ciał dwojga małżonków, aby nagle dać memu ciału rozkaz, by stało się znowu samym sobą, by wmieszało się do tego małżeńskiego stosunku i brutalnie go zniweczyło.

Na szyi Heleny nabrzmiała niebieska żyła, a jej ciałem targnął spazm; odwróciła głowę w bok, zębami wgryzła się w poduszkę.

Wyszeptała moje imię, a jej oczy poprosiły mnie o chwilę wytchnienia.

Ale moja dusza kazała mi nie ustawać; pędzić ją z rozkoszy w rozkosz, umęczyć do ostatka, zmieniać położenie jej ciała, żeby nie zostało ukryte, utajone ani jedno spojrzenie, którym patrzył na nią ten trzeci, nieobecny; nie, nie użyć jej ani chwili wytchnienia, odtwarzać wciąż na nowo ten spazm, w którym staje się prawdziwa, właśnie taka, jaka jest, autentyczna, w którym nic nie udaje, w którym wryła się w pamięć tego trzeciego, tego, którego tu nie ma, jak stempel, jak pieczęć, jak szyfr, jak znak. A więc ukraść ten tajny szyfr, tę królewską pieczęć! Splądrować sezam Pawła Zemanka, wszystko spenetrować i wszystko porozrzucić, zostawić w nim spustoszenie.

Patrzyłem w twarz Heleny, zaczerwienioną i zeszpeconą grymasem; położyłem dłoń na tej twarzy; położyłem na niej dłoń jak na przedmiocie, który możemy obracać, przewracać, gnieść i miętosić, i czułem, że ta twarz tak właśnie przyjmuje dotknięcie mojej dłoni: jak rzecz, która chce, by ją obracano i gnieciono; obróciłem jej głowę na bok; potem na drugą stronę; kilka razy odwracałem tak tę głowę i nagle to obracanie zamieniło się w pierwszy policzek i drugi, i trzeci. Helena zaczęła szlochać i krzyczeć, ale nie był to krzyk bólu, lecz krzyk podniecenia, jej broda unosiła się ku mnie, a ja biłem, biłem, biłem; a potem zobaczyłem, że nie tylko jej broda, ale i piersi unoszą się ku mnie, i biłem ją (pochylony nad nią) po ramionach, po biodrach i po piersiach...

Wszystko ma swój koniec; i to wspaniałe dzieło zniszczenia dobiegło wreszcie końca. Leżała na brzuchu w poprzek tapczanu, znużona i wyczerpana. Na jej plecach widniało brunatne okrągłe znamię, a niżej, na pośladkach, czerwone ślady uderzeń.

Wstałem i zataczając się przeszedłem przez pokój; otworzyłem drzwi i znalazłem się w łazience; odkręciłem kran z zimną wodą i obmyłem ręce, twarz, całe ciało. Uniosłem głowę i ujrzałem w lustrze swoje odbicie: moja twarz była uśmiechnięta; na widok tej uśmiechniętej twarzy mój uśmiech przeszedł w śmiech – zacząłem się śmiać. Wytarłem się ręcznikiem i usiadłem na krawędzi

wanny. Chciałem chociaż przez krótką chwilę być sam, delektować się tę niezwykłą słodyczą nagłej samotności i cieszyć się swoją radością.

Tak, byłem zadowolony; byłem chyba całkiem szczęśliwy. Czułem się zwycięzcą i wszystkie nadchodzące minuty i godziny wydawały mi się niepotrzebne, nie byłem ich ciekaw.

Potem wróciłem do pokoju.

Helena nie leżała już na brzuchu, ale na boku i patrzyła na mnie.

– Chodź do mnie, kochany – powiedziała.

Wiele ludzi po akcie miłosnym sądzi (nie zastanawiając się zbyt nad tym), że skoro połączyły się ich ciała, to połączyły się także ich dusze, i temu mylnemu przeświadczeniu dają wyraz przez to, że czują się automatycznie uprawnieni do mówienia sobie po imieniu. Ponieważ nigdy nie podzielałem owej mylnej wiary w zsynchronizowaną harmonię duszy i ciała, przyjąłem tę formę z ust Heleny z zakłopotaniem i niechęcią. Nie zareagowałem na jej zaproszenie i podszedłem do krzesła, gdzie leżały moje rzeczy, żeby włożyć koszulę.

– Nie ubieraj się! – rzekła prosząco Helena, wyciągnęła do mnie rękę i powtórzyła: – Chodź!

Niczego nie pragnąłem bardziej, niż aby tych chwil, które właśnie nadeszły, o ile to możliwe, w ogóle nie było, a skoro już musiały być, to aby przynajmniej były jak najbłahsze, najmniej istotne, aby nie miały żadnej wagi, aby były lżejsze niż pył; nie chciałem dotykać już ciała Heleny, bałem się jakiegokolwiek czułości, ale równie mocno bałem się jakiegokolwiek napięcia i dramatyzowania sytuacji; toteż w końcu zrezygnowałem ze swojej koszuli i usiadłem koło Heleny na tapczanie. To było straszne: przysunęła się do mnie i położyła mi głowę na kolanach; całowała mnie i wkrótce miałem zupełnie wilgotną nogę, ale nie była to wilgoć pocałunków: Helena podniosła głowę, i zobaczyłem, że jej twarz zalana jest łzami. Ocierała je powtarzając w kółko:

– Kochany, nie gniewaj się, że płaczę, nie gniewaj się, kochany, że płaczę. – Przysunęła się jeszcze bliżej, objęła mnie ramionami i wybuchnęła płaczem.

– Co ci jest? – spytałem. Pokręciła głową.

– Nic, nic, mój ty głuptasku – rzekła i zaczęła mnie gorączkowo całować po twarzy i po całym ciele.

– Jestem zakochana – powiedziała, a kiedy nic nie odpowiedziałem, ciągnęła dalej: – Będziesz się ze mnie śmiał, ale mnie jest wszystko jedno, jestem

zakochana, jestem zakochana. – A kiedy milczałem nadal, dodała: – Jestem szczęśliwa. – Po czym uniosła się i wskazała na stół, gdzie stała nie dopita butelka wódki.

– Wiesz co, nalej mi!

Nie chciało mi się nalewać Helenie ani sobie; bałem się, że dalsze picie alkoholu dodałoby niebezpiecznej wagi reszcie tego popołudnia (które było piękne, ale tylko pod tym warunkiem, że już się skończyło, że było już za mną).

– Proszę cię, kochanie – wskazywała ciągle na stół i dodała przepraszająco: – Nie gniewaj się, jestem po prostu szczęśliwa, chcę być szczęśliwa...

– Do tego niepotrzebna ci chyba wódka – powiedziałem.

– Nie gniewaj się, mam na nią ochotę.

Nie było rady; nalałem jej kieliszek wódki.

– A ty już nie? – zapytała.

Pokręciłem głową. Wypiła i poprosiła:

– Zostaw mi to tutaj.

Postawiłem butelkę i kieliszek na podłodze koło tapczanu.

Bardzo szybko przychodziła do siebie po chwilowym zmęczeniu; nagle przeobraziła się w małą dziewczynkę, chciała się cieszyć, figlować i dawać wyraz swojemu szczęściu. W swojej nagości czuła się całkiem swobodnie i naturalnie (miała tylko zegarek na ręce, przy którym pobrzękiwał kołyszący się na krótkim łańcuszku widoczek Kremła) i szukała najrozmaitszych póz, w których by jej było najlepiej: skrzyżowała nogi i siedziała po turecku; potem wyciągnęła nogi spod siebie i podparła się na łokciu; potem znowu położyła się na brzuchu i przycisnęła mi twarz do kolan. W najróżniejszych wariantach mówiła mi o tym, jaka jest szczęśliwa, próbowała mnie przy tym całować, co znosiłem z dużą dozą samozaparcia, zwłaszcza dlatego, że jej usta były zbyt wilgotne i że nie zadowalały się tylko moimi ramionami i policzkami, ale usiłowały dosięgnąć także moich warg (a ja się brzydzę wilgotnych pocałunków, chyba że jestem zaślepiony pożądaniem).

Potem oświadczyła mi, że nigdy jeszcze nie przeżyła czegoś podobnego; powiedziałem jej (ot, tak sobie), że przesadza. Zaczęła się zaklinać, że w miłości nigdy nie kłamie i że nie mam powodu jej nie wierzyć. Rozwijiała dalej swoją myśl i twierdziła, że wiedziała o tym już dawniej, już podczas naszego pierwszego

spotkania; że ciało posiada swój niezawodny instynkt; że oczywiście zaimponowałem jej swoim rozumem i entuzjazmem (tak, entuzjazmem, nie wiem, gdzie go we mnie odkryła), ale że poza tym wiedziała (choć dopiero teraz wyzbyła się skrępowania i może o tym mówić), że i nasze ciała w jednej chwili zawarły tajny układ, jaki ludzkie ciało podpisuje tylko raz w życiu.

– I dlatego taka jestem szczęśliwa, wiesz?

Spuściła przy tych słowach nogi z tapczanu, schyliła się po butelkę i naląła sobie następny kieliszek. Wypiła i powiedziała ze śmiechem:

– Co robić, jak ty już nie chcesz. Muszę pić sama!

Aczkolwiek uważałem całą tę przygodę za zakończoną, nie mogę powiedzieć, żeby słowa Heleny sprawiały mi przykrość; utwierdzały we mnie poczucie sukcesu mego przedsięwzięcia i zadowolenie. I raczej dlatego tylko, że nie wiedziałem, co powiedzieć, a jednocześnie nie chciałem zbyt długo milczeć, zauważyłem, że ona chyba przesadza mówiąc o tym wszystkim jako o rzeczy, która zdarza się tylko raz w życiu: przecież przeżyła wielką miłość ze swoim mężem, jak mi to sama wyznała.

Helena po moich słowach zamyśliła się całkiem poważnie (siedziała na tapczanie z lekko rozsuniętymi nogami spuszczone na podłogę, łokcie oparła na kolanach, a w prawej ręce trzymała pusty kieliszek) i powiedziała cicho:

– Tak.

Uważała widać, że patetyczność tego, co dane jej było przeżyć przed chwilą, zobowiązuje ją do patetycznej szczerości. Powtórzyła „tak”, po czym przyznała, że byłoby to niesprawiedliwe i brzydkie, gdyby w imię tego dzisiejszego cudu (tak nazywała naszą miłość fizyczną) miała lekceważyć coś, co było kiedyś. Znowu wypila i zaczęła mówić o tym, że właśnie najsilniejsze przeżycia mają to do siebie, iż nie można ich z sobą porównywać; i że dla kobiety zupełnie czymś innym jest miłość w wieku lat dwudziestu niż wtedy, kiedy ma lat trzydzieści; żebym ją dobrze zrozumiał; nie tylko pod względem psychicznym, ale i fizycznym.

Po czym (trochę nielogicznie i bez związku) oznajmiła, że właściwie jej mąż i ja mamy w sobie coś podobnego! Nie wie nawet co; ja wprawdzie wyglądam inaczej, ale ona się nie myli, posiada niezawodny instynkt, który pozwala jej przeniknąć w głąb człowieka, widzieć to, co kryje się za jego zewnętrznym obrazem.

– Doprawdy, chciałbym wiedzieć, w czym przypominam twego męża – powiedziałem.

Oświadczyła, że nie powinienem się gniewać, bo przecież to ja sam pytałem ją o niego i chciałem coś o nim usłyszeć, i że tylko dlatego odważyła się o nim mówić. Ale jeżeli chcę usłyszeć całą prawdę, musi mi to powiedzieć: tylko dwa razy w życiu czuła do kogoś pociąg tak silny, tak niepowstrzymany: do swego męża i do mnie. To, co nas do siebie zbliża, to jakieś tajemnicze upojenie życiem; radość, która z nas emanuje; wieczna młodość; siła.

Chcąc wyjaśnić moje podobieństwo do Pawła Zemanka, używała Helena słów dosyć mętnych, niemniej jednak nie sposób było zaprzeczyć, że widziała i czuła to podobieństwo (że je wręcz przeżywała) i uparcie przy nim obstawała. (Jesteśmy do siebie jakoby tak podobni, że mój stosunek miłosny z nią nie był chyba nawet zdradą.) Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to uraziło lub zabolalo, ale osłupiałem po prostu wobec kłopotliwego charakteru i bezmiernej głupoty tego stwierdzenia; podeszedłem do krzesła, gdzie leżały moje rzeczy, i powoli zacząłem się ubierać.

– Czy uraziłam cię czymś, kochanie?

Helena wyczuła mój zły humor, wstała z tapczanu i podeszła do mnie; zaczęła mnie gładzić po twarzy i prosiła, żebym się na nią nie gniewał. Nie pozwalała mi się ubrać. (Z jakichś niewiadomych przyczyn uważała, że moje spodnie i koszula są jej nieprzyjaciółmi.) Zaczęła zapewniać mnie, że naprawdę mnie kocha, że nie używa tego słowa nadaremnie; że być może będzie miała okazję dowieść mi tego, że od razu, od początku, kiedy spytałem o jej męża, wiedziała, iż mówienie o nim nie ma sensu; że nie chce, żeby między nami stał jakiś inny mężczyzna, obcy mężczyzna, tak, obcy, ponieważ jej mąż jest dla niej już od dawna obcym człowiekiem.

– Mój ty głuptasku, przecież ja już od trzech lat z nim nie żyję. Nie rozwodzimy się tylko ze względu na dziecko. On ma swoje życie, a ja swoje. Jesteśmy dzisiaj dwojgiem obcych ludzi. On jest już tylko moją przeszłością.

– Czy to prawda? – zapytałem.

– Tak, to prawda – odparła.

– Nie kłam w taki głupi sposób.

– Nie kłamię. Mieszkamy razem, ale nie żyjemy ze sobą jak kobieta z mężczyzną; już od wielu lat.

Spoglądała na mnie błagalnie twarz biednej zakochanej kobiety. Jeszcze parę razy powtórzyła mi, że mówi prawdę, że mnie nie okłamuje, że nie muszę być zazdrosny o jej męża; że jej mąż to już tylko przeszłość; że dzisiaj właściwie go nie zdradziła, ponieważ nie miała kogo zdradzać; że nie mam powodu się bać; nasza miłość była nie tylko piękna, ale i czysta.

Nagle w błysku proroczego przerażenia pojąłem, że nie mam właściwie powodu jej nie wierzyć. Kiedy to zrozumiałem, odetchnęła z ulgą i natychmiast zaczęła mnie prosić, abym powiedział na głos, że jej wierzę; potem nalala wódki do kieliszka i zaproponowała, żebyśmy się stuknęli (odmówiłem); pocałowała mnie; dostałem gęziej skórki, ale nie potrafiłem odwrócić twarzy; fascynowały mnie jej głupie niebieskie oczy i jej (ruchliwe, wierzące się bez przerwy) nagie ciało.

Tylko to nagie ciało widziałem teraz zupełnie innymi oczyma; widziałem je ogołoczone; ogołoczone z owego drażniącego powabu, przesłaniającego dotychczas wszystkie te mankamenty wieku (otyłość, obwisłość, przejrzalność), w których zdawała się koncentrować cała historia i terażniejszość małżeństwa Heleny i które dlatego właśnie mnie pociągały. Teraz jednak, kiedy Helena stała przede mną goła, bez męża i bez więzów łączących ją z mężem, bez swego małżeństwa, tylko jako ona sama, jej fizyczna brzydota straciła w jednej chwili swój powab i stała się również sobą – to znaczy po prostu brzydota.

Helena nie miała pojęcia o tym, jaką ją widzę, była z każdą chwilą bardziej pijana i bardziej zadowolona, była szczęśliwa, że wierzę w zapewnienia o jej miłości, i nie wiedziała po prostu, w jaki sposób dać upust swemu szczęściu; ni stąd, ni zowąd wpadło jej do głowy otworzyć radio (przykucnęła przed nim tyłem do mnie i przez chwilę kręciła gałką); na którejś stacji odezwał się jazz; Helena wstała i oczy jej się zaświeciły; nieporadnie zaczęła naśladować węzowe ruchy twista (z przerażeniem patrzyłem na jej piersi, które latały przy tym w jedną i drugą stronę).

– Tak się to tańczy? – roześmiała się. – Wiesz, że nigdy jeszcze nie tańczyłam tych tańców?

Śmiała się bardzo głośno i podeszła, żeby mnie objąć; poprosiła, żebym z nią zatańczył; gniewała się, kiedy odmówiłem, mówiła, że nie umie tego tańca, ale że chce go tańczyć i że ja muszę ją tego nauczyć; że w ogóle chce, żebym nauczył ją wielu rzeczy, że przy mnie chce być młoda. Prosiła, żebym jej powiedział, że jest młoda (zrobiłem to). Uprzytomniła sobie, że ja jestem ubrany, a ona naga; zaczęła się z tego śmiać; wydało się jej to fantastycznie oryginalne;



zapytała, czy ten pan ma tutaj jakieś duże lustro, żeby nas mogła tak właśnie obejrzeć. Lustra nie było, znajdowała się tu tylko oszklona biblioteczka; usiłowała zobaczyć nas w jej szybie, ale obraz był zbyt niewyraźny; podeszła do biblioteczki i zaczęła się śmiać, kiedy na grzbietach książek przeczytała napisy: Biblia, Kalwin, *Instytucje. Listy przeciw jezuitom*, Hus; wyciągnęła Biblię, stanęła w patetycznej pozie, otworzyła na chybił trafił książkę i kaznodziejskim tonem zaczęła czytać. Zapytała mnie, czy byłaby dobrym księdzem. Powiedziałem jej, że bardzo jej do twarzy, kiedy tak czyta Biblię, ale że musi się już ubrać, bo pan Kostka lada chwila nadejdzie.

– Która godzina? – zapytała.

– Wpół do siódmej.

Chwyciła mnie za przegub lewej ręki, gdzie noszę zegarek, i krzyknęła:

– Ty kłamczuchu! Dopiero za piętnaście szósta! Chcesz się mnie pozbyć!

Marzyłem, żeby już sobie poszła, żeby jej ciało (tak straszliwie materialne) zdematerializowało się, żeby roztajało, zamieniło się w potoczek, odpłynęło albo przemieniło się w parę i uleciało przez okno – ale to ciało było tutaj, ciało, którego nikomu nie odebrałem, poprzez które nikogo nie pokonałem i nie zniszczyłem, odtracone ciało, opuszczone przez męża, ciało, które chciałem wykorzystać, a które wykorzystało mnie, a teraz cieszy się z tego, podskakuje i dokazuje.

W żaden sposób nie udało mi się skrócić mojej dziwnej udręki. Dopiero koło wpół do siódmej zaczęła się ubierać. Zobaczyła przy tym na swoim ramieniu czerwoną pręgę od mojego uderzenia; pogłaskała ją; powiedziała, że będzie miała po mnie pamiątkę aż do chwili, kiedy mnie znów zobaczy; natychmiast jednak się poprawiła: zobaczy mnie na pewno dużo wcześniej, jeszcze zanim ta pamiątka zniknie z jej ciała; stała przede mną (jedną pończochą już wciągniętą, a drugą trzymała w ręku) i prosiła, żebym jej obiecał, że na pewno zobaczymy się wcześniej.

Ubierała się długo. Wyszła parę minut przed siódmą.

## 5

Otworzyłem okno, marzyłem bowiem, żeby wiatr jak najszybciej wywiał wszelkie wspomnienia tego niepotrzebnego popołudnia, wszystkie resztki zapachów i odczuć. Potem szybko uprzątnąłem butelkę, wyrównałem poduszki

na tapczanie, a kiedy uznałem, że wszystkie ślady zostały zatarte, zagłębiłem się w fotelu koło okna i cieszyłem się (niemal żałośnie) na myśl o rychłym nadejściu Kostki: o jego męskim głosie (tęskniłem ogromnie za głębokim, męskim głosem), o jego długiej, chudej postaci z płaską pierśią, o jego spokojnych opowieściach, dziwacznych i mądrych, i o tym, że coś mi powie o Łucji, która w odróżnieniu od Heleny była tak uroczo niematerialna, abstrakcyjna, tak już odległa od wszelkich konfliktów, napięć i dramatów; a jednak nie tak zupełnie pozbawiona wpływu na moje życie; przemknęło mi przez myśl, że wywiera na nie taki wpływ, jaki zdaniem astrologów wywierają na ludzkie życie ruchy gwiazd; i kiedy tak siedziałem zagłębiony w fotelu (pod otwartym oknem, przez które wypędzałem zapach Heleny), przyszło mi do głowy, że znam chyba rozwiązanie mego zabobonnego rebusu i że wiem, po co Łucja przemknęła przez scenę tych dwóch ostatnich dni: po to tylko, żeby zniweczyć moją zemstę, żeby przemienić w obłok pary wszystko, do czego dążyłem; ponieważ Łucja, kobieta, którą tak bardzo kochałem i która w zgoła niepojęty sposób umknęła mi w ostatniej chwili, jest przecież boginią ucieczki, boginią daremnych pogoni, boginią ulotności; ale moją głowę wciąż jeszcze trzyma w swoich rękach...

## 1

Wiele lat już się nie widzieliśmy, a właściwie widzieliśmy się zaledwie kilka razy w życiu. To dziwne, ponieważ w swojej wyobraźni spotykam się z Ludwikiem Jahnem bardzo często i w monologach wewnętrznych zwracam się do niego jako do swego głównego przeciwnika. Tak już przywykłem do jego niematerialnej obecności, że poczułem zmieszanie, kiedy wczoraj, po wielu latach, spotkałem go nagle jako prawdziwego człowieka z krwi i kości.

Nazwałem Ludwika swoim przeciwnikiem. Czy mam prawo tak go nazwać? Stykałem się z nim przecież dzięki zbiegowi okoliczności za każdym razem, kiedy znalazłem się w jakimś krytycznym położeniu, i właśnie on zawsze mi pomagał. Ale pod tym zewnętrznym przymierzem ziała zawsze otchłań wewnętrznego rozdźwięku. Nie wiem, czy Ludwik zdawał sobie z tego sprawę w tej samej mierze co ja. Na pewno przywiązywał większą wagę do naszego zewnętrznego przymierza niż do wewnętrznych różnic. Był nieustępliwy wobec przeciwników zewnętrznych i tolerancyjny wobec wewnętrznych antagonizmów. Ja nie. Ja właśnie na odwrót. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie lubię Ludwika. Kocham go tak, jak kochamy swoich przeciwników.

## 2

Poznałem go w czterdziestym siódmym roku na którymś z tych burzliwych zebrań, od których aż kipiało wtedy na wyższych uczelniach. Ważyły się losy kraju. Wszyscy to czuli, ja czułem to także i we wszystkich dyskusjach, sporach i głosowaniach byłem po stronie komunistycznej mniejszości przeciwko większości, którą na uniwersytetach tworzyli w tym czasie ludowcy i narodowi socjaliści.

Wielu chrześcijan, katolików i ewangelików, miało mi to wtedy za złe. Uważali za zdradę fakt, że związałem się z ruchem, który na swojej tarczy wypisał hasło bezbożnictwa. Kiedy spotykam się z nimi dzisiaj, sądzą, że po piętnastu latach uznałem chyba wreszcie swój ówczesny błąd. Ale muszę ich rozczarować. Nie zmieniłem do dzisiaj swego stanowiska ani na jotę.

Tak, ruch komunistyczny rzeczywiście odrzuca religię. Ale tylko chrześcijanie, którzy nie chcą widzieć belki we własnym oku, mogą winić o to sam komunizm. Powiedziałem: chrześcijanie. Ale gdzie oni właściwie są? Widzę wokół siebie tylko pozornych chrześcijan, którzy żyją akurat tak samo jak niewierzący. A przecież być chrześcijaninem to znaczy żyć inaczej. To znaczy iść drogą Chrystusową, naśladować Chrystusa. To znaczy wyrzec się własnych korzyści, dobrobytu i władzy i zwrócić się ku biednym, poniżonym i cierpiącym. Ale czy tak właśnie postępował Kościół? Mój ojciec był robotnikiem, wiecznie bezrobotnym i pokornie wierzącym w Boga. Pobożnie obracał ku Niemu twarz, ale Kościół nigdy nie obrócił ku niemu swego oblicza. Pozostał samotny wśród bliźnich, samotny w łonie Kościoła, sam ze swoim Bogiem, aż do choroby i śmierci.

Kościół nie rozumiał, że ruch robotniczy jest ruchem poniżonych i wzdychających, którzy pragną sprawiedliwości. Całkowicie wbrew duchowi Jezusowemu odwrócił się od nich. Nie leżało w jego interesie zabiegać wraz z nimi i dla nich o Królestwo Boże na ziemi. Związał się z wyzyskiwaczami i w ten sposób ruchowi robotniczemu odebrał Boga. A teraz zarzuca komunizmowi, że jest bezbożny? Co za przewrotność! Tak, ruch socjalistyczny jest bezbożny, ale ja widzę w tym bicz boży, przeznaczony dla nas, chrześcijan. Bicz za naszą nieczułość wobec biednych i cierpiących.

I co mam robić w tej sytuacji? Ma mnie przerażać fakt, że Kościołowi ubywa wyznawców? Ma mnie przerażać fakt, że w szkołach wychowuje się dzieci w duchu antyreligijnym? Co za głupota! Prawdziwej religijności niepotrzebna jest przyjaźń władzy świeckiej. Wrogość władzy świeckiej umacnia tylko wiarę.

A może mam walczyć z socjalizmem, ponieważ z naszej winy jest on bezbożny? Jeszcze większa głupota! Mogę tylko boleć głęboko nad tragiczną pomyłką, która odciągnęła socjalizm od Boga, mogę tylko wyjaśniać tę pomyłkę i pracować nad jej naprawieniem.

A zresztą po co ten niepokój, bracia chrześcijanie? Wszystko dzieje się z woli bożej i często zadaję sobie pytanie, czy Bóg celowo nie daje ludziom do zrozumienia, że człowiek nie może bezkarnie zasiąść na Jego tronie i że najsprawiedliwszy nawet układ stosunków świeckich bez Jego udziału musi zwyrodnąć i upaść.

Pamiętam te lata, kiedy ludzie u nas czuli się już o krok od raj. I byli dumni, że to ich raj i żeby dostać się do niego, żaden Bóg w niebie nie jest im potrzebny. A potem ten raj rozplynął im się nagle w rękach.

Przed wydarzeniami lutowymi zresztą fakt, że jestem chrześcijaninem, był komunistom na rękę. Chętnie słuchali, kiedy wyjaśniałem socjalną treść Ewangelii, kiedy pomstowałem na zgniliznę starego świata z jego kapitałami i wojnami; dowodziłem pokrewieństwa między chrześcijaństwem i komunizmem. Chodziło im przecież o to, by pozyskać sobie jak najszerze warstwy społeczeństwa, chcieli pozyskać również i wierzących. Ale po Lutym wszystko zaczęło się bardzo szybko zmieniać. Jako asystent stanąłem w obronie kilku słuchaczy, którzy z powodu politycznych przekonań swoich rodziców mieli zostać usunięci z uniwersytetu. Zaprotestowałem przeciw temu i popadłem w konflikt z władzami uczelni. I nagle zaczęły odzywać się głosy, że człowiek o orientacji tak zdecydowanie chrześcijańskiej nie może we właściwy sposób wychowywać młodzieży socjalistycznej. Wydawało się, że będę musiał walczyć o swoją egzystencję. I wtedy doszło do mnie, że na plenarnym zebraniu partyjnym ujął się za mną student Ludwik Jahn. Mówił, że byłaby to rażąca niewdzięczność, gdyby zapomniano, co zrobiłem dla partii przed Lutym. A kiedy jako argument wysunięto mój chrześcijański światopogląd, oświadczył, że to w moim życiu tylko etap przejściowy, który dzięki swojej młodości na pewno przezwycięzę.

Poszedłem więc do niego i podziękowałem, że stanął w mojej obronie. Powiedziałem mu jednak, że nie chciałbym wprowadzać go w błąd i że wobec tego chcę zwrócić mu uwagę, że jestem od niego starszy i nie ma nadziei, żebym swoją wiarę „przezwyciężył”. Zaczęliśmy dyskutować na temat istnienia Boga, o przemijalności i wieczności, o stosunku Kartezjusza do religii, o tym, czy Spinoza był materialistą, i o wielu innych rzeczach. Nie doszliśmy do porozumienia. Spytałem w końcu Ludwika, czy widząc, jaki jestem niepoprawny, nie żałuje, że mnie bronił. Odparł, że wiara religijna to moja sprawa osobista i że w końcu nikomu nic do tego.

Od tego czasu nie spotkałem się już z nim na wydziale. Tym bardziej zbliżyły się nasze losy dzięki swemu podobieństwu. Chyba w trzy miesiące po naszej rozmowie usunięto Jahna z partii i uniwersytetu. A jeszcze pół roku później i ja odszedłem z uczelni. Czy mnie wyrzucono? Wyszczuto? Tego nie mogę powiedzieć. Prawdą jest tylko to, że w miarę upływu czasu przeciwko mnie i moim przekonaniom odzywało się coraz więcej głosów. Prawdą jest, że niektórzy moi koledzy napomykali, iż powinienem złożyć jakieś publiczne oświadczenie w duchu ateistycznym. I prawdą jest, że na wykładach miałem parę nieprzyjemnych incydentów z agresywnymi studentami-komunistami, którzy chcieli obrazić moje uczucia religijne. Wniosek o moje odejście z uniwersytetu wisiał w

powietrzu, ale jest też prawda, że wśród komunistów na uczelni wciąż jeszcze miałem sporo przyjaciół, którzy szanowali mnie za moją postawę przed Lutym. Niewiele było potrzeba: wystarczyłoby, żebym się sam zaczął bronić, a na pewno stanęliby za mną. Ale ja tego nie zrobiłem.

#### 4

„Pójdźcie za mną” – rzekł Jezus swoim uczniom, a oni bez protestu odchodzili od swych sieci, od swych łodzi, od swoich domów i rodzin i szli za Nim. „Żaden, który rękę swą przyłożył do pługa, a ogląda się nazad, nie jest sposobny do królestwa Bożego.”

Kiedy słyszymy głos Chrystusa, który nas wzywa, musimy bez protestu iść za Nim. Wszystko to znane jest dobrze z Ewangelii, ale w dzisiejszych czasach brzmi już jak bajka. Jakie tam naśladowanie w naszym prozaicznym życiu! Dokąd i za kim mielibyśmy iść opuściwszy swoje sieci?

A przecież głos wzywający rozlega się i w naszym świecie, o ile mamy wyczulony słuch. Ale wezwanie nie przychodzi do nas pocztą w postaci depechy czy listu poleconego. Przychodzi zakamuflowane. I rzadko kiedy w różowej uwodzicielskiej szacie. „Nie to, co sobie wybierzesz, ale to, co cię spotka wbrew twemu wyborowi, wbrew myśli twojej i pragnieniu twemu, tą drogą idź, tam ja czekam, tam uczniem bądź, oto czas twój, tędy szedł twój mistrz...”

Miałem wiele powodów, by trzymać się swojej posady asystenta. Była stosunkowo wygodna, dawała mi dużo wolnego czasu na dalsze studia oraz nadzieje na dożywotnie stanowisko profesora uniwersytetu. A przecież przestraszyłem się właśnie tego, że drzę o swoją posadę. Przestraszyłem się tego, tym bardziej że w tym samym czasie widziałem, jak zmuszano do opuszczenia wyższych uczelni wielu wartościowych ludzi, pedagogów i studentów. Przestraszyłem się swego przywiązania do wygodnego życia, którego zagwarantowany spokój i stabilizacja oddala mnie od niespokojnych losów moich bliźnich. Zrozumiałem, że wnioski o usunięcie mnie z uniwersytetu są wezwaniem. Usłyszałem, że ktoś mnie odwołuje. Że ktoś ostrzega mnie przed wygodną karierą, która pętałaby moje myśli, moją wiarę i sumienie.

Moja żona, z którą miałem pięcioletnie wówczas dziecko, nalegała oczywiście, jak mogła, abym się bronił i robił wszystko, by pozostać na uczelni. Myślała o synku, o przyszłości rodziny. Nic innego dla niej nie istniało. Kiedy popatrzyłem na jej starzejącą się już wtedy twarz, przeląknęłem się tej ciężkiej

troski o wszystkie nadchodzące długie dni i lata. Przestraszyłem się tego brzemienia troski i usłyszałem w duchu słowa Jezusa: „Nie troszczcie się tedy o jutrze; albowiem jutrzejszy dzień sam o się troskać się będzie. Dostyci ma dzień na swej nędzy.”

Moi wrogowie liczyli, że będę się martwił, a ja tymczasem poczułem w sobie nieoczekiwaną bez troskę. Sądzieli, że będę czuł się ograniczony w swojej wolności, a ja, wprost przeciwnie, właśnie wtedy odkryłem swoją prawdziwą wolność. Zrozumiałem, że człowiek nie ma nic do stracenia, że wszędzie jest jego miejsce, wszędzie tam, dokąd przyszedł Jezus, to znaczy wszędzie między ludźmi.

Po początkowym uczuciu zdziwienia i żalu wyszedłem naprzeciw gniewowi swoich przeciwników. Krzywdę, jaką mi wyrządzili, przyjąłem jako zaszyfrowane wezwanie.

## 5

Komuniści, zupełnie na sposób ludzi wierzących, uważają, że człowiek, który dopuścił się jakiegoś przewinienia wobec partii, może otrzymać rozgrzeszenie, jeżeli odejdzie na pewien czas do pracy na roli lub wśród robotników. W ten sposób w latach, które przysły po Lutym, wielu inteligentów szło na krótszy lub dłuższy czas do kopalń, fabryk, na budowę i do pegeerów, aby po tajemnym oczyszczeniu się w tym środowisku mogli znowu powrócić do urzędów, szkół czy komitetów.

Kiedy zaproponowałem władzom uniwersyteckim, że odejdę z uczelni, i nie prosiłem przy tym o żadną nową pracę naukową, tylko oświadczyłem, że chcę pójść między ludzi, najchętniej do jakiegoś majątku państwowego jako specjalista – komuniści u nas na uczelni, wrogowie i przyjaciele, zrozumieli to nie w sensie mojej wiary, ale swojej własnej: jako wyraz zupełnie wyjątkowego samokrytycyzmu. Ocenili to i pomogli mi znaleźć bardzo dobrą posadę w majątku państwowym w Zachodnich Czechach, gdzie był świetny kierownik i piękna okolica. Na drogę obdarzyli mnie niezwykle pozytywną opinią.

W nowym miejscu pracy byłem naprawdę szczęśliwy. Czułem się jak nowo narodzony. Majątek państwowy założono w opuszczonej i na wpół tylko zamieszkałej przez Czechów wsi pogranicznej, skąd po wojnie wysiedlono Niemców. Wszędzie dokoła rozciągały się wzgórza, przeważnie niezalesione, pokryte pastwiskami. W dolinach między nimi rozrzucone były z rzadka domki nadmiernie rozciągniętych wiosek. Częste mgły snujące się po okolicy kładły się

pomiędzy mną a zamieszkałą przez ludzi ziemią niczym ruchomy parawan, świat wyglądał jak w piątym dniu stworzenia, kiedy to Bóg wahał się jeszcze zapewne, czy odda go człowiekowi.

Ale i sami ludzie byli tu bardziej pierwotni. Stali twarzą w twarz z przyrodą, z bezkresnymi pastwiskami, stadami krów i owiec. Było mi dobrze wśród nich. Kipiałem od pomysłów, jak by tu najlepiej wykorzystać roślinność w tej górzystej krainie; jakie stosować nawozy, jak magazynować siano, myślałem o założeniu eksperymentalnego poletka ziół leczniczych i cieplarni. Kierownik był mi wdzięczny za moje pomysły, a ja jemu za to, że umożliwia mi zarabianie pożyteczną pracą na chleb.

## 6

Zdarzyło się to w roku 1951. Wrzesień był chłodny, ale w połowie października nagle się ociepliło i cudowna jesień trwała aż do późnego listopada. Stogi siana przesychały na pagórkowatych łąkach, a ich zapach roznosił się daleko po okolicy. W trawie zaczęły się pojawiać wątle łodyżki zimowitów. I wtedy właśnie zaczęto mówić w okolicznych wsiach o młodej, tułającej się dziewczynie.

Chłopcy z sąsiedniej wsi wybiegli na skoszone łąki. Bawili się hałaśliwie, pokrzykiwali na siebie, aż tu nagle zobaczyli, jak z jednego stogu wychodzi dziewczyna, potargana, ze źdźbłami siana we włosach, dziewczyna, której żaden z nich nigdy tu nie widział. Rozejrzała się bojaźliwie dookoła i zaczęła biec w stronę lasu. Zniknęła im z oczu, zanim zdecydowali się pognać za nią.

Na dodatek jedna wieśniaczka z tej samej wsi opowiadała, że któregoś popołudnia, kiedy krzątała się koło domu, zjawiła się przed nią ni stąd, ni zowąd dziewczyna mniej więcej dwudziestoletnia, w zniszczonym płaszczyku, i ze spuszczoną głową poprosiła ją o kawałek chleba.

– Skądś się tu wzięła? – spytała ją wieśniaczka. Dziewczyna odpowiedziała, że ma przed sobą długą drogę.

– I piechotą idziesz?

– Zgubiłam pieniądze – odparła tamta.

Wieśniaczka dalej nie wypytywała i wyniosła jej chleb i mleko.

Do tych opowiadań dołożył też swoje pastuch z naszego majątku. Będąc w górach zostawił na pieńku nasmarowaną kromkę chleba i dzbanek z mlekiem.



Odszedł na chwilę dojrzyć stada, a kiedy wrócił, chleb i dzbanek w zagadkowy sposób zniknęły.

Wszystkie te wiadomości natychmiast podchwytywały dzieci i wyolbrzymiały je swoją nienasyconą fantazją. Widziały ją, jak pod wieczór kąpała się w stawie za wsią, mimo że zaczął się już listopad i woda była bardzo zimna. Kiedy coś komuś zginęło, dzieci widziały w tym widomy znak jej istnienia. To znowu o zmierzchu dobiegał gdzieś z daleka kobiecy śpiew. Dorośli twierdzili, że to w jakiejś górskiej chałupie puszczono radio na cały regulator, ale dzieci wiedziały, że to ona, leśna panna, idzie grzbietami wzgórz, ma rozpuszczone włosy i śpiewa.

Któregoś wieczoru rozpałiły za wsią ogień, podłożyły naci kartoflanej i do gorącego popiołu nawrzucały kartofli. Potem popatrzyły w stronę lasu, a jedna z dziewczynek zaczęła wołać, że ją widzi, że patrzy na nich z leśnego mroku. Jakiś chłopiec słysząc to wziął grudkę ziemi i rzucił w kierunku, który wskazywała dziewczynka, I o dziwo, nie rozległ się żaden krzyk, ale stało się coś innego. Wszystkie dziewczynki rzuciły się z wrzaskiem na chłopaka i omal go nie zatłukły.

Tak, tak właśnie było: zwykle okrucieństwo dzieci nigdy nie objęło pogłoski o zbłąkanej dziewczynie, chociaż z jej osobą wiązano drobne kradzieże. Od początku cieszyła się skrytą sympatią. Może to niewinna znikomość tych kradzieży zyskała jej przychylność ludzkich serc? A może jej młodziutki wiek? A może chroniła ją ręka anioła stróża?

Tak czy inaczej, rzucona grudka ziemi roznieciła miłość dzieci do zbłąkanej dziewczyny. Jeszcze tego samego dnia zostawiły przy wygasłym ognisku garść upieczonych kartofli, przykryły je popiołem, żeby nie wystygły, i wetknęły w ten kopczyk gałązkę świerku. Znalazły też przezwisko dla dziewczyny. Na kartce wyrwanej z zeszytu napisały ołówkiem dużymi literami: „Błędulko, to dla ciebie.” Kartkę położyły koło kopczyka ziemniaków i przycisnęły grudką ziemi. Potem odeszły i ukryły się w pobliskich zaroślach, wypatrując nieśmiałej dziewczęcej postaci. Wieczór przechodził powoli w noc, a nikt się nie zjawiał. Dzieci musiały w końcu opuścić swoją kryjówkę i wracać do domu. Ale zaraz z rana pobiegły na wczorajsze miejsce. Stało się. Kupka ziemniaków zniknęła razem z kartką i gałązką.

Dziewczyna stała się teraz ulubioną rusalką dzieci. Zostawiały dla niej to garnczek z mlekiem, to znów chleb, ziemniaki i liściki. Ale nigdy na podrzucenie swoich darów nie wybierały dwa razy tego samego miejsca. Nie zostawiały jej jedzenia w określonym miejscu, tak jak zostawia się żebrakom. Bawiły się z nią.

Była to zabawa w ukryty skarb. Zaczęły od miejsca, gdzie po raz pierwszy zostawiły garść ziemniaków, i posuwały się coraz dalej od wsi. Zostawiały swoje skarby koło pni drzew, pod wielkim głazem, pod Bożą Męką, pod krzakiem głogu. Nikomu nie zdradziły miejsca, gdzie ukryły swoje skarby. Nigdy nie naruszyły prawideł tej subtelnej jak sieć pajęcza gry, nigdy nie wysłedziły i nie zaskoczyły dziewczyny. Pozwoliły jej pozostać niewidzialną.

## 7

Krótko trwała ta bajka. Kiedyś kierownik naszego majątku wybrał się z przewodniczącym miejscowej Rady Narodowej daleko w teren, żeby obejrzeć parę nie zamieszkałych dotąd domków, które zostały po Niemcach; chcieli urządzić w nich domy noclegowe dla robotników rolnych, pracujących daleko od wsi. W drodze złapał ich deszcz, który wkrótce przeszedł w ulewę. W pobliżu był tylko niski świerkowy zagajnik, a na jego skraju stała szopa z sianem. Pobiegli tam, otworzyli drzwi zamknięte tylko drewnianym kołkiem, i weszli do środka. Światło wpadało przez otwarte drzwi i szpary w dachu. Zobaczyli wygnieciony w sianie dołek. Usadowili się tam, słuchali bębniących o dach kropel, wdychali oszałamiający zapach siana i gadali o tym i o owym. I nagle grzebiąc ręką w stercie siana, która wznosiła się na prawo od niego, przewodniczący wyczuł pod suchymi źdźbłami coś twardego. Była to walizka. Stara, brzydka, tania, tekturowa walizka. Nie wiem, jak długo wahali się obcy mężczyźni przed naruszeniem cudzej tajemnicy. Pewne jest tylko, że walizkę otworzyli i znaleźli w niej cztery sukienki, wszystkie nowe i ładne. Elegancja tych sukienek stanowiła dziwny kontrast z prowincjonalną zniszczoną walizką i nasuwała podejrzenie o kradzież. Pod sukienkami było jeszcze parę sztuk damskiej bielizny, a pomiędzy nimi zagrzebana paczka listów związana niebieską wstążeczką. To było wszystko. Do dzisiaj nic nie wiem o tych listach. Nie wiem też, czy kierownik i przewodniczący przeczytali je. Wiem tylko, że na ich podstawie ustalili nazwisko adresatki: Łucja Szebetkówna.

Kiedy głowili się nad nieoczekiwanym znaleziskiem, przewodniczący odkrył w sianie jeszcze jeden przedmiot. Obtłuczony dzbanek na mleko. Ten emaliowany niebieski dzbanek, o którego zagadkowym zniknięciu już od dwóch tygodni co wieczór opowiadał w gospodzie pastuch z pegeeru.

Potem wszystko potoczyło się już w sposób nieodwracalny. Przewodniczący czekał ukryty w zagajniku, a kierownik zszedł do wsi i wysłał do przewodniczącego wiejskiego milicjanta. Dziewczyna o zmierzchu wróciła do swojej

pachnącej kryjówki. Pozwolili jej wejść, zamknąć za sobą drzwi, odczekali pół minuty, po czym weszli za nią.

## 8

Obaj mężczyźni, którzy schwytali Łucję w szopie na siano, byli dobrymi ludźmi. Przewodniczący, były parobek, pocziwiec, ojciec sześciorga dzieci, przypominał starych wiejskich badaczy Pisma Świętego. Milicjant był to naiwny, dobroduszny grubas z sumiastym wąsem. Żaden z nich muchy by nie skrzywdził.

A jednak po raz pierwszy zrobiło mi się dziwnie ciężko na duszy, kiedy usłyszałem o schwytaniu Łucji. Do dzisiaj serce mi się ściska, kiedy wyobrażam sobie kierownika i przewodniczącego, jak grzebią w jej walizce, jak biorą do rąk wszystkie te osobiste przedmioty, wstydliwą tajemnicę jej brudnej bielizny, jak zaglądną tam, gdzie nikomu zaglądnąć nie wolno.

I to samo uczucie przygnębienia ogarnia mnie dzisiaj, ilekroć wyobrażę sobie norkę w sianie, z której nie ma ucieczki i gdzie jedyne drzwi tarasuje dwóch barczystych chłopów.

Kiedy potem dowiedziałem się więcej o Łucji, ze zdziwieniem uświadomiłem sobie, że w obu tych przykrych sytuacjach objawiła mi się od razu sama kwintesencja jej losu. Obie te sytuacje były obrazem gwałtu.

## 9

Tej nocy Łucja nie spała już w szopie, ale na żelaznym łóżku w sklepiku, który milicja przerobiła na komisariat. Następnego dnia przesłuchiowano ją w Radzie Narodowej. Dowiedzieli się, że dotychczas pracowała i mieszkała w Ostrawie. Że uciekła stamtąd, bo nie mogła tam już wytrzymać. Kiedy chcieli dowiedzieć się od niej czegoś bardziej konkretnego, napotkali na uparte milczenie.

Dlaczego uciekła tutaj, do Zachodnich Czech? Powiedziała, że jej rodzice mieszkają w Chebie. Dlaczego nie pojechała do nich? Wysiadła z pociągu daleko przed Chebem, bo po drodze zaczęła się bać. Ojciec przez całe życie tylko ją bił.

Przewodniczący Rady Narodowej oznajmił Łucji, że zostanie odesłana z powrotem do Ostrawy, skąd odeszła bez obowiązującego wypowiedzenia. Łucja odparła, że na pierwszej stacji ucieknie z pociągu. Jakiś czas na nią krzyczeli, ale

potem doszli do wniosku, że nic przez to nie osiągną. Zapytali więc, czy mają ją odesłać do domu, do Chebu. Z wściekłością pokręciła głową. Jeszcze przez chwilę rozmawiali z nią surowo, ale potem w przewodniczącym wzięło górę jego miękkie serce.

– No więc czego chcesz?

Spytała, czy mogłaby zostać tutaj i pracować. Wzruszyli ramionami i powiedzieli, że zapytają w tutejszym pegeerze.

Kierownik ciągle walczył z niedoborem sił roboczych.

Propozycję Rady Narodowej przyjął bez wahania. Potem oznajmił mi, że dostanę do inspektów pracownicę, o co od dawna prosiłem. Tego samego jeszcze dnia przewodniczący Rady Narodowej przyszedł przedstawić mi Łucję.

Pamiętam dobrze ten dzień. Była druga połowa listopada i słoneczna dotąd jesień po raz pierwszy ukazała swoje wietrzne i chmurne oblicze. Mżył deszcz. Stała w brązowym płaszczu, z walizką, z pochyloną głową i obojętnym spojrzeniem obok wysokiego przewodniczącego. Trzymał w ręku niebieski dzbanek i przemawiał z patosem:

– Jeśliś źle postępowała, myśmy ci wybaczyli i ufamy ci. Mogliśmy odesłać cię z powrotem do Ostrawy, ale zostawiliśmy cię tutaj. Klasa robotnicza wszędzie potrzebuje porządnych ludzi. Nie spraw jej zawodu.

Potem poszedł do kancelarii oddać dzbanek naszego pastucha, a ja zaprowadziłem Łucję do cieplarni, przedstawiłem ją dwóm zatrudnionym tam dziewczętom i wytłumaczyłem, na czym będzie polegała jej praca.

## 10

Osoba Łucji przesłania wspomnienie wszystkiego, co wtedy działo się w moim życiu. Mimo to w jej cieniu postać przewodniczącego Rady Narodowej rysuje mi się bardzo wyraźnie. Kiedy wczoraj siedział pan w fotelu naprzeciw mnie, Ludwiku, nie chciałem pana urazić. Powiem to więc panu przynajmniej teraz, kiedy jest pan znowu moim przeciwnikiem, tym człowiekiem, którego znałem najlepiej, czymś w rodzaju wytworu mojej wyobraźni, czymś w rodzaju cienia: były parobek, który chciał stworzyć raj dla swoich cierpiących bliźnich, ten pełen zapachu poczciwiec i entuzjasta, wygłaszający naiwne, podniosłe słowa o przebaczeniu, zaufaniu i klasie robotniczej, był memu sercu i moim

przekonaniom o wiele bliższy niż pan, chociaż nie wyświadczył mi nigdy żadnej osobistej przysługi.

Twierdził pan kiedyś, że socjalizm wyrósł na pniu europejskiego racjonalizmu i sceptycyzmu, na pniu areligijnym i antyreligijnym, i że inaczej jest nie do pomyślenia. Ale czy nadal chce pan na serio twierdzić, że bez wiary w fakt, iż materia była wcześniejsza niż duch, nie można zbudować społeczeństwa socjalistycznego? Doprawdy uważa pan, że ludzie wierzący w Boga nie mogą upaństwowić fabryk?

Jestem zupełnie pewny, że ta linia ducha europejskiego, która bierze początek w misji Chrystusowej, prowadzi do równości społecznej i do socjalizmu w sposób o wiele bardziej logiczny. A kiedy przypominam sobie najbardziej zagorzałych komunistów z pierwszych lat socjalizmu w naszym kraju, choćby właśnie tego przewodniczącego, który w moje ręce oddał Łucję, wydają mi się oni dużo bardziej podobni do fanatyków religijnych niż do wolteriańskich sceptyków. Ów okres rewolucyjny od roku 1948 do 1956 niewiele miał wspólnego ze sceptycyzmem i racjonalizmem. Był to okres wielkiej zbiorowej wiary. Człowiek, który szedł krok w krok z tą epoką, doznawał uczuć przypominających uczucia religijne: wyrzekał się swego ja, swojej osobowości, swego życia prywatnego na rzecz czegoś większego, czegoś ponadosobowego. Nauki Marksa były wprawdzie pochodzenia całkowicie świeckiego, ale znaczenie, jakie im przypisywano, przypominało znaczenie Ewangelii i przykazań biblijnych. Wytworzył się pewien krąg pojęć, które były nietykalne, a zatem używając naszej terminologii – święte.

Okrutna to była religia. Nie zaszeregowwała nas między swych kapłanów i obydwu nam chyba wyrządziła krzywdę. Ale mimo to ów okres, który już minął, był mi sto razy bliższy niż czasy, które teraz, jak się wydaje, nadchodzą, czasy zjadliwej drwiny i sceptycyzmu, nędzne czasy, gdzie na proscenium występuje ironiczny intelektualista, podczas gdy w głębi sceny ciśnie się tłum młodzieży, wulgarnej, cynicznej i złej, wyzutej z entuzjazmu i ideałów, gotowej od pierwszego spotkania spółkować i zabijać się nawzajem.

Ten przemijający czy miniony okres miał w sobie przynajmniej coś z ducha wielkich ruchów religijnych. Szkoda, że nie potrafił dojść aż do końca w swoim religijnym samopoznaniu. Miał religijne gesty i uczucia, ale wewnątrz pozostawał pusty, bez Boga. Ja jednakże wciąż wtedy wierzyłem, że Bóg się zmiłuje, że da o sobie znać, że uświęci w końcu tę wielką świecką wiarę. Czekałem na próżno.

Ten okres zdradził w końcu swój religijny charakter i zapłacił za racjonalistyczne dziedzictwo, które uznał za własne tylko dlatego, że nie rozumiał sam

siebie. Ten racjonalistyczny sceptycyzm trawi chrześcijaństwo już dwa tysiące lat. Trawi, ale nie strawi. Lecz teorię komunistyczną, swój własny wytwór, zniszczy w ciągu kilku dziesięcioleci. W panu już ją zniszczył, Ludwiku. Sam dobrze pan o tym wie.

## 11

Kiedy ludzie potrafią jeszcze jakoś przenieść się w myślach w świat baśni, pełni są szlachetnych uczuć, wrażliwości i poezji. W świecie życia powszedniego pełni są niestety ostrożności, nieufności i podejrzeń. Tak też zachowali się wobec Łucji. Ledwie odeszła z dziecięcych baśni i przeobraziła się w prawdziwą dziewczynę, współpracownicę i współmieszkanekę, natychmiast stała się obiektem zainteresowania niewolnego od złośliwości, jaką odczuwają ludzie w stosunku do straconych z nieba aniołów i rusałek wygnanych z bajki.

Na niewiele przydała się Łucji jej małomówność. Mniej więcej w miesiąc później przyszły do pegeeru jej papiery z działu kadr z Ostrawy. Dowiedzieliśmy się z nich, że pracowała najpierw w Chebie jako uczennica w zakładzie fryzjerskim. Dopuszczała się przestępstwa natury obyczajowej i spędziła rok w domu poprawczym, skąd potem pojechała do Ostrawy. Wykazała się tutaj sumiennością w pracy. W internacie zachowywała się wzorowo. Przed swoją ucieczką dopuściła się jedyne, zupełnie nieoczekiwane przewinienie: przyłapano ją, jak kradła kwiaty na cmentarzu.

Informacje były nieprzyjemne i zamiast odsłonić rąbka tajemnicy Łucji, uczyniły ją raczej jeszcze bardziej zagadkową. Obiecałem kierownikowi, że zaopiekuję się Łucją. Pociągała mnie. Pracowała w milczeniu i z zapamiętaniem. Była nieśmiała, ale jednocześnie spokojna. Nie znajdowałem w niej nic z ekstrawagancji dziewczyny żyjącej parę tygodni na włóczędze. Kilka razy oświadczyła, że czuje się u nas dobrze i że nie chce stąd odejść. Była łagodna, gotowa do ustępstw w każdym sporze, toteż stopniowo zyskiwała sobie sympatię towarzyszek pracy. Mimo to w jej małomówności wciąż jeszcze było coś, co zdradzało bolesne koleje losu i jakąś moralną krzywdę. Niczego nie pragnąłem bardziej, niż żeby się przede mną wypowiedziała, ale wiedziałem jednocześnie, że wystarczająco dużo zadawano jej w życiu pytań i że każdy rodzaj indagacji prawdopodobnie przypomina jej przesłuchanie. Nie wypytywałem zatem o nic i sam zacząłem opowiadać. Rozmawiałem z nią codziennie. Mówiłem o swoich planach założenia w majątku plantacji ziół leczniczych. Opowiadałem jej, jak za dawnych czasów ludzie na wsi przyrządzali wywary z różnych roślin. Mówiłem o

biedrzeńcu, którym leczono cholerę i dżumę, o łomikamieniu, który rzeczywiście łamie kamienie nerkowe i żółciowe. Łucja słuchała. Lubiła rośliny. Ale cóż za święta prostota! Nic o nich nie wiedziała i prawie żadnej nie potrafiła nazwać.

Zbliżała się zima, a Łucja nie miała nic oprócz swoich ładnych letnich sukienek. Pomogłem jej ułożyć budżet w jej gospodarce finansowej. Zmusiłem ją, żeby sobie kupiła płaszcz nieprzemakalny i sweter, a potem inne jeszcze rzeczy: pantofle, piżamę, pończochy, ciepłe palto...

Któregoś dnia spytałem ją, czy wierzy w Boga. Odpowiedziała w sposób, który wydał mi się godny uwagi. Nie powiedziała bowiem ani tak, ani nie. Wzruszyła ramionami i rzekła:

– Nie wiem.

Spytałem, czy wie, kto to był Jezus Chrystus. Powiedziała, że wie. Ale nie wiedziała o Nim nic. Jego imię niejasno kojarzyło się jej z pojęciem Bożego Narodzenia, coś jej się majaczyło o ukrzyżowaniu, ale była to tylko poszarpana mgławica dwóch czy trzech pojęć, które w sumie nie tworzyły żadnej treści. Łucja nie poznała dotychczas ani wiary, ani niewiary. Poczułem w tej chwili lekki zawrót głowy, przypominający chyba to, co czuje człowiek zakochany, kiedy stwierdza, że ciało jego ukochanej nie poznało dotychczas żadnego innego mężczyzny, że on będzie tym pierwszym.

– Czy chcesz, żebym ci o Nim opowiedział? – spytałem, a ona przytaknęła.

Pastwiska i góry były już wtedy pokryte śniegiem. Opowiadałem. Łucja słuchała...

## 12

Zbyt wielkie brzemie musiała dźwigać na swoich wątłych ramionach. Potrzebowała kogoś, kto by jej pomógł, ale nikt tego nie potrafił. Pomoc, jaką ofiarowuje ci religia, Łucjo, jest prosta: oddaj się. Oddaj się razem ze swoim brzemieniem, pod którym padasz. Jest w tym ogromna ulga: żyć w oddaniu. Ja wiem, że nie miałaś komu się oddać, ponieważ bałaś się ludzi. Ale jest jeszcze Bóg. Oddaj się Jemu. Będzie ci lżej.

Oddać się to znaczy odrzucić dotychczasowe życie. Wyrwać je z duszy. Wyspowiadać się. Powiedz mi, Łucjo: dlaczego uciekłaś z Ostrawy? Czy to z powodu tych kwiatów na grobie?

– Dlatego też.

– Ale dlaczego brałaś te kwiaty?

Było jej smutno, więc wstawiała je do wazonu w swoim pokoju w internacie. Zrywała kwiaty także i gdzie indziej, ale Ostrawa to czarne miasto i dokoła nie ma prawie zieleni, tylko hałdy, płoty, parcele i od czasu do czasu jakiś rzadki laszek pełen sadzy. Ładne kwiaty znajdowała Łucja tylko na cmentarzu. Kwiaty dostojne, kwiaty uroczyste. Mieczyki, róże i lilie. A także chryzantemy, duże kwiaty o delikatnych płatkach.

– A w jaki sposób cię złapali?

Często i chętnie chodziła na cmentarz. Nie tylko z powodu kwiatów, ale również dlatego, że było tam ładnie i spokojnie, a ten spokój sprawiał jej przyjemność. Każdy grób to był niezwykle samodzielny ogródek, dlatego też chętnie zatrzymywała się przy poszczególnych grobach i oglądała pomniki oraz smutne napisy na nich wyrte. Żeby jej nikt nie przeszkadzał, naśladowała zwyczajnie niektórych osób bywających na cmentarzu, zwłaszcza tych starszych, i przyklękała zwrócona twarzą do pomnika. Kiedyś spodobał jej się jakiś grób jeszcze prawie świeży. Trumnę zasypano dopiero przed paroma dniami. Ziemia na grobie była spulchniona, leżały tam wieńce, a na przedzie stał wazon z cudownym bukietem róż. Łucję zalała fala niewypowiedzianej błogości. I właśnie wtedy przyszedł tam jakiś starszy pan z żoną. Może był to grób ich syna czy brata, nie wiadomo. Zobaczyli nieznaną dziewczynę klęczącą przy grobie. Kim jest ta dziewczyna? Wydało im się, że jej pojawienie się tutaj związane jest z jakąś tajemnicą, rodzinną tajemnicą, może to nieznana krewna albo nieznana kochanka zmarłego. Stanęli bojąc się jej przeszkodzić. Obserwowali ją z daleka. I naraz zobaczyli, że dziewczyna wstaje, bierze z wazonu ten piękny bukiet róż, który wstawili tam kilka dni temu, odwraca się i odchodzi. Zaczęli ją gonić. Kim pani jest, pytali. Była zmieszana, nie wiedziała, co powiedzieć, jąkała się. Okazało się, że ta obca dziewczyna w ogóle nie знаła zmarłego. Przywołali na pomoc ogrodniczkę. Żądali, żeby Łucja się wylegitymowała. Krzyczeli na nią i oświadczyli, że nie ma nic strasniejszego niż okradanie nieboszczyków. Ogrodniczka stwierdziła, że nie jest to pierwszy wypadek kradzieży kwiatów na jej cmentarzu. Zawołali więc strażnika, znowu ostro na nią natarli, i Łucja do wszystkiego się przyznała.

### 13

„...a dopuść umarłym grześć umarłe swoje” – powiedział Jezus. Kwiaty na grobach należą do żywych. Tyś nie znała Boga, Łucjo, ale tęskniłaś do Niego. W



pięknie ziemskich kwiatów objawiało ci się coś nadziemskiego. Dla nikogo nie były ci te kwiaty potrzebne. Tylko dla ciebie. Dla pustki w twojej duszy. Ale schwytali cię i upokorzyli. Czy to jednak był jedyny powód, dla którego uciekłaś z czarnego miasta?

Milczała. Potem pokręciła głową.

– Ktoś wyrządził ci krzywdę?

Przytaknęła.

– Opowiedz, Łucjo!

Był to maleńki pokoik. Pod sufitem płonęła żarówka bez abażuru i bezwstydnie obnażona zwisała krzywo z oprawki. Pod ścianą było łóżko, nad nim obraz, a na tym obrazie piękny mężczyzna, miał na sobie błękitną szatę i klęczał. Był to *Chrystus w Ogrójcu*, ale tego Łucja nie wiedziała.

Tam ją więc przyprowadził, a ona broniła się i krzyczała. Chciał ją zgwałcić, szarpał na niej ubranie, ale wyrwała mu się i uciekła.

– Kto to był, Łucjo?

– Żołnierz.

– Kochałaś go?

– Nie, nie kochałam.

To jedynie pustka, jaką miała w duszy, ciągnęła ją do niego. I nie znalazła, biedaczka, nikogo, kto by tę pustkę zapełnił, tylko tego wyrostka, żołnierza w czynnej służbie.

– Ale ja wciąż niezupełnie rozumiem, Łucjo. Skoro najpierw poszłaś z nim do tego pokoiku, gdzie było tylko łóżko, to dlaczego potem uciekłaś?

– Był zły i ordynarny, jak wszyscy.

– O kim ty mówisz, Łucjo? Jacy wszyscy?

Milczała.

– Kogo znałaś przed tym żołnierzem? Mów! Opowiadaj, Łucjo!

Było ich sześciu, i ona jedna. Sześciu, od szesnastu do dwudziestu lat. Ona miała szesnaście. Tworzyli „bandę”.. Mówili o tej swojej bandzie z szacunkiem, jakby to była jakaś pogańska sekta. Tego dnia rozmawiali o uświadamianiu. Przynieśli kilka butelek taniego wina. Brała udział w pijatyce ze ślepym oddaniem, w które wkładała całą niezaspokojoną miłość córki do matki i ojca.

Piła, kiedy oni pili, śmiała się, kiedy oni się śmiali. Potem kazali jej się rozebrać. Nigdy dotąd nie robiła tego w ich obecności. Ale ponieważ, kiedy się wahała, rozebrał się najpierw sam szef bandy, zrozumiała, że rozkaz nie jest wymierzony tylko przeciw niej, i potulnie usłuchała. Ufała im, ufała nawet ich wulgarności, byli jej tarczą i osłoną, nie umiała sobie wyobrazić, że mogłaby ich utracić. Byli jej matką i ojcem. Pili, śmiali się i wydawali jej dalsze rozkazy. Rozsunęła nogi. Bała się, wiedziała, co to znaczy, ale usłuchała. Potem krzyknęła i zaczęła krwawić. Chłopcy wrzeszczeli, wznosili kieliszki i wylewali ordynarne, spienione wino na plecy szefa bandy, na jej drobne ciało, między ich nogi, wykrzykiwali coś o Chrzcie i Wtajemniczeniu, potem szef wstał z niej, a zbliżył się do niej następny członek bandy, podchodzili według wieku, na końcu ten najmłodszy, który też miał szesnaście lat, tak jak i ona, ale Łucja już nie mogła, nie mogła wytrzymać bólu, chciała odpocząć, chciała być już sama, a ponieważ to był ten najmłodszy, odważyła się go odepchnąć. Ale on właśnie dlatego, że był najmłodszy, nie chciał zostać upokorzony. Był przecież członkiem bandy, pełnoprawnym członkiem! Chciał tego dowieść i dlatego uderzył Łucję w twarz, a nikt z pozostałych nie stanął w jej obronie, ponieważ wszyscy wiedzieli, że ten najmłodszy ma prawo, że słusznie domaga się tego, co mu się należy. Łucji trysnęły łzy z oczu, ale nie miała odwagi się zbuntować i po raz szósty rozwarła uda...

– Gdzie to było, Łucjo?

Mieszkanie jednego z bandy, jego rodzice mieli oboje nocną zmianę, była tam kuchnia i jeden pokój, w pokoju stół, kanapa i łóżko, nad drzwiami napis w ramkach „Szczęść Boże”, a nad łóżkiem obraz: piękna kobieta w błękitnej szacie z dzieckiem przy piersi.

– Maria Panna? Nie wiedziała.

– A potem, Łucjo, co było potem?

Potem często się to powtarzało. W tym mieszkaniu, a także w innych, również i pod gołym niebem, za miastem. W bandzie stało się to już zwyczajem.

– I tobie podobało się to, Łucjo?

Nie, nie podobało jej się, odnosili się do niej od tego czasu coraz butniej i coraz ordynarniej, ale nie było ucieczki, ani naprzód, ani wstecz, nigdzie.

– I jak się to skończyło, Łucjo?

Któregoś wieczoru w jednym z takich pustych mieszkań. Przyszła milicja i wszystkich ich zabrała. Chłopcy z bandy mieli na sumieniu jakieś kradzieże. Łucja o tym nie wiedziała, ale było wiadomo, że włóczyła się z bandą, wiadano również, że dawała bandzie wszystko, co jako dziewczyna dać jej mogła. Była skompromitowana na cały Cheb, a w domu zbito ją do nieprzytomności. Chłopcy dostali różne wyroki, ją zaś posłano do domu poprawczego. Przebywała tam rok – do siedemnastego roku życia. Za żadne skarby świata nie chciała wracać do domu. Pojechała więc do czarnego miasta.

## 15

Byłem zaskoczony i zdumiony, kiedy przedwczoraj Ludwik powiedział mi przez telefon, że zna Łucję. Na szczęście nie znał jej bliżej. Łączył go w Ostrawie jakoby jakiś przelotny flirt z dziewczyną, z którą Łucja mieszkała w internacie. Kiedy zapytał mnie o nią wczoraj ponownie, opowiedziałem mu wszystko. Już od dawna czułem potrzebę zrzucenia z siebie tego ciężaru, ale nie znalazłem dotychczas człowieka, któremu mógłbym się zwierzyć z całym zaufaniem. Ludwik jest mi życzliwy, a przy tym jest wystarczająco daleki od mego życia, tym bardziej zaś od życia Łucji. Nie musiałem się zatem obawiać, że wystawiam tajemnicę Łucji na niebezpieczeństwo.

Nie, tego, co wyznała mi Łucja, nie zdradziłem nikomu poza Ludwikiem. Niemniej jednak o tym, że była w domu poprawczym i że kradła kwiaty na cmentarzu, wiedzieli w majątku wszyscy z jej papierów, które przysłano z wydziału personalnego. Zachowywali się wobec niej całkiem życzliwie, ale stale przypominali jej tę przeszłość. Kierownik mówił o niej jako o „małej złodziejce cmentarnej”. Mówił to całkiem dobrotliwie, ale dawne grzechy Łucji przez takie gadanie nadal utrzymywały się przy życiu. Łucja stale i wciąż była winna. A przy tym niczego nie potrzebowała bardziej niż całkowitego przebaczenia. Tak, Ludwiku, potrzebowała przebaczenia, musiała przejść przez ów tajemniczy czyściec, który dla was jest nieznany i niezrozumiały.

Albowiem ludzie nie potrafią sami przebaczyć, nie jest to nawet w ich mocy. Nie mają władzy, by zniweczyć grzech, który się stał. To nie jest w mocy samego

człowieka. Unieważnić grzech, unicestwić, wymazać z czasu, uczynić zatem coś niczym – to rzecz tajemnicza i nadprzyrodzona. Tylko Bóg, ponieważ wymyka się ziemskim prawom, ponieważ jest wolny, ponieważ potrafi czynić cuda, może zmyć grzech, może zamienić go w nic, może go odpuścić. Człowiek człowiekowi może przebaczyć tylko dlatego, że ma oparcie w przebaczeniu boskim.

I pan, Ludwiku, ponieważ nie wierzy pan w Boga, nie umie przebaczać. Wciąż jeszcze pamięta pan to zebranie, na którym wszyscy jednomyślnie podnieśli przeciwko panu ręce i przystali na to, by zostało zniszczone pańskie życie. Nigdy im pan tego nie przebaczył. Nie tylko im, jako poszczególnym jednostkom. Było tam może sto osób, a to już jest liczba, która może się stać małym modelem ludzkości. Pan nigdy nie przebaczył ludzkości. Nie dowierza jej pan od tego czasu i żywi do niej nienawiść. Potrafię pana zrozumieć, ale to w niczym nie zmienia faktu, że taka nienawiść do wszystkich ludzi jest straszna i grzeszna. Stała się pańskim przekleństwem. Albowiem żyć w świecie, w którym nikt nie uzyska przebaczenia, gdzie wszyscy skazani są na potępienie, to to samo co żyć w piekle. Pan żyje w piekle, Ludwiku, i żal mi pana.

## 16

Wszystko, co na tej ziemi należy do Boga, może należeć do diabła. Także i ruchy uprawiających miłość kochanków. Dla Łucji stały się uosobieniem ohydy. Łączą się dla niej z twarzami zezwierzęconych wyrostków z bandy, a potem z twarzą nachalnego żołnierza. Och, widzę go wyraźnie przed sobą, jakbym go znalazł! Przeplata banalne słowa o miłości, słodkie jak ulepek, z chamską brutalnością samca trzymanego w celibacie za drutami koszar. I nagle Łucja pojmuję, że czule słówka to tylko fałszywy woal na wilczym ciele chamstwa. I cały świat miłości jej się wali, zapada w otchłań odraży.

Tutaj się kryło źródło choroby, od tego musiałem zacząć. Człowiek, idący brzegiem morza i wymachujący zapamiętałe latarnią w wyciągniętej ręce, może być szaleńcem. Ale w nocy, kiedy na falach znajduje się zabłąkana łódź, ten sam człowiek jest wybawcą. Ziemia, na której żyjemy, jest terenem pogranicznym między niebem i piekłem. Żadne postępowanie nie jest samo przez się dobre ani złe. Dopiero jego miejsce w szeregu czyni je dobrym lub złym. Także i miłość fizyczna, Łucjo, sama przez się nie jest ani dobra, ani zła. Jeśli będzie w zgodzie z prawami, które ustanowił Bóg, jeśli będziesz kochała wiernym uczuciem, to i miłość będzie dobra, a ty będziesz szczęśliwa. Ponieważ tak już ustanowił Bóg, że

„opuści człowiek ojca i matkę i złączy się z żoną swoją, i będą dwoje w jednym ciele”.

Rozmawiałem z Łucją dzień w dzień; dzień w dzień powtarzałem jej, że uzyskała przebaczenie, że nie powinna się zadrećzać, że powinna rozpiąć kaftan bezpieczeństwa ściskający jej duszę, że powinna pokornie poddać się prawom boskim, wśród których i miłość fizyczna ma swoje miejsce.

Tak mijały tygodnie.

Potem przyszedł wiosenny dzień. Na zboczach wzgórz kwitły jabłonie, a ich korony poruszane łagodnym wiatrem przypominały rozkołysane dzwony. Zamknąłem oczy, by słyszeć ich aksamitny głos. A potem otwarłem oczy i ujrzałem Łucję w niebieskim płaszczu roboczym, z motyką w ręce. Patrzała w dół, w dolinę, i uśmiechała się.

Obserwowałem ten uśmiech i łapczywie w nim czytałem. Czy to możliwe? Przecież dusza Łucji była dotychczas w ciągłej ucieczce, ucieczce przed przeszłością i przyszłością. Wszystkiego się bała. Przeszłość i przyszłość były dla niej wodną otchłanią. Trzymała się kurczowo wątego czoła terażniejszości niczym niepewnej deski ratunku.

No proszę, a dzisiaj się uśmiecha. Bez przyczyny. Ot tak. Ten uśmiech mówił mi, że patrzy w przyszłość z ufnością. I poczułem się w tej chwili jak żeglarz, który po wielu miesiącach dopłynął do upragnionego lądu. Byłem szczęśliwy. Oparłem się o pochyły pień jabłoni i znów na chwilę zamknąłem oczy. Słyszałem delikatny szum wiatru i aksamitne dzwonicie białych koron jabłoni, słyszałem trele ptaków i te trele zamieniały mi się pod zamkniętymi powiekami w tysiące latarń i świateł niesionych przez niewidzialne ręce na wielką uroczystość. Nie widziałem tych rąk, ale słyszałem tony cienkich głosików i wydawało mi się, że to dzieci, wesoly dziecięcy korowód... I nagle poczułem dłoń na swojej twarzy. I usłyszałem głos: „Pan jest taki dobry...” Nie otworzyłem oczu. Nie poruszyłem ręką. Wciąż jeszcze widziałem ptasie głosy zamienione w korowód lampionów, wciąż jeszcze słyszałem dzwonicie jabłoni. A głos dokończył ciszej: „Ja pana kocham.”

Może powinienem był poczekać tylko na tę chwilę, a potem szybko odejść, ponieważ moje zadanie zostało spełnione. Ale zanim jeszcze cokolwiek zdołałem sobie uświadomić, ogarnęła mnie cudowna słabość. Byliśmy zupełnie sami na szerokiej przestrzeni między jabłonkami, wziąłem Łucję w ramiona i legliśmy razem na zielonym łożu natury.

Stało się to, co się stać nie powinno. Kiedy w uśmiechu Łucji ujrzałem jej pogodzoną z życiem duszę, osiągnąłem cel. Trzeba mi było odejść. Ale nie odszedłem. I źle się stało. Mieszkaliśmy nadal w tym samym pegeerze. Łucja była szczęśliwa, promieniała, podobna była do wiosny, która wokół nas powoli przechodziła już w lato. A ja zamiast być również szczęśliwy, bałem się tej żywiołowej wiosny, którą sam rozbudziłem i która zwracała się do mnie całym swym rozkwitającym kwieciami, o którym wiedziałem, że nie należy do mnie, że nie wolno mu do mnie należeć. Miałem przecież w Pradze syna i żonę, która cierpliwie czekała na moje rzadkie przyjazdy do domu.

Bałem się przerwać intymne stosunki z Łucją, żeby jej nie zranić, ale nie śmiałem ciągnąć ich dalej, wiedziałem bowiem, że nie mam do tego prawa. Pragnąłem Łucji, ale jednocześnie bałem się jej miłości, bo nie wiedziałem, co z nią począć. Z największym jedynie wysiłkiem utrzymywałem swobodny charakter naszych dawnych rozmów. Stały między nami moje wątpliwości. Wydawało mi się, że moja moralna pomoc dla Łucji została teraz zdemaskowana, że właściwie pragnąłem Łucji fizycznie od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem, że postępowałem jak uwodziciel strojący się w szaty pocieszyciela i kaznodziei. Że zatem wszystkie te rozmowy o Jezusie i Bogu były jedynie parawanem dla najbardziej przyziemnych, ziemskich namiętności. Wydawało mi się, że z chwilą gdy dałem upust swojej żądzy, skalałem czystość moich pierwotnych zamiarów i bez reszty zaprzepaściłem swoją zasługę przed Bogiem.

Ale gdy tylko doszedłem do tego wniosku, moje rozważania zrobiły w tył zwrot: co za pycha, krzyczałem na siebie w duchu, co za egoistyczne dążenie, pragnąć zasługi, chcieć podobać się Bogu! Cóż znaczą ludzkie zasługi w Jego oczach? Nic, nic, nic! Łucja mnie kocha i jej zdrowie zależy od mojej miłości! A jeżeli zepchnę ją z powrotem w otchłań rozpaczy tylko po to, żeby samemu być czystym? Czy Bóg właśnie dlatego nie będzie mną pogardzał? A jeśli nawet moja miłość jest grzechem, to co jest ważniejsze – życie Łucji czy moja niewinność? To przecież będzie mój grzech, tylko ja go wezmę na swoje sumienie, tylko ja sam wydam na siebie wyrok!

W te moje rozmyślania i wątpliwości wtargnęło nagle wydarzenie z zewnątrz. W centrali zmontowano przeciwko mojemu kierownikowi oskarżenie natury politycznej. Kierownik bronił się rękami i nogami, więc zarzucono mu na dodatek jeszcze i to, że otacza się podejrzanymi elementami. Jednym z tych „elementów” byłem ja: człowiek, który za poglądy antypaństwowe został wyrzucony z uniwersytetu, klerykał. Kierownik na próżno dowodził, że ani nie

jestem klerykałem, ani nie wyrzucono mnie z uniwersytetu. Im bardziej mnie bronił, tym bardziej dowodził swoich powiązań ze mną i tym bardziej sobie szkodził. Moja sytuacja była niemalże beznadziejna.

Krzywda, Ludwiku? Tak, to jest słowo, którego najczęściej pan używa, kiedy słyszy pan o tej historii albo o innych podobnych wypadkach. Ale ja nie wiem, co to jest krzywda. Jeśliby ponad sprawami ludzkimi nie było już nic innego i gdyby czyny miały tylko ten sens, jaki przypisują im ich autorzy, pojęcie „krzywda” miałoby rację bytu i ja także mógłbym mówić o krzywdzie, skoro wyrzucono mnie niemal z majątku państwowego, gdzie przedtem z całym oddaniem pracowałem. Może byłoby logiczne, gdybym się był bronił przed tą krzywdą i zaciekle walczył o swoje małe ludzkie prawa.

Tylko że fakty mają przeważnie inny sens niż ten, który przypisują im ich ślepi autorzy; są często zawołowanymi rozkazami z góry, a ludzie, którzy do nich dopuszczają, to tylko nieświadomi wykonawcy wyższej woli, której istnienia nawet nie przeczuwają.

Byłem więc pewny, że i tym razem tak właśnie jest. Dlatego też przyjąłem wypadki w pegeerze z ulgą. Widziałem w nich wyraźny nakaz: odejdz od Łucji, zanim będzie za późno. Twoje zadanie zostało wykonane. Jego owoce nie należą do ciebie. Twoja droga prowadzi gdzie indziej.

Zrobiłem więc to samo co dwa lata temu na Wydziale Przyrodniczym. Pożegnałem się z płaczącą i zrozpaczoną Łucją i wyszedłem naprzeciw spodziewanej katastrofie. Sam zaproponowałem, że odejdę z majątku. Kierownik się wprawdzie na to nie zgadzał, ale wiedziałem, że robi to jedynie dla przyzwoitości i że w głębi duszy jest zadowolony.

Tylko że tym razem dobrowolność mojej rezygnacji nikogo nie wzruszyła. Nie było tu przyjaciół-komunistów sprzed Lutego, którzy na odchodnym usłaliby mi drogę dobrą opinią i życzliwymi radami. Odchodziłem z pegeeru jako człowiek, który sam uznał, że nie jest godzien wykonywać w tym kraju jakiegokolwiek poważniejszej pracy. Zostałem więc robotnikiem budowlanym.

## 18

Był jesienny dzień roku 1956. Po raz pierwszy od pięciu lat spotkałem wtedy Ludwika w wagonie restauracyjnym pociągu pospiesznego jadącego z Pragi do Bratysławy. Ja jechałem na budowę jakiejś fabryki we Wschodnich Morawach, Ludwik zaś rozwiązał właśnie kontrakt- w kopalniach ostrawskich i

złożył w Pradze podanie o zezwolenie na dalsze studia. Teraz wracał do domu na Słowacko. Niewiele brakowało, żebyśmy się nie poznali. A kiedy się poznaliśmy, byliśmy obydwaj nawzajem zaskoczeni swoimi kolejami losu.

Pamiętam dobrze, Ludwiku, z jakim przejęciem słuchał pan, kiedy opowiadałem o swoim odejściu z uniwersytetu i o intrygach w pegeerze, które doprowadziły do tego, że zostałem murarzem. Dziękuję panu za to przejęcie. Wściekał się pan, mówił pan o niesprawiedliwości, o krzywdzie, o nieposzanowaniu inteligencji i o absurdalności polityki kadrowej. Rozzłościł się pan nawet na mnie: zarzucał mi pan, że się nie broniłem, że zrezygnowałem z walki. Mówił pan, że nigdy nie powinniśmy znikąd odchodzić dobrowolnie. Niechaj nasz przeciwnik będzie zmuszony uciec się do najgorszego! Po co oszczędzać mu wyrzutów sumienia?

Pan górnik, ja murarz. Nasze losy tak podobne, a my obaj tacy różni. Ja wybaczący, pan nieubłagany, ja spokojny, pan pełen buntu. Jak bardzo bliscy na zewnątrz, a jak dalecy wewnątrznie byliśmy obaj!

O tym naszym wewnętrznym dystansie wiedział pan o wiele mniej niż ja. Kiedy opowiadał mi pan ze szczegółami o tym, dlaczego usunięto pana w pięćdziesiątym roku z partii, sądził pan bez najmniejszej wątpliwości, że jestem po pana stronie i podobnie jak pan gorszę się bigoterią pańskich towarzyszy, którzy pana ukarali, ponieważ żartował pan sobie z tego, co oni uważali za święte. I cóż w tym było złego? – pytał pan ze szczerym zdumieniem.

Coś panu powiem: w Genewie, w okresie największych wpływów Kalwina, żył chłopiec, może nawet podobny do pana, inteligentny chłopiec, kpiarz, u którego znaleziono notatnik z ironicznymi uwagami na temat Jezusa Chrystusa i Ewangelii. I cóż w tym złego? – myślał zapewne ten chłopiec, taki podobny do pana. Przecież nie robił nic złego, tylko żartował. Nie wiedział, co to nienawiść. Wiedział pewnie tylko, co to niefrasobliwość i obojętność. Został stracony.

Ach, niech mnie pan nie uważa za zwolennika takiego okrucieństwa. Chcę tylko powiedzieć, że żadna wielka idea mająca przeobrazić świat nie toleruje drwiny i lekceważenia, bo to jest rdza, która wszystko przeżera.

Niech pan tylko popatrzy na swoją późniejszą postawę, Ludwiku. Wyrzucono pana z partii, usunięto ze studiów, zaszeregowano w wojsku do niebezpiecznych politycznie, a potem wysłano pana na następne dwa czy trzy lata do kopalni. A pan co? Zgorzkniał pan do głębi, przekonany o straszliwej krzywdzie. To poczucie krzywdy do dzisiaj określa całą pana postawę życiową. Nie rozumiem pana. Dlaczego mówi pan o krzywdzie? Posłali pana między



„czarnych żołnierzy”, między wrogów komunizmu. W porządku. Czy to była krzywda? Czy nie była to raczej dla pana wielka okazja? Mógł pan przecież działać wśród nieprzyjaciół. Czy istnieje ważniejsze i większe posłannictwo? Czyż Jezus nie posyła swych uczniów „jako owce między wilki”? „Nie trzeba zdrowym lekarza, ale źle się mającym” ...nie przyszedłem wzywać sprawiedliwych, ale grzesznych.” Pan jednak nie pragnął iść między grzesznych i chorych!

Powie pan, że moje porównanie jest nietrafne. Że Jezus posłał swych uczniów „między wilki” błogosławiąc ich na drogę, podczas gdy pan został najpierw wyobcowany i wyklęty, a dopiero potem posłany jako wróg między wrogi, jako wilk między wilki, jako grzesznik między grzesznych.

Ale czy zaprzecza pan temu, że istotnie był pan grzesznikiem? Czy rzeczywiście niczym nie zawinił pan wobec swojej organizacji? Skąd się w panu bierze ta pycha? Człowiek oddany swojej wierze jest pokorny i winien z pokorą przyjmować karę, nawet niesprawiedliwą. Poniżeni będą wywyższeni. Kajający się będą oczyszczeni. Ci, którym dzieje się krzywda, mają okazję sprawdzić, wypróbować własną wierność. Jeżeli miał pan żal do organizacji tylko dlatego, że włożyła na pańskie barki zbyt wielkie brzemie, to wiara pana była słaba i nie wytrzymał pan próby, której pana poddano.

W pańskim sporze z partią nie jestem po pana stronie, Ludwiku, ponieważ wiem, że wielkich rzeczy można dokonać na tym świecie tylko z gronem ludzi bezgranicznie oddanych, którzy pokornie poświęcą swe życie wyższemu celom. Pan, Ludwiku, nie jest bezgranicznie oddany. Pańska wiara jest wątła. Jakże by mogło być inaczej, skoro wiecznie powoływał się pan tylko na samego siebie i na swój ubogi rozum!

Nie jestem niewdzięczny, Ludwiku. Wiem, ile pan zrobił dla mnie i dla wielu innych, których dzisiejszy ustrój w jakiś sposób skrzywdził. Wykorzystuje pan swoje przedlutowe znajomości z wysoko postawionymi komunistami i swoje dzisiejsze stanowisko, żeby się wstawiać, interweniować, pomagać. Kocham pana za to. Ale na zakończenie powiem panu jednak: niech pan zajrzy na dno swojej duszy! Najgłębszym bodźcem pańskiej dobroczynności nie jest miłość, lecz nienawiść! Nienawiść do tych, którzy pana skrzywdzili, do tych, co na sali podnieśli rękę przeciwko panu! Pańska dusza nie zna Boga i dlatego nie zna też przebaczenia. Pragnie pan odwetu. Utożsamia pan tych, którzy kiedyś wyrządzili panu krzywdę, z tymi, którzy krzywdzą innych, i mści się pan na nich. Tak, pan się mści! Jest pan pełen nienawiści, mimo że pomaga pan ludziom! Czuję to. Czuję to w każdym pańskim słowie. Ale co innego może zrodzić nienawiść, jak

nie wzajemną nienawiść i łańcuch dalszych nienawiści? Żyje pan w piekle, Ludwiku, jeszcze raz to panu powtarzam, żyje pan w piekle i żal mi pana.

## 19

Gdyby Ludwik słyszał mój monolog, mógłby pomyśleć, że jestem niewdzięczny. Wiem, że bardzo mi pomógł. Wtedy w pięćdziesiątym szóstym roku, kiedy spotkaliśmy się w pociągu, bolał nad moim losem, żal mu było moich zdolności i natychmiast zaczął się zastanawiać, jak znaleźć dla mnie pracę, która dawałaby mi zadowolenie i w której mógłbym być lepiej wykorzystany. Zdumiało mnie wtedy, jak szybko i skutecznie zabrał się do rzeczy. Pogadał w swoim rodzinnym mieście z jakimś przyjacielem. Chciał, żebym uczył przyrody w tamtejszej szkole. To była z jego strony odwaga. Antyreligijna propaganda osiągnęła wtedy punkt kulminacyjny i przyjęcie do szkoły średniej wierzącego nauczyciela było rzeczą prawie niemożliwą. Wziął to zresztą pod uwagę również przyjaciel Ludwika i wymyślił inne rozwiązanie. W ten sposób dostałem się na oddział zakaźny tutejszego szpitala, gdzie już od ośmiu lat hoduję na myszach i królikach wirusy i bakterie.

Tak to jest. Gdyby nie Ludwik, nie mieszkałbym tutaj, a i Łucja by tu nie mieszkała.

W parę lat po moim odejściu z pegeeru wyszła za męża. Nie mogła zostać w majątku, ponieważ jej mąż szukał pracy w mieście. Zastanawiali się, gdzie by zarzucić kotwicę. I wtedy wymogła na swoim mężu, żeby się przeniósł tutaj, do miasta, w którym mieszkałem.

Nie otrzymałem nigdy w życiu większego daru, większej nagrody. Moja owieczka, moja gołąbka, moje dziecko, które uzdrowiłem i wykarmiłem własną duszą, powraca do mnie. Niczego ode mnie nie chce. Ma swego męża. Ale chce być blisko mnie. Jestem jej potrzebny. Musi czasami słyszeć mój głos. Widzieć mnie na niedzielnej mszy. Spotykać mnie na ulicy. Byłem szczęśliwy i w tej chwili zdałem sobie sprawę, że nie jestem już młody, że jestem starszy, niż sądzę, i może Łucja jest jedynym dziełem mego życia.

Że to mało, Ludwiku? Wcale nie. To wystarczy, a ja jestem szczęśliwy. Jestem szczęśliwy, szczęśliwy, szczęśliwy...

O, jakże ja sam siebie okłamuję! Z jakim uporem staram się utwierdzić w przekonaniu o słuszności swojej drogi życiowej! Jak chętnie się siłą swojej wiary przed niewierzącym!

Tak, udało mi się Łucję doprowadzić do wiary w Boga. Udało mi się uleczyć ją i ukoić. Uwolniłem ją z odrazy do miłości fizycznej. I w końcu zszedłem jej z drogi. Tak, ale co dobrego jej przez to dałem?

Małżeństwo Łucji nie jest udane. Jej mąż to gbur, otwarcie ją zdradza i mówią, że ją źle traktuje. Łucja nigdy mi się do tego nie przyznała. Wie, że to by mnie zmartwiło. Ze swego życia stwarzała dla mnie atrapę szczęścia. Ale mieszkamy w małym mieście, gdzie nic nie da się ukryć.

O, jak ja potrafię się okłamywać! Zrozumiałem intrygi polityczne, wymierzone przeciw kierownikowi pegeeru, jako zaszyfrowany nakaz Boga, bym odszedł. Ale jak rozpoznać głos Boga wśród tylu innych głosów? A jeżeli głos, który wówczas usłyszałem, był tylko głosem mego tchórzostwa?

Miałem przecież w Pradze żonę i dziecko. Nie byłem do nich przywiązany, ale nie umiałem także od nich odejść. Bałem się sytuacji bez wyjścia. Bałem się miłości Łucji, nie wiedziałem, co z nią począć. Przerazały mnie komplikacje, w jakie by mnie wplątała.

Udawałem anioła, który jej przynosi zbawienie, a w rzeczywistości byłem tylko jeszcze jednym z jej gwałcicieli. Raz jeden tylko ją miałem i odwróciłem się od niej. Udawałem, że przynoszę jej przebaczenie, a tymczasem to ona miała mi co przebaczać. Była zrozpaczona i płakała, kiedy wyjeżdżałem, a jednak w parę lat później przyjechała tu za mną i tutaj zamieszkała. Rozmawiała ze mną. Zwracała się do mnie jako do przyjaciela. Miałem jej życie w swoim ręku. W mojej mocy było jej szczęście. I uciekłem. Nikt nigdy nie zawinił wobec niej tak jak ja. I oto przychodzi mi na myśl, że używam domniemanych rozkazów bożych jedynie jako pretekstu, by móc się wykręcić od swoich ludzkich obowiązków. Boję się kobiet. Boję się ich ciepła. Boję się ich nieustannej obecności. Przerazało mnie życie z Łucją, tak samo jak przeraża mnie myśl, że miałbym się przenieść na stałe do dwupokojowego mieszkania nauczycielki w sąsiednim mieście.

A dlaczego właściwie piętnaście lat temu dobrowolnie odszedłem z uniwersytetu? Nie kochałem swojej żony, która była o sześć lat starsza ode mnie. Nie mogłem już znieść ani jej głosu, ani jej twarzy, nawet regularnego tykania zegara w domu nie byłem już w stanie wytrzymać. Nie mogłem z nią żyć, ale nie

mogłem także jej skrzywdzić rozwodząc się z nią, ponieważ była dobra i nigdy niczym wobec mnie nie zawiniła. I oto nagle usłyszałem zbawienny głos uroczystego wezwania. Usłyszałem Jezusa, jak wołał, bym porzucił swoje sieci.

O Boże, czy naprawdę tak jest? Czy naprawdę jestem tak żałośnie śmieszny? Powiedz, że tak nie jest! Upewnij mnie! Odezwij się, Boże, odezwij się głośnie! Nie słyszę Cię wcale wśród tego zgiełku niewyraźnych głosów!

## 1

Kiedy późnym wieczorem wróciłem od Kostki do siebie do hotelu, byłem zdecydowany wyjechać nazajutrz rano do Pragi, ponieważ nie miałem tu już czego szukać; moja podstępna misja w rodzinnym mieście była skończona. Na nieszczęście jednak miałem w głowie taki kołowrót, że do późnej nocy przewracałem się na łóżku (skrzypiącym łóżku) i nie mogłem zasnąć; kiedy wreszcie usnąłem, spałem niespokojnie, co chwila się budziłem, i dopiero nad ranem zapadłem w głębszy sen. Wskutek tego obudziłem się późno, dopiero koło dziewiątej, ranne autobusy i pociągi już odeszły, a najbliższe połączenie z Pragą miałem dopiero koło drugiej po południu. Kiedy to sobie uprzytomniłem, ogarnęła mnie niemalże rozpacz; czułem się tu jak rozbitek i nagle gorąco zatęskniłem za Pragą, za swoją pracą, za biurkiem w swoim mieszkaniu, za książkami. Ale nie było rady: musiałem zacisnąć zęby i zejść na dół do restauracji na śniadanie.

Wszedłem tam ostrożnie, bałem się bowiem, że mogę się spotkać z Heleną. Ale nie było jej tam (pewno uganiała już po sąsiedniej wsi z magnetofonem przewieszonym przez ramię i zawracała głowę przypadkowym przechodniom idiotycznymi pytaniami podsuwając im mikrofon); za to sala restauracyjna pełna była ludzi, którzy głośno rozmawiając i paląc siedzieli nad swoim piwem, kawą, żytniówką czy koniakiem. Biada mi. Zrozumiałem, że i tym razem moje rodzinne miasto nie użyczy mi przyzwoitego śniadania.

Wyszedłem na ulicę; błękitne niebo, strzępiaste chmurki, rosnący upał, lekko unoszący się kurz, ulica wychodząca na równy szeroki plac ze sterczącą na nim wieżą (tak, z tą, która przypomina żołnierza w hełmie), wszystko to owionęło mnie smętkiem pustki. Z daleka dobiegał podchmielony wrzask rzewnej słowackiej piosenki (w której, jak mi się wydawało, zaklęty był smutek, step i długotrwały galop zwerbowanych ułanów) i w myśli wynurzyła mi się Łucja, ta dawno przebrzmiała historia, która w owej chwili przypominała tę rzewną pieśń i przemawiała do mego serca, przez które przeszło (jak przez step) kilka kobiet, nic tam po sobie nie pozostawiając, tak jak unoszący się kurz nie pozostawia śladu na tym płaskim rozległym placu, osiada między kostkami bruku, znowu się wzbija i znowu z powiewem wiatru sunie dalej.

Stapałem po tych pokrytych kurzem kostkach bruku i czułem przytłaczającą lekkość pustki, która legła na moim życiu: Łucja, bogini ulotności, zabrała mi kiedyś samą siebie, wczoraj obróciła wniwecz moją precyzyjnie obmyśloną zemstę, a zaraz potem zamieniła także i wspomnienie o sobie w coś rozpaczliwie śmiesznego, w jakąś groteskową pomyłkę, ponieważ to, co mi opowiedział Kostka, świadczyło o tym, że przez wszystkie te lata wspominałem kogoś innego niż ona, nigdy bowiem właściwie nie wiedziałem, kim jest Łucja.

Zawsze z upodobaniem powtarzałem sobie, że jest dla mnie jakąś abstrakcją, legendą i mitem, ale teraz zrozumiałem, że w tych poetycznych terminach kryła się prawda bynajmniej nie poetyczna; że nie znałem Łucji; że nie znałem jej takiej, jaka była naprawdę, jaka była sama przez się i dla siebie. Nie dostrzegałem w niej (w ślepym egocentryzmie) nic poza tymi stronami jej osobowości, które bezpośrednio mnie dotyczyły (mojej samotności, mojej niewoli, mojej potrzeby czułości i ciepła); nie była dla mnie niczym więcej niż funkcją mojej własnej sytuacji życiowej; wszystko, co wykraczało w niej poza tę moją sytuację, wszystko, co było tylko nią samą, wymykało mi się. Ale skoro istotnie była dla mnie jedynie funkcją pewnej sytuacji, to jest zupełnie logiczne, że z chwilą gdy sytuacja ta uległa zmianie (gdy wytworzyła się inna sytuacja, gdy ja sam zestarzałem się i zmieniłem), zniknęła również moja Łucja, ponieważ potem była już tylko tym, co mi się w niej wymknęło, co mnie nie dotyczyło, czym wybiegała poza mnie. I dlatego też zupełnie logiczne było to, że po piętnastu latach w ogóle jej nie poznałem. Już od dawna była dla mnie (a ja nie myślałem o niej inaczej, jak tylko o „istocie dla mnie”) innym, obcym człowiekiem.

Piętnaście lat szła za mną depesza o mojej porażce i dogoniła mnie. Ten dziwak Kostka (którego zawsze traktowałem tylko na wpół serio) znaczył dla niej więcej, więcej dla niej uczynił, lepiej ją znał i lepiej (nie chcę powiedzieć bardziej, ponieważ siła mojej miłości była maksymalna) ją kochał: wyznała mu wszystko – mnie nic; uczynił ją szczęśliwą – ja nieszczęśliwą; poznał jej ciało – ja nigdy. A przecież na to, bym posiadał jej ciało, którego tak desperacko pożądałem, wystarczyłaby tylko jedna całkiem prosta rzecz: żebym ją rozumiał, żebym ją znał, żebym ją kochał nie tylko za to, co wiązało się ze mną, ale i za to, co w niej nie dotyczyło mnie bezpośrednio, czym była sama przez się i dla siebie. Ale ja tego nie potrafiłem i dlatego wyrzodziłem krzywdę i sobie, i jej. Zalała mnie fala gniewu na siebie samego, na mój ówczesny wiek, liryczny wiek, kiedy człowiek sam dla siebie jest zbyt wielką zagadką, by mógł interesować się zagadkami, które są poza nim, i kiedy ci inni (choćby najbardziej kochani) są dla niego jedynie ruchomym zwierciadłem, w którym ze zdumieniem ogląda swoje własne

uczucia, własne wzruszenie, własną wartość. Tak, przez całe te piętnaście lat myślałem o Łucji jedynie jako o zwierciadle, w którym zachował się mój ówczesny obraz.

Ujrzałem chłodny pokój z jednym jedynym łóżkiem, na które przez brudną szybę padało światło latarni, ujrzałem zaciekły opór Łucji. Wszystko to przypominało kiepski żart: ja uważałem ją za dziewicę, a ona opierała mi się właśnie dlatego, że dziewicą nie była i bała się prawdopodobnie chwili, kiedy odkryję tę prawdę. Albo też jej opór miał jeszcze inne uzasadnienie (które koresponduje z wizerunkiem Łucji, jaki wytworzył sobie Kostka): pierwsze drastyczne przeżycia seksualne zohydziły Łucji akt miłosny i pozbawiły go dla niej znaczenia, które posiada on dla większości ludzi; odarły go bez reszty z tkliwości i uczucia; dla tej dziewczynki-kurewki ciało było czymś wstrętnym, a miłość czymś bezcielesnym; dusza wypowiedziała ciału cichą i nieubłaganą wojnę.

To wytłumaczenie (takie melodramatyczne, a takie przecież prawdopodobne) przemawiało do mnie, uprzytamniając mi owo żałosne rozdarcie (sam tak dobrze je znałem w wielu postaciach) między duszą i ciałem, i przywodziło mi na myśl (ponieważ smutek ustawicznie przeplatał się tu ze śmiesznością) historię, która kiedyś serdecznie mnie ubawiła: jedna moja dobra znajoma, kobieta lekkich raczej obyczajów (z których sam zresztą do woli korzystałem), zaręczyła się z pewnym fizykiem i była zdecydowana tym razem wreszcie przeżyć miłość; żeby jednak była to prawdziwa miłość (w odróżnieniu od niezliczonych stosunków miłosnych, jakie miała za sobą), odmawiała narzeczonemu aż do nocy poślubnej zbliżenia fizycznego; wieczorami spacerowała z nim wśród drzew, ścisnęła mu rękę, całowała się z nim w cieniu latarni i w ten sposób pozwalała, by jej dusza (nie obciążona sprawami ciała) przeżywała zawrotne wzloty. W miesiąc po ślubie rozwiodła się z nim i skarżyła się rozgoryczona, że zawiódł jej wielkie uczucia, ponieważ okazał się kiepskim kochankiem, niemalże impotentem.

Z dala wciąż jeszcze dobiegał pijany wrzask, rzewna słowacka pieśń mieszała się z groteskowym posmakiem wspomnianej historii, z jałową pustką miasta i z moim smutkiem, do którego teraz na dodatek dołączył się głód. Byłem zresztą kilka kroków od baru mlecznego, szarpnąłem drzwiami, ale były zamknięte, jakiś człowiek przechodził obok i powiedział:

– Ano tak, dzisiaj cały bar mleczny jest na uroczystości.

– Na Jeździe Królów?

– Aha, mają tam swoje stoisko.

Zakląłem, ale musiałem się z tym pogodzić; ruszyłem w kierunku, skąd dobiegał śpiew. Na folklorystyczną imprezę, której z uporem unikałem, prowadził mnie mój kruczający z głodu żołądek.

## 2

Zmęczenie. Od samego rana zmęczenie. Jakbym całą noc przehulał. A ja całą noc spałem. Tylko że mój sen to już zaledwie serwatka snu. Przy śniadaniu tłumilem ziewanie. Potem powoli zaczęli się do nas schodzić ludzie. Koledzy Włodzimierza i przeróżni gapie. Parobczak ze spółdzielni produkcyjnej przyprowadził na nasze podwórze konia dla Włodzimierza. I nagle wśród tej gromady zjawił się Kalaszek, referent kulturalny z Powiatowej Rady Narodowej. Już od dwóch lat prowadzę z nim wojnę. Był w czarnym ubraniu, minę miał uroczystą, a u jego boku stała jakaś elegancka pani. Redaktorka z praskiego radia. Że niby muszę iść razem z nimi. Ta pani chce nagrać rozmowy do audycji o Jeździe Królów.

Dajcie mi święty spokój! Nie będę z siebie robił błazna. Redaktorka rozplywała się z zachwytem, że mnie osobiście poznała, a Kalaszek jej basował. Że niby to mój polityczny obowiązek, że muszę iść. Bałwan. Byłbym im odmówił. Powiedziałem, że mój syn będzie dzisiaj królem i że chcę być przy tym, jak się przygotowuje. Ale Vlasta podstępnie zaatakowała mnie z flanki: że to jej rzecz przygotować syna. A ja żebym poszedł i mówił do radia.

No więc w końcu posłusznie poszedłem. Redaktorka była zakwaterowana w jednym z pomieszczeń tutejszej Rady Narodowej. Miała tam magnetofon i młodego chłopaka, który go obsługiwał. Gadała jak najęta i ciągle się śmiała. Potem podniosła mikrofon do ust i zadała Kalaszekowi pierwsze pytanie.

Kalaszek odchrząknął i zaczął: – Pielęgnowanie sztuki ludowej – mówił – jest nieodłączną częścią wychowania komunistycznego. Powiatowa Rada Narodowa w pełni to rozumie. Dlatego też i w pełni popiera. Życzy organizatorom pełnego sukcesu i w pełni pochwała, dziękuje wszystkim, którzy się przyczynili. Pełni zapału organizatorzy i pełna zapału diatwa szkolna, która w pełni...

Zmęczenie, zmęczenie. Wciąż te same słowa. Przez piętnaście lat słyszeć wciąż te same słowa. A teraz słyszeć je z ust Kalaszka, który przecież sztukę ludową ma w nosie. Sztuka ludowa to dla niego środek. Środek do pochwalenia się nową akcją. Do realizowania wytycznych. Do podkreślenia swoich zasług. Nie



ruszył palcem w sprawie Jazdy Królów i skapi nam każdego grosza. Mimo to Jazda Królów zostanie zapisana na jego konto. Jest władcą kultury w powiecie. Dawny subiekt sklepowy, który nie odróżnia skrzypiec od gitary.

Redaktorka przysunęła sobie mikrofon do ust. Czy jestem zadowolony z tegorocznej Jazdy Królów. Chciałem z niej zakpić. Przecież Jazda Królów jeszcze się nie rozpoczęła! Ale to ona sobie ze mnie zakpiła. Jestem jakoby tak doświadczonym folklorystą, że z pewnością wiem, jak to wypadnie. Tak, oni wszystko wiedzą z góry. Przebieg wszystkich wydarzeń jest im z góry znany. Przyszłość dawno już się odbyła i będzie się dla nich tylko powtarzać.

Miałem ochotę powiedzieć jej wszystko, co myślę. Że Jazda Królów wypadnie gorzej niż w innych latach. Że sztuka ludowa z roku na rok traci zwolenników. Że traci również dawniejsze zainteresowanie ze strony oficjalnych instytucji. Że jest już prawie martwa. To, że od czasu do czasu odzywa się z radia jakaś ludowa muzyka, nie może nas zwać. Wszystkie te orkiestry złożone z instrumentów ludowych i zespoły ludowej pieśni i tańca to raczej opera czy operetka, albo muzyka rozrywkowa, ale nie sztuka ludowa. Orkiestra złożona z instrumentów ludowych z dyrygentem, partyturą, pulpitem na nuty! Nieomalże instrumentacja symfoniczna! Co za nędzna parodia! Te orkiestry i zespoły, które pani zna, pani redaktor, to jedynie dawna romantyczna myśl muzyczna, która wypożyczyła sobie ludowe melodie! Prawdziwa sztuka ludowa już nie żyje, tak, pani redaktor, nie żyje.

Chciałem to jednym tchem wykrzyknąć do mikrofonu, ale w końcu powiedziałem co innego. Jazda Królów była wspaniała. Potęga sztuki ludowej. Feeria barw. Całkowicie pochwalam. Dziękuję wszystkim, którzy się przyczynili. Pełni zapachu organizatorzy i dziatwa, która w pełni...

Wstyd mi było, że mówię tak, jak oni chcą. Na podwórzu kręciło się mnóstwo gapiów i rozmaitych pomocników, którzy przystrajali konie wstążkami i kokardami. Chciałem zobaczyć, jak przygotowuje się Włodzimierz. Wszedłem do domu, ale drzwi pokoju gościnnego, gdzie go ubierano, były zamknięte. Zapukałem i krzyknąłem. Ze środka odezwała się Vlasta. Nie masz tu nic do roboty, tutaj ubiera się król. Do diabła, mówię, dlaczego nie miałbym tam nic do roboty? To sprzeczne z tradycją, odpowiedział mi ze środka głos Vlasty. Nie wiem, dlaczego miałyby być sprzeczne z tradycją, że ojciec asystuje przy ubieraniu króla, ale już jej tego nie wymawiałem. Wyczułem w jej głosie podniecenie i ucieszyło mnie to. Cieszyło mnie, że wciągnął ich mój świat. Mój biedny, osierocony świat.

Wyszedłem więc z powrotem na podwórze i wdałem się w rozmowę z ludźmi, którzy przystrajali konia. Był to ciężki pociagowy koń ze spółdzielni. Cierpliwy i spokojny.

Potem usłyszałem zgiełk ludzkich głosów dobiegający z ulicy przez zamknięte wrota. A potem krzyki i dobijanie się. Nadeszła moja chwila. Byłem zdenerwowany. Otworzyłem wrota i wyszedłem przed nie. Jazda Królów uformowała się przed moim domem. Konie przystrojone wstążkami. Na nich młodzieńcy w barwnych strojach regionalnych. Tak jak dwadzieścia lat temu. Jak dwadzieścia lat temu, kiedy przyjechali po mnie. Kiedy prosili mego ojca, by dał im swego syna na króla.

Na samym przedzie, tuż przed bramą naszego domu, siedziało na koniach dwóch paziów, w kobiecym przebraniu, z szablami w ręce. Czekali na Włodzimierza, żeby mu towarzyszyć i przez cały dzień tworzyć jego straż przyboczną. W ich stronę podjechał teraz z zastępu jeździec, młody mężczyzna, zatrzymał konia tuż przede mną i zaczął wierszem:

Chyżej, chyżej, posłuchajcie!

Tatulu miły, przyszliśmy po was żądać,

abyście nam mogli syna waszego na króla oddać.\*

Potem obiecał, że będą dobrze króla strzegli. Że przeprowadzą go między wrogimi wojskami. Że nie pozwolą, by wpadł w ręce nieprzyjaciół. Że są gotowi do boju. Chyżej, chyżej.

Obejrzałem się za siebie: w mrocznej bramie naszego domu siedziała już na przystrojonym koniu postać w kobiecym stroju o bufiastych rękawach, ze wstążkami opadającymi na twarz. Król. Włodzimierz. Zapomniałem naraz o swoim zmęczeniu i złym humorze i było mi dobrze. Stary król wysłał w świat młodego króla. Odwróciłem się i podszedłem do niego. Stałem obok konia i wspierałem się na palce, aby moje usta były jak najbliżej jego zasłoniętej twarzy.

– Szczęśliwej drogi, Włodziu! – szepnąłem.

Nie odpowiedział. Nie drgnął. Ale Vlasta rzekła do mnie z uśmiechem:

– Nie wolno mu się odzywać. Aż do wieczora nie wolno mu powiedzieć ani słowa.

---

\* Wiersze z *Jazdy Królów* przełożyła Anna Kamińska.

Minał chyba zaledwie kwadrans, i znalazłem się na wsi (w czasach mojej młodości między wsią a miastem ciągnęły się pola, dzisiaj jednak tworzy z nim już niemal jedną całość); śpiew, który słyszałem w mieście (dobiegał tam tęskny i daleki), rozbrzmiewał teraz z całą siłą, płynął bowiem z głośników umieszczonych na domach lub na słupach sieci elektrycznej (ach, głupiec ze mnie, wiecznie okłamywany: jeszcze przed chwilą dałem się rozrzewnić temu tęsknemu i pijanemu rzekomo głosowi, a tymczasem był to tylko głos mechanicznie odtworzony, który zawdzięczać należało aparaturze nadawczej w gmachu Rady Narodowej i dwóm zgranym płytom!); niedaleko przed centrum wsi wznosiła się brama triumfalna z wielkim papierowym transparentem, na którym dużymi czerwonymi literami wypisano: WITAMY WAS; ludzie tłoczyli się tu już gromadnie, byli przeważnie w cywilnych ubraniach, ale tu i ówdzie widziało się między nimi starszych mężczyzn w strojach regionalnych: w butach z cholewami, w białych lnianych portkach i wyszywanych koszulach. Ulica rozszerzała się tu już w plac wiejski: pomiędzy szosą a szeregiem domków rozpościerał się szeroki pas trawy, a na nim rzadko posadzone drzewka, między którymi ustawiono (na dzisiejszą uroczystość) kilka straganów, gdzie sprzedawano piwo, lemoniadę, fistaszki, czekoladę, pierniki, parówki z musztardą i andrutę; w jednym ze stoisk ulokował się bar mleczny: tutaj oferowano mleko, sery, masło, koktajle mleczne, jogurt i kwaśną śmietanę; alkoholu (poza piwem) nie sprzedawano na żadnym stoisku, mimo to jednak miałem wrażenie, że większość ludzi jest pijana; tłoczyli się przy straganach, przeszkadzali sobie nawzajem, stali zagapieni, tu i ówdzie ktoś zaczynał śpiewać, ale było to za każdym razem tylko podniesienie głosu (któremu towarzyszyło podniesienie ręki), dwa, trzy takty piosenki, tonące natychmiast w ogólnej wrzawie, wśród której rozbrzmiewała nie dająca się zagłuszyć płyta gramofonowa z pieśnią ludową. Po całym placu poniewierały się już (choć było wcześniej i Jazda Królów jeszcze nie wyruszyła) porzucone kubki od piwa z woskowanego papieru i tekturowe tacki poplamione musztardą.

Stoisko z mlekiem i jogurtem załatywało abstynencją i zrażało klientów; kiedy niemal bez czekania udało mi się dostać kubek mleka i rogalik, wycofałem się na nieco mniej zatłoczoną przestrzeń, żeby nikt mnie nie potraçał, i wypilem łyk mleka. W tej chwili z drugiego końca placu dobiegł tumult: Jazda Królów wjeżdżała do centrum wsi.

Czarne kapelusiki z kogucimi piórami, szerokie, suto marszczone rękawy białych koszul, niebieskie serdaki z czerwonymi kłębuszkami wełny, barwne papierowe wstażki powiewające nad końskimi łbami zapełniły cały plac; i od razu

wśród brzęczenia ludzkiej ciżby i pieśni z głośników odezwały się nowe odgłosy: rżenie koni i pokrzykiwania jeźdźców.

Chyżej, chyżej, posłuchajcie!

Wyżni, nadolni, domowi, zapolni.

Co się przydarzyło tej świętej niedzieli.

Mamy króla ubogiego, ale wielce poczciwego.

Ukradli mu tysiąc wołów

Z próżnego dworu.

Powstał niesamowity chaos dźwięków i obrazów, gdzie wszystko przekrzykiwało się nawzajem: folklor z głośników z folklorem na koniach; barwność strojów ludowych i koni z burą szarzyzną źle uszytych cywilnych ubrań publiczności; mozolna spontaniczność odzianych w regionalne stroje jeźdźców z mozolną gorliwością porządkowych, którzy z czerwonymi opaskami na rękawach biegali pomiędzy końmi i publicznością, starając się utrzymać powstały chaos w granicach jakiegoś porządku, co wcale nie było takie proste, nie tylko na skutek niedyscyplinowania widzów (na szczęście niezbyt licznych), ale głównie dlatego, że ruch na szosie nie został zamknięty; porządkowi stali po obu końcach konnego orszaku i dawali samochodom znaki, by zwolniły tempo; między końmi więc przedzierały się ciężarówki i ryczące motocykle, konie stawały się niespokojne, a jeźdźcy niepewni.

Jeśli mam być szczery, to wymigując się z takim uporem z uczestnictwa w tym (i w każdym innym) regionalnym obchodzie-, obawiałem się czegoś innego niż to, co widziałem teraz: liczyłem się z brakiem dobrego smaku, z pozbawionym stylu mieszanym prawdziwej sztuki ludowej ze szmirą, liczyłem się z inauguracyjnymi przemówieniami głupich mówców, z wszelkiego rodzaju aktualizacją (nie zdziwiłbym się, gdyby gorliwi działacze zrobili z Jazdy Królów, dajmy na to, Jazdę Partyzantów), tak, liczyłem się ze wszystkim najgorszym, z bombastycznością i fałszem, ale nie spodziewałem się tego, co od samego początku nieubłagane cechowało tę uroczystość, nie liczyłem się z tym smutnym, wruszającym niemal ubóstwem; wyzierało tu ono ze wszystkiego: z tych paru straganów, z tej nielicznej, ale i idealnie niedyscyplinowanej, nieuważnej publiczności, z tego skłócenia normalnej, zwykłej komunikacji z anachronicznym obchodem, z tych płoszących się koni, z tego ryczącego głośnika, który siłą bezwładu rozpedzonej maszyny wykrzykiwał w przestrzeń

wciąż te same pieśni ludowe, tak że całkowicie zagłuszył (wraz z warkotem motocykli) młodziutkich jeźdźców, którzy z nabrzmiałymi na szyjach żyłami wykrzykiwali swoje wiersze.

Wyrzuciłem kubek po mleku, a Jazda Królów, kiedy już wystarczająco zaprezentowała się zgromadzonej na wiejskim placu publiczności, ruszyła w swoją wielogodzinną wędrówkę po wsi. Wszystko to dobrze znałem, przecież kiedyś, w ostatnim roku wojny, sam jechałem jako paź (ubrany w odświętny strój kobiecy, z szablą w prawej ręce) u boku Jarosława, który był wtedy królem. Nie miałem ochoty roztkliwiać się wspomnieniami, ale (jak gdyby ubóstwo całej tej uroczystości mnie rozbroiło) nie chciałem też na siłę odwracać się od obrazu, który mi się nasuwał; powoli ruszyłem za konnym orszakami, który rozwinał się teraz wszcz: środkiem szosy jechało ciasno przy sobie trzech jeźdźców: w środku król, a z każdej jego strony paź z szablą i w kobiecym odzieniu. Koło nich kręciło się swobodnie jeszcze kilku jeźdźców z przybocznej drużyny króla – tak zwani ministrowie. Reszta zastępu rozdzieliła się na dwa samodzielnie skrzydła, jadące po dwóch stronach szosy; i tutaj role jeźdźców były dokładnie wyznaczone: byli tu chorążowie (każdy z chorągwią, której drzewce tkwiło zatknięte za cholewą buta, tak że czerwono wyszywana flaga trzepotała przy boku konia), byli tu wywoływacze (przed każdym domem wykrzykiwali wierszowaną wieść o królu, poczciwym, ale biednym, któremu skradziono złota pół garnca z pustego skarbcza, któremu skradziono sto cztery woły z pustej obory) i w końcu poborcy (którzy nawoływali tylko do składania darów: „Na króla, matuchno, na króla!” i nadstawiali wiklinowy kosz na podarki).

#### 4

Dziękuję ci, Ludwiku, to dopiero osiem dni, jak ciebie znam, a kocham cię jak jeszcze nigdy nikt, kocham cię i wierzę ci, nie zastanawiam się nad niczym i wierzę, bo gdyby nawet rozum mnie okłamywał, okłamywała dusza, to ciało nie zna kłamstwa, ciało jest uczciwsze niż dusza, a moje ciało wie, że nie zaznało jeszcze nigdy tego co wczoraj, namiętności, tkliwości, okrucieństwa, rozkoszy i bólu, mojemu ciału nigdy się o czymś podobnym nie śniło, nasze ciała składały sobie wczoraj przysięgę, a teraz nasze myśli niechaj idą posłusznie za głosem naszych ciał, znam cię dopiero osiem dni i dziękuję ci, Ludwiku.

Dziękuję ci też za to, żeś przyszedł, gdy był już najwyższy czas, dziękuję, żeś mnie uratował. Od rana był dziś piękny dzień, niebo błękitne, i we mnie było błękitnie, wszystko od rana mi się udawało, poszliśmy nagrać, jak uczestnicy

Jazdy przychodzą do rodziców, prosząc, by dali im syna na króla, i tam nagle do mnie podszedł, przelękłam się, nie wiedziałam, że już tu jest, nie spodziewałam się, że tak prędko przyjedzie z Bratysławy, nie spodziewałam się też, że będzie taki okrutny, wyobraź sobie, Ludwiku, był na tyle bezczelny, że przyjechał z nią!

A ja, głupia, do ostatniej chwili wierzyłam, że moje małżeństwo nie jest jeszcze zupełnie stracone, że da się uratować, niewiele brakowało, żebym ja, głupia, poświęciła dla tego zmarnowanego małżeństwa nawet ciebie, żebym nie zgodziła się na spotkanie z tobą tutaj, znów dałam się jak idiotka prawie że uwieść temu jego słodkiemu głosowi, kiedy mówił, że wstąpi tu po mnie z Bratysławy, że ma mi wiele do powiedzenia, że chce ze mną szczerze porozmawiać, a tymczasem przyjechał z nią, z tą smarkatą, z tym kociakiem, dwudziestodwuletnia dziewczyna, o trzynaście lat młodsza ode mnie, to takie upokarzające przegrać tylko dlatego, że urodziłam się wcześniej, miałoby się ochotę wyc z bezsilności, ale nie wolno mi było wyc, musiałam się uśmiechnąć, uprzejmie podać jej rękę, dziękuję ci, że dałeś mi siłę, Ludwiku.

Kiedy odeszła o parę kroków, powiedział, że teraz mamy okazję o wszystkim porozmawiać szczerze we trójkę, tak jego zdaniem będzie uczciwiej; uczciwość, uczciwość, znam tę jego uczciwość, już dwa lata żebrze o rozwód, ale wie, że w cztery oczy ze mną nic nie wskóra, liczy, że przed tą dziewczyną będzie mi wstyd, że nie odważę się grać hańbiącej roli nieustępliwej małżonki, że się załamię, rozplaczę i dobrowolnie poddam. Nienawidzę go, najspokojniej w świecie wbija mi nóż pod żebra, właśnie w tej chwili, kiedy pracuję, kiedy przygotowuję reportaż, kiedy potrzebny mi jest spokój, powinien przynajmniej uszanować moją pracę, powinien się trochę w nią wczuć, i tak jest stale, od wielu lat, wciąż jestem spychana na ostatni plan, stale przegrywam, wciąż jestem upokarzana, ale teraz zrodził się we mnie bunt, czułam za sobą ciebie i twoją miłość, czułam cię jeszcze w sobie i na sobie, i ci cudowni kolorowi jeźdźcy koło mnie, pokrzykujący radośnie, jak gdyby wołali, że istniejesz, że istnieje życie, że istnieje przyszłość, i poczułam w sobie dumę, którą już niemal zatraciłam, to uczucie dumy zalało mnie jak fala, udało mi się mile uśmiechnąć i powiedziałam mu: nie ma chyba potrzeby, żebym jechała do Pragi razem z wami, nie będę wam przeszkadzać, mam tu wóz z radia, a co do tej rozmowy, o którą ci chodzi, to można całą sprawę załatwić bardzo szybko, mogę ci przedstawić człowieka, z którym chcę żyć, na pewno wszyscy z łatwością dojdziemy do porozumienia.

Być może popełniłam szaleństwo, ale jeśli nawet, to nic. Warto je było popełnić za cenę tej chwili słodkiej dumy, warto było, on momentalnie stał się sto razy miłszy, był wyraźnie zadowolony, ale bał się, czy ja aby na pewno mówię

poważnie, kazał mi to powtórzyć, wymieniłam mu twoje pełne imię i nazwisko, Ludwik Jahn, Ludwik Jahn, a na zakończenie powiedziałam wyraźnie, nie bój się, daję ci słowo honoru, że nie kiwnę już palcem, by przeszkodzić naszemu rozwodowi, nie bój się, nie chcę już ciebie, nawet gdybyś ty mnie chciał. Powiedział na to, że zostaniemy przyjaciółmi, uśmiechnęłam się i odrzekłam, że w to nie wątpię.

## 5

Wiele lat temu, gdy jeszcze grywałem w kapeli na klawirze, łamaliśmy sobie głowę, co właściwie Jazda Królów oznacza. Kiedy pobity król węgierski Maciej uciekał z Czech na Węgry, jego konnica musiała go tutaj na terenie Moraw ukrywać przed czeskim pościgiem i żebraniną zdobywać żywność dla siebie i dla niego. Mówiono, że Jazda Królów urządzana jest na pamiątkę tego historycznego zdarzenia, ale starczyło pogrzebać trochę w starych dokumentach, żeby stwierdzić, że uroczystość Jazdy Królów jest dużo starsza niż wspomniana historia. Skąd się wzięła i co oznacza? Czy może jeszcze pochodzi z czasów pogańskich i jest pamiątką obrzędów, w czasie których chłopiec przechodził pod opiekę ojca i stawał się mężczyzną? I dlaczego król i jego paziowie mają na sobie kobiece suknie? Czy to obraz tego, jak niegdyś jakaś wojenna drużyna (obojętnie czy króla Macieja, czy jakaś o wiele dawniejsza) wiodła swego władcę w przebraniu przez kraj wroga, czy też są to relikty jakiegoś pogańskiego zabobonu, wedle którego przebranie chroni przed złymi duchami? Ale dlaczego królowi przez cały czas nie wolno odezwać się ani jednym słowem? I czemu ów obrzęd nosi nazwę Jazdy Królów, skoro jest w nim tylko jeden król? Co to wszystko znaczy? Nie wiadomo. Istnieje wiele hipotez, ale żadna nie została udowodniona. Jazda Królów jest obrzędem tajemniczym; nikt nie wie, co właściwie oznacza, co ma wyrażać, ale tak jak hieroglify egipskie piękniejsze są dla tych, którzy nie potrafią ich odczytać (i widzą w nich tylko fantastyczne rysunki), tak i Jazda Królów dlatego chyba jest tak piękna, że sens jej wymowy dawno się zatracił i tym mocniej wysuwają się na czoło gesty, barwy, słowa, skupiając całą uwagę na sobie, na własnym kształcie i formie.

Tak więc początkowa nieufność, z jaką przyglądałem się wyruszającej Jeździe Królów, ku memu zdziwieniu zaczęła ustępować i nagle stwierdziłem, że wpatruję się zafascynowany w barwny konny orszak, sunący powoli od domku do domku; poza tym również i głośnieki, które jeszcze przed chwilą wyrzucały z siebie przenikliwy głos śpiewaczki, teraz umilkły i słychać było (jeśli pominąć co jakiś czas rozlegający się turkot pojazdów, który już dawno zdołałem

wyeliminować ze swoich wrażeń słuchowych) tylko osobliwą muzykę głosów wywoływaczy.

Miałem ochotę stać tak bez końca, zamknąć oczy i tylko słuchać: zdawałem sobie sprawę, że właśnie tutaj, pośrodku słowackiej wsi, słyszę wiersze, w najpierwotniejszym znaczeniu tego słowa, takie, jakich nigdy nie usłyszę przez radio, w telewizji czy na scenie, wiersze będące uroczystym, rytmicznym wołaniem, czymś pośrednim pomiędzy mową a śpiewem, wiersze urzekające patosem samego swego metrum, urzekające zapewne tak samo, jak kiedy rozlegały się ze scen starożytnych amfiteatrów. Była to cudowna, polifoniczna muzyka; każdy z wywoływaczy recytował swoje wiersze monotennie, na jednym tonie, ale każdy na innym, tak że mimo woli głosy łączyły się w akord; na dodatek chłopcy nie wołali jednocześnie, każdy z nich zaczynał swoją kwestię w innym momencie, każdy przed innym domem, tak że głosy odzywały się z różnych stron i w różnych momentach, przypominając przez to kilkogłosowy kanon; jeden głos już kończył, drugi był w środku kwestii, a do niego, już na innej wysokości tonu, przyłączał swoje wołanie nowy głos.

Jazda Królów dłuższy czas posuwała się główną ulicą (ustawicznie płoszona przez przejeżdżające samochody), a potem na którymś skrzyżowaniu się rozdzieliła: prawe skrzydło posuwało się dalej, lewe skręciło w uliczkę na prawo; znajdował się tam, zaraz z brzegu, mały żółty domek otoczony płotem, z ogródkiem pełnym kolorowych kwiatów. Wywoływacz zaczął z fantazją improwizować: wołał, że koło tego domku stoi piękna studnia, a ta pani, co tu mieszka, ma syna trutnia; pomalowana na zielono studnia rzeczywiście stała koło domu, a zażywna czterdziestoletnia niewiasta, ubawiona mianem, jakim obdarzono jej syna, śmiała się i podała poborcy na koniu, który wołał: „Na króla, matuchno, na króla!” papierowy banknot. Poborca wrzucił go do koszyka, który miał przytroczone do siodła, ale już oto wyskoczył drugi wywoływacz i zawołał pod adresem niewiasty, że piękna z niej pannica, ale że jeszcze piękniejsza jest śliwowica, i złożywszy dłonie na kształt tuby oraz przechyliwszy do tyłu głowę, przytknął je do ust. Wszyscy dokoła w śmiech, a niewiasta, mile zakłopotana, zniknęła w domku; śliwowicę miała tam widać już przygotowaną, ponieważ w chwilę później wróciła z butelką i kieliszkiem, który napełniała i kolejno podawała jeźdźcom.

Podczas gdy wojska królewskie popijały i żartowały, król wraz z dwoma paziami stał opodal bez ruchu i z powagą, tak jak zapewne winien stać pośród hałaśliwego wojska prawdziwy król w majestacie swego dostojenstwa. Konie obydwu paziów przyciskały się niemal bokami do królewskiego rumaka, tak że



buty wszystkich trzech jeźdźców prawie że się dotykały (konie miały na piersiach duże piernikowe serca, pełne ozdób z lusterek i kolorowego lukru, na czole papierowe róże, a ich grzywy przetykane były wstęgami z kolorowej karbowanej bibułki). Wszyscy trzej milczący jeźdźcy odziani byli w kobiece stroje; mieli szerokie spódnice, bufiaste nakrochmalone rękawy, a na głowach bogato zdobione czepce, tylko król zamiast czepca miał nad czołem błyszczący srebrny diadem, z którego spływały trzy długie szerokie wstęgi, po bokach niebieskie, a w środku czerwona, całkowicie zasłaniające jego twarz i nadające mu wygląd tajemniczy i patetyczny.

Zachwyciła mnie ta zastygła w bezruchu trójka; co prawda dwadzieścia lat temu sam siedziałem na przystrojonym koniu, właśnie tak jak oni, ale ponieważ oglądałem wtedy Jazdę Królów od wewnątrz, nie widziałem właściwie nic. Dopiero teraz widzę ją naprawdę i nie mogę oderwać wzroku: król siedzi (pięć metrów ode mnie) wyprostowany i przypomina posąg owinięty chorągwią; a może, błysnęło mi nagle w myśli, może to wcale nie jest król, może to królowa Łucja, która przyszła, by ukazać mi się w swojej prawdziwej postaci, ponieważ jej prawdziwa postać to właśnie postać zawoalowana.

I przyszło mi w tej chwili do głowy, że Kostka, łączący w sobie upartą dociekliwość z marzycielstwem, to dziwak, tak że wszystko, co opowiadał, jest wprawdzie możliwe, ale wcale nie jest pewne; oczywiście znał Łucję i sporo o niej wiedział, nie wiedział jednak tego, co najważniejsze: owego żołnierza, który chciał ją posiąść w wypożyczonym mieszkaniu górnika, Łucja w rzeczywistości kochała; nie mogłem brać na serio wyjaśnienia, że Łucja zrywała kwiaty powodowana niejasną tęsknotą do religii, skoro pamiętam, że rwała je dla mnie; a jeśli zataiła to przed Kostką, a wraz z tym całe pół roku naszej tkliwej miłości, to i przed nim zachowała nienaruszoną tajemnicę, a więc i on jej nie znał; poza tym nie jest też takie pewne, że przeniosła się do tego miasta ze względu na niego; może znalazła się tu przypadkiem, ale jest też zupełnie możliwe, że sprowadziła się tu z mojego powodu, wiedziała przecież, że tu był kiedyś mój dom rodzinny! Czułem, że wiadomość o popełnionym na niej pierwszym gwałcie jest prawdziwa, ale o dokładności szczegółów już teraz powątpiewałem; cała ta historia była chwilami wyraźnie zabarwiona przekrwionym spojrzeniem człowieka wstrząśniętego grzechem, kiedy indziej zaś ubarwiał ją błękit tak błękitny, jaki widzieć zdolny jest tylko człowiek często spoglądający w niebo; rzecz była oczywista: w opowiadaniu Kostki prawda łączyła się z poezją i powstawała w ten sposób tylko nowa legenda (może bliższa prawdy, może piękniejsza, może głębsza), przesłaniająca dawną legendę.

Patrzałem na osłoniętego króla i widziałem Łucję, jak przejeżdża (nie poznana i niepoznawalna) uroczyście (i drwiąco) przez moje życie. Potem (pod jakimś wewnętrznym przymusem) przesunąłem spojrzenie trochę w bok i wzrok mój spotkał się ze spojrzeniem mężczyzny, który od dłuższego już zapewne czasu przyglądał mi się z uśmiechem.

– Jak się masz – powiedział i, jak na złość, podszedł do mnie.

– Cześć – rzekłem.

Wyciągnął do mnie rękę; uścisnąłem ją. Potem obejrzał się za siebie i zawołał na dziewczynę, którą dopiero teraz zauważyłem.

– Co tam stoisz? Chodź, przedstawię cię.

Dziewczyna (bardzo wysoka, ale śliczna, o ciemnych włosach i ciemnych oczach) podeszła w moją stronę.

– Brożówna – rzekła i podała mi rękę.

– Jahn – powiedziałem. – Bardzo mi przyjemnie.

– Człowieku, kopę lat cię nie widziałem – rzekł z przyjacielską jowialnością; był to Zemanek.

## 6

Zmęczenie, zmęczenie. Nie mogłem się go pozbyć. Jazda wraz z królem odjechała na plac, a ja powoli wlokłem się za nią. Oddychałem głęboko, żeby przemóc zmęczenie. Przystawałem z sąsiadami, którzy wylegli przed domy, żeby się pogapić. Poczułem nagle, że i ze mnie już taki stateczny, poczciwy sąsiad. Że nie w głowie mi już żadne podróże i przygody. Że jestem beznadziejnie przywiązany do dwóch, trzech ulic tu, gdzie mieszkam.

Na plac wiejski przyszedłem, kiedy już Jazda powoli ruszała główną ulicą. Chciałem powlec się za nimi, ale nagle zobaczyłem Ludwika. Stał sam na pasie trawy obok szosy i w zamyśleniu przyglądał się chłopcom na koniach. Cholerny Ludwik! Niech go wszyscy diabli! Dotychczas on mnie unikał, teraz ja przed nim ucieknę. Odwróciłem się tyłem do niego i podszedłem do ławki stojącej na placu pod jabłonką. Usiądę tu sobie i będę słuchał, jak z daleka niosą się głosy jeźdźców.

Siedziałem więc, słuchałem i patrzyłem. Jazda Królów oddalała się z wolna. Cisnęła się, biedna, po obu stronach szosy, po której przemykały co chwila

samochody i motocykle. Za nią szła gromadka ludzi. Żałośnie mała gromadka. Z każdym rokiem coraz mniej jest ludzi na Jeździe Królów. Za to w tym roku jest Ludwik. Co on tutaj właściwie robi? Niech cię diabli, Ludwiku. Teraz jest już za późno. Zjawileś się tu tylko jak czarny kruk. Jak zapowiedź nieszczęścia. Jak zły znak. I to właśnie wtedy, kiedy mój Włodzimierz jest królem. Odwróciłem wzrok. Na placu pozostało już tylko parę osób koło stoisk i przy wejściu do gospody. Większość z nich była pijana. Pijacy to najwierniejsi entuzjaści regionalnych imprez. Ostatni entuzjaści. Przynajmniej raz na jakiś czas mają szlachetny powód, żeby sobie popić.

Potem usiadł koło mnie na ławce dziadek Piechaczek. Jego zdaniem to już nie to co dawniej. Zgodziłem się z nim. Nie, nie to. Jakie wspaniałe musiały być te Jazdy dziesiątki, setki lat temu! Może nie były takie kolorowe jak teraz. Dzisiaj to trochę kicz, a trochę jarmarczna maskarada. Serca z pierników na piersiach koni! Tony zakupionych hurtem papierowych wstążek! Dawniej stroje regionalne były także barwne, ale prostsze. Konie były przyozdabiane tylko jedną czerwoną chustką, którą wiązano im pod szyją przez pierś. Nawet król nie miał maski z kolorowych wzorzystych wstążek, tylko ze zwykłej chusteczki. Za to miał jeszcze różę w ustach. Żeby nie mógł mówić. Nie było w Jeździe Królów nic z cyrku. Była baśniowa.

Tak, dziadku, przed wiekami lepiej bywało. Nikt nie musiał wyszukiwać z trudem chłopaków, żeby łaskawie zechcieli wziąć udział w Jeździe. Nikt nie musiał siedzieć przez wiele dni przedtem na zebraniach i wyklócać się, kto będzie Jazdę organizował, a kto zgarnie z niej zyski. Jazda Królów niczym źródło tryskała z samego życia wsi. I wyruszała ze wsi, by w całej okolicy zbierać datki na swego zamaskowanego króla. Czasami w innej wsi natykała się na inną Jazdę Królów i wywiązywała się bójka. Obie strony broniły z zapalem swego króla. Często błyskały noże i szable i lała się krew. Kiedy zaś jeźdźcy wzięli do niewoli obcego króla, szli do gospody i pili na umór na rachunek jego ojca.

Tak, tak, dziadku, macie rację. Inaczej to wyglądało wtedy, kiedy Jazdę Królów oglądał ten francuski rzeźbiarz. Rodin się nazywał, tak. Ba, nawet kiedy ja w czasie okupacji jechałem jako król, i wtedy inaczej to wyglądało niż dzisiaj. I nawet jeszcze po wojnie było to coś warte. Zdawało nam się, że stworzymy całkiem nowy świat. Że ludzie znowu, tak jak dawniej, trzymać się będą swoich ludowych tradycji. Że i Jazda Królów na nowo tryskać będzie z samej głębi ich życia. Chcieliśmy trochę w tym pomóc. Z zapalem organizowaliśmy święta ludowe. Ale tryskającego źródła nie można zorganizować. Źródło albo tryska,

albo nie. Widzicie, dziadku, już tylko na siłę wyciskamy te nasze pieśni i Jazdy Królów, i to wszystko. To już tylko ostatnie krople, ostatnie kropelki.

No tak. Jazdy Królów już nie było widać. Skręciła w jakąś boczną uliczkę. Ale słyhać było głosy wywoływaczy. To wołanie było cudowne. Zamknąłem oczy i przez chwilę wyobrażałem sobie, że żyję w innych czasach. W innym stuleciu. Dawno temu. A potem otworzyłem oczy i pomyślałem sobie, że to dobrze, że Włodzimierz jest królem. Jest władcą królestwa prawie już martwego, ale najwspanialszego. Królestwa, któremu będę wierny aż do końca jego dni.

Wstałem z ławki. Ktoś mi powiedział dzień dobry. Był to stary Koutecki. Dawno go nie widziałem. Źle chodził, podpierał się laską. Nigdy go nie lubiłem, ale nagle żal mi się zrobiło jego starości.

– Dokąd to? – zagadnąłem.

Odparł, że każdej niedzieli spaceruje sobie dla zdrowia.

– Jak się panu podobała Jazda? – spytałem.

Machnął ręką.

– Nie patrzyłem nawet.

– Czemu to?

Znowu ze złością machnął ręką, a mnie w tej chwili rozjaśniło się w głowie, wiem, dlaczego nie patrzył. Wśród widzów był Ludwik. Koutecki nie chciał się z nim spotkać, tak samo jak ja.

– Wcale się panu nie dziwię – rzekłem. – Ja mam w Jeździe syna, a też nie chce mi się za nią fatygować.

– Pan ma tam syna? Włodka?

– Tak – powiedziałem. – Jedzie jako król.

– To ciekawe – mruknął Koutecki.

– Co w tym ciekawego? – zapytałem.

– Bardzo ciekawe – powtórzył Koutecki, a oczka mu zaświeciły.

– Dlaczego? – spytałem znowu.

– Włodek pojechał przecież z naszym Miłoszem – rzekł.

Nie wiedziałem, z jakim Miłoszem. Wyjaśnił mi, że to jego wnuk, syn jego córki.

– Ależ to niemożliwe – powiedziałem. – Widziałem go przecież dopiero przed chwilą. Widziałem, jak wyjeżdżał od nas na koniu!

– Ja też go widziałem. Miłosz wioził go od was na motorze – rzekł Koutecki.

– Nonsens! – Wzruszyłem ramionami, natychmiast jednak zapytałem: – Dokąd pojechali?

– No, skoro pan nic nie wie, to nie będę panu mówił – oświadczył Koutecki i pożegnał się ze mną.

## 7

Nie liczyłem się absolutnie z tym, że spotkam Zemanka. (Helena mówiła mi przecież, że przyjedzie po nią dopiero po południu) i było to dla mnie w najwyższym stopniu nieprzyjemne, że go tutaj spotykam. Ale co robić, stał oto przede mną i był do siebie podobny jak dwie krople wody: jego jasne włosy były ciągle tak samo jasne, chociaż nie zaczesywał ich już do tyłu w długich kędziorach, tylko ostrzygł krótko i szczytywał zgodnie z modą na czoło, trzymał się nadal tak samo prosto i nadal tak samo wyginał mocno do tyłu szyję, pochylając przy tym leciutko głowę; był nadal tak samo jowialny i zadowolony, nie do zranienia, obdarowany przychylnością bogów i młodą dziewczyną, której uroda natychmiast podsunęła mi przykre wspomnienie niedoskonałości ciała, z którym spędziłem wczorajsze popołudnie. Mając nadzieję, że nasze spotkanie będzie jak najkrótsze, usiłowałem odpowiadać na zwykłe banalne pytania, którymi mnie zasypał, równie banalnymi frazesami; oznajmił znowu, żeśmy się całe lata nie widzieli, i dziwił się, że po tak długim czasie spotykamy się akurat tutaj „w tej dziurze, gdzie diabeł mówi dobranoc”; odrzekłem mu, że tutaj się urodziłem; prosił, żebym mu wybaczył, że w takim razie diabeł nigdy tu dobranoc nie mówił; panna Brożówna roześmiała się, ja nie zareagowałem na ten dowcip i powiedziałem, że nie dziwię się spotykając go tutaj, ponieważ, o ile pamiętam, zawsze był miłośnikiem folkloru; panna Brożówna znowu się roześmiała i rzekła, że nie przyjechali tutaj wcale z powodu Jazdy Królów; zapytałem, czy Jazda jej się podobała, odparła, że jej to nie bawi; dlaczego? wzruszyła ramionami, a Zemanek powiedział:

– Drogi Ludwiku, czasy się zmieniły.

Jazda Królów podjechała tymczasem do następnego domu, a dwaj jeźdźcy zmagali się z końmi, które zaczęły się płoszyć. Jeden jeździec pokrzykiwał na drugiego, zarzucali sobie nawzajem, że nie umieją panować nad końmi, a okrzyki

„ty durniu!”, „ty ośle!” w trochę komiczny sposób wplatały się w rytuał całej uroczystości.

– To by było świetnie, gdyby się spłoszyły! – rzuciła panna Brożówna. Zemanek wybuchnął na to wesołym śmiechem, ale jeźdźcom udało się po chwili konie uspokoić i znowu „chyżej” spokojnie i uroczyście rozległo się po wsi.

Szliśmy powoli w ślad za pokrzykującymi wesoło jeźdźcami boczną wiejską uliczką, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się domki z ogródkami pełnymi kwiatów, a ja na próżno szukałem jakiegoś prostego i niezbyt rażącego pretekstu, żeby się z Zemankiem pożegnać; musiałem potulnie kroczyć u boku jego pięknej dziewczyny i dalej ciągnąć niemrawą konwersację; dowiedziałem się, że w Bratysławie, gdzie moi rozmówcy byli jeszcze dzisiaj wczesnym rankiem, pogoda jest tak samo ładna jak tutaj; dowiedziałem się, że przyjechali wozem Zemanka i zaraz za Bratysławą musieli wymienić świece; potem dowiedziałem się, że panna Brożówna jest jedną ze słuchaczek Zemanka. Wiedziałem od Heleny, że Zemanek wyklada na uniwersytecie marksizm-leninizm, ale mimo to zapytałem go teraz, czego właściwie uczy. Odpowiedział, że filozofii (sposób, w jaki nazwał swoją specjalność, wydał mi się znamienny; jeszcze parę lat temu powiedziałby, że wyklada marksizm, ale w ostatnich latach przedmiot ten bardzo stracił na popularności, zwłaszcza wśród młodzieży, toteż Zemanek, dla którego kwestia popularności była zawsze najważniejsza, ukrył starannie słowo marksizm pod bardziej ogólnym pojęciem). Zdziwiłem się i powiedziałem, że o ile dobrze sobie przypominam, to Zemanek studiował biologię; ta moja uwaga kryła w sobie złośliwą aluzję do dyletantyzmu często spotykanego wśród wykładowców wyższych uczelni, którzy trafili do swojej specjalności nie dzięki pracy naukowej, lecz bardzo często jedynie jako propagatorzy panującego systemu. W tej chwili włączyła się do rozmowy panna Brożówna i oświadczyła, że wykładowcy marksizmu mają w głowie zamiast mózgu broszurę polityczną, ale że Paweł jest zupełnie inny. Zemankowi odezwanie dziewczyny było bardzo na rękę; słabo za-protestował, czym dał dowód swojej skromności, a jednocześnie sprowokował dziewczynę do dalszych pochwał. W ten sposób dowiedziałem się, że Zemanek należy do najbardziej lubianych belfrów na uczelni, że studenci uwielbiają go właśnie za to, za co nie lubią go władze uniwersyteckie; że zawsze mówi to, co myśli, że jest odważny i trzyma stronę młodzieży. Zemanek ciągle słabo protestował, tak więc dowiedziałem się od panny Brożówny dalszych szczegółów o różnych konfliktach, które miał Zemanek w ostatnich latach: jak go nawet chciano wyrzucić z pracy, ponieważ w swoich wykładach nie trzymał się skostniałego i przestarzałego programu, lecz chciał zapoznać młodzież ze

wszystkim, co się dzieje we współczesnej filozofii (zarzucano mu więc, że chce przemycać do nas „wrogą ideologię”), jak obronił słuchacza, którego chciano wyrzucić ze studiów za jakiś sztubacki incydent (kłótnia z policjantem zakwalifikowana przez rektora, wroga Zemanka, jako przewinienie polityczne), jak potem słuchaczki urządziły tajne głosowanie na najbardziej lubianego pedagoga uczelni i on zwyciężył. Zemanek nie protestował już nawet przeciwko tej lawinie pochwał, a ja (z ironicznym, niestety niezrozumiałym dla rozmówczyni podtekstem) powiedziałem, że rozumiem pannę Brożównę, ponieważ, jeśli dobrze pamiętam, również i za swoich czasów studenckich Zemanek był bardzo lubiany i popularny. Panna Brożówna gorliwie mi potakiwała: że wcale jej to nie dziwi, ponieważ Paweł umie fantastycznie mówić i każdego przeciwnika potrafi zniszczyć w dyskusji.

– Co z tego – roześmiał się teraz Zemanek – kiedy jeśli ja ich zniszczę w dyskusji, oni mogą mnie potem zniszczyć w inny sposób, za pomocą dużo skuteczniejszych środków niż dyskusja.

Z pewnej kokieterii ostatniego zdania poznawałem Zemanka takiego, jakim go znałem; ale sens tych słów przeraził mnie: Zemanek odszedł widać radykalnie od swojej dawnej postawy i poglądów, i gdybym dzisiaj przebywał blisko niego, w konfliktach, jakie przeżywał, byłbym, chcąc nie chcąc, po jego stronie. I właśnie to było straszne, właśnie na to absolutnie nie byłem przygotowany, było to dla mnie nieoczekiwane, chociaż tego rodzaju zmiana poglądów nie była niczym nadzwyczajnym, wprost przeciwnie, było to zjawisko nagminne, taka zmiana nastąpiła u mnóstwa ludzi, a powoli następuje zapewne w całym społeczeństwie. Tylko że właśnie u Zemanka z taką zmianą się nie liczyłem; zastygł w mojej pamięci w takiej postaci, w jakiej widziałem go ostatnim razem, i teraz z wściekłością odmawiałem mu prawa do tego, by był inny niż wtedy, kiedy go znałem.

Niektórzy ludzie twierdzą, że kochają ludzkość, a inni słusznie się zastrzegają, że kochać można tylko w liczbie pojedynczej, to znaczy poszczególne osoby; zgadzam się z tym i dodaję, że odnosi się to zarówno do miłości, jak i do nienawiści. Człowiek, owa istota dążąca do równowagi, wyrównuje ciężar zła, które zwalono jej na kark, ciężarem swej nienawiści. Ale spróbujcie skierować nienawiść na samo tylko oderwane pojęcie, na niesprawiedliwość, fanatyzm, okrucieństwo, albo jeśli doszłście już do tego, że godne nienawiści jest dla was samo pojęcie ludzkości, spróbujcie znienawidzić ludzkość! Taka nienawiść jest zbyt nieludzka, toteż człowiek, by dać upust swojej złości (świadom ograniczoności jej siły), koncentruje ją w końcu zawsze tylko na jednostkach.

I dlatego się przeraziłem. Naraz przyszło mi na myśl, że teraz w każdej chwili Zemanek może powołać się na swoją metamorfozę (którą zresztą zademonstrował z podejrzanym wręcz pośpiechem) i w jej imieniu prosić mnie o przebaczenie. Wydało mi się to straszne. Co ja mu powiem? Jaką mogę dać odpowiedź? Jak mu wytłumaczę, że nie mogę się z nim pojednać? Jak mu wytłumaczę, że tym samym jedna szala mojej wewnętrznej wagi raptownie podskoczyłaby w górę? Jak mu wytłumaczę, że nienawiścią do niego równoważę ogrom zła, które legło na mojej młodości, na moim życiu? Jak mu wytłumaczę, że właśnie w nim widzę ucieleśnione całe zło swego życia? Jak mu wytłumaczę, że muszę go nienawidzić?

## 8

Wąska uliczka zatłoczona była końmi. Widziałem króla z odległości kilku metrów. Siedział na swoim koniu opodal pozostałych. Po obu jego stronach dwa inne konie z dwoma innymi chłopcami, jego paziami. Byłem w kłopotcie. Miał lekko odęte usta, tak jak Włodzimierz. Siedział spokojnie, jak gdyby znudzony. Czy to on? Chyba tak. Ale równie dobrze może to być ktoś inny. Przecisnąłem się bliżej. Muszę go przecież poznać. Mam wyryte w pamięci każde drgnienie jego ciała, każdy gest! Przecież go kocham, a miłość ma swój instynkt!

Stałem tuż obok niego. Mógłbym się do niego odezwać. Byłoby to takie proste. Ale byłoby to daremne. Królowi nie wolno mówić.

Potem Jazda przesunęła się o jeden dom dalej. Teraz go poznam! Krok konia zmusi go do ruchu, który go zdradzi. Kiedy koń ruszył, król rzeczywiście lekko się wyprostował, ale nie zdradziło mi to bynajmniej, kogo kryje zasłona. Jaskrawe wstążki na jego twarzy były rozpaczliwie nieprzeniknione.

## 9

Jazda Królów przesunęła się znowu o parę domów dalej, my zaś z gromadką innych ciekawskich poszliśmy za nią, a nasza rozmowa przeskoczyła na dalszy temat – panna Brożówna przeszła od osoby Zemanka do swojej własnej i szeroko rozwodziła się teraz nad tym, jak lubi podróżować autostopem. Mówiła o tym z takim naciskiem (trochę afektowanym), że natychmiast zrozumiałem, iż ma to być z jej strony manifestacja pokolenia; każda generacja bowiem posiada własny zestaw namiętności, miłości i zainteresowań, które wyznaje z pewnego rodzaju uporem, aby się w ten sposób odróżnić od starszych i podkreślić swoją



inność. Uleganie takiej „młodzieżowej” mentalności (owej stadnej dumie) było dla mnie zawsze wstrętne. Kiedy panna Brożówna prowokacyjnie rozwijała swoją tezę (słyszałem ją już chyba z pięćdziesiąt razy od jej rówieśników), że ludzkość dzieli się na tych, którzy są po stronie autostopowiczów (wolnomyśliciele, ludzie lubiący przygody, ludzcy) i na tych, którzy są przeciwko autostopowiczom (kołtuny, socjalistyczni burżuje, ludzie nieludscy), nazwałem ją żartem „dogmatykiem autostopu”. Odpowiedziała mi ostro, że nie jest dogmatykiem ani rewizjonistą, ani sekciarzem, ani asekurantem, że nie jest świadoma ani nieuświadomiona, że to wszystko są słowa, które wymyśliliśmy my, które należą do naszego słownika, ale dla nich są obce.

– Tak – rzekł Zemanek – oni są inni. Na szczęście są inni. Również ich słownik jest na szczęście inny. Nie interesują ich nasze osiągnięcia ani nasze winy. Nie uwierzyłbyś, ale na egzaminach wstępnych na wyższe studia ci młodzi nie wiedzą już nawet, co to były procesy. Stalin to dla nich tylko nazwisko, a Bucharin, Kamieniew, Rajk to już nie są dla nich nawet nazwiska. Wyobraź sobie, że większość z nich nie wiedziała nawet, kto to był Clementis.

– Tylko że to mnie właśnie przeraża – powiedziałem.

– Nie świadczy to najlepiej o ich wykształceniu. Ale na tym polega ich wyzwolenie. Nie dopuścili naszego świata do swojej świadomości. Odrzucili go całkowicie i bez reszty.

– Ślepotą zastąpiła ślepotę.

– Tak bym tego nie powiedział. Bo widzisz, oni mi imponują. Lubię ich właśnie za to, że są zupełnie inni. Kochają swoje ciało. Myśmy je zaniedbywali. Lubią podróżować. Myśmy tkwili w jednym miejscu. Kochają przygodę. My przesiedzieliśmy życie na zebraniach. Kochają jazz. Myśmy nieudolnie imitowali folklor. Zajmują się egoistycznie sami sobą. Myśmy chcieli zbawiać świat przez nasz mesjanizm. Może oni ocalą go przez swój egoizm.

## 10

Jak to możliwe? Król! Wyprostowana postać na koniu spowita w pstrokate barwy! Ileż razy go widziałem, ileż razy go sobie wyobrażałem! Naj-tkliwsze marzenie! A teraz przeobraziło się w rzeczywistość i cała tkliwość uleciała. Oto nagle jest to tylko kolorowa kukła, a ja nie wiem, co w sobie kryje. Ale wobec tego cóż jest na tym realnym świecie godnego zaufania, jeśli nie mój król?

Mój syn. Najbliższy człowiek. Stoję przed nim i nie wiem, czy to on, czy nie. Cóż wobec tego wiem, jeśli nie wiem nawet tego? Jakaż mam pewność na tym świecie, jeśli nawet tego nie jestem pewien?

## 11

Podczas gdy Zemanek piał hymny na cześć młodego pokolenia, przyglądałem się pannie Brożównie i konstatowałem ze smutkiem, że to dziewczyna ładna i sympatyczna, i odczuwałem zawistny żal, że nie należy do mnie. Szła obok Zemanka, mówiła bez przerwy, co chwila łapała go za rękę, zwracała się do niego poufale, a ja uświadamiałem sobie (tak jak to sobie uświadamiam coraz częściej z każdym rokiem), że od czasu Łucji nie było w moim życiu dziewczyny, którą bym kochał i którą bym szanował. Los zadrwił sobie ze mnie, wysyłając mi przypomnienie o moim nieudanym życiu w osobie kochanki tego człowieka, którego dzień przedtem rzekomo pokonałem w groteskowej bitwie seksualnej.

Im bardziej podobała mi się panna Brożówna, tym wyraźniej zdawałem sobie sprawę, jak całkowicie i bez reszty myśli kategoriami swoich rówieśników, dla których ja i moi rówieśnicy stanowimy jedną, niezróżnicowaną masę, dla których jesteśmy wszyscy zdeformowani przez ten sam wspólny niezrozumiały żargon, ten sam przeżarty polityką sposób myślenia, te same niepokoje (przejawiające się jako tchórzostwo czy strach), przez te same dziwne doświadczenia z jakiegoś ponurego, zamierzchłego już dla nich okresu. Nie warto im już różnicować, kto z nas w tym czasie przyczyniał się do zwiększenia ucisku, a kto starał się ten balast ucisku odwalać własnymi rękami. Nie interesuje ich to, ponieważ dzisiaj historia odwala ten balast już sama, bez nas (tak, oczywiście, to złudne wrażenie, że bez nas, ale nieważne, z nami czy bez nas, skoro odwala go na pewno nie dla nas, tylko dla nich).

W tej chwili pojąłem nagle, że podobieństwo między mną a Zemankiem nie polega jedynie na tym, że Zemanek zmienił swoje poglądy i tym samym zbliżył się do mnie, ale że to podobieństwo jest głębsze i obejmuje całość naszych losów; sposób widzenia panny Brożówny i jej rówieśników upodabnia nas do siebie nawet tam, gdzie byliśmy zawziętymi antagonistami. Poczulem naraz, że gdybym był zmuszony (bronilem się przed tym!) opowiedzieć pannie Brożównie historię mego usunięcia z partii, wydałaby się jej ona daleka i zbyt literacka (ach, tak, temat tak już oklepany w tylu kiepskich powieściach!), i czułaby do nas obu taką samą odrazę, i do mnie, i do Zemanka, do jego i moich przekonań, do jego i mojej postawy (obie tak samo patetyczne, obie tak samo wynaturzone).

Widziałem, jak nad naszym sporem, dla mnie wciąż jeszcze żywym i aktualnym, zamykają się kojące fale czasu, które, jak wiadomo, potrafią zacierać różnice między całymi epokami, a co dopiero pomiędzy dwoma biednymi ludźmi. Ale ja rękami i nogami broniłem się przed zgodą na propozycję pojednania, którą podsuwa sam czas, nie żyję przecież w wieczności, tkwię uwiązany do nędznych trzydziestu siedmiu lat swego życia i nie chcę zrywać z nimi więzów (jak je zerwał Zemanek, kiedy tak szybko podporządkował się mentalności tych młodszych), nie, nie chcę wyzuć się ze swego losu, nie chcę oderwać się od moich trzydziestu siedmiu lat, chociaż stanowią one odcinek czasu tak bardzo niepozorny, i ulotny, już teraz idący w zapomnienie.

I jeżeli Zemanek nachyli się ku mnie poufale, jeśli zacznie mówić o tym, co było, i poprosi o pojednanie – ja się nie zgodzę; nie, nie zgodzę się na to pojednanie, choćby orędowną za nim panna Brożówna i wszyscy jej rówieśnicy, i sam czas.

## 12

Zmęczenie. Nagle poczułem ochotę, by machnąć na wszystko ręką. Odejść i przestać się tym wszystkim przejmować. Nie chcę już żyć w tym świecie realnych spraw, których nie rozumiem i które mnie zwodzą. Istnieje jeszcze inny świat. Świat, w którym czuję się swojsko i w którym umiem się poruszać. Jest tam polna droga, krzak głogu, dezenter, wędrowny grajek i mama.

Przemogłem się jednak w końcu. Muszę. Muszę doprowadzić do końca swoją walkę ze światem spraw materialnych. Muszę zajrzeć na samo dno wszystkich pomyłek i złudzeń.

Czy mam kogoś zapytać? Jeźdźców z orszaku? Mam pozwolić, żeby wszyscy się ze mnie śmiali? Przypomniał mi się dzisiejszy poranek. Ubieranie króla. I nagle zrozumiałem, dokąd mam iść.

## 13

„Mamy króla ubogiego, ale wielce poczciwego” – wykrzykiwali jeźdźcy już znowu o parę domów dalej, a my szliśmy za nimi. Bogato przystrojone wstążkami zady końskie, zady niebieskie, różowe, zielone i fioletowe podrygiwały przed nami, a Zemanek naraz wskazał w ich stronę i rzekł do mnie:

– Tam jest Helena.

Spojrzałem w tym kierunku, ale wciąż widziałem tylko kolorowe końskie zady. Zemanek pokazał znowu:

– Tam!

Zobaczyłem ją, na wpół zasłoniętą jakimś koniem, i nagle poczułem, jak się czerwienię: sposób, w jaki Zemanek mi ją pokazał, (nie powiedział „moja żona”, tylko „Helena”), świadczył o tym, że wie, iż ją znam.

Helena stała na skraju chodnika, w wyciągniętej ręce trzymała mikrofon; od mikrofonu biegł sznur do magnetofonu, który zwisał przez ramię młodemu chłopcu w skórzanej kurtce, w džinsach i ze słuchawkami na uszach. Zatrzymaliśmy się niedaleko nich. Zemanek (ni stąd, ni zowąd) oświadczył, że Helena to wspaniała kobieta, że nie tylko wciąż jeszcze świetnie wygląda, ale że poza tym jest szalenie zdolna, i on wcale mi się nie dziwi, że tak dobrze się oboje rozumiemy.

Czułem, jak mi płoną policzki. Zemanek nie powiedział tego w sposób agresywny, wprost przeciwnie, mówił bardzo przyjaznym tonem, a co do istoty sytuacji nie pozostawiało mi wątpliwości choćby spojrzenie panny Brożówny, która patrzyła na mnie ze znaczącym uśmiechem, jakby koniecznie chciała mi dać do zrozumienia, że jest o wszystkim poinformowana i że cieszę się jej sympatią, a może nawet mam w niej sojusznika.

Zemanek tymczasem kontynuował swobodnie uwagi na temat swojej małżonki i starał się zaznaczyć (okreźnie i w sposób aluzyjny), że wie o wszystkim i że uważa, iż wszystko jest w porządku, ponieważ jest całkowicie liberalny, jeśli chodzi o prywatne życie Heleny; aby dodać swoim słowom beztroskiej lekkości, wskazał na chłopca niosącego magnetofon i powiedział, że ten młodzieniec (który z owymi słuchawkami na uszach wygląda jak wielki chrabąszcz) już od dwóch lat jest beznadziejnie zakochany w Helenie i że powinienem na niego uważać. Panna Brożówna roześmiała się i spytała, ile wobec tego miał lat, kiedy się zakochał; Zemanek odparł, że siedemnaście. Potem oświadczył żartobliwie, że Helena nie leci oczywiście na smarkaczy, że to w ogóle porządna kobieta, ale że taki chłopak im mniej mu się udaje osiągnąć, tym bardziej jest wściekły, i na pewno nie byłby od tego, żeby kogoś obić. Panna Brożówna (jako żart bez znaczenia) rzuciła uwagę, że dałbym chyba temu chłopcu radę.

– Nie wiem, nie wiem – rzekł Zemanek z uśmiechem.

– Nie zapominaj, że pracowałem w kopalni. Od tego czasu mam wyrobione mięśnie. – Chciałem dorzucić również jakąś uwagę bez znaczenia i nie uświadomiłem sobie, że tym przypomnieniem przekraczam granice żartobliwej konwersacji.

– Pan pracował w kopalni? – zdziwiła się panna Brożówna.

– Te dwudziestoletnie chłopaki – Zemanek z uporem trzymał się swego tematu – kiedy jest ich kilku, bywają doprawdy niebezpieczni i potrafią niezłe urządzić kogoś, kto im się nie podoba.

– A jak długo? – pytała panna Brożówna.

– Pięć lat – odparłem.

– To już tak dawno, że te mięśnie na pewno z powrotem panu zwiotczały – rzekła, chcąc w ten sposób do przyjacielskiej żartobliwej pogawędki szybko dorzucić własny żarcik. Tylko że ja w tej chwili rzeczywiście pomyślałem o swoich mięśniach, że wcale mi nie zwiotczały, że wprost przeciwnie, wciąż jestem jeszcze w świetnej kondycji i że tego blondyna, z którym tu sobie gawędzę, potrafiłbym stłuc na wszystkie możliwe sposoby, a co najważniejsze i najsmutniejsze, że nie mam nic prócz tych mięśni, jeżeli chcę z nim wyrównać stare porachunki.

Znowu wyobraziłem sobie, że Zemanek zwróci się do mnie jowialnie uśmiechnięty i zaproponuje, żebyśmy puścili w niepamięć wszystko, co było między nami, i poczułem się zaskoczony: prośba Zemanka o przebaczenie znajduje bowiem poparcie nie tylko w zmianie jego poglądów, nie tylko w czasie i spojrzeniu nań z lotu ptaka, nie tylko w panie Brożównie i jej rówieśnikach, ale i w Helenie (tak, wszyscy stoją teraz przy nim, a przeciwko mnie!), ponieważ jeżeli Zemanek wybaczy mi moje cudzołóstwo, to tym samym zobowiąże mnie, żebym i ja jemu wybaczył.

Kiedy (w swojej wyobraźni) zobaczyłem tę jego twarz szantażysty, pewną siebie dzięki świadomości posiadania tylu potężnych sprzymierzeńców, chwyciła mnie taka ochota, by go uderzyć, że rzeczywiście zobaczyłem, jak go biję. Dokoła miotali się pokrzykujący jeźdźcy. Słońce było cudownie złote, panna Brożówna coś mówiła, a ja przed oślepieniem wściekłością oczyma miałem krew ściekającą po jego twarzy.

Tak, to tylko mi si ę marzy; ale co zrobię naprawdę, kiedy poprosi mnie o przebaczenie?

Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że nie zrobię nic.

Doszliśmy tymczasem do Heleny i jej technika, który właśnie zdejmował słuchawki z uszu.

– To wyście się już poznali? – zrobiła Helena zdziwioną minę, kiedy zobaczyła mnie z Zemanem.

– My się już znamy od dawna – rzekł Zemanek.

– Jak to? – zdumiała się.

– Znamy się jeszcze ze studenckich czasów, byliśmy na tym samym wydziale – powiedział Zemanek, a mnie się wydało, że to już jeden z ostatnich mostków, po których wiedzie mnie na miejsce hańby (przypominające plac egzekucji), gdzie poprosi mnie o przebaczenie.

– Boże, co za przypadek – rzekła Helena.

– Tak to na świecie bywa – odezwał się technik, żeby dać do zrozumienia, że on także istnieje.

– Nie przedstawiłam was sobie – ocknęła się nagle Helena i zwróciła się do mnie: – To jest Heniek. Heniek Kadleczyk.

Podaliśmy sobie z Henkiem (brzydkim, piegowatym chłopcem) ręce, a Zemanek powiedział do Heleny:

– Myśleliśmy z panną Brożówną, że zabierzemy cię z sobą, ale świetnie rozumiem, że to by ci nie odpowiadało, że wolisz wracać z Ludwikiem.

– Pan pojedzie z nami? – zwrócił się do mnie teraz chłopiec w dżinsach i rzeczywiście wydało mi się, że jego pytanie nie brzmi zbyt życzliwie.

– Masz tutaj wóz? – zapytał mnie Zemanek.

– Nie mam wozu – odparłem.

– No, to zabierzesz się z nimi, i wygodnie, i w miłym towarzystwie – powiedział.

– Ale ja jeżdżę sto trzydzieści na godzinę! Nie boi się pan? – rzekł chłopiec w dżinsach.

– Heniek! – skarciła go Helena.

– Mógłbyś pojechać z nami – rzekł Zemanek – ale myślę, że nowemu przyjacielowi dasz pierwszeństwo przed starym przyjacielem. – Jowialnie i jakby mimochodem nazwał mnie przyjacielem, i byłem pewny, że od haniebnego

pojednania dzieli nas już tylko krok; zresztą Zemanek umilkł teraz na chwilę, jakby się zawahał, i miałem wrażenie, że za moment odwoła mnie na bok, żeby pomówić ze mną w cztery oczy (pochyliłem głowę, jakbym ją kładł pod topór), ale omyliłem się: Zemanek spojrzał na zegarek i oświadczył:

– Właściwie nie mamy już wiele czasu, jeśli przed piątą chcemy być w Pradze. No nic, trzeba się pożegnać. Serwus, Heleno!

Podał rękę Helenie, potem powiedział jeszcze serwus mnie i technikowi i uścisnął nam ręce. Również panna Brożówna podała nam wszystkim rękę, wzięła Zemanka pod ramię i poszli.

Odchodzili. Nie mogłem oderwać od nich oczu. Zemanek szedł wyprostowany, z dumnie (zwycięsko) podniesioną blond głową, a ta czarnulka u jego boku nawet od tyłu była prześliczna, poruszała się lekko, podobała mi się niemal do bólu, ponieważ jej uchodząca ode mnie uroda była w stosunku do mnie lodowato obojętna, tak samo jak obojętny był wobec mnie Zemanek (jego serdeczność, elokwencja, jego pamięć i jego sumienie), tak samo jak obojętna była wobec mnie cała moja przeszłość, z którą tu, w moim rodzinnym mieście, wyznaczyłem sobie spotkanie, żeby się na niej zemścić, ale która przeszła obok mnie obojętnie, jak gdyby mnie nie znała.

Dławiłem się uczuciem upokorzenia i wstydu. Pragnąłem tylko jednego: zniknąć, być samemu, przekreślić całą tę brudną i pomyloną historię, ten głupi żart, przekreślić Helenę i Zemanka, przekreślić dzień przedwczorajszy i wczorajszy, i dzisiejszy, przekreślić to, wymazać, żeby śladu po tym nie zostało.

– Nie weźmie mi pan za złe, że zamienię z panią redaktor parę słów w cztery oczy? – zapytałem technika.

Wziąłem Helenę na bok, chciała mi coś tłumaczyć, mówiła coś o Zeman-ku, o jego dziewczynie, mętnie się usprawiedliwiała, że musiała mu wszystko wyznać; ale w tej chwili nic już mnie nie obchodziło; przepełniało mnie jedno pragnienie: uciec stąd, z tego miasta i od całej tej historii; postawić na tym wszystkim krzyżyk. Wiedziałem, że nie mam prawa okłamywać dalej Heleny, nie była w stosunku do mnie niczemu winna, a ja postąpiłem podle, ponieważ zrobiłem z niej przedmiot, kamień, którym chciałem (a nie potrafiłem) ugodzić kogoś innego. Dławiłem się ironią mojej nieudanej zemsty i nikczemnością własnego postępowania i byłem zdecydowany skończyć z tym wszystkim przynajmniej teraz, co prawda za późno, ale jednak wcześniej, nim będzie więcej niż za późno. Nie mogłem jednak nic jej wyjaśnić; nie tylko dlatego, że prawda by ją zraniła, ale i dlatego, że nic by nie zrozumiała. Uciekłem się zatem jedynie do

zdecydowanego stwierdzenia, że już się więcej nie spotkamy, że nie kocham jej i że musi to zrozumieć.

Ale było to dużo gorsze, niż się spodziewałem: Helena zbladła, zaczęła drżeć na całym ciele, nie chciała mi uwierzyć, nie chciała mnie puścić; przeszedłem małą golgotę, zanim wreszcie udało mi się jej wyrwać i odejść.

## 14

Wszędzie dokoła pełno było koni i wstążek, a ja stałem jak wryta i długo tak tam stałam, potem podszedł do mnie Heniek, chwycił mnie za rękę, ścisnął mi dłoń i pytał, co pani jest, co pani jest, a ja zostawiłam tę rękę w jego dłoni i powtarzałam, nic, Heniu, nic mi nie jest, co mi ma być, miałam jakiś obcy, wysoki głos i mówiłam dalej z nienaturalnym pośpiechem, że jeszcze powinniśmy nagrać te wiersze wywoływaczy, już mamy dwie rozmowy, muszę teraz dodać jeszcze komentarz, mówiłam o rzeczach, o których w ogóle nie mogłam przy tym myśleć, a on w milczeniu stał przy mnie i ścisnął moją rękę.

Nigdy właściwie mnie jeszcze nie dotknął, zawsze był nieśmiały, ale wszyscy wiedzieli, że się we mnie kocha, a teraz stał przy mnie i ścisnął moją rękę, ja zaś plotłam coś o przygotowanej przez nas audycji i wcale o tym nie myślałam, myślałam o Ludwiku, a także, to zabawne, przeleciało mi przez myśl, jak też ja tu wyglądam w oczach Heńka, czy w tym zdenerwowaniu nie jestem odrażająca, ale nie, nie płakałam przecież, jestem tylko zdenerwowana, to wszystko.

Wiesz co, Heniu, zostaw mnie na chwilę, pójdę napisać sobie ten komentarz i od razu go nagramy. Jeszcze przez chwilę nie puszczał mnie i pytał troskliwie, co pani jest, Heleno, co pani jest, ale ja mu się wyrwałam i poszłam do Rady Narodowej, gdzie przydzielono nam pokój, przyszłam tam, nareszcie byłam sama, pusty pokój, opadłam na krzesło, czoło oparłam na stole i przez chwilę tak siedziałam. Potwornie bolała mnie głowa. Otworzyłam torebkę, czy nie mam tam proszków, ale nie wiem, po co ją właściwie otwierałam, wiedziałam, że żadnych proszków tam nie mam, potem jednak przypomniało mi się, że Heniek ma zawsze przy sobie rozmaite lekarstwa, na wieszaku wisiał jego płaszcz, przeszukałam kieszenie i rzeczywiście miał tam jakąś fiolkę. Ach, to od bólu głowy, od bólu zębów, na ischias i zapalenie nerwu trójdzielnego, na ból duszy to nie pomaga, ale może przynajmniej pomoże mi na ból głowy.

Podeszłam do kranu, który znajdował się w kącie sąsiedniego pokoju, nalałam wody do szklanki po musztardzie i zażyłam dwie tabletki. Dwie



wystarczą, chyba mi to pomoże, oczywiście na ból duszy novalgina nie pomaga, chyba że zużyłabym całą fiolkę, ponieważ novalgina w dużej ilości jest trucizną, a fiolka Heńka jest prawie pełna, może by to i wystarczyło.

Ale to była tylko myśl, zwykła myśl, tylko że ta myśl uparcie teraz powracała, musiałam zastanawiać się, po co ja w ogóle żyję, jaki jest sens żyć dalej, ale właściwie to nieprawda, o niczym takim nie myślałam, w ogóle niewiele myślałam w tej chwili, tylko wyobrażałam sobie, że umrę, i zrobiło mi się naraz błogo, tak dziwnie błogo, że zachciało mi się śmiać.

Położyłam sobie na języku jeszcze jedną tabletkę, wcale nie byłam zdecydowana się otruć, ścisnęłam tylko tę fiolkę w rękę i mówiłam sobie: „trzymam w ręce swoją śmierć”, i zachwycało mnie, że to takie proste, miałam uczucie, jakbym krok za krokiem zbliżała się do głębokiej przepaści, nie po to, żeby w nią skoczyć, ale żeby w nią spojrzeć. Nalałam wody do szklanki, popiłam tabletkę i wróciłam do naszego pokoju, okno było tam otwarte i ciągle z oddali słychać było: chyżej, chyżej, ale mieszał się z tymi okrzykami warkot samochodów, ordynarnych ciężarówek, ordynarnych motocykli, zagłuszający wszystko, co jest na świecie pięknego, w co wierzyłam i dla czego żyłam, ten warkot był nie do wytrzymania i nie do wytrzymania była ta bezsilna słabość wykrzykujących wiersze głośników, zamknęłam więc okno i znowu poczułam w duszy przejmujący, uparty ból.

Przez całe życie Paweł nie skrzywdził mnie tak jak ty, Ludwiku, w ciągu tej jednej jedynej minuty. Pawłowi wybaczam, rozumiem go, jego ogień szybko się wypala, musi szukać sobie nowej pożywki, nowych widzów, nowej publiczności, krzywdził mnie, ale teraz, przez pryzmat swego świeżego bólu, patrzę na niego bez gniewu, po macierzyńsku, fanfaron, komediant, uśmiecham się na myśl o tym, jak przez tyle lat usiłował wyrwać się z moich objęć, ach, idź, Pawle, idź sobie, rozumiem cię, ale ciebie, Ludwiku, nie rozumiem, tyś przyszedł do mnie w masce, przyszedłeś mnie wskrzesić i wskrzeszoną zniszczyć. Ciebie, tylko ciebie przeklinam, przeklinam i błagam zarazem, żebyś wrócił, żebyś wrócił i zmiłował się nade mną.

Mój Boże, może to tylko jakieś straszne nieporozumienie, może Paweł coś ci powiedział, kiedy byliście sami, czy ja wiem, pytałam cię o to, zaklinałam cię, żebyś mi wytłumaczył, dlaczego mnie już nie kochasz, nie chciałam cię puścić, cztery razy cię zatrzymywałam, ale ty nie chciałeś o niczym słyszeć, tylko powtarzałeś, że to koniec, koniec, raz na zawsze koniec, nieodwołalnie koniec, no więc dobrze, koniec, zgodziłam się z tobą wreszcie, a głos miałam wysoki, piskliwy, jakby to mówił ktoś inny, jakaś mała dziewczynka, tym wysokim

głosem powiedziałam życzę ci zatem szczęśliwej podróży, to zabawne, zupełnie nie wiem, dlaczego życzyłam ci szczęśliwej podróży, ale wciąż mi się to cisnęło na usta, szczęśliwej podróży zatem, szczęśliwej podróży...

Może nie wiesz, jak ja cię kocham, na pewno nie wiesz, jak cię kocham, może sobie myślisz, że jestem taką ot sobie damulką poszukującą przygód, i nie przeczuwasz, że jesteś moim losem, życiem, wszystkim... Może znajdziesz mnie tutaj przykrytą białym prześcieradłem i wtedy zrozumiesz, że zabiłeś to, co miałeś w życiu najcenniejszego... albo też przyjdiesz, a ja będę jeszcze żyła i jeszcze będziesz mógł mnie uratować, padniesz przy mnie na kolana i będziesz płakał, a ja będę cię gładziła po rękach, po włosach i przebaczę ci, wszystko ci przebaczę...

## 15

Doprawdy nie było innej rady, musiałem przekreślić tę niedobłą historię, ten kiepski żart, który nie zadowolili się sam sobą, ale mnożył się potwornie w coraz to nowe głupie żarty. Chciałem wymazać ze swego życia cały ten dzień, który zdarzył się przez niedopatrzenie, tylko dlatego, że za późno się z rana obudziłem i nie mogłem już wyjechać, ale chciałem wymazać również wszystko, co do tego dnia prowadziło, całe to idiotyczne uwodzenie Heleny, polegające również jedynie na pomyłce.

Spieszyłem się, jakbym czuł za sobą ścigające mnie kroki Heleny, i przyszło mi na myśl: co z tego, gdyby to nawet było możliwe i gdybym rzeczywiście wymazał tych kilka niepotrzebnych dni ze swego życia, co to pomoże, skoro cała moja historia poczęta została z pomyłki, z kiepskiego żartu kartki pocztowej, z tego przypadku, z tej bzdury? I ogarnęło mnie przerażenie, bo doszedłem do wniosku, że rzeczy wynikłe z pomyłki są równie realne jak rzeczy wynikłe logicznie z konieczności.

Jakże chciałbym odwołać historię swego życia! Ale w jaki sposób mógłbym ją odwołać, skoro pomyłki, z których wynikła, nie były jedynie moimi pomyłkami? K t o bowiem się pomylił, gdy głupi żart mojej kartki został potraktowany na serio? Kto się pomylił, kiedy ojciec Aleksa (dziś zresztą dawno już zrehabilitowany, ani trochę jednak przez to nie mniej umarły) został aresztowany i uwięziony? Te pomyłki były tak pospolite i tak powszechne, że bynajmniej nie stanowiły wyjątku ani pomyłki w istniejącym porządku rzeczy, lecz przeciwnie, one go właśnie tworzyły. Kto wobec tego się mylił? Sama historia? Ta boska, ta rozumna? A dlaczegoż by właśnie to miały być jej

pomyłki? Tak widzi to tylko mój ludzki rozum, ale jeśli historia posiada istotnie jakiś swój własny rozum, dlaczego miałby to być rozum pragnący sprawiedliwości, rozum domagający się ludzkiego zrozumienia, rozum obdarzony belferską powagą? A jeśli historia żartuje? I tu uświadomiłem sobie, jak bezsilne jest pragnienie odwołania własnego żartu, skoro ja sam z całym moim życiem wciągnięty jestem w żart o wiele bardziej wszechobejmujący (dla mnie nieprzenikniony) i absolutnie nieodwołalny.

Zobaczyłem na placu (opustoszałym już, Jazda Królów bowiem objeżdżała teraz drugi koniec wsi) opartą o ścianę wielką tablicę, oznajmiałą czerwonymi literami, że dzisiaj o czwartej po południu w ogrodzie restauracji daje koncert kapela ludowa. Obok tej tablicy były drzwi do gospody, a ponieważ do odejścia autobusu zostały mi prawie dwie godziny, a była pora obiadowa, wszedłem do środka.

## 16

Taką straszną miałam chęć podejść jeszcze kawałeczek bliżej do tej przepaści, chciałam się wychylić przez barierę i patrzeć w głąb, jak gdyby ten widok miał przynieść mi pociechę i ukojenie, jak gdybyśmy tam w dole, chociaż tam w dole, jeśli już nie gdzie indziej, jak gdybyśmy tam, na dnie przepaści, mogli się nawzajem odnaleźć i być razem bez nieporozumień, bez złych ludzi, bez starzenia się, bez smutków, na zawsze... Przeszłam znów do drugiego pokoju, połknęłam na raz cztery tabletki, to nic nie jest, wciąż jeszcze jestem bardzo daleko od tej przepaści, nie dotykam jeszcze nawet bariery. Wysypałam sobie na dłoń pozostałe proszki. Usłyszałam, jak ktoś otwiera drzwi z korytarza, przestraszyłam się, wrzuciłam tabletki do ust i zaczęłam je łykać jak szalona, było tego za dużo do przełknięcia, czułam bolesny ucisk w gardle, chociaż popijałam wodą, jak mogłam.

To przyszedł Heniek, zapytał, jak mi idzie robota, a we mnie nagle zaszła całkowita zmiana, opadło ze mnie uczucie zamętu, nie miałam już tego obcego wysokiego głosu, byłam stanowcza i zdecydowana. To dobrze, żeś przyszedł, Heniu, chcę cię o coś poprosić. Zaczerwienił się i powiedział, że zawsze zrobi dla mnie wszystko i że się cieszy, że już się dobrze czuję. Tak, już mi jest lepiej, zaczekaj chwileczkę, chcę coś napisać, usiadłam, wzięłam kartkę papieru i zaczęłam pisać. Ludwiku, najdroższy mój, kochałam cię całą duszą i ciałem, a teraz moja dusza i moje ciało nie mają już po co żyć. Odchodzę, Kocham cię, żegnaj, Helena. Nie przeczytałam nawet tego, co napisałam, Heniek siedział

naprzeciw mnie, przyglądał mi się i nie wiedział, co piszę, szybko złożyłam arkusik, chciałam go włożyć do koperty, ale koperty nigdzie nie było, słuchaj, Heniu, nie masz czasem koperty?

Heniek podszedł spokojnie do szafy koło biurka, otworzył ją i zaczął w niej przewracać, kiedy indziej upomniałabym go, żeby nie grzebał w cudzych rzeczach, ale teraz chciałam tylko prędko dostać kopertę, podał mi ją, był na niej nadruk tutejszej Rady Narodowej, włożyłam list do środka i na kopercie napisałam Ludwik Jahn, słuchaj, Heniu, pamiętasz tego pana, który rozmawiał z nami, kiedy był tu mój mąż i ta panna, tak, ten brunet, ja teraz nie mogę stąd odejść, chciałabym, żebyś go jakoś znalazł i oddał mu to.

Znów chwycił mnie za rękę, biedaczek, co on sobie myślał, jak sobie tłumaczył moje zdenerwowanie, nie mogło mu nawet we śnie przyjść do głowy, o co chodzi, czuł tylko, że dzieje się ze mną coś złego, znowu trzymał mnie za rękę i wydało mi się to nagle straszliwie żalosne, a on nachylił się ku mnie, objął mnie i przycisnął usta do moich ust, chciałam się bronić, ale trzymał mnie mocno, a mnie przeleciało przez myśl, że to ostatni w życiu mężczyzna, którego całuję, że to mój ostatni pocałunek, i naraz zupełnie oszalałam, objęłam go również z całych sił, rozchyliłam usta i poczułam jego język i jego ręce na moim ciele, i doznałam w tym momencie zawrotnego uczucia, że jestem właściwie zupełnie wolna i że nic nie ma znaczenia, bo wszyscy mnie opuścili, mój świat się zawalił, jestem więc zupełnie wolna i mogę robić, co mi się podoba, jestem wolna jak ta dziewczyna, którą wyrzuciliśmy z radia, nic mnie od niej nie dzieli, mój świat się rozsypał i już nigdy go nie zlepię, nie mam już po co być wierna, jestem nagle zupełnie wolna, jak ta techniczka, ta kurewka, która co wieczór była w innym łóżku, czułam w ustach język Heńka, jestem wolna, wiedziałam, że mogę mu się oddać, chciałam mu się oddać, wszystko jedno gdzie, choćby tutaj na tym stole albo na podłodze, już, zaraz, natychmiast, ostatni raz się oddać, przed śmiercią się oddać, ale Heniek się wyprostował, uśmiechał się dumnie i powiedział, że już idzie i że spieszno mu będzie z powrotem.

## 17

Przez małą salkę z pięcioma czy sześcioma stołami, pełną ludzi i gęstą od dymu, pędził kelner, trzymając w wyciągniętej ręce dużą tacę ze stosem talerzy, na których rozpoznawałem smażone kotlety z sałatką kartoflaną (prawdopodobnie jedyne niedzielne danie), i bez ceregieli torując sobie drogę między ludźmi i stołami, wybiegł z salki na korytarz. Poszedłem za nim i stwierdziłem, że

na końcu korytarza znajdują się otwarte drzwi do ogrodu, gdzie również siedzą ludzie przy obiedzie. W głębi pod lipą był wolny stolik, usiadłem tam.

Z dala, ponad dachami wiejskich domków, niosło się wdzięczne chyżej, chyżej, dobiegało jednak z tak daleka, że docierając tutaj, do restauracyjnego ogródka, zamkniętego ze wszystkich stron ścianami domów, wydawało się na wpół nierealne. I ta pozorna nierealność nasunęła mi myśl, że wszystko, co mnie tu ojacza, to nie jest rzeczywistość, tylko przeszłość, przeszłość sprzed piętnastu lat, że przeszłością jest to chyżej, chyżej, że przeszłością jest Łucja, Zemanek, a Helena jest tylko kamieniem, którym chciałem w tę przeszłość rzucić; całe te trzy dni były tylko teatrem cieni.

Co? Tylko te trzy dni? Całe moje życie było chyba zawsze zbyt pełne cieni, a rzeczywistość zajmowała w nim najprawdopodobniej dosyć poślednie miejsce. Wyobrażam sobie ruchomy chodnik (to czas), a na nim człowieka (to ja), który biegnie w kierunku przeciwnym do tego, w jakim porusza się chodnik, ale chodnik sunie szybciej niż ja i dlatego powoli unosi mnie coraz dalej od celu, do którego biegnę; ten cel (dziwny cel, który mieści się w głębi!) to przeszłość pełna procesów politycznych, pełna sal, w których podnoszą się ręce, pełna strachu, pełna „czarnych” żołnierzy i Łucji, przeszłość, która mnie fascynuje, którą staram się rozszyfrować, rozwiązać, rozwikłać, a która nie pozwala mi żyć tak, jak powinien żyć człowiek, to znaczy z twarzą zwróconą przed siebie. A przy tym jest to przeszłość z każdym dniem bardziej odległa (ponieważ chodnik porusza się szybciej niż ja), i tym samym coraz bardziej nieodgadniona, coraz bardziej nie do rozwikłania, tak że biegnę (z oczyma zwróconymi w przeszłość i z niezaspokojonym pragnieniem sprawiedliwości) zupełnie nadaremnie.

Ale istnieje główna więź, którą chciałbym się z ową hipnotyzującą mnie przeszłością związać, tą więzią jest zemsta, tylko że zemsta, jak się o tym przekonałem w ostatnich dniach, jest równie daremna, jak daremny jest cały ten mój bieg wstecz. Tak, wtedy, kiedy w audytorium uniwersyteckim Zemanek odczytał *Reportaż spod szubienicy* Fućika, wtedy powinienem był podejść do niego i uderzyć go w twarz, tylko wtedy. Zemsta odkładana na później przeobraża się w coś fałszywego, w prywatną religię, w mit z każdym dniem bardziej oderwany od występujących w nim osób, które w micie zemsty pozostają ciągle takie same, chociaż w rzeczywistości (chodnik bez przerwy się porusza) są już dawno kim innym: dzisiaj inny Jahn stoi przed innym Zemankiem, a policzek, który mu jestem winien, jest nie do wskrzeszenia, nie do zrekonstruowania, jest definitywnie stracony, toteż, kiedy wymierzyłem go teraz, po latach, jest zupełnie niezrozumiały, a ponieważ jest niezrozumiały, nabiera całkiem innych, nie

zamierzonych przeze mnie znaczeń, staje się czymś innym, niż był w moich intencjach, może się obrócić w najróżniejszych kierunkach, a ja nie mogę nim nawet kierować, a tym mniej znaleźć dla niego usprawiedliwienie.

Krajałem duży placek smażonego kotleta na talerzu i znów dobiegło do moich uszu chyżej, chyżej, słabo i tęsknie niosące się ponad dachami wsi, ujrzałem w duchu zamaskowanego króla i jego Jazdę, i serce ścisnęło mi się na myśl o niezrozumiałości ludzkich gestów.

Od wielu już stuleci tak jak dziś we wsiach morawskich wyjeżdżają chłopcy z dziwnym posłaniem, którego słowa, pisane w nieznannej mowie, przekazują ze wzruszającą wiernością, nie rozumiejąc ich nawet. Jacyś dawno temu żyjący ludzie chcieli zapewne powiedzieć coś ważnego i ozywają dzisiaj w swoich potomkach jako głuchoniemi mówcy, przemawiający do publiczności za pomocą pięknych i niezrozumiałych gestów. Ich posłania nigdy nikt nie rozszyfruje, nie tylko dlatego, że brak do niego klucza, ale i dlatego, że ludzie nie mają cierpliwości mu się przysłuchiwać w czasach, kiedy nagromadziło się już takie nieprzejrzone mnóstwo różnych posłań, dawnych i nowych, że ich zagłuszające się nawzajem słowa stały się nieuchwytnie. Już dzisiaj historia jest wątlą nicią tego, co zapamiętane, nad oceanem tego, co zapomniane, ale czas idzie naprzód i nadejdzie okres, kiedy liczba minionych lat będzie tak wysoka, że nie zwiększona pamięć jednostki w ogóle nie będzie w stanie ich ogarnąć; całe stulecia i tysiąclecia wypadną z niej zatem, stulecia obrazów i muzyki, stulecia odkryć, bitew, ksiąg, i to będzie złe, ponieważ człowiek straci wiedzę o samym sobie, a jego historia, niepojęta, nie do ogarnięcia, skurczy się do kilku schematycznych, pozbawionych sensu skrótów. Tysiące głuchoniemych orszaków Jazdy Królów wyjeżdżać będą naprzeciw tym dalekim ludziom z żalonym, niezrozumiałym posłaniem, i nikt nie będzie miał czasu ich wysłuchać.

Siedziałem w kącie restauracyjnego ogródka nad pustym talerzem; zjadłem kotlet, sam nie wiedząc kiedy, i uświadamiałem sobie, że objęło mnie (już teraz, już dziś) to nieuniknione, przeogromne zapomnienie. Przyszedł kelner, zabrał talerz, machnął ścierką, zmiatając z mego obrusa kilka okruchów, i pośpieszył do innego stolika. Ogarnęło mnie uczucie żalu nad tym dniem, nie tylko dlatego, że był daremny, ale że nawet ta daremność z niego nie zostanie, że pójdzie w zapomnienie razem z tym stolikiem, z tą muchą, która mi brzęczy koło głowy, razem z tym żółtym pyłem, który strąca na mój obrus kwitnąca lipa, razem z tą powolną, kiepską obsługą, tak charakterystyczną dla aktualnego stanu społeczeństwa, w którym żyję, że i to społeczeństwo zostanie zapomniane, a jeszcze o wiele prędzej zapomniane zostaną jego błędy i pomyłki, i krzywdy,

którymi dręczyłem się i gryzłem i które nadaremnie starałem się naprawiać, karać i wymazywać, nadaremnie, ponieważ cokolwiek się stało, już się nie odstanie.

Tak, tak to jest; ludzie przeważnie łudzą się dwiema błędnymi wiarami: wierzą w wieczną pamięć (ludzi, spraw, czynów, narodów) i w możliwość naprawy (czynów, pomyłek, grzechów, krzywd). Obie te wiary są fałszywe. W rzeczywistości jest właśnie na odwrót: wszystko zostanie zapomniane i nic nie będzie naprawione. Naprawę (zemstę, przebaczenie) zastąpi zapomnienie. Nikt nie naprawi krzywd, które wyrządzono, ale wszystkie krzywdy ulegną zapomnieniu.

Znowu rozejrzałem się uważnie wokół siebie, wiedziałem bowiem, że ulegnie zapomnieniu ta lipa, stół, ludzie przy stole, kelner (zmęczony po południowym natłoku) i ta gospoda, która (brzydka od ulicy) stąd, od strony ogrodu, wyglądała całkiem miło, porośnięta dzikim winem. Patrzałem na otwarte drzwi korytarza, w którym zniknął właśnie kelner (to zmęczone serce owego opustoszałego już i ucichłego zakątka) i z którego (ledwie ciemność wchłonęła kelnera) wynurzył się chłopiec w skórzanej kurtce i dżinsach; wszedł do ogródka i rozejrzał się; potem zobaczył mnie i skierował się w moją stronę; dopiero po kilku sekundach uświadomiłem sobie, że to jest technik Heleny.

Źle znoszę sytuacje, kiedy kochająca, a nie kochana kobieta grozi mi swoim powrotem, toteż gdy chłopiec podał mi kopertę („Kazała to panu oddać pani Zemankowa”), przede wszystkim zapragnąłem odłożyć jakoś na później przeczytanie listu. zaproponowałem chłopcu, żeby usiadł; usłuchał (oparł się łokciem o stół i ze zmarszczonym czołem patrzył spokojnie w prześwietloną słońcem lipę); ja zaś położyłem kopertę przed sobą na stole i zapytałem:

– Napijemy się czegoś?

Wzruszył ramionami; zaproponowałem wódkę, ale odmówił, że niby prowadzi wóz; dodał jeszcze, że jeżeli ja mam ochotę, to chętnie mi po-asystuje. Nie miałem najmniejszej ochoty, ale ponieważ na stole leżała przede mną koperta, której nie chciało mi się otwierać, każde inne zajęcie było dobre. Poprosiłem więc kelnera, który właśnie koło nas przechodził, żeby przyniósł wódkę.

– Nie wie pan, czego chce ode mnie Helena? – zapytałem.

– Skąd mam wiedzieć? Niech pan przeczyta – odrzekł.

– Coś pilnego?

– Myśli pan, że nauczyłem się treści na pamięć, na wypadek gdyby mi list zrabowano?

Ująłem kopertę w palce (była to urzędowa koperta z nadrukiem „Miejska Rada Narodowa”), po czym znowu położyłem ją na stole przed sobą i nie wiedząc, co by tu powiedzieć, odezwałem się:

– Szkoda, że pan nie pije.

– Chodzi tu przecież i o pana bezpieczeństwo – powiedział.

Zrozumiałem aluzję oraz to, że nie została rzucona ot tak sobie, ale że chłopiec chce skorzystać z okazji i dowiedzieć się, jak to będzie z powrotną jazdą i czy jest nadzieja na jego sam na sam z Heleną.

Był całkiem miły; z jego twarzy (drobnej, bladej i piegowatej, z krótkim, zadartym nosem) można było odczytać wszystko, co się działo w jego duszy; może dlatego ta twarz była taka przejrzysta, że była to twarz nieodwracalnie dziecinna (powiedziałem nieodwracalnie, ponieważ owa infantylność tkwiła w jej anormalnie drobnych rysach, które z wiekiem nie staną się ani trochę bardziej męskie i które nawet z twarzy staruszka uczynią jedynie starczą twarz dziecka).

Taki dziecinny wygląd nie może cieszyć dwudziestoletniego chłopca, ponieważ w tym wieku to go dyskwalifikuje; nie pozostaje mu zatem nic innego jak wszelkimi środkami tę infantylność maskować (tak jak to niegdyś czynił – ach, nie kończący się teatr cieni! – komendant-dziecię w naszych koszarach) ubiorem (skórzana kurtka chłopca była szeroka w ramionach, twarzowa i dobrze skrojona) i sposobem bycia (chłopiec był pewny siebie, trochę szorstki, a chwilami ostentacyjnie nonszalancki). Ale niestety bez przerwy zza tej maski wyzierała zdradziecko jego prawdziwa twarz: czerwienił się, nie panował nad swoim głosem, który w chwilach najmniejszego podenerwowania zaczynał mu się trochę załamywać (zauważyłem to już przy pierwszym naszym spotkaniu), nie panował również nad swoimi oczyma i mimiką (chciał mi wprawdzie okazać, że jest mu obojętne, czy pojedę z nimi do Pragi, czy nie, ale kiedy mu teraz oświadczyłem, że zostaję, twarz najwyraźniej mu się rozjaśniła).

Kiedy po chwili kelner przyniósł nam przez pomyłkę do stolika niejeden, ale dwa kieliszki wódki, chłopiec machnął ręką i powiedział, żeby kelner tego nie zabierał, że wobec tego on też się napije.

– Nie mogę przecież pozwolić, żeby pił pan sam – oświadczył. – No, to pana zdrowie!



– Pańskie! – odparłem i stuknęliśmy się kieliszkami.

Potem zaczęliśmy rozmawiać i dowiedziałem się, że chłopiec sądzi, iż wyjada za jakieś dwie, trzy godziny, ponieważ Helena chce nagrany materiał jeszcze na miejscu opracować, ewentualnie nagrać jeszcze własny komentarz, żeby całość już jutro mogła iść na antenę. Spytałem, jak mu się pracuje z Heleną. Znowu lekko się zaczerwienił i powiedział, że Helena zna się na robocie, ale jest bezwzględna wobec swoich współpracowników, ponieważ gotowa jest zawsze pracować poza godzinami i nic jej nie obchodzi, że inni spieszą się do domu. Zapytałem, czy on także spieszy się do domu. Powiedział, że nie, że jego osobiście to nawet bawi. A potem korzystając z tego, że to ja sam zapytałem o Helenę, zagadnął ot tak, jakby od niechcienia:

– A skąd pan zna Helenę?

Wyjaśniłem mu to, on jednak wypytywał dalej:

– Ale Helena jest pierwsza klasa, co?

Szczególnie kiedy była mowa o Helenie, miał minę demonstracyjnie zadowoloną, lecz ja i to przypisywałem chęci maskowania się, ponieważ o tym, że jest w niej beznadziejnie zakochany, na pewno wiedzieli wszyscy, musiał więc na wszelkie sposoby bronić się przed etykietką nieszczęśliwie zakochanego, etykietką, jak wiadomo, wstydliwą. Aczkolwiek zatem owego zadowolenia chłopaka nie brałem zbyt poważnie, to jednak ujmowało ono trochę wagi owemu listowi, który leżał przede mną, tak że w końcu wziąłem go ze stolika i otworzyłem:

„Moje ciało i moja dusza ...nie mają już po co żyć ... Odchodzę...”

Dostrzegłem na drugim końcu ogrodu kelnera.

– Płacić! – krzyknąłem.

Kelner kiwnął głową, ale nie pozwolił się sprowadzić ze swojej orbity i znowu zniknął w korytarzu.

– Idziemy, nie ma czasu do stracenia – rzekłem do chłopca. Wstałem i szybko przeszedłem przez ogród, chłopiec kroczył za mną. Minęliśmy korytarz i dotarliśmy do wyjścia, tak że kelner musiał chcąc nie chcąc pobiec za nami.

– Kotlet, zupa, dwie wódki – dyktowałem mu.

– Co się stało? – zapytał chłopiec spokojnym nagle głosem.

Zapłaciłem kelnerowi i kazałem chłopcu zaprowadzić się szybko do Heleny. Ruszyliśmy szybkim krokiem.

– Co się stało? – zapytał znowu.

– Czy to daleko? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

Wskazał ręką przed siebie, a ja zacząłem biec; biegliśmy obaj i po chwili znaleźliśmy się przed Radą Narodową. Był to parterowy domek, białe otynkowany, z wejściem od ulicy i dwoma oknami. Weszliśmy do środka. Z ciemnego korytarza prowadziły drzwi na prawo; chłopiec otworzył je; znaleźliśmy się w ponurej kancelarii: pod oknem stały naprzeciw siebie dwa zsunięte biurka; na jednym z nich zobaczyłem otwarty magnetofon, blok papieru i damską torebkę (tak, Heleny); przy obydwu biurkach stały krzesła, a w rogu pokoju metalowy wieszak. Wisiały na nim dwa płaszcze: niebieski ortalionowy Heleny i brudny męski prochowiec.

– To tutaj – rzekł chłopiec.

– Tutaj dała panu ten list?

– Tak.

W tej chwili jednak pokój był beznadziejnie pusty; zawołałem:

– Heleno! – i przestraszyłem się swego głosu, taki był niepewny i zdławiony. Nikt się nie odezwał. Zawołałem znowu: – Heleno! – a chłopiec zapytał:

– Zrobiła sobie coś złego?

– Na to wygląda – rzekłem.

– Pisała o tym w liście?

– Tak – powiedziałem. – Nie mieliście do dyspozycji żadnego innego pokoju?

– Nie.

– A w hotelu?

– Wymeldowaliśmy się już rano.

– No więc musi być tutaj – rzekłem i usłyszałem teraz głos chłopca zalamujący się i zdławiony:

– Heleno!

Otworzyłem drzwi do sąsiedniego pokoju, była to także kancelaria: biurko, kosz na papiery, trzy krzesła, szafa i wieszak (wieszak był taki sam jak w

pierwszym pokoju: metalowy pręt na trzech nóżkach, u góry rozgałęziający się – podobnie jak na dole – w trzy metalowe ramiona; ponieważ nie wisały na nim żadne płaszcze, stał tu jakiś swobodniejszy, prawie ludzki; z jego żelaznej nagości i śmiesznie wyciągniętych rączek powiało na mnie grozą); nad biurkiem było okno, ale poza tym wszędzie gołe ściany, żadnych drzwi, które dokądś by prowadziły; obie kancelarie były najwidoczniej jedynymi pokojami w tym budynku.

Wróciliśmy do pierwszego pokoju; wziąłem z biurka blok papieru i zacząłem go przerzucać; były tam jednakże tylko jakieś nieczytelne prawie notatki, dotyczące (sądząc z niektórych słów, które zdołałem odczytać) Jazdy Królów; żadnej wiadomości, żadnych nowych słów pożegnania. Otworzyłem torebkę: była w niej chusteczka, kredka do ust, puderniczka, dwa zgniecione papierosy i zapalniczka; żadnej fiołki z lekarstwami, żadnej buteleczki po truciznie. Zastanawiałem się gorączkowo, co mogła sobie zrobić. Podeszedłem do wieszaka i zacząłem grzebać w kieszeniach damskiego płaszcza: były puste.

– Może jest na strychu – rzekł naraz chłopiec niecierpliwie, ponieważ moje przeszukiwanie pokoju, mimo że trwało nie więcej niż kilka sekund, wydawało mu się widać bezcelowe. Wybiegliśmy na korytarz i zobaczyliśmy tam dwoje drzwi: jedne były u góry oszklone i niewyraźnie majaczyło przez nie podwórze; otworzyliśmy drugie, bliższe, za którymi ukazały się schody, kamienne ciemne schody, pokryte warstwą kurzu i sadzy. Wbiegliśmy na górę; otoczył nas półmrok, ponieważ w dachu znajdowało się jedno jedyne okienko (z brudną szybą), przez które przedostawało się tylko mętne szare światło. Wszędzie naokoło majaczyły stosy rupieci (skrzynie, narzędzia ogrodowe, motyki, łopaty, grabie, ale także pliki papierów i stare połamane krzesła); potykaliśmy się co krok.

Chciałem zawołać „Heleno”, ale strach zdławił mi głos: bałem się milczenia, które by potem nastąpiło. Chłopiec także nie wołał. Przerzucaliśmy rupiecie i w milczeniu macaliśmy po ciemnych kątach; czułem, że obydwaj jesteśmy zdenerwowani. Ale największą grozą napełniało nas własne milczenie, poprzez które przyznawaliśmy się, że nie oczekujemy już od Heleny odpowiedzi, że szukamy już tylko jej ciała, wiszącego albo leżącego. Nie znaleźliśmy jednak nic i wróciliśmy na dół, do kancelarii. Znowu pospiesznie obejrzałem cały inwentarz, stoły, krzesła, wieszak, który w wyciągniętej ręce trzymał jej płaszcz, a potem znów do drugiego pokoju: stół, krzesła, szafa i znowu wieszak z rozpaczliwie wyciągniętymi pustymi rączkami. Chłopiec (na próżno) zawołał: – Heleno! – a ja

(na próżno) otworzyłem szafę, i ukazały się półki zavalone plikami papierów, przyborów do pisania, taśm i pieczętek.

– Przecież coś jeszcze musi tu być! Klozet! Albo piwnica! – powiedziałem i wyszliśmy znowu na korytarz. Chłopiec otworzył drzwi na podwórze. Podwórko było małe; w roku stała klatka z królikami; za podwórzem ciągnął się ogród, porośnięty gęstą, nie strzyżoną trawą, z której wyrastały pnie drzew owocowych (w jakimś dalekim zakamarku myśli zdażyłem sobie uświadomić, że ogród jest piękny i że spomiędzy gałęzi drzew zwisają błękitne płaty nieba, że pnie drzew są szorstkie i pochyłe i że wśród nich świeci kilka jaskrawo żółtych słoneczników); na końcu ogrodu, w idyllicznym cieniu jabłoni, dostrzegłem drewniany domek wiejskiego ustępu. Puściłem się biegiem w tą stronę.

Ruchoma deseczka przybita jednym dużym gwoździem do wąskiej framugi (żeby od zewnątrz można było przekręcając ją poziomo zamknąć drzwi) była ustawiona pionowo. Wetknąłem palec w szparę pomiędzy framugą i drzwiami i lekko naciskając stwierdziłem, że ustęp jest zamknięty od środka; nie mogło to oznaczać nic innego, jak tylko że wewnątrz jest Helena.

– Heleno! Heleno! – powiedziałem cicho.

Żadnego odgłosu, tylko jabłonka, kołysana łagodnym wiatrem, szeleściła gałęziami, uderzając o drewnianą ścianę ustępu.

Wiedziałem, że owo milczenie w zamkniętym domku oznacza to najgorsze, ale wiedziałem również, że pozostaje jedynie wyrwać drzwi i że to muszę zrobić właśnie ja. Wsunąłem znowu palce w szparę między futryną i drzwiami i szarpnąłem z całej siły. Drzwi (zamknięte nie na haczyk, jak to często bywa na wsi, ale umocowane zwykłym sznurkiem) nie stawiały oporu i otwarły się na oścież. Naprzeciwko mnie, na drewnianej desce, w odorze latryny, siedziała Helena. Była blada, ale żywa. Patrzała na mnie przerażonym wzrokiem i instynktownym ruchem obciągała zadartą spódnice, która jednak mimo największych wysiłków nie sięgała dalej niż do połowy ud. Helena trzymała kurczowo jej brzeg obiega rękami i przyciskała nogi do siebie.

– O Jezu, niech się pan stąd wynosi! – krzyknęła przeraźliwie.

– Co pani jest?! – wrzasnąłem na nią. – Co pani zjadła?

– Niech się pan wynosi! Proszę mnie zostawić! – krzyczała.

– Za moimi plecami ukazał się teraz również chłopiec, a Helena wrzeszczała:

– Wynoś się, Heniek, wynoś się!

Uniosła się trochę i sięgnęła ręką do drzwi, aleja stanąłem już w środku, pomiędzy nią i drzwiami, tak że chwiejąc się musiała znowu usiąść na okrągłym otworze deski.

W tej samej chwili natychmiast znów się podniosła i rzuciła się na mnie z rozpaczliwą siłą (naprawdę rozpaczliwą, ponieważ były to już zaledwie resztki siły, które jej zostały po ogromnym wysiłku). Chwyciła mnie obiema rękami za klapy marynarki i wypychała na zewnątrz; znaleźliśmy się za progiem ustępu.

– Bydlę! Bydlę! – krzyczała (o ile nazwać można krzykiem wściekłe zmaganie z osłabłym głosem) i potrząsała mną; potem raptownie mnie puściła i zaczęła biec po trawniku w stronę podwórza. Chciała uciec, ale los zdrwił z niej podstępnie, opuściła ustęp w popłochu, nie zdoławszy się nawet jakoś ogarnąć, toteż majtki (te, które znałem od wczoraj, elastyczne majtki, pełniące jednocześnie rolę paska do gum) oplatały jej się wokół kolan i nie pozwalały biec; spódnice miała wprawdzie opuszczoną, ale jedwabne pończochy były zsunięte, tak że ich górny, ciemniejszy brzeg razem z przytrzymującymi go podwiązkami znajdował się poniżej kolan i był widoczny spod spódnicy); zrobiła parę drobnych kroczków czy podskoków (miała pantofle na wysokich obcasach), uszła zaledwie może trzy metry i upadła (upadła na prześwietloną słońcem trawę, pod koroną drzewa, niedaleko wysokiego jaskrawego słonecznika); wziąłem ją za rękę i chciałem podnieść; wyrwała mi się, a kiedy znów się nad nią pochyliłem, zaczęła nieprzytomnie bić rękami na wszystkie strony, musiałem więc wytrzymać kilka uderzeń, chwycić ją z całej siły, przyciągnąć do siebie, dźwignąć i ścisnąć ramionami niczym kaftanem bezpieczeństwa.

– Bydlę, bydlę, bydlę, bydlę! – sapała z wściekłością i wolną ręką waliła mnie po plecach; kiedy (jak najłagodniej) powiedziałem: – spokojnie, Heleno! – plunęła mi w twarz.

Nie wypuszczałem jej z uścisku.

– Nie puszczę pani, dopóki mi pani nie powie, co pani połknęła.

– Niech się pan wynosi! Niech się pan wynosi! – powtarzała z furia, ale nagle się uspokoiła, zaniechała oporu i rzekła: – Proszę mnie puścić.

Powiedziała to tak całkowicie innym (cichym i zmęczonym) głosem, że rozluźniłem uścisk i spojrzałem na nią; z przerażeniem zobaczyłem, że twarz ściąga jej się w straszliwym wysiłku, szczęki zwierają się kurczowo, oczy przestają widzieć i całe ciało lekko pochyła się do przodu.

– Co się z panią dzieje?

Odwróciła się bez słowa i skierowała się z powrotem do ustępu; odchodziła w sposób, którego nigdy nie zapomnę: powoli, drobnymi kroczkami swoich spętanych nóg, kroczkami nienaturalnie szybkimi; były to trzy, cztery metry, a przecież pokonując tę niewielką przestrzeń parę razy przystawała i w tych momentach widać było (z lekkiego pochylenia jej ciała), że ciężko zmaga się z bólem; w końcu doszła do ustępu, ujęła krawędź drzwi (które zostały otwarte na oścież) i zamknęła je za sobą.

Stałem nadal tam, gdzie przed chwilą podniosłem ją z ziemi; ale kiedy w ustępie odezwało się głośnie, płaczliwe stęknienie, cofnąłem się jeszcze dalej. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że obok mnie stoi chłopiec.

– Niech pan tu zostanie – powiedziałem. – Muszę sprowadzić lekarza. Wszedłem do kancelarii; już od progu zobaczyłem telefon; stał na biurku.

Gorsza sprawa była z książką telefoniczną; nigdzie jej tu nie widziałem; szarpnąłem za uchwyt środkowej szuflady, ale była zamknięta, jak również wszystkie małe szufladki w bocznej części biurka; zamknięte było także drugie biurko. Poszedłem do sąsiedniego pokoju; tam biurko miało tylko jedną szufladę; była wprawdzie otwarta, ale poza kilkoma fotografiami i nożem do rozcinania papieru nic tam nie znalazłem.

Nie wiedziałem, co robić, ogarnęło mnie (teraz, kiedy wiedziałem już, że Helena żyje i że raczej nie grozi jej śmierć) zmęczenie; przez chwilę stałem w pokoju i tępo gapiłem się na wieszak (chudy, metalowy wieszak, który podnosił ręce do góry, jakby zdawał się na łaskę i niełaskę); potem (raczej przez roztargnienie) otworzyłem szafę; na stercie papierów zobaczyłem niebiesko-zieloną książkę telefoniczną województwa brneńskiego; podszedłem z nią do telefonu i odszukałem szpital. Wykręciłem już numer i usłyszałem w słuchawce sygnał, kiedy do pokoju wbiegł chłopiec.

– Niech pan po nikogo nie dzwoni! Nie trzeba! – wołał.

Nie rozumiałem.

Wyrwał mi słuchawkę z ręki i odłożył na widełki.

– Nie trzeba, mówię panu.

Zażądałem, żeby mi wytłumaczył, co się stało.

– To nie żadne otrucie – rzekł i podszedł do wieszaka; sięgnął ręką do kieszeni męskiego prochowca i wyjął fiolkę, otworzył ją, obrócił dnem do góry; była pusta.

– Czy to jest to, co ona połknęła? – spytałem.

Kiwnął głową.

– Skąd pan wie?

– Powiedziała mi.

– To pańska fiolka?

Przytaknął. Wyjąłem mu ją z ręki; był na niej napis „Novalgina”.

– Myśli pan, że w takiej ilości to jest nieszkodliwe?! – zacząłem na niego krzyczeć.

– Tam nie było novalginy.

– A co tam było? – wrzasnąłem.

– Laxigen – warknął.

Krzyczałem na niego, żeby nie strugał ze mnie wariata, że muszę wiedzieć, co się stało, a jego impertynencji nie jestem ciekaw. Zażądałem, żeby mi natychmiast wszystko wyjaśnił.

Kiedy usłyszał, że krzyczę, on też podniósł głos.

– Powiedziałem panu, że tam był laxigen! Czy cały świat ma wiedzieć, że choruję na kiszki?!

Zrozumiałem, że to, co wziąłem za głupi dowcip, to prawda.

Patrzyłem na niego, na jego poczerwieniałą twarzączkę, na jego tępy nos (mały, a przecież wystarczająco duży, żeby zmieściła się na nim ogromna ilość piegów) i zaczęło przejaśniać mi się w głowie: fiolka od novalginy miała ukryć śmieszność jego dolegliwości, podobnie jak dzinsy i potężna kurtka – śmieszność jego dzieciennego wyglądu; wstydział się i z wysiłkiem dźwigał swój młodzieńczy los; kochałem go w tej chwili; dzięki swojemu wstydnemu (tej nobliwości wieku młodzieńczego) uratował Helenie życie, a mnie spokojny sen w następnych latach. Z tępyim uczuciem wdzięczności patrzyłem na jego odstające uszy. Tak, uratował Helenie życie; ale za cenę jej jakże bolesnej hańby; wiedziałem o tym, wiedziałem również, że jest to hańba niezawiniona, hańba bez sensu i bez najmniejszego nawet cienia sprawiedliwości; wiedziałem, że to jest znowu coś nie do naprawienia w całym łańcuchu spraw nie do naprawienia; czułem się winny i poczułem gwałtowną (choć niejasną) potrzebę, by do niej pobiec, szybko do niej pobiec, podnieść ją z tego pohańbienia, poniżyć się i ukorzyć przed nią,

wziąć na siebie całą winę i całą odpowiedzialność za tę idiotyczną, okrutną historię.

– Czego się pan na mnie gapi? – krzyknął chłopiec.

Nie odpowiedziałem mu i wyminawszy go wyszedłem na korytarz; skierowałem się ku drzwiom na podwórze.

– Co pan chce zrobić? – Chwycił mnie od tyłu za marynarkę na ramieniu i usiłował przyciągnąć do siebie; przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy; złapałem go za rękę w przegubie i oderwałem ją od swego ramienia. Obszedł mnie i zagroził mi drogę. Zrobiłem krok naprzód i chciałem go odepchnąć. W tej chwili zamachnął się i uderzył mnie pięścią w pierś.

Uderzenie było słabiutkie, ale chłopiec odskoczył i znowu stanął naprzeciw mnie w naiwnej bokerskiej postawie; w wyrazie jego twarzy lęk mieszał się z szaleńczą odwagą.

– Nie ma pan po co do niej iść! – wrzasnął.

Zatrzymałem się. Przyszło mi na myśl, że chłopiec ma chyba rację: że niczym nie naprawię już tego, co jest nie do naprawienia. A chłopiec widząc, że stoję i nie bronię się, krzyczał dalej:

– Ona pana nie cierpi! Ma pana w dupie! Sama mi to powiedziała. Sra na pana!

Napięcie nerwowe czyni człowieka bezbronnym nie tylko wobec płaczu, ale i wobec śmiechu; realizm ostatnich słów chłopca- sprawił, że zadrgały mi kąciki ust. Chłopca to rozwścieczyło; tym razem wymierzył cios w moje usta i ledwo odparowałem uderzenie. Potem znowu się cofnął i jak bokser podniósł pięści przed twarz, tak że widać było spoza nich tylko jego odstające, zaróżowione uszy.

– Niech pan da spokój – powiedziałem. – Pójdę sobie.

Wołał jeszcze za mną:

– Tchórz! Śmierdzący tchórz! Ja wiem, że to twoja sprawka! Ale ja cię jeszcze znajdę! Idiota!

Wyszedłem na ulicę. Była pusta, tak jak puste bywają ulice po skończonej uroczystości, tylko łagodny wiatr unosił kurz i gnał go przed sobą po płaskiej ziemi, pustej jak moja głowa, moja pusta, zamroczona głowa, w której przez dłuższy czas nie pojawiła się ani jedna myśl...



Dopiero później uświadomiłem sobie nagle, że trzymam w ręku pustą fiolkę po novalginie; przyjrzałem się jej: była straszliwie wybrudzona; widocznie od dawna już służyła jako stały kamuflaż przeczyszczającym pastylkom chłopca.

Ale po dłuższej chwili ta fiołka wywołała w moich myślach wspomnienie innych jeszcze fiolek: dwóch fiolek Aleksa po luminalu; i pomyślałem sobie, że właściwie chłopiec wcale nie uratował Helenie życia: przecież gdyby nawet była tam prawdziwa novalgina, mogłaby najwyżej spowodować rozstrój żołądka, tym bardziej że ja i chłopiec byliśmy w pobliżu; rozpacz Heleny załatwiała swoje porachunki z życiem w odległości absolutnie bezpiecznej od progu śmierci.

## 18

Stała w kuchni nad płytą. Stała tyłem do mnie. Jakby nic się nie stało.

– Włodzimierz? – odpowiedziała nie oglądając się nawet. – Przecież go widziałeś. Dlaczego pytasz?

– Kłamiesz – odparowałem. – Włodzimierz dziś rano wyjechał na motorze z wnukiem Kouteckiego. Przyszedłem ci powiedzieć, że o tym wiem. Wiem, dlaczego rano tak na rękę wam była ta głupia redaktorka. Wiem, dlaczego nie wolno mi było asystować przy ubieraniu króla. Wiem, dlaczego król przestrzegwał nakazu nieodzywania się, jeszcze zanim przyłączył się do Jazdy. Wszystko świetnieście sobie obmyślili.

Moja pewność siebie zmieszała Vlaste. Aie szybko odzyskała kontenans i usiłowała bronić się atakując. Dziwny to był atak. Dziwny już choćby dlatego, że przeciwnicy nie stali twarzą w twarz. Stała tyłem do mnie, zwrócona twarzą w stronę bulgocącej zupy. Nie podniosła głosu. Był prawie że obojętny. Jakby to, co mówiła, było czymś od dawna oczywistym, czymś, co teraz, jedynie wskutek mojej tępoty i mojego dziwactwa, musi zbytecznie wypowiadać na głos. A więc jeżeli chcę usłyszeć, to proszę bardzo. Włodzimierz od samego początku nie chciał być królem. I Vlasta mu się nie dziwi. Kiedyś chłopcy sami organizowali Jazdy Królów. Teraz organizuje je dziesięć instytucji, a zebrania na ten temat odbywa nawet komitet powiatowy partii. Niczego nie mogą już dzisiaj ludzie robić sami i z własnej woli. Wszystko jest narzucone z góry. Dawniej chłopcy wybierali sobie króla sami. Teraz narzucono im odgórnie Włodzimierza, żeby okazać wdzięczność jego ojcu, i wszyscy musieli usłuchać. Włodzimierz wstydzi się, że jest protegowanym dzieckiem. Protegowanych dzieci nikt nie lubi.

– Chcesz powiedzieć, że Włodzimierz się mnie wstydzi?

– Nie chce korzystać z protekcji – powtórzyła Vlasta.

– I dlatego przyjaźni się z Kouteckimi? Z tymi głupcami? Z tymi tępymi kołtunami?

– Tak, dlatego – potwierdziła Vlasta. – Miłosza z powodu dziadka nie przyjęto na studia. Tylko dlatego, że jego dziadek miał firmę budowlaną. Włodzimierzowi jest przykro z tego powodu. Potrafisz to zrozumieć?

Po raz pierwszy w życiu wzbudziła we mnie gniew. Oszukali mnie. Przez cały ten czas obserwowali na zimno, jak się cieszę. Jaki jestem sentymentalny, jaki podniecony. Spokojnie mnie okłamywali i spokojnie obserwowali. Czy musieli mnie tak okłamywać?

Vlasta solila makaron i oświadczyła, że ze mną trudna sprawa. Żyję we własnym świecie. Marzyciel ze mnie. Nie chcą mi odbierać moich ideałów, ale Włodzimierz jest inny. Nie ma zrozumienia dla moich piosenek i dziarskiego pokrzykiwania. To go nie bawi. Nudzi go to, muszę się z tym pogodzić. Włodzimierz jest nowoczesnym człowiekiem. Wdał się w jej ojca. Ten także miał zawsze zrozumienie dla postępu. Był pierwszym chłopem w ich wsi, który już przed wojną miał traktor. Potem wszystko mu odebrano. Ale i tak, od czasu jak ich pola należą do spółdzielni, nie dają już takich plonów.

– Nic mnie nie obchodzą wasze pola. Chcę wiedzieć, dokąd pojechał Włodzimierz. Na zawody motocyklowe do Brna, tak? Przyznaj się!

Stała tyłem do mnie, mieszała makaron i dalej mówiła swoje. Włodzimierz wdał się w dziadka. Ma jego brodę i oczy. Włodzimierza nie bawi Jazda Królów. Tak, jeśli chcę wiedzieć – pojechał na zawody. Pojechał oglądać zawody. Czemu nie? Bardziej interesują go motocykle niż oplatane wstążkami szkapy. I co z tego? Włodzimierz jest nowoczesnym człowiekiem.

Motocykle, gitary, motocykle, gitary. Głupi, obcy świat.

– A co to jest twoim zdaniem nowoczesny człowiek? – zapytałem.

Stała tyłem do mnie, mieszała makaron i odpowiedziała, że nawet naszego mieszkania nie wolno jej nowocześnie urządzić. Ile to było gadania z powodu nowoczesnej lampy stojącej. Nowy żyrandol też mi się nie podobał. A przecież wszyscy mówią, że ta nowa lampa jest ładna. Wszyscy dzisiaj kupują takie lampy.

– Milcz – powiedziałem.

Ale nie sposób ją było powstrzymać. Ogarnęła ją furia. Stała odwrócona do mnie plecami. Drobnymi, złymi, chudymi plecami. To mnie chyba irytowało najbardziej. Te plecy. Plecy, które nie mają oczu. Plecy, które są idiotycznie pewne siebie. Plecy, z którymi nie można się porozumieć. Pragnąłem zmusić ją do milczenia. Odwrócić twarzą w swoją stronę. Ale czułem do niej taką odrazę, że nie chciałem jej dotykać. Odwróćę ją ku sobie w inny sposób. Otworzyłem kredens i wziąłem w rękę talerz. Upuściłem go na ziemię. Od razu umilkła. Ale nie odwróciła się. Jeszcze jeden talerz, i jeszcze jeden, i jeszcze. Wciąż stała tyłem do mnie. Skurczona w sobie. Po jej plecach widziałem, że się boi. Tak, bała się. Ale była krnąbrna i nie chciała się poddać. Przestała mieszać i nieruchomo ścisnęła łyżkę w ręce. Chwyciła się jej jak deski ratunku. Nienawidziłem jej, a ona mnie. Nie poruszała się, a ja nie spuszczałem z niej oczu, chociaż zrzuciłem na podłogę z półek kredensu coraz to nowe naczynia. Nienawidziłem jej i nienawidziłem w tej chwili całej jej kuchni. Nowoczesnej, typowej kuchni z nowoczesnym kredensem, nowoczesnymi talerzami i nowoczesnymi szklankami.

Nie czułem zdenerwowania. Patrzyłem spokojnie, smutno, niemal ze znużeniem na podłogę pełną skorup, rozrzuconych garnków i rondli. Rzuciłem na podłogę swój dom. Dom, który kochałem, który był moją ucieczką. Dom, w którym czułem delikatną władzę swojej ubogiej dziewczeczki. Dom, który zaludniłem bajkami, pieśniami i chmarą dobrotliwych skrzatów. Na tych oto trzech krzesłach siadywaliśmy zawsze przy obiedzie. Ach, te miłe obiady, przy których kwitło czułe, serdeczne życie rodzinne. Brałem do ręki jedno krzesło po drugim i wyłamywałem z nich nogi. Ciskałem je na podłogę pomiędzy garnki i potłuczone szklanki. Przewróciłem do góry nogami stół kuchenny, Vlasta stała nad kuchnią, stała wciąż tak samo nieruchoma, zwrócona do mnie plecami.

Przeszedłem z kuchni do swego pokoju. Była tam różowa kula pod sufitem, lampa stojąca i ohydny nowoczesny tapczan. Na fisharmonii w czarnym futerale leżały moje skrzypce. Wziąłem je. O czwartej mamy grać w ogrodzie restauracyjnym. Ale teraz jest pierwsza. Dokąd iść? Usłyszałem z kuchni łkanie. Vlasta płakała. Było to łkanie, od którego krajało się serce, i gdzieś w głębi duszy poczułem bolesną litość. Dlaczego nie rozplakała się dziesięć minut wcześniej? Wzięłyby może we mnie górę dawne złudzenia i zobaczyłbym w niej znowu ubogą dziewczeczkę. Ale było już za późno.

Wyszedłem z domu. Ponad dachami wsi niosło się wołanie Jazdy Królów. Mamy króla poczciwego, ale ubogiego. Dokąd iść? Ulice należały do Jazdy Królów, dom do Vlasty, gospoda do pijaków. Gdzie jest moje miejsce? Jestem

starym, opuszczonym, wygnanym królem. Poczciwym, obrabowanym do cna królem. Królem bez następcy. Ostatnim królem.

Na szczęście za wsią są pola. I droga. A o dziesięć minut marszu rzeka Morawa. Wyciągnąłem się na brzegu. Futerał ze skrzypcami podłożyłem sobie pod głowę. Długo tak leżałem. Godzinę, może dwie. I myślałem o tym, że wszystko skończone. Tak nagle. Tak nieoczekiwanie. Ale już się stało; nie umiałem wyobrazić sobie dalszego ciągu. Zawsze żyłem w dwóch światach naraz. Wierzyłem w ich wzajemną harmonię. To było złudzenie. Teraz z jednego świata mnie wypędzono. Z tego prawdziwego świata. Pozostaje mi tylko ten zmyślony. Ale ja nie mogę żyć tylko w zmyślonym świecie. Mimo że tam na mnie czekają. Mimo że wzywa mnie tam dezenter, ma dla mnie konia i czerwoną chustę na twarz. O, teraz go zrozumiałem. Teraz zrozumiałem, dlaczego nie pozwalał mi odsłonić oczu i chciał tylko wszystko mi opowiadać. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego król musi mieć zasłoniętą twarz! Nie po to, żeby był niewidoczny, ale po to, żeby sam nie widział!

Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, że mógłbym wstać i odejść. Nie mogłem sobie wyobrazić, że mógłbym zrobić chociaż jeden krok. O czwartej mnie oczekują. Ale nie będę miał siły podnieść się i tam iść. Tylko tutaj jest mi dobrze. Tutaj, nad rzeką. Tutaj płynie woda, powoli, od stuleci. Powoli płynie, a ja powoli i długo będę tutaj leżał.

Ale nagle usłyszałem czyjś głos. Był to Ludwik. Oczekiwałem nowego ciosu. Ale już się nie bałem. Nic mnie już nie mogło zaskoczyć.

Usiadł przy mnie i zapytał, czy przygotowuję się do popołudniowego koncertu.

– A co, ty chcesz tam iść? – zapytałem go.

– Tak – odparł.

– To po to tutaj przyjechałeś?

– Nie – powiedział – nie po to. Ale różne sprawy kończą się czasem inaczej, niż sądzimy.

– Tak – rzekłem – zupełnie inaczej.

– Wałęsam się już od godziny po polach. Nie myślałem, że cię tutaj spotkam.

– Ja też nie.

– Mam do ciebie prośbę – powiedział nie patrząc mi przy tym w oczy. Tak samo jak Vlasta. Nie patrzył mi w oczy, ale u niego mi to nie przeszkadzało. U niego cieszył mnie fakt, że nie patrzy mi w oczy. Zdawało mi się, że w tym niepatrzeniu jest wstyd. Ale ten wstyd ogrzewał mnie i leczył.

– Mam do ciebie prośbę – powiedział. – Czy pozwoliłbyś mi dzisiaj z wami zagrać?

## 19

Do odejścia najbliższego autobusu brakowało kilku godzin, ruszyłem więc, gnany wewnętrznym niepokojem, bocznymi uliczkami poza wieś, za gumna, w pole, i starałem się odpędzić wszelkie myśli o dniu, który upłynął. Nie było to łatwe. Czulem swędzenie wargi zranionej piastką chłopca i znowu ukazywał mi się niewyraźny, ledwo zarysowany obraz Łucji, przypominający, że wszędzie tam, gdzie usiłowałem wziąć odwet za krzywdę, jaką mi wyrządzono, znalazłem w końcu samego siebie w roli krzywdziciela. Odpędzałem te myśli, ponieważ wszystko to, co mi w kółko powtarzały, już w tej chwili sam dobrze wiedziałem; starałem się mieć w głowie pustkę i pozwolić, by do moich myśli docierało jedyne odległe (ledwo już dosłyszalne) wołanie jeźdźców, które unosiło mnie gdzieś daleko od samego siebie, od mojej przykrej historii, i sprawiało mi ulgę.

Obszedłem polnymi drogami całą wieś, aż w końcu dotarłem na brzeg Morawy i ruszyłem z biegiem rzeki; na drugim brzegu było kilka gęsi, wdali las, a poza tym wszędzie tylko same pola. Ale naraz dostrzegłem, że trochę dalej, w stronie, w którą szedłem, na brzegu ktoś leży. Kiedy się zbliżyłem, poznałem go: leżał na wznak, twarzą zwrócony ku niebu, a pod głową miał futerał ze skrzypcami. Wszędzie dokoła ciągnęły się pola, równinne, dalekie, takie same jak przed wiekami, tylko naszpikowane tutaj stalowymi słupami, dźwigającymi ciężkie przewody wysokiego napięcia. Nie było nic łatwiejszego niż uniknąć spotkania, leżał bowiem zapatrzony w niebo i nie widział mnie. Ale nie chciałem teraz przed nim uciekać, chciałem raczej uciec przed samym sobą i przed myślami, które tłoczyły mi się do głowy, podszedłem więc do niego i wypowiedziałem jego imię. Podniósł na mnie oczy i wydało mi się, że te oczy są wylęknione i nieśmiałe, i uświadomiłem sobie (po raz pierwszy od wielu lat widziałem go teraz z bliska), że z gęstej czupryny, która jego wysoką postać podwyższała zawsze jeszcze o kilka centymetrów, został tylko rzadki porost: kilka smętnych pasemek na ciemieniu zakrywających gołą skórę; te przerzedzone włosy przypomniały mi długi szereg lat, przez które go nie widziałem, i naraz

zrobiło mi się żal tego czasu, tych lat, w ciągu których się nie widzieliśmy, kiedy go unikałem (z dala ledwo dosłyszalnie dobiegało wołanie jeźdźców), i nagle zalala mnie fala gwałtownej i pełnej poczucia winy miłości do niego. Leżał przede mną podpierając się na łokciu, był wielki i nieporadny, a futerał ze skrzypcami – czarny i maleńki niczym trumienka niemowlęcia. Wiedziałem, że jego kapela (niegdyś również moja kapela) będzie dziś po południu grać na wsi, i poprosiłem go, żeby mi wolno było zagrać razem z nim.

Wyraziłem tę prośbę, jeszcze zanim zdążyłem przemyśleć ją do końca (słowa jak gdyby przyszły szybciej niż myśl), wyraziłem ją więc po wariacku, ale w całkowitej zgodzie z pragnieniem własnego serca; przepelniała mnie bowiem w tym momencie smutna miłość; miłość do tego świata, który przed laty opuściłem, do odległego, dawnego świata, gdzie jeźdźcy objeżdżają wieś ze swoim zamaskowanym królem, gdzie chodzi się w białych, suto namarszczonych koszulach i śpiewa się piosenki, do świata, który wiąże mi się z obrazem rodzinnego miasta i z obrazem mojej matki (mojej skradzionej mi podstępnie matki), i mojej młodości; w ciągu całego dnia ta miłość narastała we mnie, a teraz wybuchła niemalże łzawo; kochałem ten dawny świat i zarazem błagałem go, by użyczył mi schronienia, by mnie ocalił.

Ale dlaczego i jakim prawem? Czyż jeszcze wczoraj nie wykręciłem się od spotkania z Jarosławem tylko dlatego, że jego widok dźwięczał mi nienawistną melodią ludowej muzyki? Czyż nie szedłem jeszcze dzisiaj rano z najwyższą niechęcią na ludową uroczystość? Cóż więc otworzyło we mnie nagle te stare tamy, które przez piętnaście lat nie pozwalały mi tkliwie wspominać mojej młodości spędzonej w kapeli, nie pozwalały powracać ze wzruszeniem do rodzinnego miasta? Może to, że przed paroma godzinami Zemanek drwił sobie z Jazdy Królów? Może to on zożydził mi pieśni ludowe i on teraz oczyścił je w moich oczach? Czy doprawdy jestem jedynie drugim końcem strzałki kompasu, której grotem jest on? Czy doprawdy jestem od niego tak haniebnie zależny? Nie, to nie tylko drwiny Zemanka sprawiły, że nagle znowu mogłem kochać świat ludowych strojów, pieśni i kapeli; mogłem go znowu kochać, ponieważ już z rana (niespodzianie) odnalazłem go w jego ubóstwie; w jego ubóstwie, a przede wszystkim w jego opuszczeniu; został opuszczony przez bombastyczność i reklamę, przez polityczną propagandę, przez utopie społeczne, przez sfory referentów kulturalnych, przez pozerski kult moich rówieśników, opuszczony (także) przez Zemanka; to opuszczenie oczyszczało go, to opuszczenie było pełne wyrzutu, oczyszczało go bowiem niestety jak kogoś, kto już dogorywa;

opromieniało go jakimś przemożnym ostatnim pięknem; to opuszczenie zwracało mi go z powrotem.

Występ kapeli miał się odbyć w tym samym ogrodzie przy restauracji, gdzie niedawno temu jadłem obiad i czytałem list od Heleny; kiedy przyszedliśmy z Jarosławem, siedziało tam już kilka starszych osób (cierpliwie czekających na popołudniowy koncert) i tyłuż pijanych zataczało się od stolika do stolika; w głębi, wokół rozłożystej lipy, ustawiono parę krzeseł, o pień drzewa stała oparta bassetla w szarym pokrowcu, a kawałek od niej otwarte cymbały, przy których siedział mężczyzna w białej namarszczonej koszuli i cichutko błędził pałeczkami po strunach; pozostali członkowie kapeli stali opodal i Jarosław podszedł, by mi ich przedstawić: drugi skrzypek (wysoki, czarnowłosy młodzieniec w stroju regionalnym) jest lekarzem tutejszego szpitala, basista w okularach to inspektor oświatowy Powiatowej Rady Narodowej; klarncista (będzie tak uprzejmy, pożycz mi klarnet i będzie grał na zmianę ze mną) jest nauczycielem; cymbalista jest referentem planowania z fabryki; poza cymbalistą, którego pamiętałem, zupełnie nowy zespół. Jarosław przedstawił mnie wszystkim uroczyście jako starego weterana, jednego z założycieli kapeli, a zatem honorowego klarncistę; siedliśmy na krzesłach wokół lipy i zaczęliśmy grać.

Dawno już nie trzymałem klarnetu w ręce, ale piosenkę, którą zagraliśmy, znam dobrze, szybko więc wyzbyłem się początkowego skrępowania, zwłaszcza kiedy po skończonej piosence pozostali członkowie kapeli zasypali mnie pochwałami i nie chcieli wierzyć, że gram po raz pierwszy od tak długiego czasu; potem kelner (ten sam, któremu przed paroma godzinami w takim pośpiechu płaciłem za obiad) przyciągnął pod lipę stół i ustawił na nim dla nas sześć szklaneczek oraz gaśiorek wina opleciony wikliną; zaczęliśmy sobie z wolna popijać. Po którejś z kolei piosence skinąłem na nauczyciela; wziął ode mnie klarnet i jeszcze raz oświadczył, że gram znakomicie; uszczęśliwiła mnie ta pochwała, oparłem się o pień lipy, i kiedy tak patrzyłem na kapelę grającą beze mnie, zalała mnie ciepła fala dawno nie zaznanego uczucia koleżeństwa, i byłem temu uczuciu wdzięczny, że pod koniec owego gorzkiego dnia przyszło mi z pomocą. I oto nagle wyłoniła się znowu przed moimi oczami Łucja, i przyszło mi na myśl, że dopiero teraz rozumiem, dlaczego ukazała mi się w zakładzie fryzjerskim, a dzień później w opowiadaniu Kostki, które było legendą i prawdą zarazem: chciała mi chyba powiedzieć, że jej los (los zgwałconej dziewczynki) jest bliski mojemu losowi; że my dwoje rozminęliśmy się wprawdzie, nie potrafiliśmy się porozumieć, ale że historie naszego życia są bliźniacze, pokrewne, analogiczne, ponieważ w obu wypadkach jest to historia spustoszenia. Tak samo

jak spustoszone fizyczną miłość Łucji i w ten sposób okradziono jej życie z najbardziej elementarnej wartości, tak i moje życie zostało okradzione z wartości, na których zamierzało się oprzeć i które w założeniu były czyste i niewinne; tak, niewinne: miłość fizyczna, jakkolwiek spustoszona w życiu Łucji, jest przecież niewinna, tak samo jak pieśni moich stron były i są niewinne, jak niewinna jest ta kapela, jak niewinne jest moje miasto, które znienawidziłem, jak niewinny jest wobec mnie Fućik, na którego portret nie umiałem spojrzeć bez niechęci, jak niewinne jest słowo „towarzysz”, słowo „ty” i słowo „przyszłość”, i wiele innych słów. Błąd był gdzie indziej i był tak wielki, że jego cień padał szeroko, daleko na cały świat niewinnych ludzi (i słów) i pustoszył go. Żyliśmy – ja i Łucja – w spustoszonej świecie, a ponieważ nie umieliśmy się litować nad rzeczami spustoszonymi, odwracaliśmy się od nich, wyrządzając tym krzywdę i im, i sobie. Łucjo, dziewczynko tak bardzo kochana, tak źle kochana, czy to przyszłaś mi powiedzieć po latach? Czy przyszłaś, by wstawić się za owym spustoszonym światem?

Melodia się skończyła i nauczyciel wyciągnął do mnie klarnet; oświadczył, że już dzisiaj grać nie będzie, że gram lepiej niż on i że zasługuję na to, bym grał dziś jak najwięcej, bo kto wie, kiedy tu znowu przyjadę. Uchwyciłem spojrzenie Jarosława i powiedziałem, że ogromnie bym się cieszył, gdybym mógł jak najprędzej do nich przyjechać. Jarosław zapytał, czy mówię to poważnie. Powiedziałem, że tak, i zaczęliśmy grać. Jarosław od dawna już nie siedział, stał z pochyloną głową, skrzypce wbrew wszelkim regułom oparł nisko o piersi i grając spacerował; również drugi skrzypek i ja co chwila się podnosiliśmy, zwłaszcza wtedy, kiedy improwizowaliśmy, kiedy chcieliśmy dać jak największy upust naszemu natchnieniu. I właśnie w tych momentach, kiedy zapuszczaliśmy się we wspaniałą przygodę improwizowania, która wymaga fantazji, precyzji i dużego wzajemnego zrozumienia, Jarosław stawał się duszą zespołu i podziwiałem, jakim wspaniałym muzykiem jest to ogromne chłopisko, które również należy (on przede wszystkim) do spustoszonych wartości mego życia; został mi odebrany, a ja (na swoją szkodę i hańbę) pozwoliłem go sobie odebrać, mimo że był to mój najwierniejszy, najuczciwszy, najniewinniejszy przyjaciel.

Tymczasem powoli zmieniła się publiczność w ogrodzie; do kilku zajętych stolików, skąd na początku przysłuchiwano się naszej grze z dość żywym zainteresowaniem, dołączyła się spora garstka chłopców i dziewcząt (może ze wsi, ale raczej z miasta); obsiedli pozostałe stoliki i zamawiali (bardzo głośno) piwo i wino, a wkrótce (w miarę jak rósł poziom wypitego alkoholu) zaczęli nachalnie dawać do zrozumienia, że chcą być widziani, słyszani, uznawani.



Atmosfera w ogrodzie szybko więc uległa zmianie, stała się hałaśliwsza i bardziej nerwowa (chłopcy zataczali się między stolikami, pokrzykiwali na siebie i na swoje dziewczyny), aż przyłapałem się na tym, że przestaję koncentrować się na grze, że zbyt często spoglądam ku stolikom i z nietajoną nienawiścią obserwuję twarze owych wyrostków. Na widok tych długowłosych, którzy ostentacyjnie i teatralnie bryzgali naokoło śliną i słowami, wróciła mi moja dawna nienawiść do wieku niedojrzałego i miałem wrażenie, że widzę przed sobą wyłącznie aktorów, którzy przywdziali maski mające wyobrażać kretyńską męskość, dumną bezwzględność i chamstwo; i nie znajdowałem żadnego usprawiedliwienia w fakcie, że pod maską kryje się być może inna (bardziej ludzka) twarz, ponieważ groźne wydawało mi się właśnie to, że twarze pod maską obłąkańczo ulegają owemu odczłowieczeniu i chamstwu masek.

Widać i Jarosław czuł to samo co ja, ponieważ nagle opuścił skrzypce i oświadczył, że nie bawi go gra przed tą publicznością. Zaproponował, żebyśmy stąd wyszli, żebyśmy poszli polną okreśną drogą do miasta, tak jak chodziliśmy kiedyś, dawno temu; dzień jest przecież piękny, niedługo zacznie się ściemniać, będzie ciepły wieczór, będą gwiazdy, zatrzymamy się gdzieś w polu pod krzakiem głogu i będziemy grać tylko dla siebie, dla własnej przyjemności, tak jak to robiliśmy niegdyś; teraz przyzwyczajiliśmy się (głupio przyzwyczajili) grać tylko przy jakichś oficjalnych okazjach, ale on, Jarosław, ma już tego dosyć.

Z początku wszyscy zgodzili się niemal z entuzjazmem, ponieważ i oni zapewne czuli potrzebę wyrażenia swojej miłości do muzyki ludowej w bardziej intymnym otoczeniu, ale potem basista (inspektor powiatowy) zauważył, że zgodnie z umową musimy tu grać aż do dziewiątej, że tego oczekują od nas towarzysze z powiatu i kierownik restauracji, że tak to zostało zaplanowane, że musimy wykonać zadanie, do którego się zobowiązaliśmy, że inaczej zepsulibyśmy plan uroczystości, a w polu pod gołym niebem możemy sobie zagrać kiedy indziej.

W tej chwili zapłonęły w ogrodzie lampy zawieszane na długich drutach, rozpiętych od drzewa do drzewa; ponieważ nie było jeszcze ciemno, lecz dopiero zaczynało się zmierzchać, nie rzucały blasku wokół siebie, lecz tkwiły tylko w szarzącym świetle dnia jak duże nieruchome łyż, białawe łyż, których nie sposób otrzeć i którym nie wolno spłynąć; był w tym jakiś niepojęty i nagły smutek i w żaden sposób nie można się było mu oprzeć. Jarosław jeszcze raz powtórzył (teraz niemal błagalnie), że nie chce już tu dłużej zostać, że chciałby iść w pole, pod krzak głogu i tam grać tylko dla własnej przyjemności, ale potem machnął ręką, oparł skrzypce o ramię i pociągnął smyczkiem.

Tym razem jednak nie pozwoliliśmy już, by rozpraszała nas hałaśliwość słuchaczy, i graliśmy z dużo większym skupieniem niż na początku; im bardziej nieuważna i ordynarna stawała się publiczność w ogrodzie, im bardziej osaczała nas swoją wrzaskliwą obojętnością, czyniąc z nas samotną wyspę, im bardziej było nam smutno, tym bardziej każdy z nas koncentrował się na własnych odczuciach; graliśmy teraz raczej sami dla siebie niż dla innych, tak że w końcu udało nam się zapomnieć o wszystkich dookoła i uczynić z muzyki jakiś zamknięty krąg, wewnątrz którego, wśród pijanego zgiełku, znajdowaliśmy się niczym w szklanej kajucie opuszczonej w głąb zimnego oceanu.

„Gdyżby góry były całe papierowe, woda – atramenty, gwiazdy – pisarzowie, gdyżby to spisywał wszechświat nieobjęty, bogać by spisał kochania destamenty”<sup>\*</sup> – śpiewał Jarosław nie odejmując brody od skrzypiec, a ja czułem się szczęśliwy wewnątrz tych pieśni (wewnątrz szklanej kajuty tych pieśni), w których smutek nie jest udawany, śmiech nie jest fałszywy, miłość nie jest śmieszna, a nienawiść nieśmiała, gdzie ludzie kochają ciałem i duszą (tak, Łucjo, ciałem i duszą!), gdzie w nienawiści chwytają za nóż lub szablę, z radości tańczą, z rozpaczy skaczą do Dunaju, gdzie zatem miłość jest jeszcze miłością, cierpienie cierpieniem, gdzie pierwotne uczucia nie uległy wypaczeniu, a wartości wciąż jeszcze są nie spustoszone; i wydało mi się, że wśród tych pieśni jestem w domu, że z nich wyszedłem, że ich świat jest moim piętnem, moim domem rodzinnym, któremu się sprzeniewierzyłem, a który tym bardziej jest moim domem (najbardziej błagalnym głosem przemawia bowiem dom, wobec którego żeśmy zawinili); ale natychmiast uświadomiłem sobie również, że ów dom nie jest z tego świata (a jakież to dom, który nie jest z tego świata?), że ta nasza tutaj muzyka i śpiew to tylko wspomnienie, pamiątka, ocalony obraz czegoś, czego już nie ma, i czułem, jak grunt tego domu obsuwa mi się pod nogami, jak zapadam się w głąb, jak trzymam klarnet przy ustach i zapadam się w otchłań lat, w otchłań stuleci, w nieprzeniknioną otchłań (gdzie miłość jest miłością, cierpienie cierpieniem), i mówiłem sobie zdumiony, że mój jedyny dom to właśnie to zapadanie się, to pełne oczekiwania tęskne spadanie, nie broniłem się więc przed nim i doznawałem uczucia słodkiego zawrotu głowy.

Potem zerknąłem na Jarosława, żeby sprawdzić w jego twarzy, czy jestem w swojej egzaltacji odosobniony, i zauważyłem (jego twarz oświetlała latarnia zawieszona w koronie lipy nad nami), że jest bardzo blady; zauważyłem, że przestał już przyśpiewywać podczas gry i że ma zaciśnięte usta; że jego pełne lęku oczy stały się jeszcze bardziej wystraszone; że w melodii, którą gra,

---

<sup>\*</sup> Przełożyła Anna Kamińska.

odzywają się fałszywe tony; i że ręka, w której trzyma skrzypce, opada mu coraz niżej. Potem naraz przestał grać i usiadł na krześle; ukląknęłam przy nim.

– Co ci jest? – zapytałem; z czoła spływał mu pot, a ręką trzymał się za lewe ramię.

– Strasznie mnie boli – powiedział.

Tamci nie zdawali sobie sprawy, że Jarosławowi jest niedobrze, i trwali w swoim muzycznym transie bez pierwszych skrzypiec i klarnetu, których milczenie wykorzystał cymbalista, żeby wyeksponować swój instrument przy akompaniamencie samych tylko drugich skrzypiec i basetli. Podszedłem do drugiego skrzypka (pamiętałem, że Jarosław przedstawił mi go jako lekarza) i poprosiłem go do Jarosława. Grały teraz tylko cymbały i basetla, podczas gdy drugi skrzypek ujął Jarosława za przegub lewej ręki i długo, bardzo długo go tak trzymał; potem podniósł mu powieki i obserwował oczy; w końcu dotknął jego spoconego czoła.

– Serce? – zapytał.

– Ręka i serce – rzekł Jarosław, zupełnie zielony.

Teraz zwrócił na nas uwagę również basista, oparł basetlę o drzewo i podszedł do nas, tak że rozbrzmiewały same już tylko cymbały, ponieważ cymbalista niczego się nie domyślał i był szczęśliwy, że gra solo.

– Zadzwońię do szpitala – rzekł drugi skrzypek.

Zbliżyłem się do niego.

– Co to jest?

– Puls cienki jak nitka. Lodowaty pot. To chyba zawał.

– Psiakrew – powiedziałem.

– Nie bój się, wyliże się z tego – pocieszył mnie i szybkim krokiem skierował się do restauracji. Przecisnął się między mocno już wstawionymi gośćmi, którzy w ogóle nie zauważyli, że nasza kapela przestała grać, byli bowiem całkowicie pochłonięci sobą, swoim piwem, paplaniną i wyzwiskami, które w przeciwległym kącie ogrodu zamieniły się w bójkę.

Teraz ucichły również cymbały i wszyscy obstąpili Jarosława, który spojrzał na mnie i powiedział, że to wszystko dlatego, żeśmy tu zostali, że nie chciał tu zostać, że chciał iść w pole, zwłaszcza że ja tu jestem, że tu wróciłem, że mogliśmy wspaniale grać sobie pod gołym niebem.

– Nic nie mów – przerwałem mu – potrzebny ci jest absolutny spokój.

I pomyślałem, że z zawału pewnie się wylize, jak przepowiadał drugi skrzypek, ale że będzie to już potem zupełnie inne życie, życie bez pasji, bez namiętnej gry w kapeli, życie pod patronatem śmierci, gra po przerwie, druga połowa gry po porażce, i doznałem uczucia (nie mogłem w tej chwili ocenić w żaden sposób jego trafności), że los człowieka często kończy się na długo przed śmiercią, że końcowego momentu losu nie należy utożsamiać z momentem śmierci, że los Jarosława się skończył.

Ogarnięty przemożnym uczuciem litości, pogładziłem go po łysiejącej głowie, po jego żałosnych długich włosach przykrywających łysinę, i uświadomiłem sobie z przestraszeniem, że moja wyprawa do rodzinnego miasta, w którym chciałem ugodzić śmiertelnie znienawidzonego Zemanka, kończy się tym, że trzymam na rękach śmiertelnie ugodzonego przyjaciela (tak, widziałem w tej chwili siebie, jak trzymam go w ramionach, jak trzymam go i niosę, niosę go, dużego i ciężkiego, jak gdybym niósł swoją własną, niezrozumiałą winę, widziałem, jak niosę go przez obojętny tłum i jak przy tym płaczę).

Staliśmy tak wokół niego chyba z dziesięć minut, po czym zjawił się znowu drugi skrzypek, skinął na nas, żebyśmy pomogli Jarosławowi wstać, i podtrzymując go, wyprowadziliśmy go powoli przez hałaśliwą wrzawę pijanych wyrostków na ulicę, gdzie z zapalonymi światłami czekał biały wóz karetki pogotowia.

*Ukończono 5 grudnia 1965.*